

MORGAN DANE #2

 editioblack

J JEJ OSTAŃTNIE POŻE GNANIE

*W spokojnym miasteczku znika młoda kobieta.
Głównym podejrzanym zostaje mąż.*

*Im bliżej Morgan Dane jest odkrycia prawdy,
tym bardziej boi się o własne życie...*

BESTSELLEROWA AUTORKA WALL STREET JOURNAL

MELINDA
LEIGH

Melinda Leigh

JEJ OSTATNIE POŻEGNANIE

Spis treści

[Podziękowania](#)

[Rozdział 1.](#)

[Rozdział 2.](#)

[Rozdział 3.](#)

[Rozdział 4.](#)

[Rozdział 5.](#)

[Rozdział 6.](#)

[Rozdział 7.](#)

[Rozdział 8.](#)

[Rozdział 9.](#)

[Rozdział 10.](#)

[Rozdział 11.](#)

[Rozdział 12.](#)

[Rozdział 13.](#)

[Rozdział 14.](#)

[Rozdział 15.](#)

[Rozdział 16.](#)

[Rozdział 17.](#)

[Rozdział 18.](#)

[Rozdział 19.](#)

[Rozdział 20.](#)

[Rozdział 21.](#)

[Rozdział 22.](#)

[Rozdział 23.](#)

[Rozdział 24.](#)

[Rozdział 25.](#)

[Rozdział 26.](#)

[Rozdział 27.](#)

[Rozdział 28.](#)

[Rozdział 29.](#)

[Rozdział 30.](#)

[Rozdział 31.](#)

[Rozdział 32.](#)

[Rozdział 33.](#)

[Rozdział 34.](#)

[Rozdział 35.](#)

[Rozdział 36.](#)

[Rozdział 37.](#)

[Rozdział 38.](#)

[Rozdział 39.](#)

[Rozdział 40.](#)

[Rozdział 41.](#)

[Rozdział 42.](#)

[Rozdział 43.](#)

[Rozdział 44.](#)

[Rozdział 45.](#)

[Rozdział 46.](#)

[O autorce](#)

Dla Mamy za to, że cały stan New Jersey wytapetowała zakładkami do książek.

Podziękowania

Jak zawsze dziękuję w pierwszej kolejności mojej agentce Jill Marsal i całemu zespołowi Montlake Romance, zwłaszcza mojej redaktorce prowadzącej Anh Schluep, redaktorce Charlotte Herscher i bogini od spraw technicznych oraz mistrzyni popędzania pisarzy w jednym, Jessice Poore.

Szczególne podziękowania składam Leanne Sparks za jej cierpliwość i pomoc w niektórych proceduralnych aspektach tej książki. Zaoszczędziła mi wielu tygodni badań.

Rozdział 1.

Kopanie grobu było ciężką pracą.

Światło księżycy zaśniło na łopacie, gdy uniósł na niej grudkę ziemi i przerzucił ją poza dół, wykopany na głębokość jego kolan. Mimo że październikowa noc była chłodna, pot spływał mu po czole. Przerwał na chwilę i otarł je rękawem. Mocnym ruchem ramion wbił łopatę pionowo w ziemię i zostawił ją na chwilę, aby zdjąć z siebie flanelową koszulę. Rzucił ją poza prostokątny wykop.

Wiatr owiał jego nagą pierś, chłodząc rozpaloną skórę. W lesie utrzymywał się zapach palonego drewna. Drzewa były już na wpół nagie, a ziemia pokryta dywanem opadłych liści.

Oparł się na stylisku łopaty i zwrócił twarz do nieba. Ponad szczytami drzew świecił księżyc. Wisiał tak nisko na niebie, że wydawało się, iż wystarczy wyciągnąć rękę, aby go dotknąć. Uniósł dłoń, ustawiając ją tak, aby stworzyć iluzję, że trzyma księżyc w dłoni.

Iluzja władzy.

Mimo porażki, którą właśnie miał zamiar pogrzebać, poczuł przyływ energii. Był ostrożny — jak zawsze.

Nikt się nie dowie.

Nikt go nie powstrzyma.

Mógł zrobić wszystko, co zechciał.

Wziął głęboki oddech. Poczł zapach igieł sosnowych i ziemi. W gęstych zaroślach wokół niego słycać było granie świerszczy, a od płynącej w pobliżu rzeki, spływającej w dół wzgórza, dochodził go szum wody. Zwierzęta, które były ofiarami, obawiały się ciemności, ale on z natury był drapieżnikiem.

Ciemność była jego sprzymierzeńcem.

Lepiej jednak, żeby wrócił do pracy, jeśli chciał ją skończyć przed świtem.

Wyciągnął łopatę z ziemi i wrócił do swojego zadania. Większość ludzi nie ma pojęcia, jak długo trzeba kopać, aby uzyskać dół wystarczająco duży do ukrycia ciała.

Inna sprawa, że większość ludzi nie musi tego wiedzieć.

Wyrzucił kolejną łopatę ziemi poza dół. Początkowo ziemia była miękka i kopało się dobrze, im głębiej jednak docierał, tym bardziej była ubita i twarda. Gdyby była zima, jego zadanie byłoby w ogóle niemożliwe do wykonania. Przydepnął łopatę, wykorzystując ciężar swojego ciała do wbicia jej głębiej w ziemię. Czas kończyć.

Czekały go spotkania z ludźmi, praca do wykonania.

Musiał znaleźć zastępstwo.

Spojrzał na owinięty w koc kształt leżący na trawie obok dołu. Pierwszą zasadą uczenia się na błędach było przyjęcie odpowiedzialności. Spieprzył.

On ją wybrał, więc to jego wina. Nie była dość silna. Czy miała jakąś wadę, którą przeoczył?

Może. Ale teraz czas był zostawić za sobą tę porażkę i ruszyć naprzód.

Ze zdwojonym zapalem powrócił do pracy. Gdy skończył, bolały go ramiona, plecy i nogi, ale to był ten satysfakcjonujący rodzaj fizycznego zmęczenia, które przychodzi po ciężkiej pracy.

Wyszedł z dołu. Taka głębokość musi wystarczyć — widział już, że horyzont się rozjaśnia. Świt był bliski.

Kucnął przy ciele i przeciągnął je do dołu. Koc się przesunął, odsłaniając jej okrytą folią twarz. Poczul przez chwilę irytację i poprawił koc, zasłaniając jej patrzące z wyrzutem oczy. Nie powinna była umierać.

Ale czasami takie rzeczy po prostu się zdarzały.

Mógł ją zastąpić.

Zasypał grób i przydeptał ziemię. Potem zamiótł ją gałęziami, zakrywając ślady liśćmi.

Wyprostował się i omiótł spojrzeniem ziemię wokół. Grób był praktycznie niewidoczny. Turyści mogliby po nim przejść i nic nie zauważyć. Wrócił na wąską ścieżkę. Powinien odczuwać zmęczenie po nocy ciężkiej pracy. Zamiast tego czuł, że rześkie nocne powietrze — i nowe plany — dodały mu energii.

Zostawi tę pomyłkę za sobą. Miał szansę zacząć od nowa, z czystą kartą. Przyspieszył kroku i przeszedł przez drewniany mostek nad rzeką. Stąd miał jeszcze pięć minut marszu do drogi. Wyszedł z parku stanowego i ruszył do swojego samochodu.

Nie mógł pozwolić, aby to rozczarowanie go zniechęciło. Nie poddawał się łatwo. Każdą porażkę można było zmienić w nowe możliwości.

Czas zacząć od nowa.

Czas wybrać kolejną ofiarę.

Rozdział 2.

Dom pod numerem 77 na Oak Street nie wyglądał groźnie. Biały piętrowy domek w stylu kolonialnym z niebieskimi okiennicami stał sobie w zupełnie zwyczajnym sąsiedztwie identycznych zabudowań. W ogródkach przy ulicy widać było kosze do koszykówki i bramki do hokeja, chodniki pokryte były kolorowymi rysunkami wykonanymi kredą.

O dziewiątej rano okolica była cicha. Dzieci były w szkołach, dorośli w pracy.

Jednak mimo tego Morgan Dane miała złe przeczucia, a po plecach spływał jej pot, gdy zerknęła na dom i sprawdziła w trzymany na kolanach dokumentach, że na pewno znajduje się we właściwym miejscu. Numer pasował.

Zmrużyła oczy, spoglądając na budynek. Październikowe słońce świeciło na bezchmurnym niebie, oświetlając klon pośrodku trawnika. Był piękny jesienny poranek, chociaż ktoś, kto przebywał w tym domu, nie mógł o tym wiedzieć, bo wszystkie żaluzje były opuszczone.

Była pewna, że ten, którego szukali, jest w środku.

— To ten dom — powiedziała.

Lance Kruger postukał palcem w kierownicę swojego jeepa.

— Wcale mi się to nie podoba.

— Mnie też nie — przyznała Morgan. Opuściła osłonę przeciwsłoneczną i korzystając z lusterka, nałożyła świeżą warstwę szminki.

W dostarczaniu dokumentów prawnych nie było niczego przyjemnego.

Lance minął numer siedemdziesiąty siódmy i zaparkował przy krawężniku dwa domy dalej.

— Może jednak byłoby lepiej, żebym to *ja* zapukał do drzwi.

Morgan zerknęła z ukosa na potężnego mężczyznę za kierownicą.

Minionego lata Lance odszedł z policji i zaczął pracować jako prywatny detektyw, jednak w głębi ducha wciąż był policjantem i było to widać w jego wyglądzie: spodniach bojówkach i blond włosach przyciętych na jeża. Niebieska flanelowa koszula, którą rozpiętą wypuścił na spodnie, ukrywała wprawdzie jego broń, ale nie mogła zamaskować mięśni rozpychających szary T-shirt. Spod podwiniętych rękawów wynurzały się umięśnione przedramiona.

A jakby jego wygląd nie był dostatecznie onieśmielający, zdradzał go groźny błysk w niebieskich oczach.

Wyglądał na kogoś niebezpiecznego, kto nie zawaha się przed niczym.

Gdyby szumowina, któremu mieli dostarczyć dokumenty, rzucił choć raz okiem

na Lance'a, uciekłby czym prędzej i ich firma musiałaby rozpocząć poszukiwanie go od nowa. Wyśledzenie miejsca pobytu tego szczura zajęło im trzy dni.

Jako była asystentka prokuratora okręgowego, Morgan miała względem szefa Lance'a wielki dług wdzięczności, odkąd zdecydowała się pracować jako adwokat. Sharp nie tylko zgodził się, aby firma Sharp Investigations prowadziła śledztwo dla jej klienta bez wynagrodzenia, ale też zaoferował jej pokój w swojej firmie, gdy postanowiła otworzyć własną praktykę.

— Wiesz, że tobie nawet *nie* otworzy drzwi — powiedziała — i właśnie dlatego Sharp prosił, żebym pomogła wam przy tej sprawie.

Lance zmarszczył brwi i spojrział na nią, po czym westchnął z rezygnacją.

— Masz rację. Ale i tak mi się nie podoba, że masz się znaleźć w jego bezpośredniej bliskości, biorąc pod uwagę, co ma na sumieniu.

Tyler Green był winien swojej byłej żonie grube tysiące zaległych alimentów na dziecko. Był klasycznym przykładem szowinistycznej świni i człowieka, który nie uważał za stosowne finansowo wspierać swojego dziecka. Kilkakrotnie był aresztowany za włamania i napaść, chociaż za każdym razem klasyfikowano to jako wykroczenie, a nie przestępstwo. Aby uniknąć płacenia alimentów, rzucił pracę i wyprowadził się ze swojego mieszkania, pomieszkując u członków rodziny i przyjaciół. Nigdy nie zostawał w jednym miejscu na tyle długo, aby system prawny zdążył go namierzyć. Jednak przysłała kryśka na Matyska, gdy jego eks zatrudniła Sharp Investigations, aby go znaleźć i móc zaciągnąć do sądu.

Lance zacisnął usta.

— Tobie też może nie otworzyć.

— Jest tylko jeden sposób, aby się o tym przekonać. Wyglądam jak przeciętna mamuśka z przedmieścia. — Morgan miała nadzieję, że Tyler weźmie ją za jedną z sąsiadek. Zaciskała kciuki, żeby otworzył drzwi, aby mogła mu wręczyć nakaz, a firma otrzymała wynagrodzenie.

Lance omiół ją spojrzeniem.

— Może i jesteś matką, ale nie ma w tobie niczego przeciętnego.

Morgan poprawiła włosy, rozpięła kilka guzików płaszczka i sięgnęła na tylne siedzenie po tacę z ciasteczkami.

— Jest znacznie większa szansa na to, że Tyler otworzy drzwi, jeśli na progu będzie stała ja.

— Wiem, ale to nie oznacza, że musi mi się to podobać — marudził Lance.

Morgan wrzuciła szminkę z powrotem do torby. Przy tym ruchu rękaw jej płaszczka podsunął się do góry, pokazując fragment świeżej różowej blizny biegnącej od nadgarstka do łokcia. Brzydka pamiątka świadcząca o tym, że praca z przestępcami mogła być niebezpieczna. Szwy zdjęto jej kilka tygodni temu, jednak

blizna wciąż była zaogniona i nieładna.

Zmarszczki wokół ust Lance'a pogłębiły się, gdy przeniósł wzrok z blizny na twarz Morgan. Relacja między nimi wykraczała poza stosunki zawodowe, chociaż nie było jeszcze ustalone jak bardzo. Był pierwszym mężczyzną, którym zainteresowała się, odkąd dwa lata temu jej mąż zginął podczas misji w Iraku. Jako matka trójki małych dzieci miała jednak problemy z wygospodarowaniem czasu na nowy związek. Od kilku tygodni zdrowie jej osiemdziesięcioletniego dziadka również coraz bardziej szwankowało. Dodatkowe wizyty u lekarzy i badania przysporzyły jej kolejnej porcji zmartwień w i tak bardzo zajęтым i zwariowanym życiu.

Dotknęła grubego przedramienia Lance'a. Chciała w ten sposób dodać mu otuchy, jednak przemknęło jej przez głowę, że nie sądziła, iż przedramię może być tak męskie.

— Będę was obserwował — obiecał ponuro.

— Nawet przez chwilę w to nie wątpiłam. — Chwyciła za klamkę u drzwi.

— Daj mi minutę, abym zajął pozycję. — Lance sprawdził dłonią broń w kaburze, po czym wysiadł z samochodu.

Morgan wytarła wilgotne dłonie o džinsy, wzięła trzy głębokie oddechy i również wysiadła. Niosąc tacę z ciastkami, ruszyła do domu numer siedemdziesiąt siedem.

Lance przykucnął za krzakiem przy domu obok. Patrząc przez liście, miał dobry widok na wejście do sąsiedniego domu.

Morgan doszła do podjazdu i ruszyła wzdłuż niego. Weszła po betonowych schodkach na ganek i zadzwoniła do drzwi. Po minucie ciszy zastukała trzykrotnie mosiężną kołatką. Przez kolejne trzydzieści sekund nic się nie działo.

Jednak czuła, że ktoś ją obserwuje.

Wreszcie po drugiej stronie drzwi rozbrzmiały kroki. Minęło kilka kolejnych sekund. Morgan wyobraziła sobie, że ktoś spogląda przez wizjer. Wstrzymała oddech w czasie, gdy osoba po drugiej stronie drzwi zastanawiała się, co zrobić. Wreszcie usłyszała szcęk zamka i drzwi uchyliły się z cichym skrzypnięciem zawiasów.

Tyler wyjrzał przez szparę. Był bosy, miał na sobie białą koszulkę i džinsy, w których wyglądał świetnie. Zdjęcie, które miała w aktach, nie oddawało tego, jak przystojny był w rzeczywistości. Wysoki, szczupły i wysportowany, emanował urokiem niegrzecznego chłopca. Arogancki uśmieszek na jego twarzy zdradzał, że ma tego świadomość. Jego spojrzenie powędrowało od twarzy Morgan do jej stóp i z powrotem. Otworzył drzwi i wyszedł na zewnątrz, opierając się leniwie o framugę.

— Kim ty jesteś? — zapytał, patrząc na jej biust, po czym z pewnym wysiłkiem skierował wzrok na jej twarz.

— Morgan — uśmiechnęła się, ignorując wewnętrzny odruch wstrętu.

— Czeeeeś, Morgan. — Patrząc na jej usta, oblizal powoli i z premedytacją wargi.

Szlamiście.

O ile w ogóle istniało takie słowo.

— A kim *ty* jesteś?

Uśmiechnął się.

— Kimkolwiek zechcesz, abym był.

Co za dupek.

Przechyliła głowę, jakby nie była zbyt bystra i nie zrozumiała

— Jestem Tyler, kuzyn Patty. — Wyszczерzył zęby w uśmiechu.

— Och, świetnie. To dla Patty i dzieciaków. — Wyciągnęła tacę z ciasteczkami i uśmiechnęła się jeszcze szerzej, trzepocząc rzęsami. Sposób stary, ale sprawdzony.

— Och, dobrze. — Ujął tacę w obie ręce.

Morgan wyciągnęła zza pazuchy kopertę i położyła ją na ciastkach.

— A to dla ciebie.

— Co do kurwy? — Jego ciało spięło się, uśmiech zniknął z twarzy, którą wykrzywił gniew.

Morgan cofnęła się, obawiając się odwrócić do niego tyłem. Ale Tyler zareagował szybciej, niż się spodziewała. Po rozleniwionej powolności nagle nie pozostał nawet ślad.

Rzucił tacę z ciastkami w krzewy i skoczył w jej stronę. Jego dłoń zacisnęła się na jej gardle. Uniósł ją w górę, tak że musiała stanąć na palcach. Morgan obiema dłońmi próbowała rozewrzeć jego palce, dławiąc się w panice.

Jednak trzymał ją jak w żelaznym imadle. Był od niej wyższy i silniejszy, a teraz również wściekły.

— Ty pierdolona suko! Jak śmiesz mnie tak podpuszczać! — Tyler przyciągnął ją bliżej. — Możesz powiedzieć mojej byleż, że jeśli jeszcze kiedyś ją zobaczę, to ją zabiję. Ta niewdzięczna kurwa nie dostanie ode mnie ani grosza!

Morgan zobaczyła gwiazdy przed oczami, gdy zacisnął palce jeszcze mocniej.

Rozdział 3.

Morgan!

Lance odbił się od trawy i ruszył sprintem w stronę mężczyzny trzymającego Morgan za gardło. Zwisła w jego uchwycie jak szmaciana lalka, wspinając się na palce. Lance miał wrażenie, że jego pole widzenia zawęży się, koncentrując się tylko na dwóch postaciach na ganku. Wściekłość dodała mu sił.

Jeśli Tyler Green ją skrzywdzi...

Widział, jak Morgan unosi jedną rękę nad głowę i przesuwa się o ćwierć obrotu. Zakręciła wolną ręką niczym śmigłem i wewnętrzną częścią ramienia uwolniła się z uścisku Tylera, a następnie przywaliła mu łokciem w twarz. Jego głowa odskoczyła do tyłu. Trysnęła krew. Tyler zasłonił dłońmi usta i nos dokładnie w tym momencie, w którym Lance chwycił go w pasie.

Przetoczyli się razem na trawnik przed domem, a gdy się zatrzymali, Lance znajdował się na górze. Tyler leżał na plecach i próbował wymierzyć cios na oślep, jednak Lance bez trudu odparował nieudolną próbę uderzenia.

Tak naprawdę nawet nie doszło do porządnej walki. Tyler zgrywał twardziela, gdy atakował kobiety, jednak nie potrafił sobie poradzić z przeciwnikiem o swoich gabarytach. Ponadto obficie krwawił, co Lance'owi sprawiło nieklamana przyjemność. Tyler był tchórzem i bandytą.

Lance przekręcił go twarzą do ziemi, przytrzymał mu ręce za plecami i przygniótł kolanem jego krzyż.

— Wszyscy damscy bokserzy mają jedną cechę wspólną. Nie potraficie sobie poradzić z kimś, kto potrafi się bronić — wysyczał, pochylając się w kierunku głowy Tylera.

— Wszystkie cipy trzymają się razem. — Tyler splunął przez ramię.

— Skopała ci tyłek. — Lance zerknął na Morgan. — Niezła akcja.

Morgan klęczała, trzymając się ręką za szyję. W drugiej dłoni trzymała telefon. Lance założył, że dzwoni na policję. Po podaniu adresu dyspozytorowi wsunęła telefon z powrotem do kieszeni, przysiadła na piętach i wycharczała:

— Policja jest w drodze.

— Złaż ze mnie! — wrzasnął Tyler w trawę.

Lance zmienił nieco pozycję, dociskając Tylera mocniej kolanem. Wszelki duch walki uleciał z Tylera niczym powietrze z przebitej opony.

— Właśnie napadłeś na prawnika, debilu — powiedział Lance. — Wpakuje twój nieszczęsny tyłek do paki.

Po unieruchomieniu Tylera Lance zwrócił się do Morgan.

— Nic ci nie jest?

— Nie. — Roztarła podstawę szyi i przełknęła ślinę.

— Poradziłaś sobie z nim. — Lance roztarł bolące miejsce na udzie, gdzie miał bliznę po kuli, która rok wcześniej zakończyła jego karierę w policji. Rana zagoiła się na tyle dobrze, na ile można się było spodziewać, jednak teraz jego dziki sprint sprawił, że naciągnął nieco tkankę blizny.

Morgan wstała i otrzepała kolana.

Pięć minut później przyjechał samochód z wydziału szeryfa i wysiadł z niego jego zastępca. Scarlet Falls było małym miasteczkiem i jego niewielkie siły policyjne często korzystały z pomocy szeryfa hrabstwa lub policji stanowej.

Morgan pokazała dokumenty i streściła wydarzenia.

Zastępca szeryfa nałożył Tylerowi kajdanki i postawił go na nogach. Na twarzy Tylera rozmazana była krew, która plamiła też przód jego białej koszulki. Zastępca szeryfa zapakował go do samochodu i spisał krótkie oświadczenie Lance'a i Morgan.

— Będziecie musieli podpisać formalne oświadczenia. — Skinął głową w ich kierunku. — Będę też chciał zdjęcia tych sińców, ale najpierw muszę go zawieźć na ostry dyżur — dodał, po czym wsiadł do samochodu i odjechał.

W drodze powrotnej do jeepa Lance milczał, czuł jednak, jak w jego ciele wciąż krąży gniew i strach. Podprowadził Morgan do drzwi pasażera i otworzył je dla niej.

— Nic mi nie jest, Lance — powiedziała, kładąc dłoń na jego piersi.

Uniósł jej podbródek i odgarnął włosy, aby przyjrzeć się śladom na jej szyi.

— Jestem pewny, że boli cię bardziej, niż chcesz się do tego przyznać.

Na jej jasnej skórze już zaczynały się formować ciemne ślady.

— Sińce w końcu się zagoją.

— To nie znaczy, że podoba mi się oglądanie ich na twojej ślicznej szyi. — Lance miał zamiar ją chronić, skoro przyszło im razem pracować. Morgan wprawdzie była wysoka, ale jej szczupła sylwetka i delikatne rysy twarzy sprawiały, że wyglądała na drobniejszą. Nawet gdy ubierała się swobodnie, i tak wyglądała kobieco ze swoimi małymi błyszczącymi kolczykami i czarnymi włosami, które lśniły jak na reklamie szamponu.

Obiecał sobie, że będzie trzymał swojego wewnętrznego psa obronnego na krótkiej smyczy. Nie była bezradnym kobieciątkiem, chociaż jej umiejętności samoobrony wciąż go zaskakiwały.

Tak samo jak ból w sercu, który odczuwał, gdy tylko na nią spoglądał. To, co do niej czuł już teraz na wczesnym i kruchym etapie ich związku, rozkładało go na obie łopatki. Jak do tej pory ich relacja fizyczna ograniczyła się jedynie do kilku pocałunków, chociaż bardzo namiętnych. Nie mógł jednak zaprzeczyć, że jego pociąg

do niej wykraczał poza czysto fizyczne pożądanie.

Poczuł przyływ ulgi, gwałtownie ujął jej twarz w dłonie i pocałował w usta. Gdy uniósł głowę, jej niebieskie oczy były ciemne i szeroko otwarte.

— Wiedziałem, że sobie poradzisz, ale i tak miałem ochotę urwać Tylerowi głowę za to, że cię skrzywdził. Ledwo się powstrzymałem, aby go nie udusić.

Uśmiechnęła się.

— Na pewno docenił twoją powściągliwość.

— Ty za to chyba złamałaś mu nos.

— Nie miałam zamiaru niczego łamać, ale tak często ćwiczyłam samoobronę, że moje reakcje opierają się na pamięci mięśniowej.

Zarówno ojciec, jak i dziadek Morgan pracowali w nowojorskiej policji. Jej ojciec zginął na służbie piętnaście lat wcześniej, najwyraźniej jednak jego lekcje zostały dobrze zapamiętane.

Wyciągnęła niebieski szal w kwiaty ze swojej olbrzymiej torby, w której wydawała się mieć dosłownie wszystko, może oprócz steków wołowych. Zawiązała szal na szyi, aby zakryć sińce, jednak on wiedział, że tam są.

Jej telefon zawibrował.

— Czy to twoja siostra? — zapytał, pamiętając o tym, że tego dnia miała zabrać dziadka Morgan do kardiologa. Stella pracowała w policji w Scarlet Falls.

— Nie, wizytę ma dopiero po południu. — Morgan spojrzała na wyświetlacz. — To Sharp. Każe nam się pospieszyć, podobno mamy klienta.

Po ostatniej sprawie, nad którą pracowali razem, jak również po wydarzeniach tego poranka Lance miał nadzieję, że nowa sprawa będzie przyjemna i nudna.

— Mówi, że to gorąca sprawa.

— Oczywiście, że tak.

Rozdział 4.

Morgan weszła do siedziby Sharp Investigations jako pierwsza. Agencja detektywistyczna zajmowała dolne piętro bliźniaka stojącego przy cichej uliczce, oddalonej o kilka przecznic od głównej arterii Scarlet Falls. Znajdujące się na dolnym piętrze trzypokojowe mieszkanie zostało przerobione na miejsce do pracy. Morgan dostała do dyspozycji wolne pomieszczenie. Mimo że jej praktyka prawnicza stanowiła odrębną firmę, prywatni adwokaci często korzystali z usług firm detektywistycznych, tak więc praca pod jednym dachem była wygodna, a poza tym czynsz był niewysoki. Ponieważ Morgan dopiero stawiała pierwsze kroki w nowym zawodzie, nie miała nadmiaru gotówki.

Powitało ich kilka szczeknięć. Rakieta, biało-ruda suczka, którą niedawno przygarnął Sharp, podbiegła do nich, machając ogonem, i obwąchała Morgan. Rakieta była nieco podobna do buldoga i jej krępe ciało zaczęło się zgrabnie wypełniać dzięki regularnym posiłkom.

Sharp wyszedł im na spotkanie.

— Klient nazywa się Tim Clark.

Emerytowany policjant Lincoln Sharp był już po pięćdziesiątce. Był wysportowany i żylasty, szpakowate włosy przycinał krótko. Po dwudziestu pięciu latach służby i pięciu prywatnej praktyki spoglądał na ludzi swoimi szarymi oczami w sposób, który mówił, że, po pierwsze, nic nie umknie jego uwagi, a po drugie, że nie należy z nim zadzierać. Jego szczupłe, jastrzębie rysy sprawiały, że wyglądał groźnie, jednak w gruncie rzeczy miał miękkie serce.

— Clark? — Morgan przykucnęła, aby pogłaskać psa. — To nazwisko brzmi znajomo.

— Powinno — powiedział Sharp. — Jego żona zniknęła w miniony piątek, mówili o tym w wiadomościach.

— A, już wiem. — Morgan przypomniała sobie doniesienia prasowe. Młoda matka, która rozplynęła się w powietrzu. Jej samochód odnaleziono porzucony na uboczu.

Media nie poświęciły sprawie wiele uwagi, ponieważ strzelanina z udziałem policji w weekend narobiła więcej szumu.

Morgan i Lance poszli za Sharpem do biura, gdzie szef przedstawił im klienta.

Tim Clark był przed trzydziestką i miał rozczochrane brązowe włosy opadające na ramiona. Od kilku dni się nie golił, a jego koszula była pognieciona niczym folia aluminiowa, z której najpierw zrobiono kulkę, a potem rozprostowano.

Wstał, aby się z nimi przywitać.

— Dziękuję za spotkanie. Przepraszam, że nie zadzwoniłem wcześniej, żeby się umówić, jednak szczerze mówiąc, nie myślałem jasno.

Sharp zajął swoje miejsce za biurkiem, a Lance oparł się o ścianę.

Tim usiadł z powrotem na krześle, przy którym stało niemowlęce nosidełko. Na podstawie niebieskiego kocyka, którym otulony był dzieciak, Morgan domyśliła się, że to chłopiec.

— Ile ma? — zapytała.

— Cztery miesiące — odpowiedział Tim i jego spojrzenie się zamgliło. — Ma na imię William. Przepraszam, że musiałem go przynieść ze sobą. Córką opiekuje się moja sąsiadka, ale Will miewa kolki i nikt nie ma ochoty się nim zajmować.

— To nie problem — powiedziała Morgan. — Mam trójkę dzieci.

Niemowlę poruszyło się i sapnęło przez nos. Morgan poczuła przyływ rozczulenia. Usiadła obok Tima.

— Co możemy dla ciebie zrobić, Tim? — zapytała.

— Sam nie wiem. — Tim zaczął kołysać nosidełko stopą. — Moja żona w piątek wieczorem miała się spotkać z przyjaciółką na winie. Nigdy nie dotarła do restauracji. — Głos mu zadrżał. — Nikt jej nie widział od tego czasu.

Morgan pochyliła się do przodu.

— Przykro mi z powodu tego, co się stało, ale dlaczego tu przyszedłeś?

Jego oczy przybrały wyraz beznadziei i spojrzał na dziecko u swoich stóp.

— Ponieważ mam wrażenie, że szeryf więcej uwagi poświęcił na sprawdzanie *mnie* niż na szukanie mojej żony.

Dłoń Tima, leżąca na podłokietniku, zacisnęła się w ciasną pięść. Uniósł wzrok i w jego spojrzeniu oprócz rozpaczyny widać było gniew.

— Sam nie wiem, czego mi trzeba, ale widziałem w zeszłym miesiącu w wiadomościach, że prowadziliście sprawę tego mężczyzny, który został niesłusznie aresztowany, i wykazaliście, że policja się myliła. Potrzebuję waszej pomocy. Mojej żony nie ma od pięciu dni, a szeryf nigdy jej nie znajdzie, jeśli będzie się koncentrował na mnie jako na podejrzanym. A ten niewinny człowiek w zeszłym miesiącu trafił do więzienia. Nie mogę sobie na to pozwolić. Moje dzieci mnie potrzebują.

Morgan miała wrażenie, że powietrze ucieka jej z płuc. Nie była w stanie teraz stwierdzić, czy Tim jest winny, czy nie. Nie byłby to pierwszy przypadek męża, który zabił swoją żonę i złożył zawiadomienie o jej zaginięciu.

A co, jeśli szeryf miał rację? Prowadząc prywatną praktykę, najbardziej obawiała się, że może stać się odpowiedzialna za wyjście przestępcy na wolność. Wiedziała, że coś takiego może się w końcu przydarzyć. Przestępcy potrafili kłamać i właśnie to

robili.

Rodzina Morgan zajmowała się wsadzaniem przestępców za kratki, a nie wypuszczaniem ich na wolność. Jednak sprawa, którą zajęła się w poprzednim miesiącu, odebrała jej szansę na pracę w biurze prokuratora. Ten most został spalony, a właściwie to obrócony w popiół. Miała nadzieję, że będzie zajmowała się głównie sprawami z powództwa cywilnego, jednak małomiasteczkowy prawnik nie mógł zbyt wybrzydzać. Bez klientów nie będzie w stanie spłacić rachunków.

Dziecko znowu wydało cichy dźwięk.

Światło wpadające przez okno podkreśliło głębokie cienie pod oczami Tima. Widać było, że nie spał od dłuższego czasu. Morgan dobrze jeszcze pamiętała kolki swojego najmłodszego dziecka. Wydawało jej się wtedy, że to się nigdy nie skończy, mimo że John był wtedy przy niej przez większość czasu. Biedny Tim musiał teraz poradzić sobie z tym sam.

I najwyraźniej potrzebował jej pomocy.

Każdy oskarżony zasługiwał na opiekę prawną, a jej obowiązkiem jako adwokata było reprezentowanie klientów najlepiej, jak potrafiła. Musiała mieć zaufanie do systemu prawnego.

Złożyła ręce na kolanach.

— A więc szeryf nie wykluczył cię oficjalnie z kręgu podejrzanych?

— Nie wiem. — Tim uniósł ramię. — Mówi, że przygląda się też innym ludziom, ale mu nie wierzę. Wydaje się, że nie mają żadnych śladów. Może gdyby się bardziej starali, gdyby rzeczywiście prowadzili śledztwo w sprawie innych osób, a nie skupiali się od początku na mnie, już by ją odnaleźli.

W oczach Tima zalśniły łzy. Odwrócił głowę i przytknął oczy na kilka chwil.

Morgan wątpiła, aby szeryf skupiał się *wyłącznie* na Timie, jednak wiedziała, że współmałżonek zawsze był głównym podejrzanym. Niestety prawie połowa kobiet, które stały się ofiarami zabójstwa, była zabijana przez swoich partnerów. Skoro Chelsea nie odnalazła się w krytycznym okienku od 24 do 48 godzin od zaginięcia, każdy porządny policjant prowadzący sprawę zająłby się Timem.

— Gdzie byłeś w piątek wieczorem? — zapytała wprost Morgan.

Tim nie zawahał się nawet.

— W domu z dziećmi.

— Czy ktokolwiek może to potwierdzić?

— Bella i ja rozmawialiśmy na wideo czacie z moimi teściami około ósmej trzydzieści przez jakieś piętnaście minut. Potem byłem sam z dziećmi.

— Ile lat ma Bella?

— Trzy.

Za mała, aby móc dostarczyć alibi.

— A więc pomożecie mi? — Tim spojrział z nadzieją.

Morgan wymieniła spojrzenia z Lance'em i Sharpem. Widziała, że obydwaj są za tym. Spojrzała na dziecko. Potrzebowało swoich rodziców.

— Tak.

Czuła, że to dobra decyzja. Lepiej podjąć ryzyko reprezentowania niewłaściwego klienta, niż odwrócić się plecami do kogoś, kto potrzebuje pomocy.

— Dzięki Bogu. — Ciało Tima rozluźniło się, jakby nagle zabrakło mu sił.

— Teraz opowiedz nam dokładnie, co wydarzyło się w piątek wieczorem. — Morgan wskazała na notes leżący na biurku i Sharp podał go jej razem z długopisem.

Tim powtórzył swoje wcześniejsze oświadczenie.

— Z kim miała się spotkać? — zapytała Morgan.

— Ze swoją przyjaciółką, Fioną West — powiedział Tim. — Są sobie bliskie, odkąd wprowadziliśmy się tu dwa lata temu.

— Gdzie się poznały?

— Na zajęciach jogi. Przed urodzeniem Williama Chelsea chodziła na jogę dwa razy w tygodniu do klubu Balanced Yoga. Mieści się obok banku na Drugiej Ulicy.

Tim wziął drżący oddech i mówił dalej.

— Gdy nie wróciła do domu, zadzwoniłem do niej. Nie odebrała. Wysłałem jej SMS-y i zostawiłem wiadomości na poczcie głosowej. Gdy nadal nie odpowiadała, zadzwoniłem do Fiony. Fiona powiedziała, że Chelsea w ogóle nie dotarła do restauracji, ale nie zmartwiła się tym, zakładając, że coś jej wypadło tak jak poprzednim razem. Wyśledziłem telefon Chelsea, który znajdował się w samochodzie zaparkowanym przy drodze prowadzącej w kierunku stacji kolejowej w Grey's Hollow. Zadzwoniłem na 911, a potem jeździłem ulicą tam i z powrotem, aż przyjechał zastępca szeryfa. Niczego nie widziałem. Jak tylko znowu zrobiło się jasno, wznowiłem poszukiwania. — Próbował powstrzymać łzy i zerknął na swojego syna. — Dobrze, że William lubi jeździć samochodem.

— Czy jest jakiś powód, dla którego pańska żona miałaby pojechać do Grey's Hollow albo wsiadła tam w pociąg? — zapytał Sharp.

— Nie. — Twarz Tima ściągnęła się w wyrazie frustracji.

— Dlaczego sprawą zajmuje się szeryf hrabstwa, a nie policja ze Scarlet Falls? — dociekał Sharp.

— Zadzwoniłem pod 911 z Grey's Hollow — wyjaśnił Tim. — Odpowiedział wydział szeryfa.

Grey's Hollow nie miało własnego posterunku policji i przestępstwa z tej części hrabstwa podlegały pod biuro szeryfa. Zazwyczaj, gdy dostało ono jakąś sprawę, prowadziło ją do końca.

Tim mówił dalej.

— Szeryf King twierdzi, że nie ma żadnych śladów użycia przemocy i że dorosła osoba może opuścić dom i nie jest to sprzeczne z prawem. Dlatego przyszedłem do was.

Lance zmienił pozycję.

— Czy wydział szeryfa sprawdził jej telefon i komputer?

— Tak — potwierdził Tim. — Mają jej laptop i telefon. Ale ja też sprawdzałem obydwa urządzenia i nic nie znalazłem, a nie sądzę, aby w biurze szeryfa znalazł się ktokolwiek lepiej wykwalifikowany ode mnie. — W głosie Tima zabrzmiała arogancja.

— Muszą się stosować do protokołu — zauważyła Morgan.

Tim nie doceniał umiejętności techników hrabstwa. Mieli naprawdę wysokie kwalifikacje.

— Czym dokładnie się zajmujesz, Tim? — zapytał Lance.

— Jestem inżynierem telekomunikacji bezprzewodowej — powiedział Tim. — Mój pracodawca, Speed Net, współpracuje z uniwersytetem w zakresie rozwoju technologii wi-fi nowej generacji.

Może zatem arogancja Tima w tej kwestii nie była bezzasadna.

— To musi być ciekawe zajmować się najnowocześniejszą technologią — zauważył Sharp.

Tim wzruszył ramionami.

— Tak, ale to też bardzo wymagająca praca.

— Potrzebujemy kontaktu do pańskiego pracodawcy — powiedział Lance. — Chcielibyśmy porozmawiać z pana szefem i współpracownikami.

— Wszystkie potrzebne informacje są tutaj. — Tim wyjął z torby na pieluchy teczkę i położył ją na biurku.

— Wątpię, aby szeryf oddał sprzęty elektroniczne tak szybko — powiedział Sharp. — Szkoda. Wiem, że jesteś ekspertem komputerowym, ale i tak chcielibyśmy spojrzeć na historię cyfrową twojej żony. Jestem pewny, że znasz się na komputerach, ale my wiemy, czego szukać.

— Jestem gotowy spróbować wszystkiego — powiedział Tim. — Zarówno laptop, jak i telefon Chelsea zgrywają kopie zapasowe plików do chmury co dwadzieścia cztery godziny. Z mojego komputera mam dostęp do wszystkiego, co było na jej komputerze.

— Świetnie. Czy wiesz, jakiego rodzaju poszukiwania przeprowadził szeryf w miejscu znalezienia samochodu twojej żony? — zapytał Lance.

Tim pociągnął nosem, rozemocjonowany.

— Policja przeszukała okolice. Objechali pobliskie drogi w promieniu kilku kilometrów w każdym kierunku. Zawiadomili inne wydziały policji. Sprowadzili psa.

Sharp przeciągnął dłonią po włosach.

— Pies niczego nie znalazł?

— Nie. — Tim potrząsnął głową.

— Czy wiesz, czym szeryf zajmuje się teraz? — zapytał Sharp.

— Nie mówi mi wiele. — Tim znowu pokręcił głową.

— Skontaktujemy się z szeryfem i poprosimy o informacje — zapewniła go Morgan. — Czy szeryf rozmawiał może z którymś z twoich sąsiadów?

— Tak — potwierdził Tim. — Kilka osób mi o tym mówiło.

W każdej chwili w Stanach Zjednoczonych było przynajmniej dziewięćdziesiąt tysięcy spraw osób zaginionych, jednak dorosłych często traktowano mniej priorytetowo niż zaginione dzieci, zabójstwa, napaści i kradzieże. Bez dowodów na to, że popełniono przestępstwo, było mało prawdopodobne, że sprawie Chelsea poświęcona zostanie należyta uwaga.

— Czy sprawdzałeś historię transakcji karty kredytowej pod kątem zakupu biletu na pociąg? — zapytała Morgan. Samochód Chelsea odnaleziono w pobliżu stacji kolejowej.

— Tak. Ostatnia zarejestrowana transakcja była ze sklepu spożywczego w miniony czwartek — wyjaśnił Tim. — Policja sprawdziła nagrania z monitoringu ze stacji kolejowej — nikt wyglądający jak Chelsea nie wsiadł tego wieczoru do pociągu. Nigdy nie nosiła przy sobie dużo gotówki. Gdyby Chelsea chciała pojechać gdzieś pociągiem, kupiłaby bilet przez internet. Zazwyczaj tak właśnie robimy.

Chyba, że nie chciała, żeby ktokolwiek wiedział, dokąd jedzie.

Jednak Morgan nie powiedziała tego na głos. Nie mieli dość dowodów, aby czynić tego rodzaju założenia. Postępowanie biura szeryfa było standardowe i to podejście nie pozwoliło odnaleźć Chelsea. Przyszedł czas, aby spojrzeć na sprawę świeżym okiem. Morgan nie chciała, aby Tim musiał żyć w zawieszaniu przez następne dwadzieścia lat.

Zerknęła na Lance'a. Jego twarz była ściągnięta i bez wyrazu, jednak widziała emocje w jego niebieskich oczach. Jego ojciec zaginął wiele lat wcześniej i nigdy nie został odnaleziony, więc ta sprawa na pewno przywoływała nieprzyjemne wspomnienia.

Tim postukał w leżącą na biurku teczkę.

— Przyniosłem kopie wszystkich dokumentów, o jakie prosiła policja: wykaz rozmów, wyciągi z konta i kart kredytowych, informacje na temat kont na serwisach społecznościowych. Skopiowałem wszystko to, co dałem policji.

Dziecko zaczęło się kręcić i kwilić, co po chwili przerodziło się we wrzaski.

— Przepraszam — powiedział Tim. Wyjął z torby butelkę z mlekiem, odpiął dziecko z nosidełka i wziął na rękę, po czym podał mu butelkę. — Cieszę się, że

przynajmniej zaakceptował butelkę. Pierwsze dwa dni po zniknięciu Chelsea były koszmarem. Bałem się, że się zagłodzi.

Dziecko piło łapczywie. Tim oparł się wygodniej, a Morgan poczuła, jak ściska się jej serce.

Sharp wziął teczkę i otworzył ją, po czym przejrzał pobieżnie zawartość.

— Czy Chelsea miała problem z alkoholem lub narkotykami?

— Nie — odpowiedział Tim. — Odkąd zaszła w ciążę z Williamem, nie wypła nawet kieliszka wina. W piątkowy wieczór miała się napić po raz pierwszy od dawna. Jest bardziej wysportowana ode mnie. Biega prawie każdego dnia. Uwielbia piesze wycieczki. Jako małżeństwo jesteśmy tak nieciekawi, jak to tylko możliwe.

Sharp zanotował coś w notatniku na swoim biurku.

— Jak długo jesteście razem?

— Pięć lat — powiedział Tim. — Poznaliśmy się na ostatnim roku college'u w Kolorado

— Dlaczego przeprowadziliście się do stanu Nowy Jork? — zapytał Sharp.

— Dostałem ofertę pracy w Speed Net. Przeprowadzka była nieco ryzykownym posunięciem, jednak ta firma ma niesamowity potencjał rozwoju, więc mogło się to naprawdę opłacić. W tym czasie mieliśmy tylko Bellę. — Tim spojrział na niemowlę. — Patrząc wstecz, widzę, że rozstanie z rodziną było dla Chelsea trudne.

Morgan przyglądała się dziecku przez kilka chwil, czując przyływ współczucia.

— Opowiedz nam o rodzinie Chelsea. Czy są tam jakieś konflikty?

— Nic o tym nie wiem. Chelsea jest jedynym dzieckiem. Jej ojciec jest kręgarzem, a matka nauczycielką.

— Czy twoja rodzina też pochodzi z Kolorado? — zapytała Morgan.

— Tak, ale w tym przypadku cieszyłem się, że mogę ich zostawić. — Tim zacisnął szczęki i uniósł brodę. — Moi rodzice są alkoholikami i narkomanami. Ojciec siedział w więzieniu za włamanie. Matka sprzedawała heroinę w kuchni, brat odsiadywał wyrok za napaść z bronią, gdy wyjechałem ze stanu. Nie chcę, aby moja rodzina choćby zbliżyła się do mojej żony i dzieci. To akurat była dodatkowa korzyść z przeprowadzki na wschód. Gdy mieszkaliśmy w Kolorado, zdarzało się, że moja rodzina przychodziła do nas, prosząc o pieniądze. Odkąd się tu przeprowadziliśmy, nie mam z nimi żadnego kontaktu. Ponieważ nazywam się tak samo jak mój ojciec, jego kryminalna przeszłość wciąż się za mną ciągnie.

Morgan pomyślała, że należy sprawdzić, czy rodzina Tima wciąż przebywa w Kolorado. Kto wie, na jakie pomysły mogło wpaść troje przestępców potrzebujących gotówki? Zwłaszcza, jeśli odczuwali zazdrość w stosunku do jedyne go członka rodziny, któremu udało się wyjść na prostą.

— Czy przyniosłeś ze sobą zdjęcie żony? — zapytał Sharp.

— Tak. — Tim ułożył dziecko inaczej, sięgnął do torby i wyjął z niej zdjęcie. — To Chelsea. — Dłoń mu lekko drżała, gdy ponad biurkiem podał fotografię Sharpowi, który przyjrzał się jej, marszcząc brwi.

Tim odgarnął włosy z twarzy, po czym ścisnął tył swojej głowy, tak jakby nacisk palców mógł ją utrzymać w całości.

Sharp podał zdjęcie Morgan. Chelsea była piękną młodą kobietą z długimi blond włosami, równymi białymi zębami i dużymi niebieskimi oczami. Wyglądała zdrowo i świeżo. Na zdjęciu stała na szczycie góry na tle niebieskiego nieba i kolejnych szczytów.

— To zdjęcie z ubiegłego roku. Chodziliśmy po górach Catskills.

Morgan przekazała zdjęcie Lance'owi, który ujął je za rozek i zaczął mu się przyglądać.

— Jaki był stan psychiczny Chelsea po narodzinach Williama? — Morgan pamiętała chaos, jaki zapanował w jej życiu po narodzinach trzeciego dziecka. Bywały dni, gdy czuła się jak zombie na autopilocie. — Czy zdradzała oznaki depresji poporodowej?

Tim westchnął.

— Doskwierał jej brak snu. Nie powiedziałbym, że miała depresję, ale zdecydowanie czuła się sfrustrowana. Oboje wiedzieliśmy, że kolki Williama w końcu miną, jednak w niektóre noce mieliśmy inne wrażenie.

A więc Chelsea Clark była fizycznie zdrową, lecz psychicznie wyczerpaną kobietą, która starała się radzić sobie w trudnej sytuacji.

Aż pewnego dnia rozplynęła się w powietrzu.

Najmłodsza córka Morgan była jeszcze niemowlęciem, gdy jej ojciec został zabity w Iraku. Sophie nie pamiętała go zupełnie. Średnia córka przypominała sobie jedynie z trudem, a nawet najstarsza, obecnie sześćioletnia, codziennie przyglądała się zdjęciu Johna z obawy, że zapomni, jak tatuś wyglądał. Czy dzieci Tima będą cierpieły tak samo?

Morgan miała nadzieję, że będzie w stanie temu zapobiec.

Rozdział 5.

Słuchając opowieści Tima, Lance poczuł, że dłonie mu się pocą. Podobieństwa pomiędzy zniknięciem Chelsea a jego przeszłością odbijały się w nim echem niczym krzyki w głębokiej, ciemnej jaskini. Dwadzieścia trzy lata temu ojciec Lance'a wyszedł do sklepu i nigdy nie wrócił.

Gdy się to stało, matka Lance'a stała się obiektem takiej samej podejrzliwości ze strony policji i odczuwała taką samą frustrację jak teraz Tim.

Sharp, który prowadził tę sprawę, szybko wyeliminował ją z grona podejrzanych i ruszył dalej. Lance pamiętał jak jako dziesięciolatek siedział na korytarzu tuż za kuchennymi drzwiami i podsłuchiwał rozmowy Sharpa i swojej matki. Matka płakała, Sharp próbował dać jej nadzieję, nie składając żadnych obietnic. Gdy mijały tygodnie, miesiące, a w końcu lata, w tych rozmowach zabrakło nadziei, jego matka przestała płakać, a zaczęła powoli zapadać się w sobie, znikać. Minęły dwadzieścia trzy lata, jednak te wspomnienia dla Lance'a wciąż niosły ze sobą uczucie bezradności.

Morgan pochyliła się do przodu.

— Opowiedz więcej o Chelsea. Czy zanim urodziła Williama, pracowała?

— Chelsea jest księgową. — Tim skinął głową. — Nazwa i adres firmy są w teczce.

Sharp uniósł głowę znad dokumentów, które przeglądał.

— Czy ostatnio rozmawiała ze swoim szefem?

— Rozmawiają przez telefon mniej więcej raz w tygodniu. — Tim ułożył dziecko tak, aby mu się odbiło. — Zachował się naprawdę w porządku, jeśli chodzi o jej posadę. Zgodził się nawet, żeby pracowała z domu na część etatu.

— Czyli dobrze się ze sobą dogadują? A jakieś nieporozumienia ze współpracownikami? — dopytywał się Sharp. — Jakies nietypowe telefony czy e-maile w piątek?

— Nic mi o tym nie wiadomo. — Tim westchnął z rezygnacją. — Szczerze mówiąc, nie wiem, co robiła w piątek. Wróciłem z pracy późno i Chelsea była na mnie wściekła, bo nie zostało jej zbyt wiele czasu na przygotowania. Bella już była u sąsiadki. Ja zająłem się małym, Chelsea przebrała się i wyszła. Nie rozmawialiśmy ostatnio zbyt wiele. Była wykończona ciągłym wstawaniem w nocy. — Tim odwrócił głowę, zaciskając usta w poczuciu winy. — Mogłem być lepszym mężem. To, że przez kilka ostatnich dni zajmowałem się Williamem przez całą dobę, uświadomiło mi, przez co przechodziła Chelsea. Powinienem być jej więcej pomagając. Wiem, że za dużo pracuję, ale nie wiem, co innego mógłbym robić. Moja praca nie jest czymś, co robi się od dziewiątej do siedemnastej, a potem o tym zapomina.

— Czy często się kłóciliście? — zapytała Morgan.

— Nie, raczej rzadko. Zazwyczaj Chelsea po prostu robi, co musi być zrobione — powiedział Tim z westchnieniem żalu. — Powinienem był wrócić do domu punktualnie. Chelsea zazwyczaj dopasowuje się do mojego rozkładu dnia. Powinienem był postawić ją na pierwszym miejscu chociaż raz.

Chelsea wydawała się silną i zaradną kobietą. Radziła sobie ze stresem, wkładając dwoje dzieci do sportowego wózka i biegając każdego dnia.

Może bieganie stało się uzależniające. Może pewnego dnia pobiegła trochę dalej.

Lance nigdy nie uwierzył, że jego ojciec dobrowolnie porzucił rodzinę, i tak samo trudno mu było wyobrazić sobie, że młoda matka zostawiłaby swoje dzieci, mimo że wiedział, iż niektóre kobiety tak robią. Tak czy siak, musieli ją znaleźć.

Gdyby im się to nie udało, Tim do końca życia będzie czynił sobie wyrzuty.

Sharp zadał pytanie, które im wszystkim chodziło po głowie.

— Czy istnieje taka możliwość, że twoja żona po prostu potrzebowała odpocząć i wyjechała?

Tim przyglądał się twarzy swojego syna przez kilka sekund.

— Sam zadawałem sobie to pytanie raz po raz. Jednak nawet gdyby była na mnie naprawdę wściekła, nigdy nie zostawiłaby dzieci. Wszystko zaplanowała. Nakarmiła go przed wyjściem, chciała wypić jeden kieliszek wina przed ósmą trzydzieści, tak żeby w ciągu dwóch czy trzech godzin jej mleko już się oczyściło i mogła go nakarmić o jedenastej trzydzieści. — Uniósł wzrok i spojrzał każdemu z nas w oczy. — *Planowała* wrócić do domu. W piątek wieczorem mojej żonie przydarzyło się coś złego.

Dziecko zaczęło się wiercić i popłakiwać. Tim wstał i zaczął go kołysać.

— Potrzebujemy jej.

— Zrobimy wszystko, co w naszej mocy. — Sharp wstał.

Po wyjściu Tima Morgan poszła do kuchni, aby podgrzać w mikrofalówce resztkę kawy. W dużych sprawach wykorzystywali jej biuro jako pokój narad. Biała tablica wisiała tam na długo przed tym, zanim to pomieszczenie stało się jej gabinetem.

— Robię zieloną herbatę. Jesteś pewna, że chcesz to wypić? — zapytał Sharp, kiwając głową w stronę mikrofalówki. — To świństwo cię kiedyś zabije.

— W pełni funkcjonalne komórki mózgowe są warte tego ryzyka — powiedziała Morgan, wracając do swojego biura.

Lance już stał przed tablicą. Skopiował zdjęcie Chelsea i magnesem przymocował oryginał do tablicy. Po jednej stronie zaczął rysować oś czasu, na której zapisał, o której Chelsea wyszła z domu i kiedy Tim zorientował się, że coś się stało.

— Od czego zaczniemy? — zapytał Sharp, wchodząc do biura.

Lance przyczepił do tablicy lotnicze zdjęcie miejsca, w którym zaginęła Chelsea.

— W jaki sposób jej samochód tam się znalazł?

— Albo ona tam pojechała albo zrobił to ktoś inny. — Morgan oparła się o biurko, sącząc kawę. Minęła już pora lunchu i w żołądku głośno jej zaburczało.

— Albo ktoś ją do tego zmusił — dodał Sharp. — Wiemy, że gdyby Chelsea oddaliła się od swojego samochodu pieszo, pies byłby w stanie złapać trop.

— Zgoda. Oszukanie wyszkolonego psa jest niemal niemożliwe. — Lance dopisał to na tablicy suchościernym pisakiem. — A więc prawdopodobnie opuściła teren w innym pojeździe.

— A zatem nie była sama. Albo Chelsea poprosiła kogoś, aby zostawił tam dla niej inny samochód, albo została porwana i porywacz miał tam przygotowany samochód.

Sharp skrzyżował ramiona na piersi.

— Musimy dowiedzieć się, co ustalił szeryf.

— Wątpię, aby zgodził się rozmawiać z którymkolwiek z nas. — Lance wskazał na siebie i Sharpa. — Obydwaj pracowaliśmy dla jego wroga, Hornera.

Dave Horner, komendant policji w Scarlet Falls, był postacią kontrowersyjną. Bardziej polityk niż policjant, naraził się innym organom ścigania przez to, że usiłował pozostawać w świetle reflektorów i podlizywał się burmistrzowi. To, że bardziej troszczył się o opinię w mediach niż o wykonywanie dobrej roboty policyjnej, wkurzało wielu podlegających mu policjantów.

— Porozmawiam z szeryfem — zaofiarowała się Morgan. — Może będzie odczuwał wdzięczność, że nie ma na karku pozwu cywilnego z powodu obrażeń, jakich doznał nasz poprzedni klient pod jego opieką. Poza tym muszę go zawiadomić, że reprezentuję teraz Tima.

Szeryfowi podlegało więzienie hrabstwa, w którym ich poprzedni klient został zaatakowany nożem.

Sharp parsknął.

— Na wdzięczność bym nie liczył, to nie ten typ. Raczej będzie podejrzliwie nastawiony do ciebie, ponieważ jesteś adwokatem.

— Mimo że udowodniliśmy, iż zarzuty były bezpodstawne? — Morgan dopiła kawę i potrząsnęła kubkiem, jakby było jej za mało.

— Mimo tego — potwierdził Sharp.

— Tak czy siak Morgan ma większe szanse niż którykolwiek z nas — zauważył Lance. — Przynajmniej nie jest skażona znajomością z Hornerem.

— To prawda — zgodził się Sharp. — I jest ładna.

Morgan obrzuciła go zniesmaczonym spojrzeniem.

— Wiem, że to seksistowskie, ale nic nie poradzę, że szeryf jest neandertalczykiem — Sharp uniósł dłoń w obronnym geście.

— Cudownie. Czy jeszcze coś powinnam o nim wiedzieć? — zainteresowała się

Morgan. — Nigdy nie spotkałam go osobiście. Nie wiem, co o nim sądzić.

— Jest uparty i wybuchowy. — Sharp potarł podbródek. — Jest niezłym policjantem i okropnym politykiem, stąd jego wieczne spory z Hornerem. Radzę unikać bezpośredniej konfrontacji, bo jeszcze nie widziałem, żeby ktoś na tym dobrze wyszedł. Szeryf King zaczyna wtedy zapierać się jeszcze bardziej.

— Rozumiem. — Morgan skinęła głową.

— Sprawa zaginionej osoby wymaga zaangażowania mnóstwa ludzi. Jego wydział jest i tak zawałony robotą, a ludzie przepracowani — powiedział Lance. — Możesz wyrazić współczucie, a następnie spróbować go przekonać, że nasza pomoc będzie dla niego korzystna.

Jego ojciec zaginął w Scarlet Falls. Miasteczko miało własny komisariat policji. Mimo tego, że Sharp naprawdę poważnie zajął się tą sprawą, Victor Kruger nigdy nie został odnaleziony. Jednak dwadzieścia trzy lata temu świat był inny. Teraz dużo trudniej było zniknąć. Kamery monitoringu i elektroniczne finanse sprawiały, że po każdym musiał zostać ślad — jeśli szukało się odpowiednio wytrwale.

— Dobry pomysł — przyznał Sharp. — Jeśli Morgan zajmie się szeryfem, my możemy pogrzebać w kontaktach Chelsea w mediach społecznościowych oraz w jej rachunkach bankowych i zapisie połączeń telefonicznych. Musimy też przejrzeć ostatnie lokalne doniesienia i sprawdzić, czy były inne sprawy zaginionych kobiet.

Lance skinął głową.

— Musimy też porozmawiać z Timem o zawartości laptopa i telefonu jego żony. Dam znać mamie, że znowu będziemy potrzebowali jej pomocy.

Problemy psychiczne jego matki sprawiały, że nie chciała opuszczać domu ani spotykać się z ludźmi. Była jednak aktywna w internecie i posiadała ogromną wiedzę o komputerach.

— Powinniśmy też przyjrzeć się Timowi. — Sharp dopił swój kubek herbaty. — Szeryf się nie myli. Jeśli Chelsea nie żyje, to Tim jest najbardziej prawdopodobnym podejrzanym.

— Gdyby zabił swoją żonę, dlaczego przyszedłby do nas, żebyśmy ją odnaleźli? — zapytała Morgan.

Sharp rzucił okulary na biurko.

— To, że nas zatrudnił, nie oznacza jego niewinności. Może sądził, że zatrudnienie prywatnego detektywa sprawi, iż będzie wyglądał na niewinnego. Niektórzy przestępcy są stuprocentowo przekonani, że są mądrzejsi od wszystkich. Może planuje nami pogrywać.

— Jaki miałby motyw? — zapytał Lance.

Morgan zastanowiła się nad jego pytaniem.

— Może ich problemy małżeńskie były poważniejsze, niż Tim nam to

przedstawił? Może Chelsea chciała go zostawić. Może chciała zabrać dzieci do Kolorado. Tim jest przywiązany do swoich dzieci.

— Nie gniewaj się — powiedział Sharp — ale miałas chyba wykazać, że nasz klient jest niewinny.

Morgan odwróciła wzrok, zaciskając szczęki.

— Masz rację.

Sharp westchnął.

— Wiem, że jeszcze nie przyzwyczyłaś się do pracy w sektorze prywatnym, jednak dopilnowanie, aby każdy oskarżony o zbrodnię dostał możliwość obrony, jest kamieniem węgielnym naszego systemu prawnego.

— Tak. — Morgan jednak nie wyglądała na w pełni pogodzoną ze swoją nową rolą.

Lance zastanowił się przez chwilę.

— Czy Tim wyglądał na dostatecznie sprytnego, aby zabić swoją żonę, zatrzeć ślady i zachować spokój podczas naszego spotkania?

— Przestępcy potrafią świetnie kłamać — zauważyła Morgan.

Miała odrobinę racji.

— Nie zapominajmy o najważniejszym. Naszym zadaniem jest odnaleźć Chelsea Clark. Minęło już pięć dni, ślady z każdą godziną stygną, tak więc bierzmy się do roboty. — Sharp skinął głową Lance'owi. — To nasz numer jeden.

Sharp miał rację. Musieli się skupić na zaginionej kobiecie.

Lance nikomu nie życzyłby niepewności związanej z zaginięciem bliskiej osoby. Niewiedza przynosiła zupełnie odrębny rodzaj bólu. Za każdym razem gdy znajdowano jakieś ciało, za każdym razem gdy odkopywano jakiś szkielet albo turysta znajdował kości w lesie, rodzina zaginionej osoby na nowo rozdzierała swoje rany.

Rozdział 6.

Chelsea obudziła się, czując w nozdrzach zapach rdzy i stali, a w skroniach bolesne pulsowanie. Wzrok jej się zamazywał. Zamknęła na chwilę oczy, po czym znowu je otworzyła, próbując wyostrzyć obraz. Czuła się zdezorientowana, nie wiedziała, co jest nie tak.

Dlaczego nie słyszała płaczu Williama? Bolały ją przepelnione piersi. Gdzie było dziecko? Już minęła godzina karmienia. Nigdy nie robił między karmieniami przerw dłuższych niż kilka godzin. Praktycznie był do niej przyssany cały czas. Czy był chory?

Przekręciła się na bok i natrafiła na metalowy pręt. Leżała w obcym łóżku. Tak samo obca wydawała się nienaturalna cisza.

Gdzie ja jestem?

Otworzyła oczy. Przez kilka sekund mrugała w przyćmionym świetle. Rozglądając się po otoczeniu, poczuła, jak zdziwienie ustępuje przed lękiem, który lodowatymi mackami zaczął oplatać jej serce, zmuszając je do szybszego bicia.

To nie senny koszmar.

W jednej chwili ostrość widzenia powróciła i jakby po przekręceniu klucza w zamku zapadki wskoczyły na swoje miejsca, nagle dostrzegła prawdę.

Poczucie rzeczywistości zalało jej świadomość wraz z przerażeniem zimnym i jasnym jak jesienna noc. Niewiarygodność sytuacji, w której się znalazła, uderzyła ją, wywołując dreszcz zaskoczenia i przerażenia.

Została porwana.

Miała jakieś mętne wrażenie *déjà vu*. Ile razy wcześniej budziła się otumaniona i półprzytomna? Nagle coś sobie przypomniała.

Patrzy we wsteczne lustro. Światło ulicznej latarni odbija się w nożu. Ostrze dotyka jej gardła. Nagły, kłusający ból, natychmiast stłumiony przez przyptyw adrenaliny.

— Wypij albo zginiesz — mówi on.

Dłonie jej drżą, gdy unosi do ust jednorazowy kubek ze słomką, który jej podał. Sączy napój, który początkowo jest słodki, jednak zostawia w ustach gorzki posmak.

Ciemność. Czyste nocne niebo. Zimne powietrze na twarzy. Zapach dymu w nozdrzach. Oświetlone księżycem suche łodygi kukurydzy, chwiejące się na wietrze.

Wspomnienie zbladło. Chelsea poczuła przyptyw mdłości.

Przesunęła językiem po zębach. Język był tak wysuszony, że przylepiał się jej do podniebienia i wciąż czuła słodycz coli z narkotykiem. Jej umysł zarejestrował, że po raz pierwszy od porwania udało jej się odzyskać w pełni przytomność. Wiedziała, nie będąc w stanie sobie tego dokładnie przypomnieć, że ilekroć budziła się wcześniej,

zmuszał ją do wypicia kolejnej porcji napoju z narkotykiem, zanim zebrała na tyle sił, aby mu się sprzeciwić.

Od jak dawna tu była?

Miała wrażenie, że minęło kilka dni.

Co jeszcze jej zrobił, gdy była nieprzytomna?

Jej umysł odrzucił te myśli i postanowiła zamiast tego skupić się na rodzinie.

William! Czy jadł? Chyba nie zagłodziłby się, prawda? Nie, na pewno głód w końcu zmusi go do przyjęcia butelki, *prawda?*

Tutaj nic nie mogła na to poradzić. Tim mógł mieć swoje wady, ale kochał dzieci. Bella go uwielbiała, niemowlę jeszcze nie miało z nim takiej więzi, ale też trzeba przyznać, że William nie akceptował nikogo poza nią, odkąd się urodził. Poczula ukłucie winy. Też była odpowiedzialna za to, że jej mąż nie miał więzi z młodszym dzieckiem. Bella i Tim byli sobie tak bliscy, że Chelsea czasami odczuwała zazdrość, tak więc gdy urodził się William, który wołał ją, cieszyło ją to.

To było egoistyczne i głupie i teraz niewątpliwie William i Tim płacili za to cenę.

Wybaczcie mi.

Pocieszyła się, że jej mąż jest bystry i zrobi co trzeba, żeby zaopiekować się ich dzieckiem. Nie pozwoli, aby William umarł z głodu.

Chelsea zamknęła oczy na kilka sekund, przypominając sobie kłótnię z mężem w piątek wieczorem, gdy wychodziła. Jasne, spóźnił się. Tim nie miał poczucia czasu, a ona była rozdrażniona. Chciała mieć czas na zrobienie fryzury i nałożenie makijażu. Potrzebowała trochę czasu dla siebie. Teraz żałowała, że poskąpiła mu pocałunku na pożegnanie. Kiedy ostatnio mu powiedziała, że go kocha?

Tim, kocham cię. Przepraszam, że zachowywałam się jak wariatka. Brak snu nie bez powodu stosowany był jako tortura. Gdyby tylko mogła cofnąć czas i przeżyć ostatnie miesiące inaczej!

Teraz już za późno. Tim nie mógł jej usłyszeć. Czy to było ich ostatnie pożegnanie? Czy kiedykolwiek dostanie szansę, aby mu to wynagrodzić? Aby mu powiedzieć, że mimo jej zachowania w ostatnim czasie naprawdę nadal go kochała?

Istniał tylko jeden sposób, aby mogła do niego wrócić.

Oparła czoło na dłoni i oderwała ramiona od wąskiego łóżka. W głowie jej się zakręciło po zmianie pozycji. Spowolniła ruchy i powoli podniosła się do pozycji siedzącej.

Najpierw przyjrzała się swojemu stanowi fizycznemu. Jej ciało było przemarznięte i zeszywniałe. Była przykryta wełnianym kocem, jednak jej płaszcz i buty zniknęły. Wyprostowała nogi, sprawdzając ich siłę. Coś brzęknęło i poczuła metal na kostce.

Była przykuta łańcuchem do beczki, która stała obok jej łóżka.

W głowie jej się zakręciło.

Uwiązana na łańcuchu!

Jak pies.

Przerażenie ścisnęło jej gardło. Ciężar kajdan na kostce był wymownym świadectwem powagi sytuacji, w jakiej się znalazła, i tego, że potencjalnie może być jeszcze gorzej.

To nie pomagało.

Wzięła dwa głębokie oddechy i kontynuowała oględziny swojego ciała. Wciąż miała na sobie swoje dzinsy i sweter, które założyła w piątkowy wieczór na spotkanie z Fioną. Sweter był wilgotny. Mleko wyciekło jej z piersi i czuła wokół siebie jego skwaśniały zapach.

Jednak nie licząc tego, że była brudna i było jej niewygodnie, to nie widziała żadnych poważniejszych obrażeń. Poruszyła rękami i nogami. Żadnych złamań.

A jeśli chodziło o jej więzienie...

Łóżko było zwykłą składaną turystyczną polówką. Na beczcze, do której była przykuta, stała lampa turystyczna, oświetlająca słabo wnętrze. Pomieszczenie, w którym się znajdowała, miało wymiary jakieś dwa i pół metra na trzy. Ściany były metalowe i pokryte rdzą.

Trzymając jedną rękę na łóżku dla zachowania równowagi, opuściła stopy na podłogę ze sklejki. Gdy minęły pierwsze zawroty głowy, wyprostowała się i wyciągnęła ręce nad głowę. Nie była w stanie dosięgnąć dachu, wykonanego z tego samego przerdzewiałego metalu co ściany.

Zimna, mocna stal.

Zadrzała.

Kontener?

Nigdy nie widziała żadnego od środka, jednak przypuszczenie wydawało się słuszne.

Nie miała szans, aby wybić lub wykopać drogę ucieczki. Nie było okien, a wnętrze wypełniał chłód i wilgoć, sugerujące, że kontener znajdował się na zewnątrz lub pod ziemią.

Proszę, tylko nie pod ziemią.

Sama myśl o tym, że mogłaby być pogrzebana żywcem, sprawiała, że skóra zaczynała ją świerzbić i czuła napływającą panikę krążącą wokół niej niczym brzęczące owady.

Odepchnęła ją od siebie i poczuła, jak odpływa w ciemność i przyczają się tam, gotowa do następnego ataku.

Napłynęło kolejne wspomnienie.

Sprawiało wrażenie halucynacji, ale wiedziała, że to zamglone wspomnienie jest

realne, tak jak potrafią realne wydawać się sny.

Jego ramię wbiło się w jej żołądek. Ledwo była w stanie kontrolować mięśnie swojej szyi i jej głowa opadła na jego plecy. Zapach jego potu wypełnił jej nozdrza. Niesie ją na ramieniu niczym strażak, w ciemność.

Wspomnienie odpłynęło tak samo szybko, jak się pojawiło, i z takim samym przyływem mdłości jak wcześniej. Wciąż nie potrafiła sobie przypomnieć, w jaki sposób ją porwał ani kiedy przywiózł ją tutaj.

Może pozostałe wspomnienia z czasem wrócą. A może nie. Teraz znaczenie miało tylko to, aby spróbować uciec. Była potrzebna swojej rodzinie.

Tego wieczoru, gdy wyszła z domu, cieszyła się na kilka godzin normalnej, dorosłej rozmowy z Fioną. W tym czasie wieczór bez wycierania zaślinionych podbródków, zmieniania pieluch i odpowiadania na pytania trzylatki, dlaczego jej brat ma penisa, a ona nie, wydawał się cudowną perspektywą.

Teraz jednak nie pragnęła niczego poza tym, aby zobaczyć swoją rodzinę.

Chciała chodzić po domu z Wiliamem przyciśniętym do ramienia, wdychać zapach mydła dla dzieci, tulić Bellę w łóżeczku wieczorem, gdy czytała jej książeczkę i patrzyła, jak córeczce opadają sennie powieki. Patrząc, jak mała przebiega przez stos zagrabionych liści lub ćwiczy koślawe salta w ogródku.

Powiedzieć mężowi, że go kocha.

Myśli o dzieciach sprawiły, że łzy napłynęły jej do oczu. Musiała do nich wrócić. Dopóki oddycha, zrobi wszystko, co możliwe, aby wrócić do swoich maleństw. Otarła twarz i pociągnęła nosem. Nie ma sensu marnować energii na płacz.

Podniosła lampę i poszła tak daleko, jak pozwalał jej łańcuch. Unosząc światło, obejrzała wszystkie rogi swojego więzienia, znajdujące się tuż poza jej zasięgiem.

W jednym kącie stał plastikowy galonowy baniak, w drugim wiadro.

Przemierzała pomieszczenie, ciągnąc za sobą łańcuch. Uniosła bańkę, odkręciła i powąchała zawartość. Woda?

Nagle poczuła się strasznie spragniona, tak jakby jej ciało obudziło się do życia na zapach wody. Jednak nie powinna pić niczego, co jej dawał. Prawdopodobnie woda zawierała narkotyk. Z drugiej strony odwodnienie mogło ją zabić.

Odstawiła bańkę i kontynuowała oględziny, uważnie przyglądając się ścianom.

Nie widziała nigdzie żadnych kamer — to była dobra wiadomość.

Jej sytuacja była przerażająca, ale musiała *myśleć*. Musiała znaleźć drogę ucieczki. Nikt tu po nią nie przyjdzie. Musiała radzić sobie sama.

To była jej jedyna szansa.

Nagle wewnątrz pojaśniało, a przez dach wpadł promień słońca. Chelsea podeszła tam i uniosła głowę. Rdza wyżarła w dachu dziurę wielkości kuli do kręgli. Widziała przez nią słońce, kawałki niebieskiego nieba i gałęzie. Po niebie przeplęwały chmury,

zasłaniając słońce.

Świadomość, że jest dzień, jakoś ją uspokoiła.

Drzwi znajdowały się w przeciwnym do beczki końcu pomieszczenia i były jedyną drogą na zewnątrz. Ruszyła w tamtą stronę, jednak łańcuch na jej kostce nie był dostatecznie długi i jej palcom zabrakło paru centymetrów, aby dotknąć drzwi. Czy były zamknięte? Prawdopodobnie. Zadał sobie zbyt wiele trudu, aby ją uwięzić. Na drzwiach na pewno była porządna kłódka, aby zatrzymać ją w środku.

Musiała znaleźć się bliżej drzwi. Musiała uwolnić stopę. Sprawdziła kajdany. Były dość ciasne, aby ranić jej skórę, gdy się poruszała, zdecydowanie zbyt ciasne, by mogła wysunąć z nich stopę. Przyjrzała się miejscu połączenia łańcucha z beczką. Śruba mocująca wkręcona była w metal do środka.

Chwyła obiema rękami za łańcuch i pociągnęła. Beczka nie ruszyła się nawet, tak samo jak śruba. Pociągnęła jeszcze raz całym swoim ciężarem, ale na nic się to nie zdało. Beczka nawet nie drgnęła. Co znajdowało się w środku? Może jeśli by się jej udało opróżnić beczkę, byłaby w stanie przyciągnąć ją bliżej do drzwi. Jednak jak miałyby uciec ze stalową beczką przyczepioną do nogi?

Jeśli opróżni beczkę, może będzie w stanie odkręcić łańcuch od środka.

Wróciła do beczki. Wykonana była z metalu, pokryta rdzą na spawach i bokach. Na górze znajdował się korek o średnicy dłoni. Na korku wyciśnięty był wklęsły ślad w kształcie czterolistnej koniczyny. Najwyraźniej do odkręcenia nakrętki potrzebne było specjalistyczne narzędzie, tak samo jak głowa śruby pasowała do śrubokręta.

Chelsea spróbowała ręcznie poruszyć nakrętkę, jednak była mocno dokręcona, a brzegi były przerdzewiałe. Nie była w stanie jej poruszyć. Ręka jej się omsknęła i paznokieć zahaczył o metalowy brzeg.

Może gdyby miała inne narzędzia — klucz lub śrubokręt...

O mało się nie roześmiała śmiechem na pograniczu hysterii. Narzędzia? Może jeszcze całą skrzynkę? Opuściła dłoń i zacisnęła ją w pięść. Krew sączyła się spod brudnego, złamanego paznokcia.

Zaraz. Spojrzała na łańcuch. Oczka były grube, metalowe, mocne. Zebrała łańcuch w dłoni. Łańcuch był zbyt krótki, aby sięgnąć do góry beczki, musiała oprzeć jedną nogę na łóżku. Wsunęła dwa oczka łańcucha w przeciwnie leżące liście koniczyny i spróbowała wykorzystać je jako dźwignię, jednak nakrętka nadal nie drgnęła. Oczka były za małe.

Co robiła, gdy nie mogła odkręcić słoika?

Zaczęła uderzać łańcuchem w bok nakrętki. Za pierwszym razem źle wycelowała i uderzyła dłonią o nakrętkę, tak że ból przeszył ją aż do ramienia. Potrząsnęła dłonią i przytknęła palące kostki do ust. Łzy napłynęły jej do oczu.

Nie poddawaj się!

Pchana rozpaczą spróbowała jeszcze raz. Nakrętka lekko się poruszyła. Spróbowała ją odkręcić, jednak znowu jej się nie udało. Modląc się, aby nikogo nie było w pobliżu, uderzała ją raz za razem, aż wreszcie była w stanie ją obrócić gołymi rękami. Odkręciła ją i zajrzała do środka, przyświecając sobie lampą.

Drobny żwir.

O mało nie upadła pod wpływem rozczarowania. Nic dziwnego, że beczka była taka ciężka. Jaką mogła mieć objętość? Dwieście litrów? Ile mogła ważyć dwustulitrowa beczka żwiru?

Więcej niż byłaby w stanie unieść. Gdy kupili dom, zajęli się też urządzeniem ogrodu i łopatami przerzucali żwir rzeczny. Następnego dnia ledwo byli w stanie wstać z łóżka.

Czy byłaby w stanie przechylić beczkę i dotoczyć ją do drzwi? Przeszła za beczkę od strony ściany i opierając się o przerdzewiały metal, obiema stopami spróbowała ją popchnąć.

Nic.

Po drugiej stronie drzwi zabrzączał łańcuch i usłyszała drapanie metalu o metal. Podskoczyła na ten dźwięk i stanęła prosto. Serce wybijało jej szaleńczy rytm. Spojrzała na beczkę. Nakrętka leżała obrócona do góry nogami na wierzchu beczki.

Modląc się, aby tego nie zauważył, przycisnęła się plecami do ściany. Drzwi otworzyły się do środka.

Wszedł.

Twarz miał zakrytą maską narciarską. Był przeciętnego wzrostu, ubrany był w dzinsy, robocze buty i gruby sweter, który maskował kształt jego ciała.

Miał ze sobą ubrania i zatłuszczoną papierową torbę. Zapach hamburgera sprawił, że Chelsea zaburczało w brzuchu. Podeszedł bliżej i położył torbę i ubrania w nogach łóżka. Przyjrzał jej się od stóp do głów, a następnie obrócił głowę w kierunku beczki. Jego ciało zeszywniało.

— Co próbowałaś zrobić? — Podeszedł bliżej. — Chciałaś uciec?

Pierwszy cios trafił w bok jej twarzy i rzucił ją na ścianę. Jej głowa odbiła się od metalu. Wpełzła na łóżko i zwinęła się w kłębek, czując jak ból i strach ścinają się w jej żołądku w zimną tłustą kulę.

Usłyszała brzęk łańcucha. Zwróciła się w jego stronę, bojąc się zobaczyć, co robi, jednak nie będąc w stanie odwrócić wzroku.

— To będzie twoja pierwsza lekcja. Szkoda, że musi przebiec w taki sposób. — Pociągnął mocno za łańcuch. Kajdany wbiły się jej w skórę, gdy ściągnął ją z łóżka na ziemię.

— Nie! Proszę! — Próbowwała chwycić się ramy łóżka, jej palce zacisnęły się wokół metalowego pręta na kilka sekund, jednak był zbyt silny. Ból przeszył jej kostkę, gdy

pociągnął mocniej i lekkie łóżko przesunęło się po podłodze.

— Chodź tutaj. — Polecenie było ciche i groźne. Lodowaty chłód jego głosu przeczył wściekłości widocznej w jego ruchach. — Nie wolno ci się odzywać bez mojego pozwolenia.

Jej palce rozluźniły się. Wylądowała na podłodze na jednym kolanie i dłoniach z nogą uwiązaną łańcuchem wyprostowaną za siebie. Kopnął ją, trafiając butem w jej udo. Poczula ból. Pięść trafiła w jej krzyż i miała wrażenie jakby rozpalony do białości ból powędrował wzdłuż jej kręgosłupa.

Upadła na bok i zwinęła się w kłębek pod gradem padających ciosów. Ból wypełnił każdy skrawek jej ciała. Zakryła głowę ramionami i modliła się.

Kopnął ją w zebra, tak że zabrakło jej tchu.

— Zasada numer jeden: należysz do mnie. Zrobisz, co ci każę, nie zadając pytań. Jesteś moją własnością.

Rozdział 7.

Sprawi, że go pokocha. Wiedział to z całą pewnością.

Dym unosił się znad beczki z płonącymi liśćmi. Rozgonił go i wrzucił jej dzinsy do ognia. Na początku materiał stłumił płomień, jednak po paru chwilach zaczął się palić, zaczynając od krawędzi i pełzając do środka. Unoszący się dym miał zapach palonego papieru.

Cierpliwość.

Dodał więcej suchych liści i czekał, aż płomień znowu buchnie. Gdy ogień przybrał na sile, dorzucił jej sweter. Płomienie zatańczyły na nim, zagarniając go, a potem niszcząc.

Inaczej niż z Chelsea, którą musiał złamać, jednak zostawić całą.

Próbowała uciec. Poczuł, jak narasta w nim wściekłość. Oddychał, starając się uspokoić. Powoli wypuścił powietrze z płuc, zmuszając swoje mięśnie do rozluźnienia się. Jednak napięcie nie chciało go opuścić. Narastało, karmiąc się jego wspomnieniami tak jak ogień jej ubraniem.

Nie mógł pozwolić, aby gniew przejął nad nim kontrolę. Musiał go stłumić. Chelsea nie była jedyną osobą, która musiała zmienić swoje zachowanie. Nie miał zamiaru aż tak jej pobić, ale z wściekłości stracił kontrolę. Ledwo był w stanie się powstrzymać, zanim zadał jej jakieś trwałe urazy. Musiał znaleźć inne ujście dla swojej wściekłości. Wyciągnął ramię nad płomienie, które liznęły jego skórę. Poczuł zapach palonych włosów.

I ból. Ból był niczym bestia o dwóch głowach, paskudna, gdy pożerała jego ciało.

Ale też piękna, gdy pokonała jego gniew i uwolniła go od niego.

Zabrał rękę, zanim na skórze pojawiły się bąble. Jego przedramię było czerwone i obolałe. Wiedział, że przez kilka dni będzie szczególnie wrażliwe, co będzie mu przypominało o konsekwencjach utraty kontroli. Jego ciało zapamięta swoją karę, jego mózg nauczy się, jak jej unikać.

Kontrola i rozum muszą zwyciężyć. Nie mógł pozwolić, żeby jego emocje wpływały na jego działania. Musiał zachować jasny umysł i obiektywizm. Dostosować swój plan do postępow Chelsea, zamiast pozwalać, aby dyktował mu go gniew.

Nie popełni drugi raz tego samego błędu. Utrata panowania nad sobą już wcześniej zbyt wiele go kosztowała.

Chelsea nie zdoła uciec. Jej łańcuch był mocno zamocowany. Dodatkowo założył ciężką kłódkę na drzwiach. Trzecią linią obrony był bezprzewodowy alarm. Jeśli drzwi zostaną otwarte, dostanie powiadomienie za pośrednictwem aplikacji w

telefonie. Nie mógł tu przebywać przez cały czas, jednak niezależnie od tego, gdzie będzie, dowie się, gdyby uciekła.

Nie miał się czym martwić. Ona nigdzie nie pójdzie.

Poza tym spodziewał się przecież, że będzie się buntowała. Stanowiło to część jego planu. Jeśli nie testowałaby granic, byłby rozczarowany. Każdy błąd, jaki popełniała, stanowił pretekst, żeby ją ukarać, ukształtować jej zachowanie. Potrzebował silnej kobiety, nie słabej i takiej, która zbyt łatwo ugnie się przed dominacją. Jednak Chelsea będzie musiała dostosować swój proces decyzyjny, tak aby w obliczu wyboru rozważała najpierw *jego* potrzeby, a nie swoje. Ostatecznie jej instynktowną reakcją stanie się: „Czego on pragnie?”

Już gdy zobaczył ją po raz pierwszy, wiedział, że to kobieta dla niego. Jego idealna partnerka, niczym Ewa dla Adama.

Dla niego była to miłość od pierwszego wejrzenia.

Karma, przeznaczenie, los. Nie miało znaczenia, jak się to nazwie. Będzie jego kobietą. Może chwilę potrwać, zanim to zaakceptuje, jednak gdy proces warunkowania dobiegnie końca, podporządkuje mu się tak, jak kobieta powinna. A gdy w końcu Chelsea nauczy się wszystkiego, będzie o nią dbał już zawsze.

Chelsea była bystra. Była silna. Nielatwo będzie ją złamać. Ale to właśnie będzie musiał zrobić. Zaprowadzi ją do korzeni tego, kim jest, a potem będzie pielęgnował wybrane cechy. Jej osobowość będzie rosła niczym dobrze przycinany żywopłot. Będzie wycinał brzydkie cechy i zachęcał do rozwoju pięknych, aż rozkwitnie, a jej charakter stanie się mu miły i podatny na poprawki.

To była jedynie kwestia pracy zgodnie z jej naturą, a nie wbrew niej.

Gdy kobietę postawiło się w sytuacji zagrożenia życia, sięgała do pierwotnych instynktów, aby przetrwać. Wszyscy ludzie zostali zaprogramowani na przetrwanie. Klucz polegał na znalezieniu odpowiedniej kombinacji dyscypliny i miłości.

Bólu i przyjemności.

Kija i marchewki.

Ale najpierw kija. Zawsze.

W każdym szkoleniu najważniejsze były konsekwencje. Powinny być dostatecznie poważne, aby uczeń nie podejmował żadnych działań, nie biorąc pod uwagę reakcji nauczyciela. Na początku będzie to robiła, aby uniknąć kary, ale potem nauczy się dostosowywać swoje zachowanie tak, żeby sprawiać mu przyjemność. W nagrodę otrzyma pochwały, jedzenie i ciepło. W końcu skojarzy jego pochwały z przyjemnością, a jego krytykę z bólem.

Będzie pragnęła jego aprobaty jak narkotyku.

Pomyślał o tym, jak szybko jej przerażenie, zaskoczenie i niedowierzanie zmieniły się w akceptację. Jak na początku starała się chronić przed jego ciosami, jednak

potem uświadomiła sobie, że to bezcelowe. To on miał kontrolę. Gdy przestała się bronić, wróciła mu przytomność umysłu i przestał ją katować.

Kij. Marchewka.

Jak długo potrwa, zanim to zrozumie?

Czy zapamięta wszystkie zasady, które jej przedstawił? Mimo że surowość lekcji nie była zamierzona, jej postępy go zadowolily.

Zerknął na zamknięte drzwi. Zostawił ją nagą, drżącą i kulącą się z bólu. Koc i łóżko wystawił za drzwi, gdzie czekały na pierwsze oznaki jej uległości. Gdy to nastąpi, odda jej i krok pierwszy w jej przemianie zostanie ukończony.

Wrzucił jej skarpetki do ognia i dorzucił jeszcze suchych liści i patyków. Płomienie wystrzeliły w górę. Ogień trzaskał.

Musiała być mu całkowicie oddana. Musiała zupełnie zrezygnować z dawnego życia. Już była piękna i inteligentna — gdy z nią skończy, będzie doskonała.

Potem popchnie ją jeszcze dalej.

Roztarł dłonie nad płomieniem. Nie mógł się już doczekać. Jednak musiał być cierpliwy. Potrzebowała trochę czasu na regenerację i zastanowienie się nad swoim zachowaniem.

Aby zrozumiała, jak jałowe są próby przeciwstawienia się mu.

Aby uległa i oddała mu się całkowicie.

Rozdział 8.

Lance przejrzał pozostałe dokumenty w teczce Chelsea. Nic nie rzuciło mu się szczególnie w oczy. Zamknął teczkę, odłożył ją na karciany stolik w swoim biurze i usiadł wygodniej, pozwalając informacjom zapaść mu w pamięć.

— Zrobiłem ci shake'a — powiedział Sharp, wchodząc do pokoju i podając Lance'owi obrzydliwie wyglądający zielony napój.

— Chyba nigdy się nie przyzwyczaję do tego, jak one wyglądają. — Lance uniósł szklankę i przyjrzał się gęstemu płynowi.

Po tym, jak w poprzednim roku został postrzelony i omal nie umarł, musiał przejść długi, bolesny i frustrujący program rehabilitacji. Wrócił do pracy w policji, jednak szybko musiał z niej zrezygnować, gdyż uświadomił sobie, że daleko mu do pełnej sprawności. Siedział w domu, użalając się nad sobą i robiąc niewielkie postępy w swojej rehabilitacji, dopóki Sharp nie namówił go na dołączenie do jego firmy — i na przyjęcie jego zdrowego trybu życia. Kilka miesięcy później mógł powiedzieć, że jego noga jest właściwie zdrowa.

Wątpił, aby kiedykolwiek proces ten był w 100% uwieńczony sukcesem, ale mógł wrócić do robienia większości rzeczy, które sprawiały mu przyjemność, włączając w to trenowanie drużyny hokejowej złożonej z trudnej młodzieży, co zaczął robić, jeszcze pracując w policji.

Gdy teraz czuł się zestresowany, nie szedł jak dawniej do knajpy, tylko wychylał zielony koktajl proteinowy i wcześniej kładł się spać.

Mówiąc krótko, prowadził naprawdę rozrywkowy tryb życia...

— Na szczęście smakują lepiej, niż wyglądają. — Lance już nawet nie kwestionował składu, tylko pokornie wypijał, cokolwiek szef mu podawał.

Sharp był dla niego kimś więcej niż tylko przełożonym. Po tym, jak nie udało mu się odnaleźć ojca Lance'a, wziął dziesięcioletniego wtedy chłopca pod swoje skrzydła. Woził Lance'a na treningi hokeja, rozmawiał z nim o seksie i nauczył go prowadzić samochód. Był dla Lance'a prawie jak ojciec.

Sharp odebrał pustą szklankę.

— Gotowy, aby pojechać do domu Tima?

Lance wstał i sięgnął po flanelową koszulę przerzuconą przez krzesło.

— Tak. Chcesz jechać ze mną? Powinniśmy się dobrze przyjrzeć osobistym rzeczom żony.

— Jedźmy. — Sharp wrócił do swojego biura po kurtkę.

Lance wziął z szafki dużą pamięć USB i dołączył do Morgan i Sharpa w korytarzu.

— Jadę do biura szeryfa — powiedziała, przerzucając swoją ogromną torbę przez ramię. Przebrała się w swój strój prawnika, jak nazywał to Lance: dopasowaną granatową garsonkę, białą jedwabną bluzkę, buty na obcasie i perły. Wyszli wszyscy na zewnątrz i Sharp zamknął drzwi do biura na klucz.

Lance zastanowił się, czy nie pocałować jej na do widzenia, ale wydało mu się to jakoś niestosowne. Ich związek znajdował się jeszcze w nieporadnej fazie i Lance nie czuł się swobodnie — szczególnie w obecności Sharpa.

— Powodzenia — powiedział tylko.

Rozstali się na chodniku. Lance obejrzał się za nią. W spódnicy i butach na obcasach jej nogi wyglądały niesamowicie. Wyglądała jednocześnie kobieco, profesjonalnie i niewiarygodnie seksownie.

Przynajmniej dla niego.

Morgan wsiadła do swojego minivana i odjechała. Lance i Sharp wsiedli do jeepa Lance'a.

— Co się dzieje między wami? — zapytał Sharp, zanim jeszcze nawet zapiął swoje pasy.

— Ciężko to określić. — Lance uruchomił silnik i odjechał od krawężnika. — Jej dziadek ostatnio choruje, więc Morgan ma wiele na głowie. Obaj wiemy, że moja mama też jest wymagająca.

Sharp zerknął na niego.

— Nie myśl za dużo. Nie znajdziesz drugiej takiej. Wygospodaruj dla niej czas. Nie spieprz tego.

— Nie mam zamiaru.

— Nie jesteś w stanie już zawsze zarządzać każdym aspektem życia twojej matki. Masz prawo do własnego szczęścia.

— Wiem. — Ale w rzeczywistości nie wydawało się to takie proste. Zdrowie psychiczne i fizyczne bezpieczeństwo jego matki wymagało utrzymania delikatnej równowagi, co było możliwe dzięki lekom, trzymaniu się rutyny i zachowaniu czujności. Gdy był w college'u, zaniedbał ją trochę i skończyło się na tym, że wymagała pobytu w szpitalu, aby wrócić do właściwej formy. Od tamtej pory wołał dmuchać na zimne, nawet jeśli oznaczało to mikrozarządzanie i nie zostawiało mu zbyt wiele czasu na życie osobiste.

Resztę drogi przejechali w milczeniu.

Chelsea i Tim mieszkali w spokojnej dzielnicy. Lance skręcił w ich uliczkę i zwolnił, aby przepuścić parę z dziecinnym wózkiem. Tuż przed nimi jechało małe dziecko na trzykołowym rowerku. Była trzecia po południu, dzieci z podstawówki były już po szkole i licznie okupowały plac zabaw znajdujący się w połowie długości ślepej uliczki.

Lance zaparkował przed domem Tima. Był niewielki, lecz dobrze utrzymany. Miły dom na początek. Trawniki wymagały zagrabienia, jednak Lance domyślał się, że od czasu zniknięcia żony Tim nie miał czasu ani ochoty na zajmowanie się ogrodem.

Przed domem parkowały dwa sedany. Toyota, którą Tim przyjechał do biura Sharp Investigations, i starszy model Dodge'a.

Tim otworzył drzwi i wpuścił ich do środka.

— Czy prasa cię nie nagabywała? — zapytał Sharp.

— Kręcili się tu pierwszego dnia, ale potem stracili zainteresowanie. — Tim wprowadził Lance'a i Sharpa do kuchni. W przylegającym do niego salonie stało kilka walizek. — Moi teściowie właśnie przyjechali. Nie wiem, jak przetrwałem te pierwsze kilka dni bez ich pomocy.

Przedstawił ich parze po pięćdziesiątce.

Matka Chelsea, Patricia, była wysoką, wysportowaną blondynką, która nadal wyglądała, jakby mogła przez cały dzień chodzić po górach. Miała na sobie czarne spodnie dresowe i sweter kończący się w połowie uda. Na przykrytym pieluszką ramieniu trzymała śpiące niemowlę. Drugą ręką gładziła jego plecy kolistymi ruchami.

Ojciec Chelsea, Randall, siedział przy kuchennym stole z na oko trzyletnią dziewczynką na kolanach. Lance domyślił się, że to starsze dziecko Tima i Chelsea, Bella. Mała układała wraz z dziadkiem puzzle z dużych kawałków.

— Chcielibyśmy zadać wam obojgu kilka pytań — powiedział Sharp.

Patricia skinęła głową. Pod jej oczami widniały ciemne cienie ze zmartwienia. Zerknęła na wnuczkę, najwyraźniej zmartwiona, że dziecko mogłoby podsłuchać ich rozmowę.

— Tim, może weźmiesz Bellę i Williama na plac zabaw.

— Hurra! — dziewczynka zeskoczyła z kolan dziadka.

Tim nie wydawał się w równej mierze zachwycony tym pomysłem co jego córka, ale powiedział po prostu:

— Dobry pomysł. Bella, przynieś kurtkę i buciki, ja włożę Williama do wózka.

Bella w podskokach wybiegła z pokoju. Tim razem z dzieckiem ruszył za nią do przedpokoju, skąd po chwili dobiegły ich odgłosy przygotowań do wyjścia. Bella świergotała. Drzwi wejściowe otworzyły się i zamknęły.

Po wyjściu Tima z dziećmi Patricia usiadła obok męża przy kuchennym stole. Para chwyciła się za ręce, splatając palce w geście solidarności, który Lance podziwiał. Tak właśnie powinno być w małżeństwie. Pary powinny się wspierać.

— Zazwyczaj zatrzymujemy się w hotelu. Dom jest mały. Ale tym razem — powiedziała Patricia — Tim potrzebuje pomocy.

— Kiedy ostatni raz rozmawialiście z córką? — Sharp usiadł naprzeciwko

Randalla.

Lance zajął krzesło naprzeciwko Patricii.

Łza spłynęła po policzku kobiety.

— Chelsea dzwoni do nas niemal codziennie. Rozmawiałam z nią w piątek rano.
— Przycisnęła zaciśniętą pięść do ust. — Naprawdę cieszyła się na wyjście tego wieczoru.

Biedna kobieta.

— W jakim była nastroju? Czy cokolwiek wydawało się inne niż zwykle? — Lance stłumił współczucie i odepchnął od siebie wspomnienie tego, jak zagubiona i zrozpaczona była jego matka, gdy zniknął jej mąż. Dwa dziesięciolecia później wciąż pamiętał, jak wtedy wyglądała jej twarz. Łzy, ciemne obwódki pod oczami, bladość skóry.

To, jak z każdym mijającym miesiącem i rokiem wydawała się więdnąć i znikać.

Patricia pociągnęła nosem i otarła łzę czubkiem palca.

— Odkąd urodził się mały, było jej ciężko.

— Nie musiało być aż tak źle. Tim mógł jej więcej pomagać — skrzywił się Randall.

— Czy Tim nie jest dobrym mężem? — zapytał Lance.

— To nie fair, Rand. — Palce Patricii pobielewały, gdy ścisnęła rękę męża. — Tim kocha Chelsea. Ciężko pracuje, starając się zapewnić swojej rodzinie przyszłość. To dobry chłopak.

— Jest bystry, ale właśnie tym jest — chłopcem. — Randall nie wyglądał na przekonanego. — Musi wreszcie dorosnąć.

— Tak czy siak bardzo się cieszymy, że Tim zgodził się zatrudnić prywatnych detektywów — przyznała Patricia. — Po rozmowie telefonicznej z szeryfem nie mamy zbyt dużego zaufania do jego śledztwa.

— To wy poprosiliście Tima, żeby nas zatrudnił? — upewnił się Lance.

Patricia zmarszczyła czoło w zamyśleniu.

— Niezupełnie. Rozmawialiśmy o tym, że jesteśmy sfrustrowani postawą szeryfa. Nieważne, ile razy powtarzałam mu, że Chelsea nigdy nie zostawiłaby swoich dzieci, on wydawał się przekonany, że po prostu ma depresję i sama odeszła. Tim powiedział, że nie stać go na zatrudnienie prywatnego detektywa, więc postanowiliśmy dać mu pieniądze.

— Czy Chelsea prowadziła jakiś kalendarz, notes? Miała jakieś miejsce, gdzie zapisywała ważne rzeczy? — zapytał Lance.

Patricia przesunęła pamięć USB po stole.

— Tim powiedział, że skopiował tu pliki z jej komputera i telefonu. O ile wiem, prowadzi kalendarz w telefonie i tam też ma zapisane wszystkie kontakty.

Lance włożył USB do kieszeni.

Oczywiście fakt, że wszystkie informacje zostały przefiltrowane przez Tima, miał swoje wady. Tim miał duże umiejętności komputerowe. Był w stanie wyczyścić wszelkie obciążające go dane, zanim przekazał im pliki. Takie jednak było ryzyko związane z pracą w prywatnym sektorze. Lance nie mógł wystąpić do sędziego o nakaz na udostępnienie komputerów Tima.

— A co z przyjaciółmi? — zapytał Sharp. — Czy znacie kogoś oprócz Fiony? Kogoś z czasów sprzed wyprowadzki?

Patricia pokręciła głową.

— Straciła kontakt ze wszystkimi, gdy przeprowadziła się tutaj. Małe dzieci zajmują tyle czasu... Ma współpracowników, chociaż nigdy nie wspominała, aby była z kimkolwiek szczególnie blisko. Randall, czy tobie o kimś wspominała?

— Tylko o swoim szefie... jakże on się nazywa? — Randall przechylił głowę, zastanawiając się. — MacDonald. Curtis McDonald. Zdaje się, że mieli bardzo dobre relacje.

— W jakim sensie? — zapytał Lance.

Randall poprawił się na krześle, tak jakby nagle zrobiło mu się niewygodnie.

— Nic niestosownego. Wspominała, że pozwala jej pracować z domu. Miała wrócić do biura już parę tygodni temu, ale William nie był nastawiony na współpracę.

— Czy możemy się tu trochę rozejrzeć? — zapytał Lance.

— Proszę. — Patricia znowu otarła załzawione oczy. Randall objął żonę ramieniem, przyciągnął ją bliżej i pocałował w skroń. Zamknęła oczy i oparła się na jego ramieniu.

Lance wyszedł przed Sharpem z pokoju, dając rodzicom Chelsea chwilę prywatności, jednak wychodząc, zerknął na nich przez ramię. Jakby to było być z kimś tak blisko przez trzydzieści lat? Musiało być wspaniale mieć takie wsparcie w kimś niezależnie od tego, co przyniosło życie.

Potem wyobraził sobie, że taka osoba mogłaby zniknąć z jego życia. Dokładnie coś takiego przydarzyło się zarówno jego matce, jak i Morgan. Jego matka nigdy się po tym nie podniosła, a Morgan dwa lata przeżyła przytłoczona smutkiem.

Wszystko miało swoją cenę.

Nawet miłość.

Zwłaszcza miłość.

W korytarzu Sharp szturchnął go w ramię, przerywając jego przygnębiające myśli.

— Ziemia do Lance'a.

— Przepraszam. — Lance otrząsnął się ze smutnych rozważań. — Od czego zaczniemy?

Sharp otworzył szafę w przedpokoju.

— Ja przejrzę kieszenie płaszczy, a ty może przeszukasz sypialnię?

Lance odwrócił się w kierunku schodów.

— Już się robi.

Na pięterku rozejrzał się, zaglądając przez wszystkie drzwi. Za jednymi zobaczył eksplozję rózu i fioletu z wszechobecnym motywem księżniczek. Barwy podstawowe i pociągi stanowiły motyw przewodni w pokoju niemowlęcym. Lance stanął w drzwiach głównej sypialni. Męski zegarek leżący na szafce nocnej powiedział mu, że Tim śpi po prawej stronie łóżka.

Lance podszedł do szafki po lewej stronie i otworzył szufladę. Pomadka ochronna, krem nawilżający, długopisy. Nic nadzwyczajnego, nic interesującego. Na dolnej półce leżało kilka romansów i kryminałów oraz książka o pielęgnacji niemowląt. Lance unosił każdą książkę po kolei i sprawdzał, czy nic nie jest włożone między kartki. Na komodzie leżał stos czystego, poskładanego prania. Obok leżał laptop.

Tima?

Nie. Patricia powiedziała, że z komputera na dole korzystali zarówno Tim, jak i Chelsea.

Ciekawość popchnęła Lance'a w stronę komody. Zatrzymał się i nasłuchiwał głosów. Patricia i Randall wciąż byli w kuchni, Tim jeszcze nie wrócił. Lance uniósł klapę i włączył komputer.

Kilka minut później udało mu się ustalić, że laptop należał do firmy „Skyver i MacDonald”, w której pracowała Chelsea. Lance próbował przejrzeć zawartość, ale pliki były zabezpieczone hasłem. Wyjął z kieszeni USB i podpiął je do gniazda. Kilka uderzeń w klawisze i komputer zaczął mruścić, kopiując pliki.

Czy policja sprawdziła jej komputer z pracy? Zapewne nie. Potrzebowaliby pozwolenia lub nakazu, biorąc pod uwagę poufny charakter danych księgowych. Lance wątpił, aby szef Chelsea mógł wydać zgodę, nie konsultując tego ze wszystkimi klientami, których dane znajdowały się na komputerze. A szanse na uzyskanie nakazu były niewielkie w sytuacji, gdy nie było powodów, aby sprawdzana osoba związana była z pracodawcą Chelsea. Tak naprawdę policja nie miała nawet dowodów, że w zniknięciu Chelsea w ogóle miały udział osoby trzecie.

Lance zostawił komputer i przejrzał komodę i szafę. Chelsea i Tim mieli głównie codzienne ubrania. Lance sprawdził kieszenie, a następnie przejrzał kubeł na śmieci w nadziei na znalezienie jakichś istotnych notatek, jednak nie natrafił na nic takiego.

Chelsea i Tim wydawali się zupełnie zwyczajni, przynajmniej na pozór.

— Lance? — zawołał Sharp z korytarza.

— Tutaj! — odpowiedział Lance, rozluźniając się.

— Sprawdziłem wszystko na dole — powiedział Sharp. — Znalazłem dwa iPady,

jeden musi należeć do Chelsea. — Sharp wszedł do sypialni, rzucił okiem na komputer na komodzie i uniósł brwi. Lance potrząsnął głową i przyłożył palec do ust.

Sharp zacisnął podejrzliwie wargi.

— Przeszukałeś łazienkę?

— Jeszcze nie.

Sharp wszedł do połączonej z sypialnią łazienki. Lance słyszał otwieranie i zamykanie szafek.

Dziesięć minut później Lance odłączył dysk, wyłączył laptopa i wsunął pamięć USB z powrotem do kieszeni w momencie, gdy Sharp wychodził z łazienki.

— Nic niezwykłego — powiedział. — Jej podróżna torba z przyborami do makijażu wciąż tam leży. Żadnych interesujących leków na receptę.

Drzwi frontowe trzasnęły, dobiegł ich płacz niemowlęcia i paplanina małej dziewczynki.

W korytarzu Patricia odebrała Williama od Tima, a Randall pomógł Belli zdjąć kurtkę w czasie, gdy Tim wieszał swoją w szafie. Po krótkiej wymianie spojrzeń Randall i Patricia ruszyli z dziećmi w kierunku schodów.

— Chodź, poczytamy książeczkę. — Randall ujął wnuczkę za rękę.

Lance poczekał, aż zniknęli na górze.

— Tim, na górze znaleźliśmy jeszcze laptop. Czy to twój?

Tim potrząsnął głową.

— Nie, to komputer Chelsea z pracy. Tak właściwie to muszę go dzisiaj odwiedzić do jej biura. Miałem to zrobić wczoraj, ale dzieci nie dały mi na to czasu.

— Policja go nie sprawdzała? — upewnił się Lance.

— Nie, powiedzieli, że nie wolno im tego zrobić. Nie mam pojęcia, dlaczego miałoby to mieć znaczenie. Nie ma tam żadnych osobistych rzeczy, tylko arkusze kalkulacyjne. Chelsea usiłowała nadgonić pracę z dokumentami klientów.

— W takim razie sądzę, że na razie mamy wszystko, czego potrzebowaliśmy — powiedział Sharp.

Lance i Sharp wyszli z domu i wrócili do jeepa.

— Podrzuc mnie do biura, zanim zawieszysz dane od Tima twojej mamie — powiedział Sharp, wślizgując się na siedzenie pasażera.

— Moglibyśmy pojechać do niej najpierw.

— Nie — sprzeciwił się Sharp. — Morgan nic nie grozi w biurze szeryfa, ale jeśli wróci przed nami do biura, gotowa jest wyruszyć sama, jeśli rozmowa z szeryfem podsunie jej jakiś trop. — Sharp uniósł dłoń. — Nie gadaj mi znowu o tym, że potrafi się bronić. Mam dla niej ogromny szacunek, ale również w twoim przypadku nie chciałbym, żebyś sam poszukiwał ewentualnego porywacza.

— Nie musisz mnie przekonywać. Martwię się o nią znacznie bardziej niż ty, z

powodów zarówno racjonalnych, jak i nieracjonalnych.

— Cieszę się, że się zgadzamy. — Sharp zapiął pasy. — A więc czyje dane kopiowałeś w sypialni?

Umysł Sharpa pozostawał ostry jak jego nazwisko. Nic nie uchodziło jego uwagi.

— Należy do firmy księgowej, w której pracuje Chelsea — przyznał Lance.

— Wiesz, że kopiowanie tych plików było nielegalne.

— Tylko, jeśli ktoś by mnie na tym przyłapał — stwierdził Lance, uruchamiając silnik. — System podglądu komputera nie był uruchomiony, więc po moim działaniu nie ma śladu. Nikt nie musi wiedzieć, że te pliki zostały skopiowane.

— Kiepskie zabezpieczenie danych jak na firmę księgową — zauważył Sharp.

— To prawda — zgodził się Lance. — Ale jeśli w tych plikach nie ma niczego podejrzanego, nikt się o tym nie dowie.

— A jeśli jest?

— To wtedy będziemy się tym martwić. — Lance ruszył w kierunku biura. — Mam jednak zamiar przejrzeć te pliki osobiście. Nie chcę wciągać mojej mamy w nic... niewłaściwego.

— Nielegalnego — uściślił Sharp.

— Och, szczegół. — Lance czuł ostre spojrzenie Sharpa na swojej twarzy.

— Na pewno ta sprawa przywołuje bolesne wspomnienia, jednak nie możesz pozwolić, aby osobiste doświadczenia wpływały na twoje działania. Przeszedłeś długą drogę od czasu zniknięcia twojego ojca. Nie zrób niczego głupiego z powodu braku obiektywizmu.

Lance zerknął na swojego szefa.

— Dobrze, że mamy w budynku świetnego adwokata.

— Mówię poważnie.

— Dobrze, już dobrze. — Lance uniósł dłoń.

— Nie zapłacę kaucji, aby wyciągnąć cię z pierdła. — Sharp zacisnął usta.

Lance jednak wiedział, że jego szef zrobiłby to w ułamku sekundy. Byłby wkurzony, ale stanąłby za nim murem. Jak zawsze.

— Będę uważał. — Dla Lance'a ta sprawa nie mogła być taką, jak każda inna. Życie kobiety — i przyszłość dwojga jej dzieci — zależały od ich śledztwa.

Nie życzyłby tym dzieciom takiego losu, jaki stał się jego udziałem. Tych wszystkich lat przeżytych w niewiedzy i zastanawianiu się, czy zaginiony rodzic padł ofiarą przemocy, czy też po prostu odszedł. Żadne wyjście nie było tu dobre, ale jedno i drugie było lepsze niż brak wiedzy i zamknięcie sprawy.

Nie byłby w stanie żyć sam ze sobą, gdyby nie zrobił wszystkiego, co w jego mocy, aby znaleźć Chelsea Clark, niezależnie od tego, ile zasad musiałby przy okazji złamać.

Rozdział 9.

Biuro szeryfa znajdowało się w pobliżu więzienia hrabstwa i budynku municypalnego. Sprawdziwszy, że samochód szeryfa zaparkowany jest za budynkiem, Morgan otworzyła szklane drzwi i weszła do holu. Brzydki, brązowy budynek był w środku zniszczony i absolutnie nieatrakcyjny, poczynając od odrapanych podłóg pokrytych linoleum, a na poplamionych i odklejających się kasetonach sufitowych kończąc. Najwyraźniej szeryf nie marnował pieniędzy na wystrój wnętrza.

Morgan podeszła do blatu recepcji. Kobieta siedząca za biurkiem o kilka kroków dalej uniosła wzrok znad komputera. Wyglądała jak typowa babcia: w okolicach sześćdziesiątki, miękka, z włosami ufarbowanymi na ciemnobrązowo

Jednak gdy podeszła do blatu, aby przywitać Morgan, w jej słodkim głosie brzmiała stal:

— W czym mogę pomóc?

Uśmiech Morgan nie wywołał u niej chęci odwzajemnienia się tym samym.

— Jestem Morgan Dane, chciałam się zobaczyć z szeryfem Kingiem.

— Jest pani umówiona?

— Nie. — Biorąc pod uwagę, że ich ostatnia rozmowa telefoniczna nie była zbyt przyjemna, Morgan uznała, że lepiej go nie uprzedzać. Przybycie bez umawiania się wydawało się jej najlepszą opcją. Trudniej było zignorować kogoś twarzą w twarz. — Ale wie, kim jestem.

„Babcia” uniosła narysowane brwi ponad oprawki okularów.

— Poproszę dowód tożsamości.

Morgan wyłowiła portfel z głębin swojej olbrzymiej torby.

Babcia przez kilka sekund przyglądała się prawu jazdy Morgan, zanim je jej oddała.

— Proszę tu poczekać.

Odwróciła się i zniknęła w głębi korytarza. Za blatem uwijało się jeszcze dwoje pracowników administracyjnych, zajmujących się pracą przy komputerze i odbieraniem telefonów. W rolniczym hrabstwie biuro szeryfa zawsze miało pełne ręce roboty.

Oprócz typowych zajęć policyjnych szeryf odpowiadał też za więzienie, transport więźniów i dostarczanie nakazów. Ponieważ był to urząd wybieralny, szeryf musiał też być po części politykiem, inaczej ryzykował, że nie zostanie ponownie wybrany.

Tak to przynajmniej działało w przypadku większości szeryfów. King wydawał się

nie zważać na to, co sądzi o nim opinia publiczna. W poprzednim roku jego biuro zostało oskarżone o pobicie więźnia i jego popularność gwałtownie zmaląła.

Łagodny, lecz stanowczy głos Babci dobiegł do holu.

— Nie, *nie* powiem jej, że pan wyszedł. Pański samochód jest zaparkowany z tyłu, poza tym prawdopodobnie słyszy pana głos.

Morgan nie była w stanie dosłyszeć słów, jednak niski i chrapliwy głos, który odpowiedział, nie brzmiał sympatycznie. Bardziej, jakby wypowiadał przekleństwa.

— Wiem, że jest pan zajęty, ale do wyborów zostało kilka tygodni — powiedziała Babcia.

Znowu jakaś burkliwa odpowiedź.

Babci jednak nie zbiło to z tropu.

— Zaraz ją wprowadzę. Proszę być miłym.

Po chwili Babcia wróciła do holu.

— Może pani wejść. — Wskazała w głąb korytarza

Morgan okrążyła blat recepcji i przeszła przez drzwi. Krótki korytarzyk otwierał się na większe pomieszczenie wypełnione biurkami i komputerami. Zastępca szeryfa odbierał telefon, pisząc na klawiaturze.

Po drugiej stronie pomieszczenia otworzyły się drzwi i umundurowany funkcjonariusz wyprowadził aresztanta. Przód jego spranych dżinsów i białej koszulki poplamiony był zaschniętą krwią.

To się nazywało mieć szczęście...

Morgan napatoczyła się na Tylera Greena.

Jego wcześniej przystojna twarz po ciosach jej łokcia nieco się zmieniła. Pod oboma oczami zaczynały rysować się czarne kręgi. Z nozdrzy wystawały mu zwitki waty, a na opuchniętym nosie miał naklejony opatrunek.

Zauważył Morgan po drugiej stronie pomieszczenia i w jego oczach pojawił się paskudny błysk. Morgan poczuła, jak puls jej przyspiesza, a pusty żołądek skręca się pod wpływem napływu adrenaliny do krwi.

„Dopadnę cię” — powiedział bezgłośnie, nie odrywając od niej wzroku. Funkcjonariusz niezbyt delikatnie popchnął go na krzesło.

Wysoki, barczysty mężczyzna rzucił teczkę na biurko funkcjonariusza.

Szeryf King.

Miał co najmniej metr dziewięćdziesiąt wzrostu i wyglądał tak, jakby przybył wprost z Dzikiego Zachodu. Miał na sobie dżinsy, brązową koszulę od munduru i kowbojskie buty. Mimo że Morgan wiedziała, że jest dopiero po pięćdziesiątce, wyglądał starzej, a jego skóra była zniszczona od słońca i wiatru niczym niepomalowany płot.

— Ej, Green — powiedział ostro. — Skończ z tym. — Spojrzał na Morgan,

skrzywił się i wskazał na otwarte drzwi w rogu pomieszczenia. — Proszę tędy.

Weszli do jego biura. Morgan zauważyła kątem oka kowbojski kapelusz na wieszaku w rogu. Serio, facetowi brakowało jeszcze tylko konia.

Wskazał jej fotel dla gości i wyszedł z gabinetu.

Morgan zdjęła palto i odłożyła je złożone na krzesło obok. Wygładziła spódnice, gratulując sobie w duchu tego, że trzymała kilka ubrań na zmianę w szafie w biurze. Nigdy nie wiedziała, kiedy przyjdzie jej rozmawiać ze świadkiem, a kiedy wędrować po błocie.

Szeryf wrócił po chwili z dwiema butelkami wody. Przysiadł na blacie swojego biurka, podał jej butelkę z wodą i przeszył jej spojrzeniem.

— A więc to pani jest Morgan Dane?

— Tak. — Morgan przyjęła wodę. — Dziękuję.

Widziała szeryfa w telewizji, słyszała też o nim, bo jego reputacja go wyprzedzała. Był twardym człowiekiem i na takiego wyglądał. Opalona skóra pod oczami i wokół ust była głęboko pobrużdżona, jakby przez większość czasu mrużył oczy lub krzywił się. Nos był złamany, a jedną brew przecinała blizna. Nie była zaskoczona jego wyglądem. Gdy obejrzał ją od stóp do głów, w jego oczach błysnęło zdumienie. To było dziwne. Prowadziła kilka konferencji prasowych podczas ostatniej sprawy i nie miała wątpliwości, że musiał je oglądać.

— Pani wygląd może być mylący. — Spojrzał na nią, jakby nie wiedział, co z nią zrobić. — Tyler Green najwyraźniej również pani nie docenił.

Morgan zarumieniła się, przypominając sobie poranny incydent.

— Green ma złamany nos. Skarży się na ból głowy i szyi. Mój zastępca cały poranek musiał spędzić na ostrym dyżurze, a ja musiałem odbierać telefony od prawnika Greena. — King skrzywił się przy słowie „prawnik”. — Co za wrzód na dupie.

Ja czy Tyler?

King zacisnął szczęki i odezwał się tonem, który mówił jej, że znalazła się w niewłaściwym miejscu.

— Miała pani szczęście dziś rano. Mógł naprawdę zrobić pani krzywdę.

Morgan ugryzła się w język i nie powiedziała mu, żeby nie był męskim szowinistą i nie wtykał nosa w nie swoje sprawy. Potrzebowała jego współpracy, a wejście z nim w konflikt na pewno by jej tego nie ułatwiło.

— Nie byłam sama.

— Mam taką nadzieję.

— Ale zapewniam, że nie przypadkiem złamałam Greenowi nos.

W oczach szeryfa znowu mignęło zaskoczenie, następnie rezygnacja, a wreszcie odrobina szacunku. Odepchnął się od biurka i przeszedł za nie. Krzesło skrzypnęło

pod ciężarem jego potężnego ciała.

— Słyszałem, że oficjalnie otworzyła pani własną firmę. Czyżby bronienie przestępców było bardziej opłacalne niż praca w biurze prokuratora?

— Nie chodzi o pieniądze — zaczęła Morgan. — Wywodzę się z policyjnej rodziny. Mój brat pracuje w nowojorskim oddziale służb specjalnych. Moja siostra pracuje w tutejszej komendzie policji. Mój dziadek jest emerytowanym policjantem z wydziału zabójstw, a mój ojciec zginął na służbie. Wierzę w sprawiedliwość i walczę o nią. Mam jednak wrażenie, że moja szansa na pracę w biurze prokuratora okręgowego minęła.

Szeryf kaszlnął. Czyżby usiłował zakryć dłonią uśmiech?

— Skarbie, minęłaś tę szansę niczym Richard Petty swoją wyścigówką.

Morgan zachnęła się w duchu. *Czy on właśnie nazwał ją „skarbem”?*

— Czemu więc zawdzięczam dzisiejszą wizytę? — zapytał.

— Reprezentuję Tima Clarka.

Szeryf przesunął ciężar ciała do przodu i oparł przedramiona na biurku.

— Tim nie został o nic oskarżony. Po co mu adwokat?

— Po sprawie niesłusznego aresztowania z zeszłego miesiąca ma obawy, że skupia się pan na nim jako podejrzanym w sprawie zaginięcia jego żony.

King przesunął dłonią po swojej zniszczonej twarzy.

— Zakładam, że Sharp i Kruger również są zaangażowani w tę sprawę?

Morgan skinęła głową.

— Tak. Tim pragnie, aby jego żona została odnaleziona.

— Robimy wszystko, aby tak się stało. Ponieważ wywodzi się pani z rodziny policjantów, wie pani, że nie mogę rozmawiać o toczącej się sprawie. — King mógł podzielić się z nią informacjami, jednak nie chciał tego zrobić.

— Jesteśmy po tej samej stronie — podkreśliła Morgan. — Chcemy tylko odnaleźć Chelsea Clark i przywrócić ją rodzinie.

Oraz ochronić prawne interesy Tima.

— Jesteśmy w środku śledztwa dotyczącego jej zaginięcia — powiedział King tonem mającym zakończyć dyskusję.

— Wszystko, co pan mi powie, może mi pomóc. Wiem, że jesteście zaważeni pracą, i nie widzę szansy, żebyście poświęcili sprawie Chelsea sto procent waszej uwagi. Sharp i Kruger to doświadczeni śledczy, którzy mogą się skupić wyłącznie na jej odnalezieniu. Pan nie ma ani ludzi, ani środków.

King przyglądał się jej bez słowa. Mimo tego, że jako przedstawiciel prawa miał dobrą opinię, był też uparty i arogancki. Morgan nie mogła go zmusić do współpracy. Musiała wypróbować inne podejście, jednak wiedziała, że King nie nabierze się na żadną ściemę. Musiała postawić na szczerłość i na coś, z czym nie będzie w stanie

dyskutować, a co przy tym nie będzie podawało w wątpliwość możliwości jego wydziału. Musiała wytrącić go z równowagi, przemówić do niego jako do człowieka.

Wybrała coś, z czym wielu mężczyzn, szczególnie tych uchodzących za twardzieli, nie potrafiło sobie poradzić: emocje.

— Moja najmłodsza była jeszcze niemowlęciem, gdy mój mąż zginął w Iraku.

King mruknął:

— Przykro mi.

Morgan pozwoliła, aby prawdziwe emocje wypłynęły jej na twarz.

— Wiem, jak to jest zostać samemu z wychowywaniem małych dzieci. Wiem, jak to jest pragnąć, żeby dzieci pamiętały swojego ojca. Wiem, jak to jest tłumaczyć raz za razem, dlaczego tatuś nie wróci już do domu. O ile ktoś nie znajdzie jego żony, Tim Clark nie będzie mógł zaoferować swoim dzieciom nawet wyjaśnienia. Dostatecznie trudno jest radzić sobie z żałobą. Nie chcę, aby musieli żyć z niewiedzą, co stało się z ich matką.

Sama żyła niczym w cieniu ciemnej chmury przez dwa długie, wyczerpujące lata. Dopiero zaczynała podnosić się po swojej depresji, mrugając w słońcu, tak jakby dopiero na nowo odkryła, że zasługuje na życie. Wciąż kochała Johna i tęskniła za nim, jednak wiedziała, że byłby zły, gdyby zmarnowała na smutek resztę swojego życia.

Wiedziała, że nie powinna czuć się winna z tego powodu, że pozwala sobie na poszukiwanie szczęścia.

King odwrócił wzrok. Na jego twarzy odbiły się sprzeczne emocje, a ruchy stały się niezgrabne. Wstał gwałtownie i zaczął chodzić wzdłuż swojego biurka. Jego długie nogi przemierzały tę odległość w dwóch krokach. Wyglądał jak sfrustrowany drapieżnik zamknięty w zbyt małej klatce.

— Nie chciałbym narazić naszego śledztwa.

— Ile tropów wykrył pański wydział jak do tej pory?

Zatrzymał się, a wyraz jego twarzy stwardniał.

— Oboje wiemy, że większość zaginionych dorosłych po prostu znika z własnej woli i w końcu sami pojawiają się z powrotem.

— A pan ma ograniczone zasoby. Rozumiem to. — Morgan odwróciła jego argument przeciwko niemu.

— Zapewniam, że sprawa Chelsea Clark traktowana jest przez nasz wydział priorytetowo.

— Szeryfie, naprawdę nie chcę nikomu nadeptywać na odcisk. — Ale była gotowa to zrobić, gdyby stało się to konieczne. — Zawsze mogę poprosić, żeby Tim Clark i jego dwójka dzieci zostali pokazani w lokalnych wiadomościach i zwrócili się do społeczności o pomoc, pozostawiając panu tłumaczenie mediom, na jakim etapie

znajduje się śledztwo.

A to ujawniłoby brak postępów w sprawie, którą jak do tej pory udawało się trzymać z dala od centrum uwagi mediów.

Szeryf zatknął kciuki za kieszenie džinsów z przodu i westchnął.

— Nie znaleźliśmy niczego, co sugerowałoby, że zostało popełnione przestępstwo.

— Odciski palców w samochodzie? — Morgan usiadła wygodniej na fotelu.

— Oczywiście. Znaleźliśmy odciski pani Clark i kilku innych osób, ale jak na razie żadne z nich nie zostały odnalezione w bazie przestępców.

— Sprawdzał je pan w lokalnych, stanowych i federalnych bazach? — zapytała. Oprócz IAFIS, zintegrowanej bazy automatycznie rozpoznającej odciski palców, prowadzonej przez FBI, agencje stanowe i lokalne prowadziły własne bazy. Zazwyczaj najsensowniej było zaczynać od baz lokalnych i potem stopniowo rozszerzać geograficzny zasięg poszukiwań.

— Naturalnie. — Szeryf zwrócił się wprost do Morgan. — Siedzenie kierowcy też było ustawione w pozycji, odpowiadającej posturze Chelsea.

— Uważa pan, że została porwana, czy że oddaliła się z własnej woli?

— Nie wiemy. W pojeździe nie było śladów krwi, a jej torebka również zniknęła.

— A więc nie ma śladów walki — powiedziała Morgan. — Czego dowiedzieliście się na temat męża?

— Nie znaleźliśmy niczego podejrzanego w jego przeszłości, a zapis z jego telefonu potwierdza, że w piątek wieczorem był tam, gdzie mówił. — King przysiadł bokiem na blacie biurka. — Sprawdziliśmy przyjaciółkę, z którą miała spotkać się Chelsea, i jej szefa. Oboje również są czysti i wydają się szczerze przejęci jej zniknięciem.

— Co z obszarem wokół jej samochodu?

— Przeszukaliśmy go i nic nie znaleźliśmy. Moi pracownicy przesłuchali ludzi w domach wzdłuż ulicy. Nikt niczego nie zauważył. Kamery ze stacji pokazują, że tego wieczoru do pociągu wsiadły tam tylko dwie osoby, z których żadna nie była młodą blondynką.

— Czy mogłabym dostać kopię nagrania?

— Nie.

Morgan otworzyła usta, aby zaprotestować, ale szeryf uniósł dłoń, żeby ją uspokoić.

— Ale pozwolę je pani tu obejrzeć.

— Dziękuję — powiedziała Morgan.

Gdyby Tim został aresztowany i oskarżony o zniknięcie żony, Morgan miałyby prawo przejrzeć zgromadzony przez szeryfa materiał dowodowy. Jednak bez

jakichkolwiek formalnych zarzutów wobec jej klienta Morgan musiała zaakceptować okruchy, które szeryf łaskawie jej rzucał.

— Wprowadziliście Chelsea do NCIC?

NCIC, czyli National Crime Information Center, było prowadzoną przez FBI bazą informacji obejmujących wszystko od uciekinierów, poprzez kradzieże, a na osobach zaginionych kończąc. Jeśli gdziekolwiek w kraju pojawiłaby się osoba lub ciało odpowiadające opisowi Chelsea, przedstawiciele prawa byłiby świadomi, że jest ona osobą zaginioną.

— Tak.

— Sprawdził pan podobne przestępstwa?

Szeryf uniósł dłoń.

— Oczywiście że tak, ale nie mieliśmy zbyt wielu danych, które moglibyśmy wprowadzić do systemu. Nie mamy nawet dowodu, że w ogóle doszło do popełnienia przestępstwa.

— Tim mówił, że sprowadziliście psa tropiącego.

— Tak, ale pies nie podjął tropu, zakładamy więc, że jeśli tam była, oddaliła się samochodem.

— Ale nie wiecie nawet, czy rzeczywiście tam była. Jeśli ktoś ją porwał, to mógł ją zawieźć gdzie indziej, a następnie porzucić samochód w pobliżu stacji kolejowej.

— Chelsea mogła też poprosić, aby ktoś ją stamtąd zabrał — dodał szeryf. — Porzucenie rodziny nie jest przestępstwem.

— Ale dlaczego Chelsea miałyby porzucić swoją rodzinę? Ma dwoje dzieci. — Jednak nawet wypowiadając te słowa, Morgan zdawała sobie sprawę, że to słaby argument. Ludzie robili nieoczekiwane rzeczy.

A nawet straszne i okrutne rzeczy, których normalny człowiek nie potrafił sobie wyobrazić.

— Mąż przyznał, że jego żonie było trudno po narodzinach drugiego dziecka i że nie pomagał jej w dostatecznym stopniu. Rozmawiałem z jej rodzicami w Kolorado. Oboje wspominali, że ich córka czuła się zmęczona i często płakała podczas rozmów telefonicznych. Najlepsza przyjaciółka Chelsea, Fiona West, odmalowała nieco mniej różowy obraz małżeństwa Chelsea i Tima, niż zrobił to Tim.

Morgan umieściła Fionę na szczycie listy osób, z którymi powinna porozmawiać, i znowu poczuła wątpliwości co do niewinności Tima.

— Rozumiem, że pani jako oddanej matce trudno jest sobie wyobrazić, że kobieta mogłaby porzucić swoje dzieci — powiedział szeryf łagodniejszym tonem. — Niemniej jednak to się zdarza.

Morgan bez trudu mogła sobie wyobrazić znacznie gorsze rzeczy, które kobiety robiły swoim dzieciom. Jako prokurator spotkała się z dostateczną liczbą matek

potworów. Przypominając sobie kilka koszmarnych spraw, wzdrygnęła się.

— Ma pan rację. Nie wszystkie kobiety rodzą się z instynktem macierzyńskim.

— Chelsea czuła się zaniedbana i wyczerpana. — Ciągnął King. — Może po prostu zapragnęła odpocząć i dać Timowi nauczkę.

— Miejmy nadzieję, że tak właśnie było. — Morgan dopiła wodę, wrzuciła butelkę do śmietnika i wstała. — Niczego bardziej nie pragnę, niż żeby odnalazła się cała i zdrowa.

— Poproszę kogoś, aby puścił pani nagranie z kamer bezpieczeństwa ze stacji, tak aby mogła je pani obejrzeć przed wyjściem. To nie zajmie wiele czasu, bo niewiele się tam dzieje. Większość będzie można po prostu przewinąć. — Szeryf pochylił się do przodu i zsunął apaszkę z szyi Morgan. Jego brwi wystrzeliły do góry, a kąciki ust powędrowały w dół. — To z dzisiejszego poranka?

— Wyglądają gorzej, niż bolą. — Morgan odwróciła się od drzwi. — Dziękuję za pańską pomoc. Zadzwońię do pana, jeśli dowiemy się czegokolwiek nowego.

— I wzajemnie. — King skinął głową. — Powinna pani bardziej uważać. Byłoby strasznie szkoda, gdyby ktoś skręcił tę śliczną szyjkę.

Rozdział 10.

— Jesteś pewna, że chcesz się tym zająć? — Lance obszedł biurko w domowym biurze swojej mamy i cmoknął ją w policzek.

— Oczywiście. — Jego matka wcisnęła jakieś klawisze, wygaszając ekran, po czym odwróciła się w jego stronę. — Chcę się czuć potrzebna.

Co takiego robiła, że uznała za konieczne ukrywanie tego przed nim?

Lance się zawahał, chociaż trzymał już teczkę sprawy w ręku. Czy ta sprawa nie będzie dla niej zbyt wielkim stresem? Uśmiech na jej wargach nie sięgał jej oczu. I czy nie schudła? Jej drobne ciało nie miało nawet grama zbędnego tłuszczu. Ponieważ jednak Lance widywał ją każdego dnia, nie dostrzegał drobnych zmian i nie potrafił określić, co jest nie tak.

Unikała spojrzenia mu w oczy. Jej niebieskie oczy wydawały się bledsze, skóra zarumieniona, a uśmiech wymuszony.

Rozejrzał się po niewielkim pomieszczeniu.

— Żadnych nowych pudeł?

Współczesny świat, umożliwiający zakupy online, stanowił spełnienie marzenia dla kogoś, kto miał tendencję do chomikowania rzeczy, a jednocześnie cierpiał na agorafobię. Lance i jego matka mieli umowę. Każdego dnia zamawiała rzeczy, których nie potrzebowała, jednak jeśli chciała zachować swój zakup, musiała pozbyć się czegoś równej wielkości. Lance odsyłał lub oddawał na cele charytatywne pozostałą część zakupów. System mógł wydawać się dziwny, jednak dzięki niemu dom Jennifer Kruger pozostawał w rozsądnym stanie i był bezpieczny. Lance nie mógł pozwolić, żeby znowu zamieszkała w domu, który stanowił pułapkę w razie pożaru.

— Nie. — Wzięła teczkę z jego dłoni i odwróciła się w drugą stronę.

Dziwne.

Ale może przesadzał. Z jednej strony był przewrażliwiony, a z drugiej miał powody, aby zwracać szczególną uwagę na jej zachowanie.

Jego matka zebrała razem skraje grubego swetra i odłożyła teczkę na biurko.

— Opowiedz mi o tej sprawie

Lance znowu się zawahał. Zniknięcie Chelsea przywołało bolesne wspomnienia. Jak jego matka poradzi sobie z podobieństwami tych spraw? W latach, które nastąpiły po zniknięciu jego ojca, wycofała się w głąb siebie i zaczęła prowadzić życie, które ledwo było cieniem normalności. Jej świat był kruchy, zamknięty i daleki od życia pełnią.

— Szukamy kogoś — powiedział mgliście. — Potrzebujemy sprawdzenia osób z tej listy. Chciałbym też, żebyś przejrzała pliki zgrane z komputera i telefonu zaginionej kobiety. — Położył na biurku pamięć USB otrzymaną od Tima.

Przejrzała kilka pierwszych nazwisk na liście podejrzanych.

— Chodzi o tę młodą matkę, która zaginęła, prawda?

Cholera.

— Wiesz o tym? — zapytał Lance.

— Było w wiadomościach. — Matka przerzuciła kolejną stronę.

Jego matka uczyła online informatyki, jak również projektowała i utrzymywała strony internetowe. Wychodziła z domu tylko na terapię, tak więc dosłownie prowadziła życie online. Przypadek Chelsea omawiany był w mediach jedynie pobieżnie, jednak nie umknął uwagi jego matki.

— Może sam powinienem poszukać tych informacji? — zasugerował Lance.

— Nie. — Jego matka zaborczym gestem położyła dłoń na teczce, jakby spodziewała się, że ją jej wyrwie. — Chcesz, żebym sprawdziła męża?

Kruchy stan psychiki jego matki czasami sprawiał, że zapominało się o tym, jak była inteligentna. Wiedziała, że Tim jest podejrzany, mimo że to on ich zatrudnił.

— Tak — potwierdził.

— Cześć, Jennifer — powiedziała Morgan, wchodząc do pokoju. Przyjechała razem z Lance'em, jednak poszła najpierw do kuchni pochować sprawunki, które przywiezli. Znając Morgan, na pewno też oceniła zapasy jego matki.

Twarz matki Lance'a rozjaśniła się jak świąteczna choinka w Centrum Rockefellera. Będzie musiał z nią porozmawiać. Najwyraźniej miała jakieś nierealistyczne oczekiwania dotyczące jego związku z Morgan.

Czy kiedykolwiek mógłby mieć normalne życie? Zbyt wiele czynników mogło wpłynąć na reakcję jego matki.

Niech to szlag.

Nie powinien był ich sobie przedstawiać. Miał dobre intencje. Liczył na to, że poza nim samym, Sharpem i kurierem dostarczającym paczki kolejną osobą w życiu jego matki stanie się Morgan, z którą będzie miała jakieś interakcje.

Ale jeśli sprawy między nim a Morgan nie będą się układać, jego matka będzie rozczarowana. Kto wie, jak to zniesie? A jeśli narobi sobie nadziei na wnuki i to nie wypali? I czy ona w ogóle byłaby w stanie poradzić sobie z posiadaniem wnuków?

Dlaczego myślał o tym, że mógłby jej dać wnuki?

Lance'owi zrobiło się gorąco i pociągnął za kołnierzyk swojej koszulki. Pokój wydał mu się nagle zbyt mały. A Morgan przecież miała już trójkę dzieci.

Trójkę.

Jej życie dwadzieścia cztery godziny na dobę obracało się wokół dzieci. Czy

chciałaby mieć ich więcej? Dlaczego w ogóle o tym myślał?

Jego mama wstała, pochyliła się nad biurkiem i dotknęła ramienia Morgan. Nie był to wprawdzie uścisk, ale i tak był to dla jego matki pierwszy od dłuższego czasu fizyczny kontakt z inną osobą, nie licząc jego i Sharpa.

Morgan odwzajemniła dotyk, jak zwykle pozwalając jego matce ustalać granice.

— Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu, że nastawiłam kawę. Przywieźliśmy szarlotkę.

Mama uśmiechnęła się.

— Oczywiście, że nie mam nic przeciwko. Uwielbiam szarlotkę.

To przynajmniej była prawda.

Mama usiadła z powrotem i pomachała teczką z dokumentami.

— To tylko lista nazwisk. Opowiedzcie mi więcej o sprawie. Czy Chelsea Clark naprawdę rozplynęła się w powietrzu?

Jak jego ojciec.

— Nie mam dostatecznie dużo informacji, żeby to stwierdzić. — Uśmiechnęła się Morgan.

Jego matka skinęła głową z poważnym wyrazem twarzy.

— Naprawdę mam ochotę na szarlotkę — powiedziała Morgan, rzucając Lance'owi zatroskane spojrzenie. — Może porozmawiamy w kuchni?

Morgan i Lance poświęcili dwadzieścia minut na wprowadzenie matki Lance'a w niezbędne szczegóły sprawy. Lance z ulgą zauważył, że mama zjadła cały kawałek ciasta. Niepokój zawsze negatywnie wpływał na jej apetyt, więc to, że zjadła, stanowiło dobry znak.

— Na pewno nie masz nic przeciwko, żeby sprawdzić tych ludzi dla nas? — Upewnił się jeszcze.

— Chcę to zrobić. Nudzi mi się. — Pocałowała go na do widzenia i odprowadziła ich do drzwi.

Na zewnątrz Lance zatrzymał się na stopniu i obejrzał na zamknięte drzwi. Wyłuskał z kieszeni telefon i zadzwonił do Sharpa.

— Czy mógłbyś wpaść do mamy?

— Dzisiaj? — zapytał Sharp.

— To nic pilnego... — Lance zerknął na dom.

— Ale...

— Wydawała mi się jakaś dziwna. — Lance chciał usłyszeć opinię Sharpa, który nie był aż tak przewrażliwiony.

— Wpadnę dzisiaj — obiecał Sharp.

— Dzięki. — Lance zakończył rozmowę. Sam miał zamiar później sprawdzić, co u mamy.

— Co się stało? — zapytała Morgan.

— Sam nie wiem, może nic. — Lance czuł niepokój.

— Wydawała się zadowolona. Zjadła ciasto.

Lance odwrócił się i ruszył w kierunku jeepa.

— Wiem.

— Ale obawiasz się, że ta sprawa przypomni jej o twoim ojcu — zauważyła Morgan, zrównując z nim krok.

— Tak. — Chociaż tak naprawdę mama wydawała mu się inna, jeszcze zanim wspomniał o tej sprawie.

— Chcesz z nią zostać? Mogę sama porozmawiać z Fioną.

Zerknął na nią. Szal na jej szyi zakrywał sińce, jednak wiedział, że one tam są i że ciemnieją z każdą godziną. Po dzisiejszym incydencie pragnął być zawsze blisko Morgan. Wiedział wprawdzie, że Tyler Green jest w areszcie i nie stanowi zagrożenia, jednak jeśli chodziło o Morgan, Lance nie zawsze potrafił myśleć racjonalnie.

— Nie — odpowiedział. — Po prostu wrócę tu wieczorem i upewnię się, że wszystko w porządku.

Wskoczyli do jeepa i Morgan podała mu adres zamieszkania Fiony West.

Zapięła pasy.

— A jak ty się czujesz, pracując nad sprawą, która jest tak podobna do sprawy zniknięcia twojego ojca?

Lance w pierwszej chwili miał ochotę ją zbyć, jednak zmienił zdanie.

— Mogę sobie wyobrazić, jak Tim się teraz czuje.

— Jestem pewna, że tak jest.

Wycofał samochód z podjazdu i skierował się w stronę miasta.

— Wciąż nie otworzyłem teczki z dokumentami ze śledztwa w sprawie mojego ojca, którą dał mi Sharp.

Kilka tygodni temu Sharp dał mu tę teczkę, mówiąc, że teraz tylko od Lance'a zależy, czy chce poznać szczegóły w sprawie zaginięcia jego ojca.

Morgan nic nie powiedziała, jedynie chwyciła go za rękę.

— Boję się, że to wciągnie mnie jak bagno — powiedział Lance. — Albo że moja mama w jakiś sposób się o tym dowie. Ostatnie, czego jej trzeba, to przywołanie wspomnień z tamtych lat.

— Znasz jakiegokolwiek szczegóły?

Lance westchnął.

— Tylko podstawowe informacje. Miałem dopiero dziesięć lat, gdy to się stało. Sharp powiedział mi tyle, ile sądził, że mogę znieść. Szczerze mówiąc, nie było tego dużo. Nie odnaleźli wielu tropów. To były czasy sprzed telefonów komórkowych i

wszehobecnym kamer bezpieczeństwa, zanim jeszcze pobór opłat na autostradach i GPS sprawiły, że trudno jest zniknąć. W latach dziewięćdziesiątych wciąż płaciło się głównie gotówką.

— Po cóż więc miałbyś znowu grzebać w tej sprawie? — zapytała Morgan. — Czy znaleziono DNA lub inne dowody, które teraz można by lepiej zbadać?

— Nie sądzę.

Ścisnęła jego palce.

— Sharp jest dobrym śledczym. Mówiłeś, że zajmował się sprawą twojego ojca przez długie lata. Wątpię, aby coś przeoczył.

— Wiem. — *Ale czy rzeczywiście tak było?* Lance nie mógł być niczego pewien, dopóki sam nie przejrzy akt.

— Teraz prawdopodobnie będzie jeszcze mniej śladów. Wspomnienia bledną. Ludzie zmieniają pracę. Dwadzieścia trzy lata to szmat czasu.

— Masz rację. — Czy jednak mógłby ze sobą żyć, gdyby nawet nie spróbował? Lance postanowił przekierować rozmowę z powrotem na aktualną sprawę. — Opowiedz mi o Fionie.

Morgan otworzyła teczkę.

— Fiona West ma dwadzieścia sześć lat. Pracuje jako instruktorka fitness i nauczycielka jogi. Przez całe życie mieszkała w Scarlet Falls. Nie mamy jeszcze szczegółowych informacji o jej przeszłości, ale ze słów szeryfa wynika, że nie ma w niej niczego alarmującego. King nie był szczególnie otwarty i nie mam wątpliwości, że nie mówił mi wszystkiego o sprawie, jednak jestem też pewna, że nie kłamałby.

— To prawda — zgodził się Lance. — King nie lubi dzielić się informacjami i jest uparty, ale w naszych dotychczasowych kontaktach nigdy mnie nie okłamał.

Kilka minut później Lance zaparkował przed ceglanym budynkiem, w którym znajdowało się mieszkanie Fiony. Razem z Morgan podeszli do drzwi na parterze. Morgan uprzedziła wcześniej o ich wizycie, więc Fiona była w domu i czekała na nich.

Otworzyła drzwi zaraz po tym, jak zapukali.

— Wejdźcie.

Mieszkanie rozłożone było na planie kwadratu. Niewielka kuchnia z kąciem jadalnym otwierała się na pokój dzienny. Korytarzyk prawdopodobnie prowadził do pojedynczej sypialni i łazienki. Za szklanymi przesuwными drzwiami widać było niewielkie patio wychodzące na kawałek trawnika i parking. Nie było żadnego pięknego widoku.

Aby opisać Fionę, najlepiej było użyć słowa „urocza”. Była bardzo drobna, miała niewiele ponad metr pięćdziesiąt wzrostu. Ubrana w spodnie do jogi i za dużą koszulkę. Wysportowana i żywa, miała duże brązowe oczy i krótko obcięte kręcone, brązowe włosy.

Zaproponowała im kawę, lecz odmówili. Usiadła na sofie w japońskim stylu i podwinęła pod siebie nogi w sposób, który sprawił, że Lance'a rozbolały kolana.

Morgan usiadła obok niej, podczas gdy Lance ostrożnie przycupnął na nowoczesnym krześle z metalową ramą, które wyglądało tak, jakby lada chwila miało się załamać.

— Gdzie poznałaś Chelsea? — zaczęła Morgan.

Fiona zmieniła pozycję i przyciągnęła kolana do piersi.

— W studiu jogi. Prowadzę tam zajęcia przez kilka wieczorów w tygodniu.

Lance pochylił się do przodu, opierając przedramiona na udach.

— Jak często Chelsea przychodziła na zajęcia?

— Zanim urodziła Williama, ćwiczyła trzy razy w tygodniu. Ćwiczyła praktycznie do samego porodu — powiedziała Fiona. — Ale potem trudno jej było się zebrać.

— Dzieci to ogrom pracy — potwierdziła ze współczuciem Morgan. — A słyszałam, że William naprawdę jest trudny.

Fiona zacisnęła wargi.

— Zwłaszcza, jeśli mąż wcale nie pomaga. Nie rozumiem, dlaczego Chelsea się na to godziła. Robiła wszystko sama.

Morgan przechyliła głowę i skinęła nią.

Tim może nie pomagał przy dziecku, ale pracował i płacił rachunki. Lance jednak nie zamierzał się wtrącać. Trzymał usta zamknięte, wiedząc, że sprzeczenie się ze świadkiem nie jest najlepszym sposobem, aby zachęcić go do udzielania informacji.

— Odwiedzałam ją kilka razy w tygodniu. Ciągle tylko płakała. Martwiłam się, że ma depresję poporodową. — W głosie Fiony zabrzmiał gniew.

— Czy rozmawiałaś z nią o tym? — zapytała Morgan.

Fiona skinęła głową. W oczach zalśniły jej łzy. Wzięła chusteczkę z pudełka na stoliku i otarła oczy.

— Tak. Próbowalam ją namówić na odwiedziny u psychiatry. Twierdziła, że po prostu potrzebuje snu. — Fiona wydmuchała nos. — Na obronę Tima mogę powiedzieć, że mały nie chciał pić z butelki, a Fiona nie naciskała. Ulegała dziecku za każdym razem. Jeśli chodzi o dzieciaki, nie potrafiła być wobec nich stanowcza. Powtarzałam jej, że jeśli wyjechałaby z domu, dziecko by opanowało picie z butelki. — Fiona opuściła dłoń z chusteczką. — A Tim musiałby więcej pomagać.

— Sądzisz, że Tim miał cokolwiek wspólnego z jej zniknięciem? — zapytał Lance.

Fiona wyglądała na przerażoną samą tą sugestią.

— Nie. Boże, nie miałam na myśli niczego takiego. Tim jest naprawdę miłym gościem, po prostu czasami jest trochę oderwany od rzeczywistości i szczerze mówiąc, trochę marudny.

Morgan pochyliła się lekko do przodu.

— Fiona, głupio mi nawet o to pytać, lecz muszę to zrobić.

— Co takiego? — Fiona otworzyła szeroko oczy.

— Czy jest możliwe, że Chelsea była tak zdesperowana, że postanowiła na jakiś czas zniknąć?

— Pytasz, czy Chelsea mogła porzucić swoją rodzinę? — upewniła się Fiona.

— Tak — potwierdziła Morgan. — Świeże spojrzenie na sprawę polega też na tym, że musimy rozważyć wszystkie możliwości.

Fiona energicznie potrząsnęła głową.

— Nie. Nie ma mowy. Chelsea kocha dzieci bardziej niż siebie. Nigdy by ich nie zostawiła.

— A Tima? Czy mogłaby zostawić Tima? — zapytała Morgan.

— Nie sądzę. — Jednak tym razem Fiona nie wydawała się równie stanowcza. — Zawsze znajduje wymówki dla tego, co on robi. „Tim pracuje całymi dniami. Tim ma świetny kontakt z Bellą”. I tak dalej. Jednak nawet gdy to mówi, można się domyślić, że jej zdaniem Tim nie pomaga jej dostatecznie. Tak czy siak, jak bardzo by nie była wściekła na Tima, nigdy by nie zostawiła dzieci.

Morgan skinęła głową.

— Wydaje się, że jest wspaniałą mamą i żoną.

— Jest. — Fiona znowu pociągnęła nosem.

— To przykre, że ona i Tim przechodzili trudne chwile w małżeństwie — powiedziała ze współczuciem Morgan.

— To nie były tylko chwile. — Fiona potrząsnęła głową. — Mieli problemy na długo wcześniej.

— Jakiego rodzaju problemy? — Morgan przechyliła głowę.

— Tim pracował za dużo. Już w zeszłym roku Chelsea miała wrażenie, że oddalają się od siebie. — Fiona skrzywiła się. — I wtedy zrobiła coś naprawdę głupiego: zaszła w drugą ciążę. Mówiłam jej, że drugie dziecko tylko nasili ich problemy, ale ona sądziła, że ich do siebie zbliży.

— Tak się jednak nie stało — wtrącił Lance.

— Nie — chlipnęła Fiona.

— Kiedy ostatnio się z nią widziałaś? — zapytał Lance.

— Wpadłam na chwilę w środę — powiedziała Fiona.

— Czy w jej zachowaniu lub wyglądzie było coś nietypowego? — naciskał.

— Była zmęczona. — Fiona wyrzuciła chusteczkę do kosza. — Właśnie wróciła po bieganiu. Zajęłam się przez chwilę dziećmi, aby mogła wziąć prysznic.

— Jak zachowywał się William?

— Próbowałam ułożyć układankę z Bellą, jednak zamiast tego musiałam go w kółko nosić. Płakał przez cały czas, gdy nie widział mamy. — Fiona zaczęła obgryzać

skórkę przy paznokciu. — Ale to było normalne w jego przypadku.

— Płacz ci nie przeszkadzał? — zapytała Morgan. — Moja najmłodsza córka też miewała kolki. Ten płacz po paru godzinach naprawdę zaczyna wykańczać.

Fiona wzdrygnęła się.

— Naprawdę szarpał nerwy, ale chciałam pomóc. Nie wiem, jak Chelsea znosi ten jego ryk całymi dniami i nocami.

— Ale poza płaczem dziecka nic nie odbiegało od normy? — dopytywał się Lance.

— Nie. — Fiona otarła czubkiem palca łzę z kącika oka.

— Czy byłaś zaskoczona, gdy nie pojawiła się w piątek wieczorem? — zapytała Morgan.

Fiona potrząsnęła głową.

— Nie. Dwa tygodnie temu też miałyśmy się spotkać, ale Chelsea nie przyszła. Dzwoniłam do niej, lecz nie odbierała. Martwiłam się całą noc. Następnego ranka wysłała mi SMS-a z przeprosinami, pisząc, że William miał kiepską noc. Boże uchroni, żeby Tim zajął się małym przez jeden wieczór.

— A więc w piątek założyłaś, że stało się to samo — stwierdziła Morgan. — A kiedy rozmawiałaś z Chelsea ostatni raz?

— Około siódmej. Naprawdę cieszyła się na to spotkanie. — Fiona zignorowała kolejną łzę spływającą po policzku. Jej oczy lśniły od łez, gdy uniosła wzrok, aby spojrzeć na Lance'a i Morgan. — Gdzie ona jest?

— Zrobimy wszystko co w naszej mocy, aby ją odnaleźć. — Morgan zadała jeszcze kilka osobistych pytań o Chelsea, jednak odpowiedzi Fiony pasowały do tego, co wcześniej powiedział im Tim.

— Zadzwońcie do mnie, gdybyście jeszcze mieli jakieś pytania — powiedziała Fiona, odprowadzając ich do drzwi. — Zrobię wszystko, aby pomóc odnaleźć Chelsea.

Gdy wrócili do jeepa, Lance uruchomił silnik i zapytał:

— Jak sądzisz, czy Fiona jest zbyt surowa dla Tima, czy on naprawdę jest zapatrzonym w siebie palantem?

— Trudno powiedzieć. — Morgan odstawiła torbę na podłogę. — Pamiętaj, że Fiona nie jest mężatką i nie ma dzieci. Z jej perspektywy może to wyglądać tak, jakby Chelsea była pozostawiona samej sobie, jednak kto wie, jak to naprawdę wyglądało? Gdy Tim był u nas w biurze, nie wydawał się niekompetentny, jeśli chodzi o opiekę nad niemowlęciem, nawet jeśli nie czuł się w tej roli do końca pewnie. Chyba jednak musiał zajmować się wcześniej małym dzieckiem.

— Zapewne masz rację. Ich córka zdecydowanie jest do niego bardzo przywiązana. — Lance ruszył w kierunku biura. — Co robimy w kwestii obiadu?

— Nie mamy zbyt dużo czasu przed spotkaniem z szefem Tima w Speed Net — stwierdziła Morgan, sprawdzając godzinę na telefonie.

— Ale nie lubisz opuszczać obiadu z dziewczynkami.

— Dzisiaj nic na to nie poradzę. Gianna je nakarmi. Może wieczorem zdążę na kolację i położę je spać. — Morgan przyjęła pod swój dach dziewczynę, która zaofiarowała się, że będzie się zajmować dziewczynkami w zamian za dach nad głową i utrzymanie.

— Wiem, że chcesz znaleźć Chelsea, ale musimy też jeść.

Morgan i tak opuszczała zbyt wiele posiłków.

— Masz rację — powiedziała. — Ale naprawdę chcę ją odnaleźć. Dziś wieczorem wezmę do domu rachunki Clarków i przejrzę je, gdy dzieci pójdą już spać.

— Sharp obiecał, że zajmie się wyciągami telefonicznymi. Dla mnie zostają media społecznościowe. — Lance skręcił w stronę delikatesów

Żadne z nich nie było typem ludzi, którzy mogliby o piątej wyjść z biura i zapomnieć o sprawie takiej jak zaginięcie Chelsea. Mimo wszystko nie mogli jednak zaniedbywać bliskich, którzy na nich polegali. Zapowiadał się ciężki wieczór — pierwszy z wielu, dopóki nie odnajdą Chelsea Clark.

7Żywej lub martwej.

Rozdział 11.

Hol Speed Net przypominał Lance'owi modny loft, urządzone w oszczędnym, chłodnym stylu industrialnym. Ochrona budynku mogłaby stanowić konkurencję dla sejfów bankowych. Frontowe drzwi zamiast ze szkła, wykonane były ze stali. Lance i Morgan zostali wpuszczeni do budynku po tym, jak przedstawili się recepcjonistce za pośrednictwem wideo intercomu.

Lance oczekiwał, że nowoczesna firma informatyczna w roli recepcjonistki zatrudni młodą, modną osobę, jednak kobieta siedząca za nowoczesnym biurkiem była w średnim wieku, ubrana w wygodne granatowe spodnie i biały kardigan. Wyszła zza biurka, aby ich przywitać, i Lance ocenił, że jej czarne buty na grubej podeszwie miały wkładki ortopedyczne.

Na biurku stała wizytówka z napisem „Barbara Pagano”.

Speed Net została założona przez Elliota Pagano. Czy to mogła być jego matka?

Morgan przedstawiła ich i wręczyła recepcjonistce wizytówkę.

— Witajcie. Jestem Barbara. Elliot was oczekuje. — Jej uśmiech był tysiąc razy cieplejszy niż otaczająca ich przestrzeń ze szkła i metalu. Lance niemal spodziewał się, że zaraz zaproponuje im ciasteczka.

Barbara stanęła przed cyfrowym panelem i wprowadziła kod. Następnie przycisnęła kciuk do niewielkiej szklanej płytki. Drzwi odblokowały się z cichym kliknięciem, a ona je otworzyła.

— Tędy proszę.

Lance i Morgan weszli za Barbarą do dużego, otwartego pomieszczenia w stylu industrialnym, wypełnionego długimi stołami, biurkami i sprzętem komputerowym. W najdalszym rogu pomieszczenia znajdowało się kilka kanap i wyściełanych foteli stojących wokół telewizora z dużym ekranem. Piloty do gier wideo i puszki po napojach zagracały wąski stolik kawowy. Sufit znajdował się na wysokości co najmniej dziewięciu metrów. Ludzie, którzy krzątali się wokół, ubrani byli w dzinsy, koszulki oraz sportowe buty i mogliby z marszu zagrać w *American Pie*.

Przeszli po lśniącej podłodze do wydzielonej szklanym przepierzeniem sali konferencyjnej. Morgan postawiła torbę na podłodze i usiadła na szarym skórzanym krześle przy stole.

— Jest pani mamą Elliota? — zapytał Lance.

— Tak. — Uśmiechnęła się Barbara. W jej oczach załśniła duma. — Nie tylko mnie pozwala tu pracować: Elliot zatrudnił całą rodzinę, swojego tatę i brata Dereka. — Wskazała przez szybę. W dalszej części przestronnego pomieszczenia dwóch

mężczyzn instalowało jakiś przewód wzdłuż ceglanej ściany. — Byłby wściekły, gdyby usłyszał, jak to mówię, ale Elliot to taki dobry chłopak. Troszczy się o nas wszystkich. O, właśnie przyszedł.

Otworzyły się drzwi i wszedł przez nie młody mężczyzna, ubrany w dżinsy, tenisówki i szary T-shirt z motywem obracającego się TARDISA z serialu *Doktor Who*. Miał krótkie włosy, które wymagały już przycięcia. Gęsta grzywka opadała mu na czoło. Z ich wstępnie zebranych informacji wynikało, że Elliot miał dwadzieścia siedem lat i dzięki własnej inteligencji i pracy był już multimilionerem. Mimo młodego wieku jego sposób bycia zdradzał pewność siebie typową dla osób bardziej doświadczonych.

— Dzięki, mam — powiedział do Barbary, która wyszła z pokoju.

Lance wyciągnął do niego rękę.

— Dziękuję, że zgodził się pan z nami spotkać.

— Zrobię wszystko, aby wam pomóc. Nie mogę uwierzyć, że Chelsea zaginęła. — Elliot wymienił z nimi uścisk dłoni i usiadł naprzeciwko Morgan. Lance zajął krzesło obok niego. Tim podał im podstawowe informacje na temat swojego pracodawcy. Elliot zbudował firmę od podstaw po sprzedaży swojego pierwszego startupu za grube pieniądze. Nieźle jak na gościa, który wyleciał z college'u w wieku dwudziestu lat.

— To miłe, że pozwalasz rodzicom tu pracować — zauważył Lance.

— Chciałem po prostu dać im pieniądze, jednak mojemu ojcu niemal pękła żyłka na myśl o tym, że miałby przyjąć pieniądze, których nie zarobił — westchnął Elliot.

— Trudno go winić za etykę pracy — uśmiechnął się Lance.

— To prawda — zgodził się Elliot. — Większość moich pracowników trafiło tu, bo są bystrzy i potrafią ciężko pracować. Z nich wszystkich największym szacunkiem darzę Tima. Ja wprawdzie dorastałem w biedzie, jednak mogłem liczyć na wsparcie i miłość moich rodziców. Rodzina jest dla mnie wszystkim. Nie wiem, jak bym sobie poradził ze śmiercią żony bez nich. Tim nie miał takiej siatki wsparcia, gdy dorastał, jednak cieszę się, że teraz jest przy nim rodzina Chelsea.

— Przykro mi z powodu pańskiej straty — powiedział Morgan.

Elliot był wdowcem? Tak wczesna utrata partnerki mogła tłumaczyć jego dojrzałość.

— Co pan wie na temat rodziny Tima? — zapytała.

— Tim szczerze przedstawił mi problemy swojej rodziny z prawem, ponieważ informacje na temat jego ojca często wypływają przy okazji sprawdzania jego danych.

— Elliot splótł palce i oparł się na przedramionach. — Cieszę się, że go zatrudniłem. Ciężko pracuje i nigdy nie dał mi żadnych powodów, abym wątpił w jego lojalność.

— Co jest pan w stanie powiedzieć o jego żonie? — zapytał Lance.

Elliot wzruszył ramionami.

— Nie znam Chelsea zbyt dobrze. Spotykamy się latem na imprezach firmowych. Kilka razy do roku urządzamy pikniki, wiążące się z ćwiczeniami budowy zespołu. Partnerzy i partnerki są mile widziani. Chelsea zawsze brała w nich udział. Wydaje się bardzo miła i do szaleństwa zakochana w swoich dzieciach — powiedział Elliot ze smutnym uśmiechem.

Lance zerknął przez szybę. Wszyscy w firmie wyglądali młodo. Bardzo młodo. Wielu z nich musiało być świeżymi absolwentami college'ów i najwyraźniej nikt z nich nie miał w domu żelazka. Lance w swoim poważnym wieku trzydziestu trzech lat poczuł się staro. Młody człowiek w obcisłych dżinsach i wełnianej czapeczce przejechał obok na deskorolce. Szkło stłumiło turkotanie kółeczek po wypolerowanym betonie.

— Jak cenne są badania, nad którymi pracuje zespół Tima? — zapytała Morgan.

— Bardzo — krótko odparł Elliot. — Technologia, nad którą pracujemy, potencjalnie może zmienić dostęp do sieci w skali globalnej, zwiększając dostępność do taniego i szybkiego internetu bezprzewodowego.

— Tim ukończył college stanowy — zauważyła Morgan. — Sądziłam, że tak nowoczesna i wyspecjalizowana firma jak Speed Net będzie szukała absolwentów bardziej prestiżowych uczelni.

Elliot złączył czubki palców obu dłoni.

— Uczyłem się na prestiżowej uczelni. Nie pasowałem tam. Bogate, uprzywilejowane dzieciaki to nie byli moi ludzie. Jeśli widzisz, z jakim trudem twoi rodzice płacą rachunki, jeśli twoja rodzina została eksmitowana w środku zimy, jeśli zdarzyło ci się przygotowywać posiłek z najtańszego sera i keczupu, to rozumiesz wartość sukcesu w sposób, który jest niedostępny dla kogoś, kto nigdy nie miał takich problemów. Jeśli mimo tego że wywodzisz się z biednej rodziny, udało ci się skończyć college, zwracasz moją uwagę.

Świeże podejście.

— A poza tym — dodał Elliot, opierając się na krzesło — nie stać mnie na zatrudnienie absolwentów MIT.

I praktyczne.

— Kto jest twoim największym konkurentem? — zapytał Lance.

— Gold Stream — odpowiedział Elliot bez wahania, po czym zacisnął usta. — Levi Gold i ja byliśmy kiedyś partnerami. Naszą pierwszą firmę technologiczną, TechKing, założyliśmy, gdy mieliśmy po dwadzieścia dwa lata. Potem pokłóciliśmy się i sprzedaliśmy firmę.

— Jak poważna była wasza kłótnia? — zainteresował się Lance. — Czy możliwe, że żywi urazę lub chciałby sabotować wasze prace?

Elliot potrząsnął głową.

— Gdyby ktoś próbował włamać się do naszego systemu, bardzo uważnie przyjrzałbym się Leviemu. Ale porwanie? Nie.

— Czy ktokolwiek tutaj w Speed Net mógłby chować urazę do Tima? — zapytała Morgan.

— Nie. — Elliot zmarszczył brwi, jednak w jego oczach pojawił się ostrożny wyraz, który przeczył pewności w jego głosie.

— Na pewno jednak członkom zespołu zdarzają się nieporozumienia? — zasugerowała Morgan. — Pracujecie w stresie. Stawka jest wysoka.

— Oczywiście, że zdarzają się nieporozumienia, ale wszyscy jesteśmy tu profesjonalistami — uciął Elliot z rozdrażnieniem. — Ja jestem szefem. Gdyby ktokolwiek miał stać się obiektem pretensji, byłbym to ja.

Lance wyczuł, że Elliot coś ukrywa.

— Czy inni pracownicy znają Chelsea?

— Tak. Poznali ją w takich samych okolicznościach jak ja. — Elliot skrzyżował ramiona na piersi i odchylił się do tyłu, zwiększając dystans między nimi. Jednym palcem postukiwał w swój biceps.

Jego mowa ciała zdradzała stres. Lance wymienił spojrzenia z Morgan. Potrafili się porozumieć szybko i bez słów. Ona też poczuła ciekawość, jednak wiedziała, jak silnym narzędziem może być cisza. Minęło kilka sekund milczenia. Zza szklanego przepierzenia dobiegały do nich stłumione odgłosy aktywności.

Elliot westchnął głośno.

— No dobrze. Jakies sześć tygodni temu mieliśmy firmowy piknik. Tim i jego córka brali udział w wyścigu na trzy nogi. To było urocze. On uwielbia tę małą — Elliot nabrał powietrza i zmarszczył brwi. — Chelsea siedziała przy stole piknikowym, poruszając wózkem tam i z powrotem. Zauważyłem, że jeden z inżynierów z zespołu Tima, Kirk, uważnie ją obserwował.

Przerwał. Między jego brwiami pojawiła się zmarszczka. Zapatrzył się w ścianę, jakby odtwarzając w myślach tę scenę.

— Jestem pewny, że było to zupełnie niewinne. Chelsea jest bardzo atrakcyjną kobietą. Młodzi mężczyźni, zwłaszcza tacy jak ci pracujący tutaj, mający mało doświadczeń z kobietami, muszą zwrócić na nią uwagę. — Elliot spojrzął przez ramię. — Jeśli zerkniecie przez szybę, Kirk to ten z deskorolką.

Lance rozejrzał się po pomieszczeniu za szybą. Chłopak w czapeczce wyszedł z zamkniętego pokoju i pojechał do otwartego aneksu kuchennego. Mógłby być jeszcze uczniem szkoły średniej. Wciąż miał pryszczki.

— W jakim wieku jest Kirk?

— Ma dwadzieścia trzy lata. W zeszłym roku zrobił doktorat. Jest genialny, ale ma

zespół Aspergera. Emocjonalnie jest znacznie młodszy, kontakty społeczne są dla niego trudne. Może cały dzień rozmawiać o tym, jak dostarczać technologię 5G bez infrastruktury sieci światłowodowej, ale zaproszenie dziewczyny na randkę go przerasta.

— Czy Kirk miał jakiegoś rodzaju zatargi z kobietami w pracy? — Lance przyjrzał się ludziom po drugiej stronie szyby. Ponad trzy czwarte pracowników, których widział, stanowili mężczyźni.

Elliot potrząsnął głową.

— Nie. Tutaj pracują sami maniacy komputerowi, więc wszyscy mówimy tym samym językiem. Tak długo, jak rozmowy nie schodzą na tematy prywatne, Kirk dobrze sobie radzi.

— Czy możemy porozmawiać ze wszystkimi osobami z zespołu Tima? — zapytała Morgan.

— Oczywiście. — Elliot wstał. — Czy mam ich tu przysłać pojedynczo?

Lance skinął głową.

— Poproszę.

Elliot zawahał się w drzwiach.

— Bądźcie delikatni w stosunku do Kirka, dobrze?

— Dobrze. — Morgan posłała mu szczery uśmiech z zamkniętymi ustami.

— Musicie też zrozumieć, że nie będą mogli rozmawiać o projekcie — dodał Elliot. — To ogólna zasada.

„Dzięki Bogu” — pomyślał sobie Lance.

Jednak na głos powiedział:

— Tak, oczywiście. Jeszcze jedno — będziemy potrzebowali listy wszystkich pracowników.

Elliot zmarszczył brwi.

— No nie wiem. Zapewniam, że wszyscy zostali sprawdzeni przed zatrudnieniem. Listę dostał też szeryf. Zakładam, że sprawdzał wszystkich pod kątem wcześniejszych konfliktów z prawem.

— Wiemy o tym — powiedział Lance. — Jednak w każdym śledztwie dobrze jest spojrzeć na sprawę świeżym okiem. Mógłby się pan zdziwić, jakie rzeczy można przeoczyć, gdy ma się zbyt dużo informacji.

— Dobrze — zgodził się Elliot. — Każdy, kto tu pracuje, podpisał zgodę na sprawdzenie przeszłości i okresowe testy narkotykowe ze względu na wrażliwą naturę pracy tutaj. Nie chciałbym zawieść zaufania moich pracowników, bo to jednak niestandardowa sytuacja.

— Czy pamięta pan, gdzie był w ostatni piątek wieczorem? — zapytała od niechcienia Morgan. — Musimy sprawdzać wszystko dokładnie.

— Rozumiem. — Skinął głową Elliot. — Byłem u mojego brata.

— Co robiliście? — zapytał Lance.

— Nic szczególnego. On pracował przy swoim rowerze górskim, ja obserwowałem, wypiliśmy parę piw. — Elliot wzruszył ramionami. — Dziewczyna Dereka zerwała z nim kilka tygodni temu i jest przygnębiony.

— Zapewne nikt was nie widział? — Morgan zerknęła do notatek. — Zamówiliście może jedzenie z dowozem? Byliście na zakupach w okolicznym sklepie?

— Nie. Przykro mi. Gdybym wiedział, że będę potrzebować alibi, wyszlibyśmy na miasto — powiedział cierpko Elliot. — Zawołam Kirka.

Wyszedł z pomieszczenia. Kilka minut później Kirk wsunął się do sali konferencyjnej, odwrócił swoją deskorolkę i położył ją przed sobą na stole. Usiadł na krześle, na którym wcześniej siedział Elliot, i obserwował, jak kółka deskorolki się obracają. Od czasu do czasu rzucał szybkie, niemal płochliwe spojrzenia na Morgan, całkowicie ignorując Lance'a.

Morgan uśmiechnęła się do niego łagodnie.

— Cześć, Kirk.

— Hej — wymamrotał Kirk. Jego spojrzenie powędrowało od piersi Morgan do jej twarzy, po czym opuścił wzrok, zaczerwienił się i zaczął się wpatrywać w swoją deskorolkę.

— Chcieliśmy tylko zadać ci kilka pytań na temat Tima Clarka — zaczęła Morgan.

Kirk zaczął się bawić kółkiem deskorolki, obracając je palcem i patrząc, jak się kręci.

— Jasne.

— Jak długo pracowałeś z Timem? — zapytał Lance.

Na twarzy Kirka mignęła irytacja. Przemknął spojrzeniem po twarzy Lance'a, po czym utkwiał wzrok w jego piersi.

— Nie wiem dokładnie. Może ze dwa lata.

— Czy ty i Tim dobrze się dogadujecie? — zapytał Lance, starając się nadać rozmowie swobodny ton.

Kirk uniósł i opuścił jedno ramię.

— Jasne. Tim jest w porzo.

Morgan położyła złączone dłonie przed sobą na stole.

— Czy znasz jego żonę, Chelsea?

Wzrok Kirka powędrował ku jej dłoniom.

— No.

— Lubisz ją? — naciskała Morgan.

Mimo że przemawiała łagodnie, Kirk wydawał się kurczyć. Zgarbił ramiona i cofnął się na krześle.

— Chyba tak. — Bąknął i znowu trącił trzykrotnie kółko deskorolki. Kręciło się, szumiąc cicho.

— Czy jest dla ciebie miła? — Morgan zakręciła kciukami.

Kirk wydawał się zahipnotyzowany tym ruchem.

— Jest miła dla wszystkich.

Mimo że dzieciak miał ograniczone zdolności społeczne, był dostatecznie bystry, aby się zorientować, że jest na cenzurowanym.

— Czy kiedykolwiek z nią rozmawiałeś? — zapytała Morgan.

— Tak naprawdę to nie. — Kirk pociągnął za kołnierzyk koszulki. — Tylko cześć i takie tam.

Morgan nie przestawała poruszać palcami.

— Widziałeś ją na ostatniej imprezie firmowej?

— Tak. Przywiodła dzieci. Lubię dzieci. — Rozpogodził się Kirk.

— Wszyscy mówią, że Chelsea jest świetną matką — podsunęła Morgan.

— To prawda. — Kirk emfaticznie pokiwał głową.

— Szkoda, że zaginęła — powiedział Lance ostrym głosem, dopełniając rolę Morgan jako dobrego gliny.

Twarz Kirka zasepiła się. Wyglądał, jakby miał się rozplakać.

— Próbuje ją znaleźć. — Morgan rozplotła dłonie i sięgnęła do swojej torby, stojącej na podłodze przy jej stopach. Przesunęła po stole wizytówkę.

Kirk zagapił się na nią.

— Czy mógłbyś do mnie zadzwonić, gdyby przyszło ci do głowy coś, co mogłoby nam pomóc?

Zamiast odpowiedzieć, Kirk wziął wizytówkę i wsunął ją do tylnej kieszeni swoich obcisłych džinsów.

— Dziękuję, że zgodziłeś się z nami porozmawiać, Kirk. — Uśmiechnęła się Morgan. — Czy powiesz Elliotowi, że jesteśmy gotowi na następną osobę?

Kirk chwycił deskorolkę i ruszył szybko do wyjścia.

— Aha, Kirk. — Zatrzymała go Morgan. — Pamiętasz może, gdzie byłeś w ostatni piątek wieczorem? Wszystkich o to pytamy. — Uśmiechnęła się do niego szeroko.

Kirk zarumienił się.

— Grałem w *World of Warcraft* online.

— Ludzie nadal w to grają? — zdziwił się Lance. — Sądziłem, że teraz wszyscy szaleją za *Call of Duty*, *Overlook* i *Destiny*.

— W nie też gram. — Skinął głową Kirk.

— Czy grałeś sam? — Morgan znowu się do niego uśmiechnęła.

— Nie. To znaczy tak. — Zarumienił się i zacisnął palce na krawędzi deskorolki. — Grałem online z kumplami.

— Ale fizycznie nie znajdowaliście się w tym samym miejscu — uściślił Lance.

Kirk potrząsnął głową.

— Nie.

— Dzięki, Kirk — powiedziała Morgan.

Kirk wyszedł z pomieszczenia. Za drzwiami rzucił deskorolkę na beton i wskoczył na nią. Jego ciało przyjęło postawę „nareszcie wolny” niczym u dzieciaka, który wyrwał się z gabinetu dyrektora.

Lance i Morgan porozmawiali z pozostałymi pięcioma członkami zespołu Tima i nie dowiedzieli się niczego interesującego, pomijając to, że wszyscy nawzajem dawali sobie alibi.

Po ostatniej rozmowie Barbara odprowadziła ich do holu.

Na zewnątrz latarnie uliczne rzucały żółte kręgi światła na czarny asfalt parkingu. Temperatura spadła i w powietrzu czuć było zapach palonego drewna. Gdy szli do jeepa, Morgan zapięła płaszcz i zgarbiła ramiona pod wpływem chłodu.

— Czy to nie brat Elliota, Derek?

Lance podążył wzrokiem za jej spojrzeniem i dostrzegł idącego przez parking mężczyznę ubranego w dżinsy, skórzaną kurtkę i wełnianą czapkę.

— Tak.

— Może zapytamy go o piątkowy wieczór? — zasugerowała Morgan, już skręcając w stronę mężczyzny. — Cześć! — powiedziała, posyłając mu promienny uśmiech.

Skinął głową.

— Mogę w czymś pomóc?

Morgan przedstawiła ich. Lance milczał. Większość młodych mężczyzn lepiej reagowała na nią niż na niego, zwłaszcza gdy uruchamiała pokłady swojego uroku.

— Wiem, kim jesteście — powiedział Derek. — Wszyscy w środku o was mówią.

— Chcieliśmy tylko potwierdzić, że Elliot był z tobą w ostatni piątek wieczorem — powiedziała Morgan. — Poszliście coś zjeść?

Lance docenił jej próbę przyłapania Elliota na kłamstwie.

Derek potrząsnął głową.

— Nie, siedzieliśmy u mnie. Pracowałem przy swoim rowerze. — Rzucił okiem w stronę budynku i zmarszczył brwi. — Od czasu śmierci Candace Elliot nie jest sobą. Nie chcę, aby spędzał zbyt wiele czasu sam.

— Na pewno złamało mu to serce — powiedziała ze współczuciem Morgan.

— Tak. — Derek skinął głową. — Jeśli macie jakieś pytania na temat żony Elliota, najlepiej, żebyście porozmawiali z nim, jednak mogę wam od razu powiedzieć, że Elliot nie skrzywdziłby nawet muchy. Troszczy się o ludzi.

Morgan podziękowała. Lance ruszył pierwszy w stronę jeepa i po chwili wsiedli do środka.

— Przynajmniej potwierdziliśmy alibi Elliota. Aczkolwiek musimy brać pod uwagę to, że są braćmi. — Morgan zatrzasnęła drzwiczki i zadrżała. — Biedny Elliot. Dwadzieścia siedem lat to zbyt młody wiek na bycie wdowcem.

— To okropny cios w każdym wieku, jednak na pewno był to dla niego szok. To cud, że jest w stanie funkcjonować tak dobrze, aby prowadzić firmę.

— Może wykorzystał to, aby nie myśleć o żonie. Najlepiej jest się czymś zająć. — Morgan wiedziała, o czym mówi. Miała tylko trzydzieści jeden lat, gdy zmarł jej mąż. Bez wątplenia pomogło jej to, że musiała się skupić na dzieciach.

Lance uruchomił silnik.

— Kirk Armani wydawał się szczęśliwy, gdy mógł się od nas uwolnić.

— Ma zaburzenia ze spektrum autyzmu, więc nie przejmowałabym się tak bardzo jego mową ciała. — Morgan zapięła pasy. — Samo to, że musiał rozmawiać z dwójką nieznanymi, musiało być dla niego stresujące.

— Ale gdy zaczęliśmy pytać o Chelsea, jego dyskomfort wzrósł.

— To prawda. Ale biorąc pod uwagę, że zaginęła, to naturalne. Jest bez wątpienia bardzo inteligentny. Zobaczmy, co znajdziemy w jego przeszłości. — Morgan złożyła dłonie przy twarzy i chuchnęła w nie. — Czy sądzisz, że to możliwe, aby ktoś porwał Chelsea w celu wymuszenia informacji od Tima?

— W takim razie, dlaczego Tim przyszedł do nas, abyśmy znaleźli jego żonę?

— Nie wiem. — Roztarła dłonie. — A poza tym nie mamy żadnego listu z żądaniami.

— Nie, a minęło pięć dni od zaginięcia Chelsea. — Lance wziął dłoń Morgan w swoją. Jej palce były lodowate. Rozcierał przez parę sekund jej dłoń swoimi dłońmi, po czym puścił ją i wyjechał z parkingu.

— A jeśli porywacz chce poczekać, aż zainteresowanie policji sprawą zmaleje?

— Zazwyczaj scenariusz jest odwrotny. Porywacz kontaktuje się z rodziną natychmiast, aby zapobiec zaangażowaniu policji.

Morgan zmarszczyła brwi w namyśle.

— Co sądzisz na temat Elliota?

— Bystry, ambitny, pracoholik. — Z nawiewu zaczęło lecieć ciepłe powietrze i Lance podkręcił ogrzewanie.

— Jego alibi zapewnia mu tylko brat, chociaż z drugiej strony nie widzę żadnego powodu, dla którego Elliot miałby skrzywdzić Chelsea. — Morgan wyciągnęła dłonie w kierunku krzeseł w desce rozdzielczej. — Może jednak powinniśmy się dowiedzieć czegoś więcej o śmierci jego żony.

— Dam znać mojej mamie, chociaż pewnie sama na to wpadnie. — Lance zerknął na zegarek. Była prawie ósma trzydzieści. — Podrzucę jej dzisiaj listę pracowników Speed Net. Będę miał dobry pretekst, żeby złożyć jej kolejną wizytę. — Zazwyczaj

odwiedzał matkę raz dziennie.

Wnętrze samochodu rozgrzało się tak, że Lance prawie zaczął się pocić.

Jednak Morgan rozsiadła się wygodniej z pełnym zadowolenia westchnieniem.

— Wątpię, aby pracownicy dogadywali się tak dobrze, jak twierdzi. W pracy zawsze są jakieś kłótnie.

— Wysoki poziom stresu i grupa ludzi z bardzo wysokim IQ, za to ze słabymi umiejętnościami społecznymi — dodał Lance. — Zupełnie jak w szkole średniej.

— Prawda? — roześmiała się Morgan. — Czułam się jak taka *mama!*

Skrzyżowała nogi i ten ruch pozwolił Lance'owi przez chwilę dostrzec jej piękne udo.

— Nie sądzę, żeby Kirk postrzegał cię jako mamę.

Tak samo jak Lance, mimo że uwielbiał jej dzieci.

— Nie? — wydawało się, że ta uwaga sprawiła jej przyjemność.

— Nie. — Lance nie miał zamiaru traktować Kirka ulgowo ze względu na jego autyzm. Dzieciak zachowywał się dziwnie w stosunku do Morgan i jeszcze dziwniej, gdy zaczęli rozmawiać o Chelsea. Dopóki jej nie odnajdą, nikt nie jest wolny od podejrzeń, o ile nie ma naprawdę solidnego alibi.

Rozdział 12.

Ból był wszechobecny. Chelsea bolało całe ciało. Czy istniała jakakolwiek część jej ciała, którą oszczędził?

Nie potrafiła jej odnaleźć.

Otworzyła oczy. Były tak opuchnięte, że udało się jej jedynie spoglądać przez szparki między powiekami. Wzrok jej się zamazywał. Uniosła dłoń do twarzy i delikatnie obmacała jej bolące kontury.

Zrezygnowała po chwili i leżała nieruchomo. Jej żebra były posiniaczone. Za każdym razem gdy brała oddech, miała wrażenie, jakby ktoś nałożył jej gorset najeżony gwoździami.

Ból zagarniał ją falami, jednak złagodniał, gdy zaczęła oddychać głębiej.

Nie możesz się poddać!

Chelsea zmusiła się do otwarcia oczu nieco szerzej i rozejrzała się po pomieszczeniu na tyle, na ile była w stanie to zrobić, nie ruszając głową. Wciąż znajdowała się w kontenerze, wciąż była przykuta łańcuchem do beczki. Leżała na boku, skulona nago na płycie podłogi w rogu, gdzie wpełzła, usiłując uciec przed jego ciosami.

Ale nie było ucieczki.

Za próbę otwarcia beczki ukarał ją, zdarł z niej ubrania, zabrał łóżko, koc oraz wodę i zostawił ją drżącą w zimnym, pustym, metalowym pudle.

Po kilku minutach uniosła odrobinę głowę. Ten ostrożny ruch sprawił, że zakręciło się jej w głowie. Odwodnienie? Przełknęła ślinę. Wymioty nie były możliwe. Miała tak pusto w żołądku, jak gdyby była tam dziura. Nie piła niczego, odkąd ją pobił, i nie pamiętała już, kiedy ostatnio jadła.

Mimo wszystko zbierało się jej na mdłości, gdy ostrożnie zaczęła sprawdzać po kolei swoje kończyny. Podkuliła palce u stóp, zacisnęła dłonie w pięści, ostrożnie zgięła nogi w kolanach i ręce w łokciach. Jej mięśnie protestowały, jednak wydawało się, że jakimś cudem żadne kości nie zostały złamane. Nie odczuwała też przeszywającego bólu, który wskazywałyby na jakieś śmiertelnie niebezpieczne obrażenia, czuła jedynie uogólniony ból i wyczerpanie, które sprawiały, że nie miała ochoty się ruszać. Ale nie mogła sobie na to pozwolić.

Zrób coś albo umrzesz.

Oparła obydwie dłonie o podłogę i uniosła tors. Po chwili zawroty głowy minęły i usiadła prosto, opierając się o przerdzewiałą ścianę. Dotyk metalu na jej plecach był tak zimny, że zadrzała gwałtownie.

Zimno pomogło jej oprzytomnieć. Przyjrzała się swojemu ciału. Skóra pokryta była sińcami. Dotknęła dłonią opuchniętych ust. Krew pokrywała pękniętą wargę. Wymacała też bolesny guz na głowie.

Jednak poza sińcami i opuchlizną nie znalazła nic gorszego. Jej obrażenia wydawały się powierzchowne. Rozległe, lecz niezagrażające życiu.

Tak jakby dokładnie wiedział, jak mocno może ją uderzyć, nie wyrządzając przy tym poważniejszej szkody.

Tak jakby robił to już wcześniej.

Ruch wydawał się pomagać przewyciężyć sztywność mięśni. Przesunęła językiem po podniebieniu. Odwodnienie wydawało się najpoważniejszym zagrożeniem. Bez wody nie będzie w stanie przetrwać zbyt długo.

Nie mogła zrobić niczego poza czekaniem. Musiała odpoczywać, pozwolić ciału się goić. Gdy pojawi się okazja do ucieczki, będzie musiała być gotowa ją wykorzystać.

Spojrzała na otwór w dachu. Niebo było ciemne. Noc. Usiłowała ustalić, jak długo tu przebywała, lecz nie była w stanie tego zrobić.

Dźwięk otwierania kłódki i brzęczenie łańcucha zaskoczyły ją. W jednej chwili oprzytomniała i wyprostowała się. Ból przeszył jej ciało w odpowiedzi na gwałtowny ruch.

Otworzyły się drzwi. Wszedł do środka. Maskę skrywała jego twarz. Zadrżała. Jej wzrok powędrował do pojemnika z wodą, który trzymał w dłoni. Drugą rękę trzymał za plecami. Spojrzała na niego podejrzliwie.

— Obudziłaś się wreszcie — powiedział, przechylając głowę.

Czy był tu wcześniej? Czy obserwował ją, gdy spała?

Wstrząsnął nią dreszcz. Otworzyła usta, aby odpowiedzieć na jego powitanie, ale w głębi umysłu rozległ się dzwonek alarmowy.

Zasada numer jeden: rób, co każe.

Zamknęła usta, jakby była wyszkolonym psem. Jej wzrok nie chciał powędrować ku jego twarzy.

Zasada numer dwa: patrz w podłogę.

— Jak sądzisz, przyswoiłaś już sobie pierwszą lekcję? — zapytał.

Wpatrując się w swoje nagie stopy, skinęła głową.

— Dobrze. Wiedziałem, że jesteś bystra. — W jego głosie zabrzmiało zadowolenie. Postawił pojemnik z wodą u jej stóp. — Możesz się napić.

Pochyliła się i podniosła wodę. Jej osłabione, posiniaczone ramiona znalazły w sobie jakieś rezerwy sił. Odkręciła zakrętkę i napiła się. Woda pociekła jej z ust na podbródek. Chłodny płyn łagodził wysuszone gardło i usta. Jej ciało błagało o więcej.

— Marnowanie tego, co ci daję, to brak szacunku — powiedział ostrzejszym tonem.

Przeszył ją lęk. Skrzywiła się i przygotowała na cios, jednak nie nadszedł. Opuściła butelkę, otarła usta wierzchem dłoni i przelknęła. Uniosła wodę znowu do góry i sączyła ją powoli.

Uważnie.

— Grzeczna dziewczynka. — Jego pochwała była ulgą, a to, jak pragnęła ją usłyszeć, przeraziło ją.

Jednak instynkt mówił jej, że aby przetrwać, musi się przystosować. Bez wody nie wytrzyma długo. Musi robić wszystko, co możliwe, żeby był zadowolony, tak aby nie zostawił jej tu, aż wyschnie i umrze.

Wiedziała bowiem w głębi ducha, że to właśnie by zrobił, gdyby tylko uznał, że nie jest warta zachodu.

Czego od niej chciał?

Woda chlupała w jej pustym żołądku. Odstawiła pojemnik na podłogę. Miała ochotę wypić wszystko od razu, jednak obawiała się, że to mogłoby wywołać wymioty.

— Ponieważ jesteś tak grzeczna, mam dla ciebie coś jeszcze. — Wyciągnął przed siebie rękę, którą dotychczas trzymał za plecami. Trzymał w niej wełniany koc, złożony w równy prostokąt. Na wierzchu leżał jeszcze jakiś materiał. Położył koc na podłodze i rozprostował drugi kawałek materiału — była to jasnożółta sukienka. Pochylił się i podał ją jej. — Załóż ją.

Przysunęła się i wzięła ją z jego rąk. Odwróciła ją w dobrą stronę i przerzuciła przez głowę. Sukienka miała długi rękaw, talię pod biustem i kończyła się tuż pod kolanami. Mimo że uszyta była z cienkiej bawełny, to i tak była lepsza niż nic. Naciągnęła materiał na ugięte kolana.

— Czy pamiętasz zasadę numer trzy?

Lęk zaciążył jej w brzuchu, gdy próbowała sobie przypomnieć, co wykrzykiwał do niej po biciu. Jednak po uderzeniu w głowę, tym, które zostawiło jej guza za uchem, dźwięczało jej wtedy w uszach tak, że ledwo mogła go usłyszeć.

Dłonie zaczęły jej drżeć. Zaciśnęła palce w pięści. Łza spłynęła jej po policzku, gdy potrząsnęła głową.

— Powtórzę je jeszcze raz — powiedział cierpliwie. — I zapamiętasz je. Kolejne wykroczenia nie będą tolerowane. Rozumiesz?

Skinęła głową.

— W takim razie przypomnijmy je sobie. — Skrzyżował ramiona. — Uważaj. Jeśli je zapamiętasz, może zasłużysz na coś do zjedzenia.

Na wzmiankę o jedzeniu Chelsea poczuła, jak żołądek boleśnie się jej zaciska. Wyteżyła uwagę.

— Po pierwsze, należysz do mnie. Robisz, co każę, bez dyskusji. Jesteś moją własnością. Dwa, w mojej obecności patrzysz w podłogę. Po trzecie, nie odzywasz się

bez pozwolenia. Po czwarte, mogę cię ukarać za nieposłuszeństwo w sposób, jaki uznam za stosowny. Czy możesz to powtórzyć?

Chelsea skinęła głową, jednak czekała na pozwolenie, aby się odezwać. Kątem oka zobaczyła, jaki okrutny uśmiech wykrzywia mu wargi.

— Możesz się odezwać — powiedział z satysfakcją w głosie.

Mamrocząc przez opuchnięte wargi, powtórzyła jego zasady.

— Szybko się uczysz. — Sięgnął do kieszeni i wyjął z niej batonik proteinowy. Wyciągnął go w jej stronę. Próbowwała go schwycić, jednak w ostatniej chwili uniósł go tuż poza jej zasięg.

Wolną ręką chwycił ją za włosy.

— Pamiętaj. Ja nie żartuję. Jeśli jeszcze raz będziesz próbowała uciec, spiorę cię na krwawą miazgę, poderżnę ci gardło i zakopię w lesie. Rozumiesz?

Ból przeszył skórę jej głowy. Trzęsąc się ze strachu, skinęła głową, wdzięczna, że nie kazał jej powiedzieć tego na głos, bo strach sparaliżował jej struny głosowe. Ze strachu trzęsła się jak liść.

Puścił włosy i upuścił batonik na jej kolana. Jego dłoń zawisała nad nią. Palcem musnął jej posiniaczony, opuchnięty policzek.

— Wszystko będzie dobrze. Zobaczysz, że ja wiem najlepiej. Przyniosę ci łóżko. Jeśli będziesz grzeczna, przyniosę ci więcej jedzenia.

Wyprostował się, odwrócił i ruszył w stronę drzwi. Wrócił po chwili, ciągnąc łóżko z powrotem do kontenera. Wyszedł, zostawiając Chelsea sam na sam z myślami o tym, co przyniesie jutro i co będzie musiała zrobić, aby przetrwać.

Rozdział 13.

Zamknął drzwi, zdjął maskę i wystawił twarz na chłodne nocne powietrze. Ledwo mógł uwierzyć w to, jak szybko się uczyła. Poczł przyptyw przyjemności. Był podekscytowany niczym dziecko. Wszystko szło dokładnie tak, jak sobie zaplanował.

Odwrócił się, zatrzasnął mocną kłódkę i włączył alarm. Nigdy dość ostrożności. Musiał strzec swojego skarbu. Czł się zwycięzcą i miał zamiar zachować swoją nagrodę. Naprawdę była kobietą idealną. Nigdy nie pozwoli jej odejść.

Chelsea zrobiła tak ogromne postępy w tak krótkim czasie. Przesła jego najśmielsze oczekiwania.

Odpowiedzenie na bezpośrednie powitanie było odruchem, jednak mózg Chelsea powstrzymał tę naturalną reakcję. Widział to na własne oczy. Jej usta najpierw odruchowo się otworzyły, jednak jej mózg zainterweniował i zamknęła je. Bez wątpienia był to mechanizm obronny. Sprzeciw oznaczał ból. Posłuszeństwo prowadziło do fizycznego komfortu.

Pawł mógł się wypchać.

Nauczenie kilku psów w klatkach, aby śliniły się na dźwięk dzwonka, nie mogło się równać z jego osiągnięciem. W ciągu zaledwie kilku dni odwrócił dwie dekady jej wyuczonego zachowania. Jego surowa kara wymierzona w odpowiednim momencie wystarczyła, aby wyprzeć jej instynkt.

Niesamowite.

Naprawdę była wyjątkowa. Eksperyment przekraczał jego nadzieje.

Może mógł przyspieszyć rozwój wypadków. Pragnął od niej rzeczy, których jeszcze nie była gotowa mu dać. Wiedział, że są mężczyźni, których kręci, gdy kobieta stawia opór i walczy. Dla nich akt dominacji był erotyczny. On jednak był bardziej wyrafinowany. Chciał, żeby przed nim ukłękła i zaoferowała mu siebie bez żadnych zastrzeżeń. Nie będzie dla niego atrakcyjna, dopóki w pełni się nie podporządkuje. Sprzeciw i niezgoda u kobiety były szpetne.

Podporządkowanie.

Sięgnął do rozporka dzinsów. Podporządkowanie było seksowne. Nie mógł się doczekać dnia, w którym Chelsea mu się podporządkuje.

Jak długo to potrwa?

Trudno mu było stłumić niecierpliwość.

Dosłownie.

Uniósł dłoń. Jeśli podporządkowanie było najszlachetniejszą i najpiękniejszą cechą, jaką mogła osiągnąć jego kobieta, to jako jej mentor musiał się wykazać

samokontrolą i cierpliwością. Kary należało wymierzać z miłością, nie z gniewem. Jak dotąd dobrze wypełniał swoje zadanie. Ból, który jej zadał, był tymczasowy. Nie mógł jej skrzywdzić.

Zbyt wiele w nią zainwestował, aby ją stracić.

Ruszył w stronę szopy. Miał wielkie plany na jutro, kluczową lekcję dla Chelsea, prawdziwy test jej postępów.

Kij. Marchewka.

Ból. Ulga.

Zwłaszcza ból.

Zabierze Chelsea na samo dno. Jutro jej dusza zostanie obnażona do szczętu. Po tym nie będzie mogła już iść nigdzie indziej, tylko w górę. A gdy to on okaże się tym, który ją odbuduje fizycznie i psychicznie, będzie mu wdzięczna.

Będzie go uwielbiała.

Wszedł do szopy i odłożył maskę na bok. Jak długo jeszcze będzie jej potrzebował? Przecież nie mogła go opuścić. Nie martwił się tym, że pozna jego tożsamość. Jednak maska działała onieśmielająco. Odczłowieczała go, a ją przerażała. Z lęku rodziło się posłuszeństwo.

Miesiącami studiował psychologię tortur. Jego arsenał technik szkoleniowych obejmował tortury psychologiczne oraz fizyczne i nie obawiał się wykorzystać ich wszystkich, co do jednej. Lęk i poniżenie stanowiły cenną pomoc szkoleniową.

Dlatego właśnie nagość stanowiła jedną z konsekwencji złego zachowania. Ubranie oznaczało szacunek, a na szacunek trzeba sobie było zasłużyć.

Zaczął zbierać narzędzia. Oczekiwanie buzowało mu w żyłach. Musiał być cierpliwy. Czas pomiędzy kolejnymi sesjami był równie ważny jak same sesje. Chelsea potrzebowała czasu na zastanowienie i na fizyczną regenerację, tak samo jak jej mózg potrzebował czasu, aby uwolnić się od starych przyzwyczajzeń i stworzyć nowe.

Wybrał palnik i włożył go do torby z narzędziami. Jutro będzie wyjątkowy dzień.

Jutro sprawdzi, jak duże postępy uczyniła, i nauczy ją najważniejszej lekcji ze wszystkich.

Należała do niego. Jej dusza. Jej ciało.

Ona cała.

Rozdział 14.

Zajechali na podjazd domu Morgan. Sięgnęła w kierunku klamki.

— Morgan — zaczął Lance. Głęboki ton jego głosu zatrzymał ją w miejscu. — Myślę, że powinienem dostać buzi na dobranoc teraz. Sophie nie śpi, a strzeże cię niczym pies obronny.

Odwróciła się w jego stronę. Pochylił się, ujął jej twarz silną dłonią i pocałował ją delikatnie. Przymknęła oczy, gdy nie odrywał ust od jej warg. Jego usta były ciepłe, a pod ich delikatnym dotykiem kryła się prośba o więcej. Żałowała, gdy pocałunek dobiegł końca.

Chwyciła go za rękę, gdy zabrał ją z jej twarzy, i pociągnęła lekko. Jego oczy pociemniały i pocałował ją znowu, tym razem mniej delikatnie. Gdy skończył, brakowało jej tchu i było jej gorąco.

Uniósł głowę i jego dłoń wysmyknęła się z jej uścisku.

— Któregoś dnia uda nam się wreszcie spędzić kilka godzin sam na sam — powiedział schrypniętym głosem. — Nie, żebym narzekał, bo jeśli jest jakaś jedna rzecz, którą rozumiem, to jest nią opieka nad rodziną.

Wypuściła powietrze. Była już trochę zmęczona tym, że jej kobiecość musi czekać na swoją chwilę z powodu dobra jej rodziny. Spędziła dwa lata, nie odczuwając zainteresowania seksem. Teraz, gdy jej hormony znowu się obudziły, przeznaczenie rzucało im kolejne kłody pod nogi.

— W końcu to się stanie — obiecała. Ale im dłużej czekali, tym większe podniecenie i pożądanie odczuwała. I tym bardziej się denerwowała. Tak, to też.

Przez ostatnie dziesięć lat spała z jednym mężczyzną. Tylko z jednym.

A gdy ostatnim razem po raz pierwszy pokazała się mężczyźnie nago, była o wiele młodsza. Nie dało się urodzić trójki dzieci tak, aby nie zostawiło to po sobie śladów. Jej oczekiwanie mieszało się z niepewnością.

— Hej, coś nie tak? — zapytał Lance.

— Nie, nic. Nic. Po prostu mam nadzieję, że ten dzień nadejdzie raczej prędzej niż później — stwierdziła cierpko, przyglądając się przez szybę jasno oświetlonemu domowi.

Zdenerwowanie przed pierwszym razem z innym mężczyzną było naturalne. Nigdy nie podchodziła do seksu lekko. Dla niej fizyczna i emocjonalna bliskość były ze sobą nierozzerwalnie związane. Nigdy nie angażowała się w przygody na jedną noc i nigdy tego nie chciała. W całym swoim życiu spała tylko z dwoma mężczyznami, a za jednego z nich wyszła.

Jednak obiecała sobie, że będzie żyła pełnią życia.

A to oznaczało również, że będzie podejmowała ryzyko i być może narazi się na zranienie.

Lance ujął ją pod brodę i odwrócił jej głowę w swoją stronę.

— Jesteś pewna?

Jego dotyk zelektryzował ją. To, co było między nimi, było tak silne i prawdziwe, że niczym strzała przeszło jej wrażliwości. Pragnęła tego mężczyzny. Była jeszcze zbyt krucha emocjonalnie, aby odważyć się pomyśleć, że go kocha, jednak jej pragnienie wykraczało jedynie poza seks. Pożądała go w swoim łóżku i w swoim sercu.

Lepiej niż ktokolwiek inny powinna wiedzieć, że miłość warta była podjęcia ryzyka. Niezależnie od tego, jak ogromny ból przeżyła po stracie męża, nie zrezygnowałaby nawet z sekundy, którą dane było im spędzić razem, nawet gdyby to miało pozwolić jej uniknąć bólu.

Spojrzała mu prosto w oczy i pocałowała go znowu. Dotyk jego jędrnych ust na jej wargach uspokoił ją. *On ją uspokajał.*

— Jestem pewna. Chodźmy do domu.

Ledwo Morgan weszła do środka, rzuciła się na nią trójka dzieci i szczekający pies. Dziewczynki były już w piżamkach, a ich wilgotne włosy pachniały odżywką do włosów.

Gdy przykucnęła, aby objąć wszystkie córki w olbrzymim uścisku, usłyszała, jak Lance zamyka drzwi wejściowe.

— Tęskniłam za wami.

Przytulenie dzieci sprawiło, że pomyślała o Chelsea Clark. Czy jeszcze kiedykolwiek weźmie swoje dzieci w ramiona?

Morgan wypuściła dzieci z objęć, ale zanim się wyprostowała, podrapała za uszami swojego buldoga francuskiego, Snoozera.

Gdy tylko wstała, Sophie, jej trzylatka, wskoczyła na nią. Morgan przesunęła szczupłą dziewczynkę na jedno biodro. Sophie ścisnęła za jedną nogę swoją najnowszą ulubioną zabawkę, pluszowego Mustanga z filmu *Toy Story*.

— Upiękniliśmy z Gianną babeczki. — Sześćioletnia Ava chwyciła Lance'a za rękę i pociągnęła go w stronę kuchni. — *I jeszcze przyjechała ciocia Stella.*

Lance pozwolił się prowadzić.

Morgan postawiła Sophie na podłogę.

— Mia, a jak tobie minął dzień?

Pięcioletnia Mia była cichym dzieckiem.

— Nie przyszedł na obiad.

— Wiem, przepraszam. — Morgan zalała poczucie winy. — Ale teraz jestem. Czy

mogę dostać babeczkę?

Mia skinęła głową.

Weszły do kuchni. Gianna, niania dziewczynek, pakowała naczynia do zmywarki. Dziadek ze Stellą siedzieli przy stole nad miską babeczek, trzema miseczkami z lukrem i nożami do smarowania.

Dziadek Morgan wytarł usta w serwetkę. W kąciku ust został mu kawałek lukru. Morgan znacząco dotknęła kącika swoich warg i dziadek oblizwał się.

— Dziadku! — powiedziała Ava surowym głosem. — To już twoja trzecia! Nie powinieneś zjadać ich wszystkich, prawda, mamusiu?

— Prawda. — Morgan uniosła brwi, patrząc na dziadka.

Roześmiał się.

— Życie jest krótkie. Nie można rezygnować z deseru.

Wszystkie trzy córki spojrzały na Morgan z nadzieją.

Potrząsnęła głową, odwróciła się do dziewczynek i powiedziała:

— Każda po jednej.

— Miałś go pilnować! — powiedziała Ava do Stelli.

Stella roześmiała się.

— On mnie wcale nie słucha!

Stella latem zamieszkała ze swoim chłopakiem, Makiem, jednak wcześniej też mieszkała z dziadkiem. Gdy się tak zastanowić, to czy dziadek kiedykolwiek miał dom tylko dla siebie? Starszy brat Morgan, Ian, był już w college'u, gdy zginął ich ojciec, więc był dorosły, ale dziadek pomagał również wychowywać swoje trzy młodsze wnuczki. Ten człowiek był świętym.

Teraz sięgnął drżącą dłonią po kolejną babeczkę.

Stella odsunęła talerz z jego zasięgu.

— Nie sądzę, aby twój kardiolog to pochwalał.

Uparty święty.

— Można by pomyśleć, że w moim wieku mogę już robić, co zechcę — narzekał dziadek.

— To pomyśl jeszcze raz. — Morgan pocałowała go w policzek. — Za bardzo cię kochamy, żeby na to pozwolić.

Dziewczynki wróciły do smarowania babeczek lukrem. Ava i Mia pracowały powoli i starannie, natomiast babeczki Sophie wyglądały tak, jakby do ich zdobienia użyto gaśnicy.

Morgan pociągnęła nosem. Kuchnia pachniała pieczonym mięsem i warzywami.

— Pachnie przepięknie. — Zwróciła się do Gianny. — Co było na obiad?

— Duszona wołowina. — Gianna osuszyła gliniane naczynie i odstawiła je na blat. — Zostało jeszcze, jeśli jesteś głodna.

— Jedliśmy, ale chętnie zjem babeczkę. — Morgan sięgnęła po jedną z talerza.

Mimo że Gianna nadal była zbyt szczupła, to od czasu, gdy za namową Morgan wprowadziła się do nich cztery lata temu, ta ciemnowłosa dziewczyna przybrała na wadze co najmniej pięć kilogramów i straciła ziemisty kolor skóry. Wciąż potrzebowała dializ, jednak jej zdrowie i jakość życia poprawiły się tak bardzo, że sama zaproponowała, iż odwdzięczy się Morgan, opiekując się jej córkami.

Ava starannie wygładziła lukier na babeczce i podała ją Lance'owi.

— Ta jest dla ciebie.

— Dzięki. Waniliowe to moje ulubione. — Lance wziął babeczkę i pożarł ją w trzech kęsach. — Muszę lecieć. Przyjadę po ciebie o ósmej trzydzieści?

O dziewiątej mieli zaplanowane spotkanie z szefem Chelsea.

— Świetnie — powiedziała Morgan, zadowolona, że pocałowali się na dobranoc w jeepie. — Gdzie jest Mac? — zapytała Stellę, gdy Lance już wyszedł.

— Na szkoleniu ratowniczym. Pięć dni w lesie. Jest w niebie. — Stella często powtarzała, że Mac nie jest w pełni udomowiony i nigdy nie będzie. Świetnie czuł się w dziczy i przyłączył się do lokalnego oddziału ratowniczo-poszukiwawczego. — Lepiej już pójdę — dodała. — Jutro muszę wcześniej wstać.

— Odprowadzę cię. — Morgan poszła za siostrą do drzwi frontowych.

— Naprawdę dobrze radzi sobie z dziećmi — zauważyła Stella, zapinając płaszcz.

— Wydaje się lubić ich towarzystwo — potwierdziła Morgan, otwierając jej drzwi.

— Masz szczęście, że drugi raz w życiu udało ci się trafić na porządnego faceta.

— To prawda. — Morgan przełknęła smutek, który stanął jej gulą w gardle na wspomnienie nieżyjącego męża. Koniec oplakiwania straty. Czas był spojrzeć w przyszłość. Wyszła za siostrą na zewnątrz. — Jak poszło u kardiologa?

— O ile wiem, lekarz zmienił mu dawki leków. Dziadek nie pozwolił mi wejść ze sobą do środka. — Stella wyciągnęła z kieszeni kluczyki od samochodu.

— Dlaczego on jest taki uparty?

— Bo jest Dane'em? — Stella odgarnęła włosy z twarzy. — Do zobaczenia jutro.

— Dziękuję, że dzisiaj z nim pojechałaś.

— Hej, to też mój dziadek. Nie powinnaś mieć wrażenia, że wszystko musisz robić sama. Razem sobie poradzimy. — Stella wsiadła do samochodu i odjechała.

Morgan stała przez chwilę, patrząc za samochodem znikającym w ciemności. Stella miała rację. Morgan nie musiała robić wszystkiego sama. Dlaczego zawsze tak jej się wydawało? Zaczynała mieć już dosyć poczucia, że nie tylko musi zarobić na jedzenie, ale jeszcze na dodatek je przygotować.

Odwróciła się w kierunku domu. Poczwała, jak włosy na karku jej się jeżą. Czy ktoś ją obserwował?

Odwróciła się znowu, przesywając spojrzeniem ciemności poza zasięgiem

światła. Nikogo nie widziała przed domem, a ulica w obydwu kierunkach też była pusta. Wiatr poruszył liśćmi w rynsztoku. Najwyraźniej jej wyobraźnia, poruszona zniknięciem Chelsea, podsuwała jej nieistniejące obrazy.

Jednak ruszyła w stronę drzwi szybszym krokiem. Weszła do środka, zamknęła drzwi na zamek i włączyła alarm. Dziadek poważnie traktował kwestie bezpieczeństwa. Założył światła aktywowane ruchem, kamery i porządny system alarmowy.

Sophie czekała na nią w korytarzu.

— Jeśli wybierzesz książeczkę, to wam poczytam — obiecała Morgan. Może przytulanki z dziećmi pozwolą jej się odprężyć. Wyraźnie potrzebowała chwili odpoczynku.

— *Toy story!* — zawołała Sophie, biegnąc w kierunku sypialni, którą dzieliła z siostrami.

Powrót Morgan do pracy sprawił, że wszystkie dziewczynki stały się bardziej przylepne. Mimo stałej obecności Gianny Morgan starała się być przy nich wieczorem. Było coś wyjątkowego w kładzeniu dzieci do łóżek, upewnianiu się, że są bezpieczne i zadowolone, opatulaniu je na noc, zanim sama mogła przygotować się do odpoczynku.

Przeczytała dzieciom książeczkę, ucałowała je na dobranoc i otuliła kołderką ich drobne ciała. Jak zawsze serce się jej ścisnęło, gdy dziewczynki mówiły „dobranoc” zdjęciu taty stojącemu na komodzie w ich pokoju, jednak ogólnie radziła sobie coraz lepiej, rzadziej płakała. John jasno jej zakomunikował, że chciałby, aby cieszyła się życiem i ruszyła do przodu.

Ale niech to szlag, żonglowanie wszystkimi obowiązkami w jej życiu bywało naprawdę *trudne*. W jaki sposób mogła sprawić, aby jej związek z Lance'em również stał się priorytetem?

Nie mogąc znaleźć odpowiedzi na to pytanie, niemal z ulgą wróciła do sprawy zniknięcia Chelsea Clark.

Położywszy dziewczynki do łóżka, Morgan otworzyła na stole w kuchni swoją teczkę i zaczęła przeglądać finanse Clarków. Chelsea i Tim nie wystawiali zbyt wielu czeków. Większość transakcji bankowych stanowiły zlecenia stałe na opłatę miesięcznych rachunków i bezpośrednie wypłaty. Tim płacił rachunki za media online. Chelsea i Tim mieli osobne rachunki kredytowe. Aktywność na rachunku Tima była nieco większa, jednak nie widać było niczego nietypowego w czasie ostatnich trzech miesięcy. Większość stanowiły powtarzające się transakcje, nudne zakupy typu kawa i kanapki. Morgan przejrzała wyciągi Chelsea.

Do kuchni wszedł dziadek i nalał sobie szklanekę mleka.

— Co robisz?

— Przeglądałam finanse moich klientów. Nie widzę w nich niczego niepokojącego, ale mam zamiar jak najdokładniej przejrzeć ostatnie poczynania żony. Na razie zakładam, że Chelsea została porwana. Jednak jeśli ktoś to zaplanował, to musiał ją wcześniej gdzieś zobaczyć.

Dziadek skinął głową.

— Najlepiej zacząć od najgorszej opcji. Jeśli po prostu postanowiła porzucić swoją rodzinę, to będzie żyła i będzie ją można odnaleźć później.

Tak wiele pytań.

— Czy nie powinieneś używać swojej łaski? — zapytała.

— Nie potrzebuję jej. — Jednak poruszając się po kuchni, dziadek opierał jedną rękę na ścianie lub na blacie. — Większość kobiet zostaje skrzywdzona przez mężczyzn, którzy już wcześniej pojawili się w ich życiu, tak więc najlepiej będzie od tego zacząć. Jeśli to przestępstwo było przypadkowe, będzie ją trudniej odnaleźć.

Dziadek wypił mleko, przytrzymując się jedną ręką krzesła.

Morgan zaczęła tworzyć listę miejsc, które Chelsea odwiedzała w ciągu ostatnich kilku miesięcy. Jej wyciągi pokazywały, że regularnie odwiedzała lokalny sklep spożywczy, jak również bywała w Walmarcie i na stacji benzynowej. Morgan zapisała sobie adresy. Dodała trafiające się sporadycznie wizyty w kawiarniach, kilku niewielkich sklepikach i warsztacie samochodowym. Na wyciągu nie było płatności za zajęcia jogi, ale Chelsea i tak dopisała do listy studio jogi.

— Niewiele znalazłam.

— Chcesz o tym pogadać? — Dziadek był emerytowanym policjantem z wydziału zabójstw.

— Młoda matka umówiła się z przyjaciółką na drinka — zaczęła Morgan, po czym pokrótce zreferowała mu sprawę.

Dziadek sięgnął przez stół i wziął zdjęcie Chelsea. Przyglądał mu się przez chwilę uważnie.

— Wzięliście pod uwagę handel żywym towarem?

— Nie jest na to trochę za stara? Czy w takim celu zwykle nie porywa się nastolatek?

— Tak, ale ona wygląda młodo, poza tym ma ten zdrowy amerykański blond typ urody, który cieszy się zainteresowaniem w tych kręgach.

— Będę to miała w pamięci. — Morgan pochyliła się nad laptopem.

Dziadek odłożył zdjęcie, podszedł do lodówki i nalał drugą szklankę mleka. Postawił ją przed Morgan na stole, po czym wziął z pojemnika na blacie dwie babeczki i jedną podał Morgan.

— Znasz moje słabości. — Morgan wgryzła się w babeczkę. Tylko policyjne rodziny mogły jeść babeczki, przeglądając akta osoby zaginionej.

— Od urodzenia lubiłaś słodycze — stwierdził dziadek. Zjadł babeczkę, przysunął sobie krzesło obok niej, usiadł i postawił szklanekę mleka przed sobą.

— Wygląda, że to genetyczne. Czy to nie twoja czwarta? — Oparła na chwilę głowę na ramieniu dziadka. Może i straciła oboje rodziców i męża, jednak dziadek zawsze był przy niej, gdy tego potrzebowała. — Nie mieliśmy czasu wczoraj porozmawiać. Jak twoja wizyta u kardiologa?

— Moje serce wciąż bije.

Klepnęła go żartobliwie w ramię.

— Mówię poważnie. Nie czułeś się ostatnio najlepiej, a to nietypowe.

— Kochanie, wiem, że się martwisz — powiedział dziadek. — Wciąż jeszcze jestem po tej stronie, ale pewnego dnia to się zmieni.

Morgan wzięła drżący oddech.

— Jesteś silniejsza, niż to sobie uświadamiasz. — Poklepał ją po dłoni. — Dasz sobie radę.

Skinęła jedynie głową, nie mogąc wydobyć z siebie głosu.

— Na razie nigdzie się nie wybieram, więc przestań robić smutne miny. — Wskazał na babeczkę. — Zjedz, żebyśmy mogli popracować nad twoją sprawą. Może i jestem stary, ale jeszcze wiem to i owo o przestępcach.

— Masz rację. — Morgan wyprostowała się, zlizwała lukier z palców i przewróciła kartkę w teczce. — Muszę sprawdzić stanowy rejestr przestępców seksualnych i zobaczyć, ilu z nich przebywa w okolicy.

— Zbyt wielu.

— Tak. — Wiedziała już, że liczba ta była wyższa, niż ktokolwiek chciałby przypuszczać. W stanie Nowy Jork zarejestrowanych było prawie czterdzieści tysięcy przestępców seksualnych. Biorąc pod uwagę, że wiele przestępstw seksualnych nigdy nie było zgłaszanych, rzeczywista ich liczba musiała być dużo, dużo wyższa. Po kilku uderzeniach w klawisze miała listę nazwisk. — W hrabstwie Randolph mieszka obecnie sto sześćdziesiąt siedem osób, które już były skazane za przestępstwa seksualne. Sprawdzanie ich potrwa wieki.

— Mogę ci jakoś pomóc?

— Chcesz drugą połowę listy? — zapytała Morgan.

— Jasne.

— Przyniosę twojego laptopa. — Poszła do jego pokoju po komputer.

W wieku osiemdziesięciu paru lat dziadek wprawdzie nie poruszał się tak sprawnie jak kiedyś, jednak jego umysł nie stracił dawnej bystrości. Wyciągnął okulary z kieszeni na piersi swojej flanelowej koszuli i założył je na czubek nosa.

— Co potrzebujesz wiedzieć?

— Na początek nazwisko i adres pracodawcy. Spróbujemy je porównać z listą

miejsc, które odwiedzała Chelsea. Jeśli znajdziemy jakieś punkty wspólne, będziemy szukać więcej informacji.

Rejestr przestępców seksualnych stanu Nowy Jork zawierał szczegółowe profile przestępców drugiego i trzeciego stopnia. Adres domowy, adres pracy, opis wyglądu, informacje na temat wyroku, zdjęcia, numery rejestracyjne pojazdów i szczegółowe ograniczenia prawne nałożone na danego osobnika były dostępne dla każdego.

Morgan nie znalazła żadnego przestępcy seksualnego mieszkającego w okolicy zamieszkania Chelsea ani w bezpośrednim sąsiedztwie miejsca, gdzie znaleziono jej samochód.

Jednak dziewięćdziesiąt minut później zamarła. Jeden z adresów w bazie wyglądał znajomo. Wróciła do listy miejsc, odwiedzanych przez Chelsea. Tak, to był ten sam adres!

— W zeszłym miesiącu Chelsea zawiozła swój samochód do warsztatu Burnsów. — Przeniosła wzrok na listę przestępców seksualnych. — Adres warsztatu odpowiada miejscu zatrudnienia Harolda Burnsa, zarejestrowanego i skazanego za ciężkie przestępstwo na tle seksualnym i z użyciem przemocy. — Wróciła do swojego komputera. — Harold ma trzydzieści pięć lat. Odsiedział siedem lat w więzieniu stanowym za gwałt pierwszego stopnia na dwudziestotrzyletniej kobiecie.

Przestępcy tego typu winni byli najcięższych przestępstw, zarówno z użyciem przemocy, jak i bez, wobec osób nieletnich i dorosłych. Ich rejestracja w bazie była dożywotnia, a oni zobowiązani byli do regularnego aktualizowania informacji osobistych.

— Czy ofiara była mu znana czy nie? — zapytał dziadek. Większość przestępców seksualnych znało swoje ofiary.

Morgan sprawdziła.

— Nieznajoma. Użyte środki przymusu: groźby, przemoc fizyczna, broń palna.

Twarz dziadka ściągnęła się.

— Nie potrafię pojąć, dlaczego taki człowiek znajduje się na wolności.

— Więzienia są pełne, a minimalny wyrok za gwałt pierwszego stopnia to tylko pięć lat. Niektórzy nie odsiadują nawet tyle, jeśli udaje im się uzyskać wcześniejsze zwolnienie za dobre sprawowanie.

— Tak, tak, wiem. Ale i tak. Burns był skłonny do użycia przemocy, już idąc do więzienia. Mogę się założyć, że siedem lat w pudle nie sprawiło magicznie, że stał się łagodny jak baranek.

Morgan potrząsnęła głową.

— Nie, ale jest na wolności od trzech lat i uniknął kolejnego aresztowania, wydaje się też, że spełnia wszystkie wymogi rejestru.

— Jak na razie. — Nie ustępował dziadek. — A to, że nie został aresztowany, nie

oznacza, że nie popełnił żadnego przestępstwa. Po prostu nie został złapany.

Harold jeździł czerwoną półciężarówką chevrolet. Morgan skopiowała numery rejestracyjne.

— Ponieważ ma na nazwisko Burns i tak też nazywa się warsztat, zakładam, że jest spokrewniony z właścicielem.

— Mogę poszukać informacji dotyczących sąsiednich hrabstw, jeśli chcesz — powiedział dziadek z nadzieją w głosie. Brakowało mu pracy policyjnej.

— Jesteś pewny? To mozolna robota.

— Nie przeszkadza mi to. Praca pozwala zachować bystrość umysłu.

— Z twoim umysłem wszystko jest w porządku. — Zerknęła na zegarek. Prawie północ. Zbyt późno, aby dzwonić do matki Lance'a. Morgan wysłała jej e-mail. Następnie skopiowała do notesu informacje na temat Harolda Burnsa i wydrukowała jego zdjęcie. Jutro Jenny Kruger będzie mogła wyszukać więcej informacji na jego temat. Morgan wzięła zdjęcie z drukarki w salonie i spojrzała na Harolda Burnsa.

Miał około metr osiemdziesiąt wzrostu i sprawiał niechlujne wrażenie. Długie do ramion, siwiejące włosy związane miał w koński ogon, broda była zapuszczona, a jego brązowe oczy miały przerażająco wyprany z emocji wyraz.

Czy patrzyła na zdjęcie człowieka, który porwał Chelsea?

Rozdział 15.

Następnego ranka Lance otworzył drzwi do domu Morgan i w tym samym momencie przebiegła obok niego dwójka dzieci.

— Cześć, Lance! — rzuciła w biegu Ava, pędząc w stronę ulicy.

Ciągnąc po chodniku torbę z książkami, Mia zatrzymała się na moment i uściskała go.

— Muszę lecieć.

Drzwi otworzyły się szerzej i wypadła przez nie Morgan, trzymając w ręku kartkę.

— Poczekaj!

Ubrana była w szare spodnie i pasujący do nich żakiet, jednak nie miała na sobie płaszcza i była boso. Spodnie były nieco za długie, dlatego biegła na palcach. Szal na jej szyi pełnił bardziej funkcję dekoracyjną, niż ogrzewał. Wiedział, że założyła go tylko dlatego, żeby dzieci nie widziały sińców na jej szyi. Rozpuszczone włosy powiewały na wietrze wokół jej twarzy. Zimno sprawiło, że jej jasna cera niemal natychmiast się zarumieniła. W jego oczach Morgan zawsze była piękna, jednak zazwyczaj wyglądała idealnie i jak z obrazka. Gdy udawało mu się ją przyłapać w takiej zwykłej, beztroskiej sytuacji, zanim jeszcze nałożyła swoją zawodową maskę, miał wrażenie, że staje się jej intymnie bliższy, i to odebrało mu dech.

— Stójcie! — zawołała stanowczo.

Obydwie dziewczynki zatrzymały się w miejscu jak wryte.

— Ava! Zapomniałaś zgody! — Morgan pomachała świstkiem papieru w powietrzu.

Ava odwróciła się i Morgan włożyła złożoną kartkę do kieszeni jej plecaka w momencie, gdy zza rogu wyłonił się szkolny autobus. Morgan chwyciła dziewczynki za ręce i przytrzymała, aż autobus zupełnie się zatrzymał, następnie pocałowała je oraz pozwoliła im się wyrwać i pobiec do autobusu.

Gdy odjechały, zwróciła się do Lance'a z zarumienionymi policzkami:

— Przepraszam, mam małą obsuwę czasową.

Odgarnęła z twarzy grzywę ciemnych włosów. Widok jej uśmiechu sprawił, że słowa uwięzły mu na moment w gardle. Jej wolne od makijażu usta wyglądały na miękkie i ciepłe. Pragnął skosztować ich smaku. Pocałunek z poprzedniego wieczoru narobił mu apetytu na więcej.

Pochylił się do przodu, jednak powstrzymało go wrażenie, że ktoś ich obserwuje. Rozejrzał się dookoła i dostrzegł sylwetkę w oknie pokoju dziennego. Sophie. Skrzyżowała szczupłe rączki na piersi.

Lance wyprostował się.

— Twoja córka krzywo na nas patrzy.

Widział, jak Sophie odwróciła się i oddaliła od okna.

Morgan westchnęła.

— Za pięć minut będę gotowa.

Odchrząknął i przytrzymał jej drzwi, gdy wchodzili do środka.

— Nie spiesz się, spotkanie z Curtisem MacDonaldem mamy dopiero na dziewiątą.

Zadrżała i potarła ramiona.

— Dzięki.

Lance zajrzał do kuchni. Art czytał gazetę, Sophie jadła naleśnika, a Gianna pakowała naczynia do zmywarki. Sophie i Gianna były jeszcze w piżamach. Pies zebrał u stóp dziewczynki. Ten obrazek emanował ciepłem i szczęściem, a stos brudnych naczyń w zlewie stanowił jedyną oznakę tego, jakie zamieszanie prawdopodobnie poprzedzało tę chwilę spokoju.

Gdyby rok temu powiedział sobie, że taki chaos wyda mu się ciepły i zachęcający i że będzie chciał być jego częścią, nie potrafiłby w to uwierzyć.

— Dzień dobry — powiedział.

Art uniósł głowę znad gazety.

— Dobry.

— Zrobić ci śniadanie? — zapytała Gianna.

— Nie, dzięki. — Lance potrząsnął głową. — Musimy lecieć.

— Jestem gotowa. — Morgan stanęła w progu, zapinając płaszcz. Włożyła do torby niewielką parasolkę.

Wyszli z domu i ruszyli do samochodu. Lance wślizgnął się za kierownicę, uruchomił silnik, po czym zwrócił się w stronę Morgan i odchylił jej szal. Sińce na jej szyi zmieniły kolor na ciemny fiolet.

— Czy to boli? — Musnął palcem jej szczękę, puszczając materiał.

Poprawiła szal.

— Wygląda gorzej, niż jest naprawdę.

— Mam nadzieję, bo wygląda naprawdę strasznie.

— Jejku, dzięki — westchnęła Morgan. — Jak tam twoja matka wczoraj?

— Bez zmian. Może po prostu mam paranoję. — Jednak miał wrażenie, że jego matka nie jest sobą i że powinien mieć na nią oko.

— Robisz, co w twojej mocy, i to wystarcza — stwierdziła Morgan. — Och, mam wieści w sprawie. W zeszłym miesiącu Chelsea zaprowadziła samochód do warsztatu, w którym pracuje człowiek zarejestrowany w bazie przestępców seksualnych.

Opowiedziała mu o szczegółach swojego odkrycia.

— Miałaś więcej szczęścia niż ja. — Lance ruszył w kierunku miasta. Firma księgową „Skyver i MacDonald” była miejscowa. — Chelsea korzystała z serwisów społecznościowych głównie po to, aby publikować zdjęcia dzieci. Miała bardzo niewielu znajomych i generalnie dbała o prywatność. Wydaje się, że wszyscy jej znajomi online zaliczają się do rodziny, współpracowników lub przyjaciół. W jej ostatnich postach i komentarzach nie ma niczego niepokojącego albo odbiegającego od normy. Oczywiście istnieje zawsze możliwość, że ktoś włamał się na jej konta, ale nie widziałem niczego, co by za tym przemawiało. Tim w ogóle nie ma kont w mediach społecznościowych.

Lance włamał się też do plików z pracy Chelsea, ale nie wspomniał o tym Morgan. Nie miał zresztą jeszcze czasu, aby dokładnie je przejrzeć.

— Czy powinniśmy najpierw odwiedzić Harolda Burnsa, czy porozmawiać o nim z szeryfem? — zastanowiła się Morgan.

Lance zatrzymał się przed znakiem stopu, a następnie skręcił w lewo.

— Zapytajmy Sharpa o opinię. On lepiej się wyznaje w lokalnej polityce niż ja.

Morgan zadzwoniła do Sharpa i przełączyła go na głośnik, po czym podała mu szczegóły na temat Harolda Burnsa.

— Zastanawialiśmy się, czy powinniśmy zadzwonić do szeryfa Kinga, czy wpaść najpierw do Harolda — wyjaśnił Lance, kierując jeepa na drogę w stronę miasta.

Sharp milczał przez kilka sekund.

— Zawiadomienie Kinga naraża na ryzyko, że nam tego zabroni i nie poda nam żadnych informacji. Wtedy nie moglibyśmy porozmawiać z Burnsem. Zazwyczaj staram się nie deptać po palcach policji, jednak w tym przypadku uważam, że lepiej poprosić później o przebaczenie niż wcześniej o pozwolenie. Kto wie, czy King już nie rozmawiał z Burnsem i nie zachował tego dla siebie.

— W takim razie jak tylko skończymy z Curtisem MacDonaldem, pojedziemy porozmawiać z Haroldem — oznajmił Lance.

— Zacząłbym od rutynowego przesłuchania właściciela warsztatu — zasugerował Sharp. — Pokażcie zdjęcie Chelsea w warsztacie, sprawdźcie, czy ktoś ją pamięta i jakie będą reakcje. Jeśli postanowicie skonfrontować się z Haroldem, zróbcie to na osobności. Nie potrzeba nam zarzutów o nękanie.

— Naprawdę nie chciałbym zepsuć humoru przestępcy seksualnemu — powiedział z obrzydzeniem Lance.

— Prawo jest prawem — oznajmił Sharp stanowczo.

— Tak, tak, wiem — przyznał zrzędlawie Lance, któremu robiło się niedobrze na samą myśl o tym, że musi być miły dla przestępcy. Eksperci mogli sobie dyskutować na temat tego, czy przestępców seksualnych da się zrehabilitować, jednak Lance

wątpił w taką możliwość. Nie potrafił wybaczyć komuś, kto krzywdził kobiety i dzieci, i wiedział, że to się nigdy nie zmieni.

— Morgan, dopilnuj, żeby zachowywał się właściwie — powiedział Sharp.

— Ale to ja wczoraj złamałam komuś nos. — Roześmiała się Morgan.

— Rozumiem. No cóż, po prostu postarajcie się nie pakować w kłopoty przez cały dzień — zachichotał Sharp. — Lance, zadzwonię do twojej mamy poprosić, żeby w pierwszej kolejności sprawdziła Harolda Burnsa. Sprawdźmy, czy będzie w stanie odkopać więcej szczegółów na jego temat. Pojadę w okolice domu Tima i porozmawiam z sąsiadami. Uważajcie na siebie, dzieciaki.

Sharp rozłączył się.

Dziesięć minut później Lance zaparkował przed siedzibą firmy „Skyver i MacDonald”. Biuro księgowo mieściło się w niewielkim biurowcu na obrzeżach miasta. Weszli do środka i Morgan podała ich nazwiska recepcjonistce.

Curtis wyszedł do nich po kilku sekundach. Czterdziestopięcioletek wyglądał młodziej, niż Lance się spodziewał. Coś w słowie „księgowy” przywodziło mu na myśl zaawansowany wiek i zakurzone księgi, jednak jasnobrązowe włosy Curtisa przetykane były blond pasemkami, nie siwizną, a on sam poruszał się jak sportowiec.

— Czy są jakieś nowe wieści? — zapytał Curtis po krótkim powitaniu.

Lance potrząsnął głową.

— Zapraszam do mojego biura — powiedział Curtis, prowadząc ich krótkim korytarzem. Wskazał im kredens z ekspresem. — Napijcie się kawy?

Morgan i Lance odmówili i usiedli w dwóch wyściełanych fotelach naprzeciwko nowoczesnego biurka Curtisa.

Curtis wszedł za biurko, jednak zamiast usiąść, odwrócił się w stronę okna wychodzącego na niewielki zielony teren.

— Nie wierzę, że zaginęła.

— Kiedy ostatnio rozmawiałaś z Chelsea? — zaczęła Morgan.

Curtis odwrócił się do nich i widać było, że przejmuje się tą sytuacją.

— W piątek rano.

— Czy w waszej rozmowie było cokolwiek niezwykłego? — zadała kolejne pytanie Morgan.

— Tak. — Curtis odsunął krzesło i opadł na nie. Wziął spinacz i zaczął się nim bawić. Jednak nie wydawał się zdenerwowany, raczej sprawiał wrażenie człowieka, który ma za dużo energii i nie potrafi usiedzieć w miejscu. — Była zdenerwowana czymś i nie chciała mi o tym powiedzieć przez telefon. Umówiliśmy się, że wpadnie do biura w poniedziałek, do czego oczywiście nie doszło.

Lance pochylił się do przodu i oparł łokcie na kolanach.

— A zatem nie wiesz, o czym mogła chcieć z tobą porozmawiać?

— Nie. — Curtis zmarszczył swoje opalone czoło. — Próbowaliśmy nadrobić zaległości w obsłudze klientów, ale ciężko jej to szło. Szczerze mówiąc, obawiałem się, że może zechcieć złożyć w poniedziałek wypowiedzenie. Przygotowałem już nawet dla niej nową propozycję umowy.

— Nie chciałeś, aby odeszła z pracy? — zapytała Morgan.

— Nie, jest bystra i godna zaufania. Muszę przyznać, że fakt, iż zdecydowała się zostać w domu z dzieckiem, postawił mnie w trudnej sytuacji, mamy roczne bilanse do przygotowania i zbliża się czas rozliczenia podatków.

— Wydaje się, że łatwiej by było zatrudnić kogoś nowego — zauważył Lance.

Curtis potrząsnął głową.

— Zmiany pracowników są kosztowne. W przypadku Chelsea wiem już, na co mogę liczyć, jest dobra w swojej pracy, a poza tym czułbym się jak ostatni dupek, gdybym zwolnił ją z powodu problemów z dzieckiem. Jej nieobecność jest niewygodna, ale to tylko tymczasowa sytuacja. Poradzimy sobie.

— Nad czym pracowała Chelsea?

— To nie było nic szczególnego — powiedział Curtis. — Miała klientów z różnych firm. Zaczęłam po prostu informować Chelsea o tym, co się dzieje, i o korespondencji z klientami, tak aby była na bieżąco. Oboje mieliśmy nadzieję, że wkrótce będzie mogła wznowić pracę na część etatu w biurze, a resztę wykonywać zdalnie.

Morgan skrzyżowała nogi.

— Czy zawsze jesteście tak elastyczni?

— To pierwszy raz, że urlop macierzyński dotyczy kogoś spoza personelu administracyjnego. Nie jesteśmy dużą firmą. Ale, jak już mówiłem, wymiana pracownika jest kosztowna. W przypadku kluczowych pracowników kosztuje to jeszcze więcej i zaburza relacje z klientami.

— Czy jest możliwe, że Chelsea martwiła się czymś innym? — zapytała Morgan.

Curtis upuścił spinacz, który upadł na biurko z cichym stuknięciem.

— Na przykład czym? To dobry pracownik, ale nasze relacje są ściśle profesjonalne. Mamy przyjacielskie stosunki, ale nie jesteśmy przyjaciółmi, jeśli rozumiesz, co mam na myśli. Jestem pewny, że gdyby miała jakieś osobiste problemy, wolałaby to omówić z przyjaciółką, a nie ze mną.

— A problemy z klientem? — wtrącił Lance.

— Nic mi o czymś takim nie wiadomo. — Curtis wzruszył ramionami.

Lance'owi nie przychodziło więcej pytań do głowy.

— Czy możemy porozmawiać z innymi pracownikami?

— Oczywiście. — Curtis wstał. — Wszyscy tu naprawdę martwią się o Chelsea.

— A twój partner? — Lance również wstał.

— Jim Skyver zmarł sześć lat temu — powiedział Curtis, potrząsając głową. — Był

założycielem firmy. Zmiana nazwy wymaga więcej zachodu niż to warte.

Lance wyszedł za Morgan z biura.

W firmie zatrudnionych było sześciu młodszych księgowych i kilku pracowników administracyjnych. Nikt z nich nie miał nic interesującego do powiedzenia. Wydawało się, że Chelsea autentycznie była lubiana i współpracownicy byli przejęci jej zniknięciem.

Lance i Morgan wyszli z budynku i wsiedli do jeepa.

— Wydaje się miły — stwierdził Lance, uruchamiając silnik.

— Tak. Dlaczego Chelsea miała by umówić się z szefem na spotkanie, jeśli zamierzała zniknąć?

— Może nie myślała jasno. Mogła cierpieć na depresję.

— To możliwe. — Morgan zwróciła się w stronę okna. — Ale nie jestem co do tego przekonana. Musiałaby z kimś ustalić porzucenie samochodu w Grey's Hollow. Skąd wzięłaby pieniądze? Nie natrafiliśmy na żadnych dodatkowych przyjaciół w jej życiu. Ledwo znajdowała czas, aby spotkać się z Fioną, nie wspominając o opracowaniu skomplikowanego planu ucieczki.

— Czy możliwe, aby miała romans?

Morgan prychnęła.

— Z niemowlęciem i z dzieckiem w wieku przedszkolnym? Wątpię, aby w ogóle często myślała o seksie. Gdy ma się czteromiesięczne dziecko cierpiące na kolki, marzy się o niezakłóconym śnie, a nie o seksie. Poza tym nikt z osób zaangażowanych w śledztwo nie wspominał o możliwości niewierności ze strony Chelsea.

— A co, jeśli romans miał miejsce, zanim zaszła w ciążę?

— Musielibyśmy się cofnąć i przejrzeć informacje sprzed ponad roku.

— Tak — zgodził się Lance.

Pomiędzy brwiami Morgan zarysowała się zmarszczka.

— Mimo wszystko wciąż opcję, że Chelsea zniknęła z własnej woli, uważam za najmniej prawdopodobną. Moim zdaniem dobrowolnie nie zostawiłaby dzieci. Musielibyśmy znaleźć jakiś naprawdę silny motyw.

Czy Morgan rzutowała własne uczucia na sytuację zaginionej kobiety?

— Jaki na przykład?

— Na przykład gdyby jej obecność narażała jej rodzinę na niebezpieczeństwo. — Morgan potarła czoło. — Wiemy, gdzie dorastała, więc na pewno nie jest objęta programem ochrony świadków czy czymś takim, nic też nie wskazuje, aby była zaangażowana w działalność przestępczą.

— Co zatem nam zostaje? Zobaczyła lub odkryła coś, czego nie powinna? — Lance postanowił spędzić wieczór na przeglądaniu informacji o klientach Chelsea z jej dysku.

— Żadna z tych możliwości nie wydaje się szczególnie prawdopodobna, jednak nic w tej sprawie nie jest typowe.

— Jedźmy do warsztatu. — Lance zawrócił i wyjechał z parkingu.

Warsztat Burnsa mieścił się na dużej działce na przedmieściach Scarlet Falls.

Wyjechali z miasta i Lance skręcił w lewo w wiejską drogę, po obu stronach której rósł las. Kilka kilometrów dalej las po prawej stronie skończył się i Morgan wskazała duży, zaniedbany dom stojący dość daleko od drogi. Znajdujący się przy nim garaż na trzy samochody był większy od domu.

— To adres zamieszkania Harolda. Jego brat Jerry jest właścicielem całej nieruchomości. Należy do rodziny Burnsów od lat.

Warsztat samochodowy znajdował się kilkaset metrów dalej. Lance zajechał na wysypany żwirem parking za budynkiem. W pobliżu bocznych drzwi zaparkowana była czerwona furgonetka. Za parkingiem znajdowało się zarośnięte chwastami złomowisko. Pomędzy wrakami samochodów Lance dostrzegł kilka niewielkich zabudowań. Cała nieruchomość otoczona była gęstym lasem.

Morgan otworzyła teczkę z dokumentami.

— Numer rejestracyjny się zgadza, to furgonetka Harolda Burnsa — powiedziała.

— W takim razie jest tutaj. — Lance zaparkował przy rogu budynku, tak aby jeep nie był bezpośrednio widoczny przez szklane drzwi biura.

— Może powinieneś poczekać na zewnątrz — zasugerowała Morgan.

— Nie.

— Wyglądasz groźnie.

— Nie zostanę.

— Mówię poważnie — upierała się Morgan.

— Ja też.

— To były więzieni, a ty nadal wyglądasz jak gliniarz. Nie będzie z tobą rozmawiał. Od razu zadzwoni po swojego adwokata.

Lance skrzywił się. Miała rację, ale nie podobało mu się to.

— On jest niebezpieczny.

— Rozmawiałam już z takimi wcześniej. — Położyła mu rękę na ramieniu. — Jest jasny dzień i jesteśmy w miejscu publicznym, Lance. Nic mi nie grozi.

— Dobrze — zgodził się niechętnie. — Będę się tu przechadzał na wypadek, gdyby Harold nagle stwierdził, że chce znaleźć się gdzie indziej.

Ona musiała wykonywać swoją pracę. Musiał jej na to pozwolić, nawet jeśli nie chciał, aby choćby zbliżała się do człowieka, który winien był brutalnej napaści seksualnej, lub aby w jakikolwiek sposób zwróciła na siebie uwagę gwałciciela.

Rozdział 16.

Morgan weszła do niewielkiego biura. Za drzwiami znajdowała się poczekalnia, zastawiona plastikowymi krzeselkami, oddzielona kontuarem od dalszej części pomieszczenia, które pachniało paloną kawą, smarem i kurzem.

Zza kontuaru powitał ją wysoki mężczyzna w szarym, poplamionym kombinezonie. Na piersi miał przypiętą plakietkę z napisem „Jerry Burns”.

— Czym mogę służyć?

— Cześć, Jerry. — Uśmiechnęła się Morgan.

Jerry nie odwzajemnił uśmiechu.

Morgan wyjęła ze swojej wielkiej torby zdjęcie i przesunęła je po kontuarze.

— Czy widziałeś tę kobietę?

Jerry wpatrywał się w zdjęcie przez kilka sekund.

— Wygląda znajomo.

— Naprawialiście jej samochód w zeszłym miesiącu.

— Tak, pamiętam ją. — Skinął głową Jerry. — Czekala tu dwie godziny, gdy naprawialiśmy jej samochód. Jej dzieciak wrzeszczał przez cały czas. — Skrzywił się.

— Chciałabym zapytać twoich pracowników, co pamiętają na jej temat.

— Dlaczego? Zrobiła coś złego? — zapytał podejrzliwie Jerry.

— Zaginęła — powiedziała Morgan. — Jestem zdziwiona, że nie widziałeś tego w telewizji. Czy miała tu bezpośredni kontakt z kimkolwiek poza tobą?

Spojrzenie Jerry'ego powędrowało w kierunku drzwi, które prowadziły do warsztatu. Obliznął wargi.

— Wątpię. Ja zajmuję się obsługą klientów.

— A mechanik? Pomogłoby mi, gdybym mogła z nim porozmawiać.

— Sprawdzę, kto się zajmował jej samochodem. — Jerry zwrócił się do stojącego na kontuarze komputera i wysunął spod monitora wymazaną smarem klawiaturę. Otworzył jakiś dokument, zmarszczył brwi, po czym oznajmił, unikając kontaktu wzrokowego: — Nie ma go dzisiaj w pracy. Czy mam przekazać, żeby do ciebie zadzwonił?

To kłamstwo było tak oczywiste, że dziwne, iż spodnie nie zaczęły się na nim tlić.

— Czy mogę dostać jego nazwisko? — zapytała Morgan.

Jerry potrząsnął głową.

— Nie mogę podawać prywatnych informacji na temat pracownika, przykro mi.

— Chciałabym pokazać pracownikom jej zdjęcie.

Jerry znowu obliznął wargi.

— Nie mogę cię wpuścić do warsztatu, ubezpieczyciel się na to nie zgadza, ale mogę wziąć zdjęcie i popytać chłopaków. — Zniknął za drzwiami. Przez krótką chwilę, gdy były otwarte, Morgan słyszała muzykę, gwar głosów i dźwięk narzędzi pneumatycznych.

Morgan rozmawiała w życiu z dostateczną liczbą przestępców, aby od razu rozpoznać, że ktoś ją okłamuje. Była pewna, że Jerry Burns ją okłamał, gdy powiedział, że mechanik, który naprawiał samochód Chelsea, nie było dzisiaj w pracy.

Jerry wrócił do biura po kilku minutach. Podał jej zdjęcie przez kontuar, unosząc podbródek i zaciskając szczęki, tak jakby musiał się zmusić do spojrzenia jej w oczy.

— Przykro mi, nikt jej nie pamięta.

Kolejne bezczelne kłamstwo.

Morgan wzięła zdjęcie i z pokerową twarzą odpowiedziała:

— Dziękuję, że próbowałaś mi pomóc.

Zostawiła na kontuarze wizytówkę.

Wyszła na zewnątrz i skierowała się w stronę jeepa. Lance'a nie było w środku. Właśnie wyciągała rękę w stronę klamki od strony pasażera, gdy czyjeś ramię zablokowało jej drogę. Morgan zaskoczona odwróciła się i stanęła twarzą w twarz z Haroldem Burnsem.

— Słyszałem, że mnie szukasz. — Jego wygląd się zmienił. Zgolił brodę i obciął włosy na krótko. Jego brązowe oczy, które na zdjęciu z więzienia wydawały się martwe i pozbawione wyrazu, teraz były gniewnie zmrużone.

Morgan zrobiła krok w tył, po czym zatrzymała się. Okazanie strachu człowiekowi takiemu jak Harold było niczym krwawienie w basenie z rekinami.

— Czy w zeszłym miesiącu naprawiałeś hondę accord Chelsea Clark? — zapytała, przypominając sobie, że nie powinna zdradzać się z tym, że go rozpoznała.

— Może. — Zrobił krok do przodu, zmniejszając dystans między nimi. — Naprawiam mnóstwo samochodów. Nie pamiętam wszystkich.

Morgan otworzyła torbę i sięgnęła po zdjęcie. Przy okazji sprawdziła, że ma swój gaz pieprzowy — był na miejscu, w otwartej bocznej kieszonce. Pokazała Haroldowi zdjęcie.

— Potrzebowała wymienić akumulator. Robiliście też wymianę oleju i geometrię kół.

Harold zerknął na fotografię.

— Jerry zajmuje się klientami. Ja trzymam się na tyłach.

Zrobił kolejny krok w przód.

— Zawsze? — Morgan odsunęła się do tyłu. Nie mogła nic na to poradzić, czuła do niego obrzydzenie na poziomie komórkowym — Teraz nie jesteś w warsztacie.

— Sądziysz, że jesteś taka sprytna, co? Wiesz, że jestem w rejestrze przestępców seksualnych. — W jego oczach zalśnił gniew. — Dlatego tu jesteś. Ilekroć w mieście stanie się coś złego, gliny zawsze przyjeżdżają do mnie.

— Nie jestem policjantką.

— Nie, nie jesteś. Ale jesteś wścibską, kłamliwą suką. — Odsłonił zęby, jakby warcząc. Napał na nią, zbliżając się jeszcze bardziej.

Zapach smaru niemal zaczął ją dławić. Cofnęła się, trafiając plecami na ścianę budynku.

Była w pułapce. Poczula, że brakuje jej powietrza.

Nic mi nie będzie. Jest środek dnia. Lance jest tuż za rogiem. Lada moment wróci.

Jednak niezależnie od tego, co sobie wmawiała, jej instynkt nie chciał zamilknąć. Poczula, jak pod płaszczem pot zaczyna jej spływać między łopatkami. *Nie okazuj strachu.* To tylko by go rozochociło. Zmusiła się, aby stanąć prosto, czując jak jej wnętrzności skręcają się w kulkę.

— Zaginęła kobieta. — Wcisnęła zdjęcie do torebki, zacisnęła palce wokół gazu pieprzowego i zrobiła krok w bok, chcąc go wyminąć.

Harold jednak odzwierciedlił jej ruch, przesunął się i nadal blokował jej drogę do jeepa.

— Hej! — krzyknął Lance.

Morgan odetchnęła, czując, jak jej mięśnie się rozluźniają.

Harold rzucił okiem na Lance'a i wycofał się natychmiast.

— Nic nie wiem o żadnej zaginionej kobiecie.

Lance poczuł, jak naprężają się ścięgna z tyłu jego szyi. Podszedł bliżej i wsunął się między Morgan i Harolda.

— Naprawiałeś jej samochód — stwierdził tonem, który jasno mówił, że koniec z gierkami.

— To nękanie. — Tym razem to Harold się cofnął, gdy Lance zaczął na niego napierać.

— Dobra. — Lance uniósł dłonie do góry, jakby poddając się. — Chcieliśmy po prostu z tobą porozmawiać. Ale jeśli wolisz pogadać z szeryfem, to da się załatwić. Zadzwońię do Kinga od razu.

Wyciągnął telefon.

— Poczekaj. — Harold rzucił okiem na warsztat. — Pamiętam ją, ale nawet z nią nie rozmawiałem. Jerry nie pozwala mi wchodzić do biura. Mówi, że mam się trzymać warsztatu albo wylecę.

Najwyraźniej braterska miłość miała swoje granice.

— Może jednak nie musimy dzwonić do szeryfa? — Morgan położyła Lance'owi dłoń na ramieniu, czując pod dłonią, że jego mięśnie są twarde jak skała. —

Chodźmy.

— Nie wracajcie. — Harold splunął na ziemię.

Lance otworzył jej drzwi od strony pasażera, nie spuszczając wzroku z Harolda do czasu, aż ten zniknął z powrotem w warsztacie.

— Nie mogę uwierzyć, że nie chcesz, abym zawiadomił szeryfa o tym, co się stało — powiedział, gdy już usiadł za kierownicą.

— Oczywiście, że zadzwonimy do szeryfa — odparła Morgan, spoglądając na niego ze zdumieniem. — Harold naprawiał auto Chelsea. Zauważył ją i zapamiętał, miał dostęp do jej adresu...

— Ale powiedziałaś mu...

— Powiedziałam, że *może* nie musimy dzwonić do szeryfa. — Odstawiła torbę na podłogę obok swoich stóp. — Nie chcę, żeby uciekł. Chcę, żeby sądził, że jest bezpieczny.

— Dobre posunięcie.

— Mam dość doświadczenia w tym, aby nie okazywać przestępcom swojej pogardy i obrzydzenia. — Morgan wyłowiła z torby swój telefon i wybrała numer do szeryfa. Recepcjonistka przełączyła ją od razu.

— Tak, pani Dane? — W głosie szeryfa Kinga brzmiało poirytowanie.

— Dzień dobry, szeryfie. Właśnie wyjechaliśmy z warsztatu, gdzie Chelsea Clark naprawiała w zeszłym miesiącu swój samochód. Mechanik, który zajmował się jej samochodem, jest zarejestrowanym przestępcą seksualnym. — Morgan podała mu informacje na temat Harolda Burnsa. — Chciałam zadzwonić od razu na wypadek, gdyby chciał pan z nim porozmawiać.

— Wyślę tam dzisiaj mojego zastępcę — powiedział King, po czym dodał niechętnie: — Dziękuję.

— Nie ma za co. — Zakończyła rozmowę.

Szeryf mógł wyrzucić na Burnsa większy nacisk niż Morgan lub Lance, jednak czy to zrobi?

— Chcesz zatrzymać się na lunch, zanim pojedziemy do Grey's Hollow? — Lance wjechał z powrotem na główną drogę i skierował się w stronę międzystanowej.

Morgan wstukała do telefonu koordynaty GPS stacji kolejowej w Grey's Hollow.

— Zjemy coś po drodze, nie chcę tracić zbyt wiele czasu. Wygląda na to, że zbiera się na deszcz.

Na horyzoncie ciemniały burzowe chmury.

Kupili sobie kanapki w kawiarni i zjedli je w aucie. Godzinę później Lance zjechał z międzystanowej i wiejskimi drogami dojechał do niewielkiego miasteczka Grey's Hollow. Przy wąskiej drodze prowadzącej do stacji stało niewielkie osiedle domków. Lance zwolnił, gdy zaczęli się zbliżać do stacji, która tak naprawdę składała się z

parkingu i jednego peronu. Nie było kasy biletowej, wiaty, toalet, stał tam jedynie przyklejony do peronu mały sklepik spożywczy. Podróżni kupowali bilety przez internet lub w pociągu. Żwirowy parking mógł pomieścić sześć samochodów.

— Nie wsiadła do pociągu? — upewnił się Lance.

— Nie — potwierdziła Morgan.

Lance przyspieszył, zostawili stację za sobą. Samochód Chelsea znaleziono kilkaset metrów dalej na wiejskiej drodze. Jeep zatrzymał się w pobliżu tego miejsca. Morgan zdjęła buty na obcasie i nałożyła tanie czółenka, które wozila ze sobą na okoliczność, gdyby musiała spacerować po błocie.

Wysiedli wraz z Lance'em z samochodu. Wiatr, który miotał połami płaszcza Morgan, pachniał deszczem. Zapięła płaszcz i schyliła się do wnętrza jeepa, aby wyjąć z torby parasolkę, którą następnie wetknęła w głęboką kieszeń płaszcza.

Lance ruszył poboczem, trzymając w dłoni aparat.

— To zupełnie odizolowane miejsce — zauważył, wpatrując się ponad biegnącym wzdłuż drogi połamanym płotem w znajdujące się za nim pole kukurydzy. Było już dawno po zbiorach i suche łodygi leżały zmiażdżone na ziemi. Pojedyncze rośliny, które uchowały się przed ostrzem kombajnu, kiwały się na wietrze. — Dlaczego zostawiła samochód tutaj? Dlaczego nie na parkingu obok stacji?

— Może ktoś nie chciał, aby samochód został zarejestrowany przez kamery monitoringu na stacji.

— Sprawdziałaś pogodę na ostatni piątek?

— Tak. Było zimno, bezchmurnie i wietrznie. Temperatura tuż powyżej zera.

— Innymi słowy, raczej by nie spacerowała, gdyby nie musiała.

— Nie.

Lance zrobił kilka zdjęć okolicy, po czym opuścił aparat. Poszli dalej drogą. Morgan zeszła z drogi i szła wpatrzona w ziemię, przeczesując grunt w poszukiwaniu czegoś niezwykłego. Po przejściu stu metrów zawrócili, przeszli przez drogę i wrócili do jeepa. Wiatr unosił suche liście i pył w miniturbie powietrznej. Włosy opadały Morgan na twarz. Wyjęła z kieszeni gumkę do włosów i związała je w koński ogon. Mimo zbliżającej się burzy Lance i Morgan przeczesali drugą stronę drogi równie dokładnie.

Będąc jakieś dwadzieścia pięć metrów od jeepa, usłyszeli grzmot. Pierwsze grube krople deszczu uderzyły o asfalt. Morgan otworzyła parasolkę i uniosła ją nad głowę.

— Ty też się zmieścisz.

— Mógłbym coś przegapić. — Lance potrząsnął głową. — Ale weź aparat.

Podszedł, aby jej go podać, po czym wrócił do miejsca, w którym przerwał poszukiwania.

Morgan zawiesiła pasek aparatu na szyi. Deszcz zmienił się w ulewę. Błysnęło się

i drgnęła. Wiatr szarpnął jej parasolkę. Pochyliła się do przodu i ustawiła ją pod innym kątem, aby nie wywróciło jej na drugą stronę.

Jakieś dziesięć kroków od zderzaka jeepa, na samym skraju chodnika, wśród chwastów coś chrupnęło jej pod stopą. Zatrzymała się, przykucnęła i przeczesła palcami wysoką trawę. Jej uwagę przyciągnął błysk wilgotnego metalu. Uniosła aparat i zrobiła kilka zdjęć pod różnymi kątami.

— Co znalazłaś? — zawołał Lance, przekrzykując szum deszczu.

— Jeszcze nie wiem, wygląda na bizuterię. Masz rękawiczki? — Zostawiła torbę w jeepie. Wyprostowała się i pozwalając, aby aparat zwisał na pasku, przeszukała kieszenie, jednak nic w nich nie znalazła. Lance poszedł do jeepa i wrócił do niej. Podał jej fioletową gumową rękawiczkę i taśmę mierniczą. Rozgarnęła trawy, odsłaniając niewielki srebrny wisiołek.

— Przytrzymam ci parasolkę. — Zaoferował Lance i przykucnął obok niej, pozwalając jej zrobić więcej zdjęć.

Jako prywatni detektywi zachowywali takie same zasady zbierania dowodów jak policja. Zebranie ich w ulewie stanowiło wyzwanie. Lance starał się swoim ciałem osłonić ją przed deszczem i wiatrem. Morgan zrobiła więcej zdjęć z różnych odległości i pod różnymi kątami. Zmierzyła odległość między naszyjnikiem i różnymi punktami odniesienia. Następnie za pomocą telefonu zapisała dokładne współrzędne GPS. Dopiero wtedy dłonią w rękawiczce podniosła łańcuszek i wrócili do jeepa.

Lance przytrzymał parasolkę nad głową Morgan. Trzymając łańcuszek i drżąc z zimna, okrążyła przód auta i wsiadła na miejsce pasażera. Po chwili drzwi kierowcy otworzyły się, wpuszczając do środka powiew zimnego wiatru. Lance wślizgnął się na siedzenie i rzucił do tyłu zamkniętą parasolkę. Deszcz przykleił mu włosy do czaszki i ubrania do ciała. Spodnie Morgan poniżej skraju płaszcza też były przemoczone. Podeszwy jej butów skrzypiały.

Lance otarł dłonią deszcz z twarzy.

— Zobaczmy.

Morgan uniosła do góry łańcuszek z dyndającym na nim wisiorkiem.

— Szeryf mówił, że jego funkcjonariusze przeszukiwali ten obszar — powiedział Lance.

— Był schowany w trawie. Gdybym na niego nie nadepnęła, też bym go nie zauważyła.

Wisiołek przedstawiał ptaszka. Morgan poruszyła łańcuszkiem, obracając wisiołek. Z tyłu wygrawerowane były litery: *CJC*.

— Jak Chelsea miała na drugie? — zapytała.

Lance wyjął ze schowka torebkę na dowody, napisał na niej markerem datę i godzinę znalezienia przedmiotu i podał ją Morgan.

— Jessica. Chelsea Jessica Clark.

CJC.

Morgan upuściła wisiołek do torebki, jednak nie zamykała jej, aby mógł trochę obeschnąć.

— Musimy to zawieźć do biura szeryfa.

— Co za radość — powiedział Lance. — Będzie zachwycony, że zauważyliśmy coś, czego nie zauważyli jego ludzie.

Morgan przyjrzała się naszyjnikowi.

— Łańcuszek jest zerwany, zaczepiło się o niego kilka długich blond włosów. — Morgan rozpięła torbę i wyjęła z niej szkło powiększające. — Są razem z cebulkami.

Tak jakby włosy zostały jej wyrwane z głowy.

Morgan zadrżała. Czy Chelsea stawiała opór?

— Wiemy teraz, że Chelsea przyjechała tu samochodem.

Morgan uniosła plastikową torebkę.

— Zerwany łańcuszek i wyrwane włosy sugerują, że naszyjnik zerwano jej z szyi. Może wreszcie znaleźliśmy jakiś znak walki.

Rozdział 17.

Lance obserwował, jak Morgan rozmawia z szeryfem. Stała naprzeciwko niego, patrząc szczerym spojrzeniem niebieskich oczu. Złożyła dłonie na kolanach, siedząc w pozycji damy i słuchając z uwagą, jednak zarazem jej postać emanowała jakąś siłą, której Lance nie potrafił nawet dokładnie określić.

To pewność siebie, uznał w końcu. W każdym jej słowie brzmiała prawda, a przy tym wypowiadała je cicho i ze spokojem, co zmusiło szeryfa Kinga, aby pochylił się do przodu, chcąc dobrze słyszeć. Tak, wielki, groźny szeryf spijał każde słowo z jej ust.

Była dobra. Bardzo dobra.

Gdy pracowała jako prokurator, bez wątpienia potrafiła skupić na sobie uwagę przysięgłych w równie naturalny sposób.

King odchylił się do tyłu na krześle i potarł świeżo ogolony podbródek. Jego spojrzenie powędrowało w stronę Lance'a. Zmrużył lekko oczy, po czym wrócił wzrokiem do Morgan.

Tak. Lance zdecydowanie nie zaliczał się do ulubieńców szeryfa, dlatego zresztą siedział z boku i trzymał głowę na kłódkę. Najchętniej zostałby w samochodzie, ale wiedział, że będzie musiał podpisać oświadczenie o znalezieniu dowodu rzeczowego. Lance'owi trudniej niż Morgan przychodziło ukrywanie gniewu. Szczerze mówiąc, miał podobny temperament jak szeryf.

King zamachał w powietrzu plastikową torebką z wisiorkiem.

— A więc znaleźliście to w trawie w miejscu, gdzie znajdował się porzucony samochód Chelsea?

— Tak. Był ukryty w wysokiej trawie. — Morgan skinęła poważnie głową.

Był to miły sposób na powiedzenie, że ludzie szeryfa skopali sprawę, i jednocześnie zaoferowanie możliwego wytłumaczenia.

Szeryf chrząknął. Lance nie miał wątpliwości, że jest to wywołane irytacją z powodu tego, że ktoś inny, i to na dodatek kobieta, odkrył błąd jego wydziału. Jednak z drugiej strony Morgan była tak uprzejma i zachowywała się tak profesjonalnie i przyjemnie, że King nie mógł naprawdę się wściec, a przynajmniej nie na nią.

Jednak jego spojrzenie zdradzało jego nastrój. Jego podwładni mieli odczuć na własnej skórze skutki odkrycia Morgan.

— Nie wiemy, czy należy do Chelsea Clark — zauważył szeryf. — Jej mąż niezbyt szczegółowo opisał, co miała na sobie, gdy wychodziła z domu. Powiedział, że widział ją tylko przez kilka minut i był zajęty dziećmi. Nie wiedział nawet, jakiego koloru buty miała na sobie.

Morgan skinęła głową.

— Dzwoniłam do Tima zapytać, czy Chelsea miała na sobie jakąś biżuterię, gdy wychodziła w piątek z domu. Powiedział, że miała na sobie wisior z ptaszkiem, którego nigdy nie zdejmowała. Wysłałam mu zdjęcie i potwierdził, że wisior należy do jego żony. Powiedział, że ma gdzieś zdjęcia, na których widać, że Chelsea ma go na sobie, i ma mi je przesłać.

King znowu chrząknął.

— Byłoby miło, gdyby mi o tym wspomniał.

— Jestem pewna, że po prostu zapomniał. Ta noc była bardzo stresująca — mówiła dalej Morgan. — O zaczepek wisiora zahaczone są włosy z cebulkami, które w związku z tym nadają się do przeprowadzenia badania genetycznego. Czy pan zleci badania DNA, czy też wolałby pan, żebym wysłała włosy do prywatnego laboratorium?

Same włosy zbudowane były z martwych komórek i nie zawierały DNA. Tylko ta ich część, która znajdowała się pod skórą, była odżywiana przez naczynia krwionośne.

— Ja się tym zajmę. — Szeryf zmełł każde słowo niczym kawałek suszonej wołowiny.

— Czy ma pan próbkę DNA Chelsea? — zapytała Morgan.

— Tak. — Skinęła głową. — Jej mąż dostarczył ją, gdy zgłosił zaginięcie.

— Czy możemy jeszcze jakoś pomóc? — zaproponowała.

— Nie — westchnął szeryf. — Zrobiliście więcej, niż należało.

Morgan wstała i ponad biurkiem wyciągnęła rękę do szeryfa. King uściskał ją delikatnie i podziękował za pomoc. Lance natomiast otrzymał jedynie niechętnie skinienie głową, które mówiło: „Nie pozwól, aby drzwi walnęły cię w tyłek, gdy będziesz wychodził”.

Lance i Morgan wyszli z posterunku. Burza przysłała za nimi i deszcz bębnił o asfalt parkingu. Jeep był zaparkowany zaledwie dwadzieścia parę kroków dalej, jednak zanim do niego dotarli, ubranie Lance'a i jego włosy znowu ociekały wodą.

— Gdzie teraz? — zapytała Morgan, szczękając zębami.

Lance uruchomił silnik i podkręcił ogrzewanie do maksimum.

— Najpierw musimy się przebrać w suche ciuchy — zdecydował, zerkając na zegar na desce rozdzielczej. — Potem się zastanowimy. Chcesz się na chwilę zatrzymać w swoim domu?

— Nie. — Wyciągnęła dłonie w stronę nawiewu. — Mam w biurze ubrania na zmianę.

— Przekażemy przy okazji informację Sharpowi. Na pewno będzie chciał wiedzieć o naszymniku. Znaleźliśmy pierwszy konkretny dowód, że Chelsea została

zabrana siłą.

— Niemal żałuję, że tak się stało — powiedziała Morgan cicho.

— Wiem. — Teraz byli pewni, że Chelsea albo jest gdzieś przetrzymywana, albo już nie żyje.

Gdy Lance dojechał do biura, deszcz ustał. Zaparkował przy krawężniku i nagle chmury się rozstały, przepuszczając promień słońca niczym na biblijnej ilustracji.

— Sharpa nie ma.

— Wezmę tylko torbę. — Morgan wbiegła do budynku i wyszła z niego minutę później z torbą w dłoni.

Lance miał dom z dwoma sypialniami oddalony zaledwie o sześć przecznic od Sharp Investigations. Weszli do środka przez garaż, mijając po drodze stopy hokejowego ekwipunku.

— Jak twoja drużyna? — zapytała Morgan.

Gdy jeszcze pracował w policji Scarlet Falls, Lance zaczął trenować grupę trudnej młodzieży. Związał się z chłopcami i trenował z nimi nawet po tym, jak odszedł ze służby.

— Ich umiejętności są coraz lepsze, ale samokontrola niekoniecznie. Mogliby zacząć wygrywać, gdybym potrafił utrzymać ich z dala od ławki kar.

Odstawili buty pod nawiew w pralni, aby wyschły. Morgan zawiesiła torbę na klamce, po czym odwiesiła płaszcz na wieszak i zdjęła skarpetki.

Lance ściągnął z siebie flanelową koszulę i podkoszulek, po czym wrzucił jedno i drugie do pralki.

— Och. — Morgan wpatrywała się w jego pierś.

— Chcesz wieszak na swoje ubrania?

Czy chcesz, żebym pomógł ci je zdjąć?

Odwróciła się do niego twarzą.

— Masz sześciopak! — zauważyła z uśmiechem.

Lance poczuł, jak do jego twarzy napływa gorąco. I w inne miejsca też.

Zrobiła krok naprzód, przesuając spojrzeniem po jego piersi wygłodniałymi oczami. Powolnymi, kuszącymi ruchami rozpięła spodnie i wyslizgnęła się z nich. Sweter sięgał jej do bioder, jednak widział koronkowy brzeg jej ciemnoszarych fig. Wyciągnęła do niego swoje spodnie, zahaczając jednym palcem o szlufkę.

— Mówiłeś, że je rozwieszisz.

Jasny...

Lance poczuł, że zaczyna mu brakować tchu. Jej nogi były szczupłe i długie, gdyby tak owinęła je...

Opanuj się i nie wybiegaj zanadto myślą do przodu.

Jasne. Czekał od miesięcy, aby wreszcie dotknąć jej skóry dłońmi i całym swoim

ciałem. Jego pragnienie było coraz trudniejsze do opanowania. Przesunął spojrzenie na jej twarz. W jej oczach gorzał figlarny płomień, który też nie z opanowaniem mu się kojarzył.

Wziął od niej spodnie. Nie odrywając wzroku od Morgan, chwycił wieszak, przewlekl przez niego spodnie i odwiesił na drążek nad pralką.

— Też powinieneś wyskoczyć z tych mokrych portek — przysunęła się bliżej, a jej dłoń powędrowała do paska jego bojówek. Drgnął, gdy jej palce musnęły jego brzuch.

— Jesteś pewna? — Chwycił jej dłoń.

Jej twarz spoważniała.

— Bardzo. Od tygodni zachowujemy jasny umysł i śmiertelną powagę w kwestii tego, co dzieje się między nami. I do czego nas do doprowadziło?

— Nie ma nic złego w czekaniu na właściwy moment.

Uśmiechnęła się

— Właściwy moment jest właśnie teraz. Życie nie jest doskonałe. Jeśli będziemy czekać, aż wszystko ułoży się idealnie, to będziemy musieli czekać bardzo, bardzo długo. Moje dzieciaki nie są łatwe do ułożenia.

— Oboje mamy skomplikowane życie — przyznał.

— Nie chcę czekać na nic. Chcę chwytać tę chwilę. — Uśmiechnęła się. — Czy jakoś tak.

Zachwycało go jej zdecydowane spojrzenie, a pewność siebie w jej głosie była ogromną podniętą.

— Naprawdę przydałby mi się gorący prysznic. — Uniosła nieco skraj swetra, odsłaniając kolejny kawałek szarej koronki. Jego serce przyspieszyło, jakby zmieniając bieg z drugiego na trzeci. Oderwał wzrok od jej striptizu i skupił się na jej oczach. Bardzo pragnął jej ciała, lecz tak samo pragnął jej całej.

Nie było drugiej takiej kobiety. Nie dla niego.

Zdjęła szalik. Sińce na jej szyi miały kolor dojrzałych śliwek. Lance wyobraził sobie Tylera Greena ściskającego ją za gardło i przyплыw gniewu, który poczuł w tej chwili, natychmiast pociągnął za sobą falę lęku. Mógł ją zabić, mógł skrzyć tę śliczną szczupłą szyję.

Jego serce zmieniło rytm na samą myśl.

— Co się stało? — Jej pewność siebie na chwilę osłabła. Uniosła szal, jakby chcąc założyć go z powrotem i zakryć sińce. Oblizwała wargi. Czyżby się denerwowała?

Ta myśl go zaniepokoiła. Przypuszczał, że minęło wiele czasu, odkąd ostatni raz z kimś była. Zazwyczaj jednak zachowywała się tak kompetentnie, że czasem zapominał, iż łatwo ją zranić.

— Nic, zupełnie nic — zapewnił ją. Ujął jej twarz w dłonie. Jej włosy pachniały deszczem i cytryną. — Jest idealnie.

Przechylił jej głowę i dotknął jej warg swoimi. Boże, jej smak...

Nigdy nie miał się nim nasycić.

Z cichym jękiem upuściła szalik, który opadł na podłogę u ich stóp. Objęła go wokół talii i rozcapierzyła palce na jego nagich plecach. Przycisnęła się do niego swoim ciałem i jej miękkość idealnie wpasowywała się w twarde linie jego ciała.

Uniósł głowę.

— Jesteś doskonała.

— Mów tak dalej, miły panie, a może ci się poszczęści. — Jej oczy lśniły pożądaniem, humorem i... tak, zdenerwowaniem.

— I tak jestem najszcześliwszym człowiekiem na ziemi.

— Sam się o to prosiłeś. — Chwyliła go dłonią za kark i przyciągnęła do kolejnego pocałunku.

Przesunął po chwili usta w wygięcie jej szyi i lekko skubnął płatek ucha, po czym posmakował jej obojczyka. Jęknęła głośniej i ten wyraz pragnienia trafił go prosto w żołądek. A właściwie niżej.

— Może wyjdźmy z pralni. — Pociągnął ją za sobą wzdłuż korytarza.

Idąc tyłem, doprowadził ją do sypialni. Jej dłonie nie przestawały się poruszać, gładziły jego plecy i ramiona. Wsunął ręce pod jej sweter i przesunął dłońmi wzdłuż jej pleców. Jej skóra była gładka i miękka. Poczul za sobą łóżko. Wyjął ręce spod jej swetra, aby rozpiąć kaburę u spodni. Wyciągnął rękę za siebie i położył pistolet w kaburze na szafce nocnej, po czym wrócił do pieszczenia jej dłońmi i ustami.

Zdjął z niej sweter i rzucił go za siebie. Przycisnęła się do niego ciepłą, miękką skórą. Rozpiął jej biustonosz. Ramiączka ześlizgnęły się z jej ramion. Odchylił się do tyłu, pozwalając, aby biustonosz spadł na podłogę, i podziwiał jej idealne piersi. Ujął jedną w dłoń, muskając kciukiem sutek. Przymknęła oczy i jęknęła z głębi gardła.

Lance przysunął się z powrotem bliżej i jego usta spadły na jej wargi. Poczul jej dłonie na pasku swoich spodni. Tym razem pomógł jej. Rozbierali się w pośpiechu. Nie mógł się doczekać, aby dotykać i smakować wszystkich części jej ciała.

Przerwał pocałunek, czując, jak zalewa go niedowierzanie. Otworzyła oczy, a ich błękit był ciemny od pożądania. Wreszcie..

Wreszcie miało się stać.

I właśnie wtedy w jego kieszeni rozległy się dźwięki piosenki przewodniej z Magnum.

Nie.

Nie, nie, nie.

Zamarł w bezruchu. Dotarł do niego cały absurd sytuacji.

Nie mieli szansy na chwilę spokoju.

Pochyliła się i oparła czoło o jego pierś, śmiejąc się cicho.

— To Sharp. Nie mam ochoty odbierać. — Naprawdę, naprawdę nie miał ochoty tego robić, jednak jego głupie poczucie obowiązku nie dawało mu wyboru. — Ale zazwyczaj wysyła SMS-a, jeśli to nie jest nic pilnego.

— Musisz odebrać — westchnęła Morgan, robiąc krok w tył. Potarła ramiona, jakby nagle zrobiło się jej zimno. — Jaki masz dzwonek, gdy ja dzwonię?

— *Aniołki Charliego*. — Wyjął telefon z kieszeni i przyjął połączenie. — Co się dzieje, Sharp?

— Czy Morgan jest z tobą? — zapytał Sharp. — Nie odebrała mojego telefonu.

— Jest — westchnął Lance.

Jej telefon został w torbie w pralni.

— Przełącz mnie na głośnik — poprosił Sharp.

Lance zrobił to i trzymał telefon między sobą a Morgan.

— Tim Clark dzwonił i was szukał — zaczął Sharp. — Przyszedł do niego zastępca szeryfa i chce go zabrać na posterunek. Tim był zdenerwowany.

W oczach Morgan zalśnił gniew.

— I pewnie nie powiedział mu dlaczego?

— Nie — odparł Sharp.

— Już dzwonię do Tima — powiedziała Morgan, opierając dłoń na biodrze. Biorąc pod uwagę, że miała na sobie tylko jedwabne majteczki, ta poza wyglądała niesłychanie seksownie.

Lance przeklinał w duchu wynalazek telefonu komórkowego, mając wrażenie, że nic oprócz kubła zimnej wody nie mogłoby go teraz ostudzić.

Morgan zakończyła połączenie i pospieszyła do pralni. Wróciła po minucie, trzymając w jednej ręce torbę z ubraniami na zmianę, w drugiej swoją gigantyczną torebkę, z której wyłowiła telefon.

— Tim dzwonił pięć minut temu.

— Wolno ci nie być pod telefonem przez pięć minut — powiedział Lance.

— Wiem. — Ale i tak czuła się winna. Morgan poważnie traktowała swoje obowiązki. — Wyjątkowo kiepski moment.

— Co ty nie powiesz. — Lance wszedł do garderoby po czyste ubrania. Wyłonił się stamtąd ubrany w spodnie bojówki, wciągając T-shirt przez głowę. Morgan odłożyła telefon na łóżko i rozpięła torbę z ubraniami, jednocześnie korzystając z polecenia głosowego, aby wybrać numer do Tima.

Lance z żalem obserwował, jak naciągnęła na siebie brązową spódnicę, włożyła przez głowę białą bluzkę i odrzuciła włosy do tyłu.

— Halo — odebrał Tim. W tle było słychać płacz więcej niż jednego dziecka. Ten dźwięk od razu sprawił, że Lance poczuł, jak nerwy mu się napinają jak postronki.

Musiało się wydarzyć coś ważnego, skoro szeryf chciał ściągnąć Tima na

posterunek.

Rozdział 18.

— Co się dzieje, Tim? — zapytała Morgan, zapinając spódnicę.

Wciąż zarumieniona i rozpalona po pieszczotach Lance'a, starała się stłumić swoją irytację. Ale czy szeryf naprawdę nie potrafił współpracować i zachowywać się miło? Skończyła się ubierać, podniosła telefon i wyłączyła głośnik.

— Nie wiem, co robić. — Głos Tima był wyższy niż normalnie z powodu zdenerwowania.

— Powoli, Tim — powiedziała Morgan stanowczym tonem. Jej klient nie myślał w tej chwili jasno, musiała nim pokierować. — Co się dzieje?

— Szeryf chce, żebym przyjechał na posterunek. Nie chce mi powiedzieć dlaczego. — Słowa Tima niemal ginęły w głośnym płaczu, którego było zbyt dużo, aby mogło to być tylko jedno dziecko.

— Kto płacze? — zapytała Morgan.

— Oboje — odparł Tim. — Zastępca szeryfa wystraszył Bellę. Boi się, że chce mnie zabrać.

Morgan poczuła, jak szyja zaczyna ją palić z gniewu.

— Gdzie on teraz jest?

— W holu. Ja jestem w salonie i usiłuję uspokoić dzieci. Teściowie wyszli rozwiesić więcej ulotek i nie odbierają telefonów. Powiedziałem mu, że muszę poczekać, aż wrócą do domu, ale powiedział, że może wezwać opiekę społeczną, aby zajęła się dziećmi. Co mam zrobić? Czy mogą zabrać mi dzieci?

Morgan wypuściła powietrze przez nozdrza.

— Chcę, żebyś go zapytał, czy jesteś aresztowany — wysyczała. Albo szeryf zataił przed nią jakąś istotną informację, albo usiłował zastraszyć zgnębitego ojca. Tak czy siak miała dość grania miłej.

— Co takiego? — zapytał Tim zszokowany.

Morgan powtórzyła polecenie głośniej.

— Zaufaj mi. Zrób to teraz.

— Nie zabieraj mi tatusia! — słyszała wycie dziecka.

Morgan domyśliła się, że Tim wyszedł do holu do zastępcy szeryfa. Płacz dzieci przybrał na sile. Każde z nich nakręcało się histerią drugiego. Ledwo słyszała, jak Tim wykrzykuje pytanie, i nie była w stanie usłyszeć odpowiedzi.

— Mówi, że nie — wrzasnął Tim do słuchawki.

— Powiedz mu, że przyjedziesz na posterunek, gdy tylko teściowie wrócą do domu. Następnie każ mu wyjść z domu. Bądź uprzejmy, lecz stanowczy.

— Jesteś pewna?

— Całkowicie — odpowiedziała Morgan.

Kilka sekund później usłyszała trzaśnięcie drzwi, wrzask dziewczynki przeszedł w pochlipywanie. Niemowlę też przycichło.

— Dziękuję — powiedział Tim, oszołomiony. — Nie wiedziałem, że mogę tak zrobić.

— Większość ludzi nie wie.

Z doświadczenia Morgan wynikało, że większość praworządnych mieszkańców nie ma pojęcia o swoich prawach. Przestępcy za to znali je aż nadto dobrze.

— Jestem w drodze do ciebie. Nie rozmawiaj z nikim ani niczego nie rób beze mnie — powiedziała na koniec i rozłączyła się.

Wsunęła stopy w buty na obcasie, chwyciła swoją torbę i ruszyła w stronę pralni.

— Czy mogę odebrać swoje buty, gdy już wyschną?

W pełni ubrany Lance poszedł za nią.

— Oczywiście.

— Chciałabym... — Odwróciła się w jego stronę.

— Tak. Ja też. — Pochylił się i pocałował ją delikatnie w usta. — W pewnym momencie będziemy mieli godzinę tylko dla siebie. Obiecuję.

— Wiem. — Westchnęła — Ale naprawdę żałuję, że to nie stało się dzisiaj.

— Ja też — przyznał Lance, uśmiechając się krzywo.

Morgan zdjęła swój prochowiec z wieszaka i wsunęła ręce do rękawów.

Lance wziął swoją kurtkę. Znowu miał na sobie kaburę z pistoletem.

— Tak. — W samochodzie Morgan opuściła osłonę przeciwsłoneczną i spojrzała w lusterko. Jej włosy były katastrofą. Przeczesała je palcami i szybko związała w kok, posługując się kilkoma szpilkami wyłowionymi z dna torby. Nałożyła świeżą warstwę szminki i podniosła przesłonę. — Jestem gotowa.

— Zdecydowanie. — Lance ruszył do domu Tima.

W międzyczasie teściowie Tima zdążyli już przyjechać i siedzieli z dziećmi w kuchni, gdy Tim wpuścił Morgan i Lance'a do domu. Rodzice Chelsea wyglądali na zszokowanych.

Patricia oparła niemowlę o swoje ramię.

— Co się dzieje?

— Tego właśnie będę się chciała dowiedzieć.

Bella rozplakała się, gdy Tim się pożegnał.

— Nie martw się, niedługo wrócę — powiedział, kucając przy niej i obejmując ją.

— Obiecujesz? — zapytała, wycierając nosek w rękaw.

— Obiecuję. — Tim pocałował główkę córki i wyprostował się. — Chodźmy.

Patrzył przed siebie, aż wyszli na zewnątrz. Wsiadli do jeepa i Tim obejrzał się na

swój dom z tylnego siedzenia.

— Dlaczego potraktował mnie w ten sposób?

— Nie wiem. — Morgan odwróciła się z siedzenia pasażera, aby na niego spojrzeć. — Oto zasady: jeśli powiem ci, że masz nie odpowiadać na jakieś pytanie, to nie odpowiadasz. Do tej pory nie tylko w pełni współpracowałeś z szeryfem, ale też zainicjowałeś to śledztwo. Co więcej, nie jesteś zadowolony z tego, w jaki sposób je prowadzi, i zatrudniłeś prywatnego detektywa ze względu na brak postępów w śledztwie.

— Dobrze — powiedział Tim. — Ale nie rozumiem tego. Chcę tylko odnaleźć moją żonę. Dlaczego on jej nie szuka?

— Jestem pewna, że szuka. — Morgan postukała palcem w swoje udo. Szeryf powinien w większym stopniu dzielić się informacjami na temat śledztwa z rodziną, jednak Morgan podejrzewała, że wydarzyło się coś, co sprowokowało go do wezwania Tima.

Gdy dotarli na posterunek, zastępca szeryfa zaprowadził ich trójkę do pokoju przesłuchań.

— Szeryf wkrótce tu będzie — powiedział zastępca.

Szeryfa Kinga nawet tu nie ma?

Widok ponurej twarzy zastępcy szeryfa sprawił, że dreszcz przeszedł Morgan po plecach.

Co się stało?

Czy znaleźli Chelsea?

— Przyniosę nam kawy. — Lance wyszedł na kilka minut z pomieszczenia, po czym wrócił z trzema styropianowymi kubkami.

Tim nie pił swojej kawy, lecz trzymał ją w dłoniach, wpatrując się w kubek w bezruchu. Czekali. Dziesięć minut później drzwi się otworzyły i szeryf wszedł do środka. Tim podskoczył, pod wpływem jego ruchu plastikowe krzeselko zahurgotało o podłogę. Kawa omal się nie wylała i Tim odstawił kubek na stół.

Buty szeryfa były zablocone, a włosy potargane, jakby był gdzieś na zewnątrz. Ponury wyraz jego twarzy wzmógł czujność Morgan.

— Przepraszam, że musieliście czekać. — Szeryf usiadł na krześle naprzeciwko Tima. Zerknął na Morgan i w jego oczach błysnęła irytacja — z pewnością nie podobało mu się, że podważa jego autorytet — jednak gdy przeniósł spojrzenie na Tima, widać w nim było współczucie. — Dziękuję, że pan przyszedł, panie Clark. — Westchnął, a jego potężna pierś uniosła się i opadła. — Proszę się przygotować na cios.

Morgan zeszywniała. Siedzący obok niej Tim zacisnął dłonie na poręczach krzesła.

— Dzisiaj po południu dwoje turystów znalazło ciało kobiety — mówił dalej szeryf.

O, nie.

Morgan zakręciło się w głowie. Nie przestając słuchać szeryfa, odwróciła się w stronę swojego klienta. Tim mrugał zszokowany. Głowa lekko mu drżała, jakby nie wierzył w to, co usłyszał.

— Przede wszystkim musi pan wiedzieć, że jeszcze jej nie zidentyfikowaliśmy. Jeszcze nie wiemy, czy ta kobieta to pana żona. — Kontynuował szeryf.

Tim zbladł. Wszelkie barwy odpłynęły z jego skamieniałej twarzy, aż przybrała kolor starego, poszarzałego śniegu. Gdy wreszcie otworzył usta, ledwo był w stanie wychrypieć przez zaciśnięte gardło:

— Ale to może być ona?

— To możliwe — przyznał szeryf. — Przedział wiekowy pasuje, również włosy blond.

Niemal usłyszeli, jak z Tima z jęknięciem uchodzi powietrze.

Morgan dotknęła jego przedramienia. Nadal zaciskał dłonie tak mocno, że kostki mu pobielaly, a na wierzchu zaznaczyły się ścięgna.

— Dobrze się czujesz? — zapytała, pochylając się bliżej.

Tim nie zareagował. Wpatrywał się nieprzerwanie z przerażeniem w szeryfa, który patrzył na niego ze współczuciem, chociaż jednocześnie oceniająco.

Morgan to rozumiała.

Szeryf King chciał zobaczyć reakcję Tima, dlatego osobiście chciał mu przekazać tę informację. Starał się więc odizolować Tima, aby ta informacja nie dotarła do niego wcześniej inną drogą.

— Nie chciałem, aby usłyszał to pan w wiadomościach — powiedział szeryf, jakby domyślając się myśli Morgan. — Dlatego wysłałem po pana zastępcę, aby tu pana sprowadził jak najszybciej. Gdy odjeżdżałem z miejsca znalezienia zwłok, już pojawiali się tam reporterzy, więc to nie potrwa długo.

Morgan współpracowała wcześniej przy wielu sprawach kryminalnych, gdy trafiały do sądu, jednak w ostatnich tygodniach widziała drugą stronę prawa karnego: jak traktowani byli ludzie, którzy powinni być uchodzić za niewinnych. I to, co zobaczyła do tej pory, niezbyt się jej podobało.

Szeryf mógł sam pojechać do domu Tima, mógł też wysłać tam kolejnego funkcjonariusza. Ciągnięcie go na posterunek nie było konieczne.

— Czy wiadomo, jak dawno tam leżała? — zapytał Lance.

— Trudno powiedzieć. — Szeryf potrząsnął głową. — Kojoty wykopały...

Tim wydał z siebie cichy dźwięk, jakby się dławił.

— Szeryfie... — wtrąciła Morgan karcącym tonem.

— Przepraszam — odparł szeryf, mrugając.

— Czy mój klient mógłby napić się wody? — zapytała Morgan, wściekła. Wszyscy widzieli reakcję Tima na tę wiadomość. Nie ulegało wątpliwości, że był w szoku. Nie musiał wiedzieć, że dzikie zwierzęta poszarpały zwłoki.

— Oczywiście — zgodził się szeryf. Wstał i wyszedł z pomieszczenia.

Tim odsunął krzesło od stołu, zgiął się w pół i ukrył twarz w dłoniach. Oddychał płytko i nazbyt szybko.

Morgan położyła dłoń na jego ramieniu.

— Weź głęboki oddech i przytrzymaj go przez chwilę, zaraz zaczniesz hiperwentylować. Nie ma potrzeby, aby zakładać najgorsze. Poczekaj, aż będziemy mieli więcej informacji.

Tim skinął lekko głową, nie unosząc jej do końca.

Szeryf wrócił z kilkoma butelkami wody, które postawił na stoliku. Usiadł z powrotem na krześle naprzeciwko Tima.

Tim wyprostował się. Twarz miał zniekształconą wysiłkiem kontrolowania emocji.

— Co wiadomo na temat znalezionej kobiety? — zapytał Lance.

Szeryf wzruszył ramieniem.

— Na razie tylko tyle, że była blondynką. Patolog obecny na miejscu określił jej wiek na dwadzieścia kilka lat.

Timowi drgnęła powieka. Naprawdę to nie był dobry moment, aby poznawał wszystkie szczegóły, Morgan mogła mu przekazać te informacje później, po otrzymaniu oficjalnych wyników sekcji.

Podła mu butelkę wody.

— Może wyjdziemy na chwilę na korytarz? — zaproponowała.

Tim odkręcił butelkę i pociągnął spory łyk. Wydawało się, że ma trudności z połykaniem. Opuścił butelkę i otarł usta wierzchem dłoni.

— Nie, chcę usłyszeć wszystko.

— Jesteś pewny? — zapytała Morgan. — To nie jest konieczne. Być może dręczysz się bez powodu.

Tim przycisnął na chwilę dłonie do oczu. Gdy je opuścił, odzyskał już panowanie nad sobą.

— Gdzie została znaleziona?

— Przy drodze 87 w parku stanowym Black Run — wyjaśnił szeryf. — Wiem, że to trudne. Poinformuję pana, jak tylko będziemy mieli więcej informacji.

— Dziękuję. — Słowo to więzło Timowi w gardle. Zagapił się w swoją butelkę z wodą, najwyraźniej zagubiony.

— Odwieziemy cię do domu, zanim ściągnie tu prasa. — Morgan nie chciała, aby

Tim musiał wpaść w tłum reporterów z kamerami i mikrofonami.

Tim skinął głową i wstał. Zachwiał się lekko i musiał się oprzeć o stół dla złapania równowagi.

— A, Tim — powiedział szeryf. — Zanim pan wyjdzie, potrzebuję, żeby potwierdził pan, że to należało do pana żony.

Położył na stole niewielką papierową torebkę z dowodem. Otworzył metalową klamrę i wysypał zawartość na stół. Wisiorek z ptaszkiem przesunął się kilka centymetrów po śliskim blacie.

— Czy to wygląda znajomo?

Tim wciągnął gwałtownie powietrze. Pochylił się nad stołem, wyciągnął rękę, po czym zamarł z dłonią zawieszoną parę centymetrów nad srebrnym ptaszkiem.

— Można tego dotknąć — uspokoił go szeryf. — Już go zbadaliśmy.

— To naszyjnik Chelsea. — Tim uniósł go za łańcuszek i wyprostował się. Upuścił naszyjnik na swoją dłoń i pogładził srebrny wisiorek. — Nigdy go nie zdejmuję. Jej rodzice dali jej go, gdy skończyła szkołę średnią. — Uniósł błędne spojrzenie. — To znaleziono w pobliżu miejsca, gdzie porzucono jej samochód?

— Tak — potwierdził szeryf.

— A więc tak czy siak tam była. — Tim przymknął oczy na kilka sekund.

Szeryf zerknął szybko na Morgan i Lance'a, po czym dodał:

— Może.

Morgan przyjrzała się jego twarzy. Była pewna, że wie więcej, niż im mówi. Z jakiegoś powodu zatajał przed nimi informacje.

— Ile minie czasu, zanim będziemy wiedzieli na pewno? — zapytał Tim cichym głosem.

— W najgorszym razie będziemy musieli poczekać na analizę DNA, co może potrwać nawet tygodnie. Ale możliwe też, że dowiemy się prawdy szybciej.

Chyba nie dałoby się odpowiadać bardziej mgliście. Z drugiej strony może szeryf miał ku temu dobry powód.

Policja miała odciski palców Chelsea. Ciało musiało naprawdę być w złym stanie, jeśli szeryf nie był pewien, czy będzie można je porównać. Gryzonie czasami skubały czubki palców. Niedźwiedzie i kojoty były w stanie rozczłonkować i rozwłóczyć zwłoki. Nie wiedzieli, czy patolog w ogóle ma wszystkie szczątki. Morgan wprawdzie była zwolenniczką mówienia klientom prawdy, jednak Tim nie musiał tego wszystkiego wiedzieć, a przynajmniej jeszcze nie teraz. Jeśli potwierdzi się, że ciało należało do Chelsea, przyjdzie czas, aby poznać wszystkie ponure szczegóły. Na razie nie było sensu zadawać mu jeszcze większego bólu.

— O, nie. — Tim ruszył w stronę drzwi. — Muszę dotrzeć do domu, zanim Rand i Patricia zobaczą to w wiadomościach.

Jej rodzice będą zrozpaczeni.

Jakie były szanse, że w tym samym tygodniu, w którym zaginęła Chelsea, zostało znalezione ciało *innej* młodej blondynki?

Rozdział 19.

Morgan nastroszyła się na widok czterech telewizyjnych furgonetek zaparkowanych przed domem Tima.

Niech to jasny szlag!

Nie w taki sposób rodzice Chelsea powinni się dowiedzieć o odnalezieniu ciała. Szeryf powinien był pojechać do nich i poinformować Tima oraz rodziców Chelsea na miejscu, zamiast ciągnąć Tima na posterunek. Rand i Patricia zasługiwali na więcej szacunku i nie powinni byli dowiadywać się o sytuacji z wiadomości.

— Wydaje się, że media już dowiedziały się o ciele — zauważył Lance. — Dni kontrolowanych konferencji prasowych to już przeszłość. Obecnie ważniejsze jest to, aby być pierwszym, a nie żeby mówić prawdę.

— Powinienem był do nich zadzwonić — zdenerwował się Tim.

— Postąpiłeś tak, jak uważałeś za słuszne — powiedziała Morgan.

— Wiesz, co mówią o dobrych chęciach — odparł Tim.

Lance zaparkował. Cała trójka wysiadła z auta i ruszyła podjazdem w stronę domu. Tuzin reporterów przyglądał fryzury i poprawił makijaż. Technicy przygotowali sprzęt.

— Jest! — krzyknął ktoś. — Tim!

Jeden z reporterów rzucił się w ich stronę, podtykając Timowi mikrofon przed twarz. Lance odsunął go ramieniem w bok, jednak w jego miejsce pojawiło się kilka kolejnych.

— Nie odpowiadaj na żadne pytania zadane w ten sposób — wyszeptała Timowi do ucha zezłoszczona Morgan. — Postaraj się ich ignorować.

Jednak atak następował ze wszystkich stron. Morgan i Lance osłaniali Tima, starając się go chronić, ale i tak ręce mu się trzęsły, zanim doszli do domu.

Drzwi frontowe otworzyły się i wszyscy zamarli. Ojciec Chelsea wyszedł na zewnątrz. Jego twarz przypominała maskę wyrażającą rozpacz. Minęły trzy sekundy, w czasie których wszyscy wpatrywali się w niego w milczeniu. Potem ta chwila ciszy minęła i dziennikarze porzucili Tima, ruszając w kierunku Randa. Jego oczy były zaczerwienione i załzawione. Chwiał się, jakby ledwo był w stanie ustać na nogach.

Wiedział.

Tim podszedł bliżej, przedzierając się przez tłum dziennikarzy i kamerzystów.

Morgan zaczęła się przepychać za nim.

— Przepraszam.

Jeden z dziennikarzy zachwiał się i cofnął, gdy trafiła go łokciem i przedarła się

po trzech stopniach do Randa.

— Moja żona i ja właśnie się dowiedzieliśmy, że w parku stanowym znaleziono ciało młodej kobiety. — Rand zacisnął szczęki. Jego mięśnie i twarz były tak napięte, jakby lada chwila miały pęknąć. — Dopóki nie będziemy tego wiedzieli na pewno, nie będziemy zakładać, że ta kobieta była naszą córką. Nadal będziemy jej szukać i mamy nadzieję, że szeryf będzie robił to samo.

Morgan zamarła w bezruchu. Nie miała serca mu przerywać.

Jeden z dziennikarzy podsunął Randowi mikrofon pod nos.

— Czy twierdzi pan, że nie ma zaufania do śledztwa prowadzonego przez szeryfa?

W przymglonych oczach Randa pojawił się cień gorczy.

— On niczego jak do tej pory nie znalazł, prawda? Ciało tej nieszczęsnej kobiety znaleźli turyści.

Inny z dziennikarzy zwrócił się do Tima.

— Panie Clark, czy sądzi pan, że znaleziona kobieta to pana żona?

Tim zadławił się.

Morgan chwyciła mikrofon i przyciągnęła go do siebie.

— Wciąż czekamy na informacje od patologa. W tym momencie żadne spekulacje nie mają sensu.

Kolejny dziennikarz zaatakował Tima.

— Biuro szeryfa nie chce oficjalnie wykluczyć pana z grona podejrzanych. Jak się pan z tym czuje, panie Clark?

Morgan znowu zabrała mikrofon sprzed twarzy Tima i przysunęła go do siebie.

— Pan Clark pragnie jedynie, aby wydział szeryfa odnalazł jego żonę. Wspiera szeryfa w prowadzeniu drobiazgowego śledztwa. Tim nie został oskarżony o to, aby miał cokolwiek wspólnego ze zniknięciem żony.

Stojący obok niej Tim odchrząknął.

— Chcę po prostu, aby moja żona wróciła do domu. Nic innego mnie nie obchodzi.

Wszedł po schodkach i podszedł do drzwi frontowych niczym zombie.

— Tim ma rację — powiedział martwym głosem Rand. — Nie spoczniemy, dopóki Chelsea nie wróci do domu. Dlatego chcemy zaoferować nagrodę w wysokości dziesięciu tysięcy dolarów za informacje, które doprowadzą do jej odnalezienia.

Morgan zaczęła słuchać uważniej.

Ze strony przedstawicieli mediów posypał się grad pytań.

— Czy wyznaczono numer gorącej linii?

— Czy wskazówki można podawać anonimowo?

— Czy może pan podać więcej szczegółów dotyczących nagrody?

— Czy oferta nadal będzie obowiązywać, jeśli ona nie żyje?

Co za zimny drań!

Rand drgnął po usłyszeniu tego pytania.

Morgan podeszła do przodu i łagodnie wysunęła się przed niego. Jeśli wiedziałaby, że rozważa wyznaczenie nagrody, próbowałaby go przekonać, aby najpierw porozmawiał z szeryfem. Nagrody potrafiły być pomocne, ale potrafiły też zaciemnić śledztwo. Jednak oferta już padła i nie można jej było cofnąć. Mogła jedynie radzić sobie z konsekwencjami.

— Szczegóły dotyczące nagrody zostaną podane wkrótce przez wydział szeryfa.

— Jeśli ciało zostanie zidentyfikowane jako Chelsea, co się stanie z tymi pieniędzmi?

Dość!

Tim wyprostował się i sięgnął po najbliższy mikrofon.

— Proszę. Moja rodzina przechodzi najtrudniejsze chwile w życiu. Prosimy was o modlitwę. Jeśli ktokolwiek ma jakiekolwiek informacje, które mogą pomóc w odnalezieniu mojej żony, proszę zadzwonić do szeryfa. Proszę, pomóżcie nam sprowadzić Chelsea do domu. Jeśli nie macie żadnych informacji, prosimy o uszanowanie naszej prywatności.

Po tych słowach Tim obrócił się i wprowadził swojego teścia do domu. Zamknął drzwi i wyjrzał przez umieszczone w ich pobliżu niewielkie okienko.

Morgan powtórzyła swoje twierdzenie dotyczące nagrody. Lance stał napięty obok niej, przeczesując wzrokiem tłum w poszukiwaniu zagrożeń. Gdy skończyła, Morgan zignorowała kolejne pytania. Weszli do środka, mając nadzieję, że dziennikarzom wystarczy to, co usłyszeli i rozjadą się.

Rand stał pochylony nad stołem kuchennym.

Spojrzał na Morgan.

— Przepraszam, jeśli nawaliłem. Zobaczyliśmy informacje o odnalezieniu ciała na Facebooku. Patricia omal nie zemdląła.

— To ja powinienem przeproszać. — Westchnął Tim. — Próbowałem wrócić na czas, aby wam powiedzieć o tym osobiście. Nie chciałem, abyście się dowiedzieli w ten sposób.

— To nie twoja wina. To byłby szok niezależnie od tego, w jaki sposób byśmy się dowiedzieli. — Rand przygarbił się jakby pod nieznośnym ciężarem.

— Gdzie dzieci? — zapytał Tim.

Rand wskazał na sufit.

— Patricia wzięła je na górę. Nie chciała, aby Bella coś podsłuchiwała...

— Słusznie — pochwalił Tim. Zwrócił się do Morgan: — Przepraszam. Mam nadzieję, że niczego tam nie schrzaniłem. Nie wiedziałem, jak zareagować.

— Dobrze sobie poradziłeś — uspokoiła go Morgan. — Twoja reakcja była szczerą, to najważniejsze.

Rand wstał i zaczął chodzić o kuchni.

— Mam już dość szeryfa. Wścieknie się. Od początku był przeciwny, abym zaoferował nagrodę. Jest leniwy i nie chce sprawdzać tropów. Czy naprawdę musimy go angażować w kwestię nagrody? Wolałbym sam o tym decydować.

— Z tego typu nagrodą wiążą się pewne zobowiązania prawne — powiedziała Morgan. — To umowa ustna. I szczerze mówiąc, szeryf może się irytować, ale będzie również chciał kontrolować napływające wskazówki. Przyjmowanie telefonów to praca na cały etat.

Rand skrzyżował ramiona i buntowniczo uniósł podbródek.

— Wystarczy jedna dobra wskazówka.

— Zgadzam się — powiedziała Morgan. — Jednak nie mamy mocy przerobowych ani nawet wiedzy, aby poradzić sobie z samą ich liczbą. W ostatecznym rozrachunku jednak decyzja należy do ciebie. Proszę tylko, żebyś to dobrze przemyślał. Pamiętaj, niektórzy będą chcieli to wykorzystać. Dziesięć tysięcy dolarów to dużo pieniędzy.

— Rand, rozumiem, co chcesz osiągnąć — wtrącił się Tim. — Ale zatrudniliśmy zawodowca nie bez powodu. Jaki to ma sens, jeśli nie będziemy jej słuchać?

— Dobrze, masz rację. — Skinął głową Rand. Widać było, że niechętnie zrzeka się kontroli. — Pozwólmy szeryfowi się tym zająć.

— Czy mam porozmawiać z szeryfem Kingiem? — zaproponowała Morgan. Szeryf nie będzie zachwycony, trudno. Powinien być delikatniejszy, jeśli chodzi o uczucia tej rodziny.

— Nie masz nic przeciwko, Rand? — upewnił się Tim. — To twoje pieniądze.

— W porządku — warknął Rand. Po chwili jego agresja przeszła na powrót w smutek. — Nie obchodzą mnie pieniądze. Po prostu chcę odzyskać moją córeczkę. — Głos mu się załamał.

— Wiem. — Skinął głową Tim. — Ale i tak dziękuję. Bez waszej pomocy nie mielibyśmy takiej możliwości.

— Skoro oferta nagrody już padła, zadzwonię do szeryfa i poinformuję go o tym — powiedziała Morgan. — Będziemy musieli wydać formalne oświadczenie dotyczące warunków jej uzyskania. Szeryf będzie nam musiał udostępnić numer gorącej linii. Rand, czy masz tyle pieniędzy dostępnych od ręki? Może być więcej chętnych. Musimy zawrzeć w warunkach datę wygaśnięcia oferty lub możliwość wycofania się z wypłacenia nagrody.

Morgan nie cierpiała tego, że w takiej chwili musi stąpać twardo po ziemi, jeśli jednak Chelsea już nie żyła, rodzina powinna zachować te pieniądze. Rand i Patricia sprawiali wrażenie zamożnych, ale nie bardzo bogatych. Tima miały czekać kolejne

wydatki związane z dziećmi. Ich wychowywanie nie było tanie. Być może miał zostać samotnym ojcem, a Morgan dobrze wiedziała z doświadczenia, że samotne rodzicielstwo jest dostatecznie ciężkie nawet bez trudności finansowych.

— Gdy już opracujemy szczegóły, powinniśmy rozważyć zwołanie konferencji prasowej. Media naprawdę się na to rzucają. Gdy Chelsea zniknęła, najgorętszą sprawą była wtedy policyjna strzelanina. Warto by teraz przypomnieć jej zdjęcia i upewnić się, że wszyscy w okolicy ją znają i mają jej świeży obraz w umyśle. Możemy też wykorzystać media społecznościowe. Przestępcy gotowi są donieść na własne matki za dziesięć tysięcy dolarów.

A przynajmniej taką nadzieję miała Morgan.

Rozdział 20.

Drzwi się otworzyły i wszedł do środka. Jego twarz w czarnej masce była pozbawiona rysów niczym manekin.

Serce omal nie wyskoczyło Chelsea z piersi, gdy szybko wstała z polówki. Jej ciało nadal było obolałe, ale zjadła batonik proteinowy, który dał jej rano, napiła się wody i poruszała się dostatecznie dużo po swoim więzieniu, aby jej kończyny nie zeszywniały całkowicie z braku ruchu.

Kalorie i nawodnienie pomogły, jednak pilnowała, aby nadal poruszać się tak, jakby była słaba i załęczniona. Wydawało mu się to podobać.

W ręku trzymał dużą płócienną torbę. Gdy odstawił ją na podłogę, zabręczała. A więc nie znajdowało się w niej jedzenie.

Poczuła, jak w brzuchu ściska ją lęk. Coś w jego postawie i zachowaniu było inne.

— Zaplanowałem dla ciebie dzisiaj coś wyjątkowego. — W jego głosie zabrzmiało podniecenie.

Puls Chelsea przyspieszył. Pot zaczął jej spływać między łopatkami i piersiami, a niepokój przerodził się w prawdziwy strach.

— Powtórz zasady — rozkazał tak jak za każdym razem, gdy wchodził do kontenera.

Powtórzyła.

— Powtórz pierwszą zasadę.

— Należę do ciebie. Zrobię, co mówisz, bez sprzeciwu. Jestem twoją własnością.

— Połóż się na łóżku twarzą w dół. — Rozkazał, otwierając torbę.

Cofnęła się do ściany, drżąc na całym ciele.

— Nie. Proszę.

Ledwie te słowa opuściły jej usta, gdy uświadomiła sobie swój błąd.

— Coś ty powiedziała?

Zasłoniła usta dłonią.

— Sądziłem, że mamy to już za sobą. — Potrząsnął głową, rozczarowany i podszedł bliżej. — Nie tylko odezwałaś się bez pozwolenia, ale na dodatek ośmieliłaś mi się sprzeciwić.

Cios nadszedł z oślepiającą prędkością. Uderzenie płaską dłonią zapiętkło i oszołomiło, chociaż nie odebrało jej świadomości. Mimo wszystko jednak siła uderzenia sprawiła, że się zachwiała. Upadła na kolana, boleśnie uderzając nimi o drewnianą podłogę.

— Nie będę więcej powtarzał — wycedził powoli i groźnie. — Na łóżko. Twarzą do

dołu.

Całe ciało Chelsea trzęsło się, jednak nie mogła się ruszyć z miejsca. Jej kończyny nagle odmówiły jej posłuszeństwa.

— Widzę, że nadal mamy dużo do zrobienia. — Jedną ręką chwycił uchwyty torby, drugą złapał ją pełną garścią za włosy. Jej czaszka eksplodowała bólem, gdy zaciągnął ją na łóżko. — Nie ruszaj się.

Odwróciła głowę, aby widzieć, co robi. Wyjął z torby grube skórzane pasy. Łzy zaczęły jej spływać po policzkach, nie mogła pohamować szlochów, które wyrwały się jej z ust.

Co teraz robi?

Wziął jedną jej rękę i przywiązał ją do nogi łóżka, następnie powtórzył to samo z drugą. Podciągnął jej sukienkę do talii, po czym przywiązał jej nogi i korpus.

Zimne powietrze owiało odsłonięte nogi i pośladki Chelsea.

To jest to. Teraz mnie zgwałci.

On jednak wyszedł z pomieszczenia. Mijały minuty. Nie miała pojęcia, ile czasu upłynęło. Serce waliło jej jak młotem. Pot lał się spod pach. Jej obnażona skóra pokryła się gęsią skórką, a żołądek wywracał się na drugą stronę, gdy tak czekała.

Gdy drzwi się otworzyły, drgnęła, a jej puls przyspieszył pod wpływem kolejnego przyływu paniki. Trzymał w rękach pudełko. Postawił je na podłodze. Wyjął z niego gazę i butelkę rdzawego płynu. Przykucnął obok niej i przemył jej prawy pośladek.

Gdy nałożył jednorazowe rękawiczki chirurgiczne, zaczęła się szamotać w panice. W jej gardle narastał krzyk, który jednak nie mógł się wydostać na zewnątrz. Lekkie łóżko podskakiwało.

— Przestań! — Uderzył ją ramieniem w tył głowy. Przeszył ją ból. W uszach zaczęło jej huczeć, a ciało zwiotczało.

Słyszała przytłumione brzęczenie przedmiotów w skrzynce, gdy czegoś w niej szukał. Widok palnika i kawałka żelaza sprawił, że z jej ust wyrwał się jęk. Na ten dźwięk odwrócił się w jej stronę i wetknął jej do ust gruby kawałek materiału.

Odpalił palnik, który cicho zasyczał. Trzymał kawałek metalu w niebieskim płomieniu, aż zaczął się żarzyć. Gdy znowu odwrócił się do niej, dokładnie wiedziała, co chce zrobić.

O, mój Boże, mój Boże, mój Boże.

Miał zamiar ją oznakować.

— Nie ruszaj się.

Nie powinna go słuchać. Jej mózg ogarnęła gorączka, ciało oszalało, napinając się i walcząc z więzami. Chrząknął i usiadł okrakiem na jej udach. Ciężar jego ciała unieruchomił i ją, i łóżko. Przycisnął jedną rękę między jej łopatkami, aby przytrzymać jej korpus w miejscu. Bez wahania przycisnął żelazo do jej skóry.

Ból przeszył jej pośladek, jasny i gorący niczym wybuch. Przez narastający w gardle krzyk słyszała jego spokojny, równy głos.

— Raz, dwa, trzy — odliczył i podniósł żelazo.

Ból pulsował w ranie w rytm uderzeń jej serca.

Pokryta potem, zwiotczała. Nie uświadamiała sobie nawet, że z jej ust zza knebla dochodziły ciche pomiaukiwania. Zamknęła oczy.

— Już po wszystkim. — Łagodna dłoń pogładziła ją po głowie. Wyjął knebel z jej ust. — Ciii. Oddychaj głęboko.

Nie była w stanie. Jej oddech stawał się coraz szybszy i szybszy. Opróżnił torebkę i przyłożył jej do twarzy, aż przestała hiperwentylować.

— Jesteś silna — powiedział z dumą.

Zabrał torebkę. Wstał, zapakował narzędzia z powrotem i wyniósł torbę z pomieszczenia. Następnie wrócił, posmarował oparzenie maścią i nałożył opatrunek.

— Najlepiej nie pozwalać na dostęp powietrza.

Nie poruszyła się, nawet po tym, gdy odpiął skórzane pasy. Jej ciało było wyczerpane. Lęk i ból nie pozostawiły miejsca na nic innego. Rosły w niej, aż miała wrażenie, że pękła.

— Obtarłaś sobie skórę na kostce — zauważył, po czym zdjął kajdany z jej jednej nogi i przełożył na drugą. Posmarował jej otarcie maścią, mruczając jakieś słowa, które miały ją uspokajać, jednak sprawiały tylko, że zbierało jej się na wymioty. Podał jej dwie tabletki. — To powinno pomóc.

Nie była w stanie zareagować. Nie była w stanie nic zrobić. Przestała nawet szlochać, a łzy przestały płynąć jej z oczu. Mimo gorąca promieniującego z rany, jej mózg wciąż nie był w stanie pojąć, co się właśnie wydarzyło. Jej ciało i umysł były sparaliżowane szokiem.

— Zostawię je tutaj. — Położył tabletki na beczce obok lampy. — Weźmiesz je, gdy się uspokoisz. Zdaję sobie sprawę, że to było budzące silne emocje doświadczenie. Teraz jednak nie ma wątpliwości, do kogo należysz.

Obciągnął jej sukienkę, aby zakryć nogi. Następnie wyszedł i po paru minutach wrócił z białą torbą. Zapach jedzenia, który wypełnił jej nozdrza sprawił, że zrobiło jej się niedobrze.

— Przyniosłem ci coś specjalnego, bo dzisiejszy wieczór jest wyjątkowy. — Postawił torbę na beczce, po czym pochylił się nad nią. Drgnęła, gdy pocałował ją w skroń. — Dzisiaj na zawsze zostałaś naznaczona jako moja.

Chelsea nie poruszyła się, gdy wyszedł. Nie wiedziała, ile minęło czasu. Leżała na łóżku, zwinięta w kłębek, drżąc jak osika, niezdolna nawet płakać.

Niemal niezdolna do jakiegokolwiek reakcji.

Jakaś część jej umysłu wydawała się zamykać w sobie, chroniąc się w ten sposób

przed przerażającą rzeczywistością i zamykając się, tak jak blizna zamyka ranę. Istniała skończona ilość lęku, którego mogła doświadczyć, zanim osunie się w szaleństwo.

Wyobraziła sobie uśmiech Belli, jej radość, gdy kręciła się w kółko w sukience, skakała po placu zabaw, zjeżdżała na zjeżdżalni.

Biegła w jej ramiona.

I William.

Gdy Chelsea skupiła się dostatecznie mocno, była w stanie poczuć jego zapach, usłyszeć jego płacz, patrzeć, jak w mgnieniu oka przechodzi z rozpaczony w zadowolenie, gdy zaczynał ssać jej pierś.

Nie.

Poruszyła się, unosząc górną część ciała z leżanki.

Nie może... Nie podda się.

Gdyby to zrobiła, on by wygrał. I nigdy już by nie zobaczyła swoich dzieci.

Drżąc, rozejrzała się za wełnianym kocem. Ześlizgnął się na podłogę. Sięgnęła po niego. Ten ruch sprawił, że jej pośladek rozjarzył się bólem, wysyłając go do biodra i uda. Nie widziała żelaza, którym ją naznaczył, ale wiedziała, że nie było większe niż jej dłoń. Mimo wszystko, całe ciało ją bolało. Naciągnęła koc na ramiona i odetchnęła.

Nagle dostrzegła niewielki metalowy przedmiot na podłodze w pobliżu drzwi. Co to takiego?

Gwóźdź.

Musiał mu wypaść z torby.

Miała wrażenie, że nie jest w stanie stanąć na nogi. Jej ciało było wycieńczone biciem, oparzeniem i strachem, który był tak ogromny, że ledwo była w stanie objąć go umysłem. Jeśli pozwoliłaby sobie zanurzyć się w jego otchłań, tafla strachu zamknęłaby się nad jej głową i mogłaby już nigdy nie wypłynąć na powierzchnię, ku zdrowym zmysłom.

Jednak przez ostatnie trzy lata uświadomiła sobie, że jej ciało jest zdolne do niezwykłych rzeczy. Dwukrotnie urodziła dziecko. Mogła to zrobić.

Musiała to zrobić.

Postawiła gołe stopy na podłodze i usiadła, przenosząc ciężar na zdrowy pośladek. Zakręciło się jej w głowie. Poczekała, oddychając głęboko, aż to minęło. Powoli stanęła na drżących nogach. Jej kolana uginały się, rana paliła, wysyłając fale gorąca. Ciągnąc za sobą łańcuch, pokuśtykała w kierunku drzwi. Łańcuch skończył się, musiała uklęknąć i wyciągnąć ręce w stronę gwoździa. Udało jej się go dotknąć czubkami palców. Przyciągnęła go bliżej, a gdy wreszcie była w stanie zacisnąć na nim dłoń, poczuła, jak wypełnia ją uczucie buntu.

Chwyła torbę z jedzeniem i wróciła na łóżko, trzymając gwóźdź w zaciśniętej

pięści niczym bezcenny skarb.

Jedzenie było konieczne, aby przetrwać. Musiała jeść, nawet jeśli czuła się okropnie. Otworzyła torbę. W środku znalazła colę, paluszki z kurczaka i frytki. Jej ciało ożywiło się na ten zapach. Ostrożnie ugryzła frytkę. Gdy jej żołądek nie zaprotestował, zjadła kolejną, następnie skosztowała kurczaka. Żuła powoli. Nie wiadomo, kiedy znowu będzie miała szansę zjeść. Wszystko, co trafi do jej żołądka, musi tam zostać. Zjadła wszystkie frytki i wylizła okruszki panierki z kartonowego pudełka. Cola uspokoiła jej żołądek. Przyjrzała się dwóm tabletkom, które zostawił. Ibuprofen. Nie było powodu, aby cierpieć bardziej niż to konieczne. Połknęła tabletki, popijając colą. Potem oparła się o ścianę i zaczęła się bawić gwoździem trzymany w dłoni.

Co mogła z nim zrobić?

Podciągnęła kolana pod brodę. Kajdan na jej kostce brzęknął. Włożyła gwoździec w dziurkę od klucza i zaczęła ostrożnie nim poruszać, naciskać, obracać.

Spokojnie! Nie złam go!

Po długim czasie, który zdawał się jej wiecznością, zamek kliknął i otworzył się. Drgnęła, zaskoczona.

Udało jej się.

Przetoczyła się przez nią fala radości, po której nastąpił wybuch paniki.

Co on robi, jeśli się dowie?

Wróciły do niej wspomnienia bicia i naznaczenia. Nie była w stanie już płakać i tylko wydała cichy jęk niepokoju. Z gardła wyrzywały jej się ciche paniczne dźwięki.

Przestań!

Bella. William. Bella. William. Bella. William.

Powtarzała imiona dzieci, niczym uspokajającą mantrę. Znowu wstała i ruszyła w stronę drzwi. Chwyciła za klamkę, próbowała ją obrócić i popchnęła drzwi. Ani drgnęły. Zaparła się całym swoim ciężarem. Oparła czoło o zimny metal i oddychała.

Nie poddawaj się.

Przeszła się po całej długości kontenera, kopiąc w ślady rdzy. Narastała w niej frustracja. Zamknęła oczy i odrzuciła głowę do tyłu.

To beznadziejne.

Umrze. Albo gorzej. Będzie tu siedziała przez długi czas, zdana na łaskę jego kaprysów. Będzie coraz gorzej. Każda komórka jej ciała wiedziała, że zaplanował dla niej coś potwornego.

Otworzyła oczy. Jej spojrzenie utkwilo w niewielkiej dziurze w dachu. Widziała przez nią gałęzie i fragmenty ciemnego nocnego nieba. Wzięła lampę i uniosła ją do góry. Otwór miał mniej więcej dwadzieścia pięć centymetrów średnicy, a otaczający go metal był wyraźnie przerdzewiały. Czy byłaby w stanie powiększyć go na tyle, aby

się przez niego precyzyjnie? A nawet jeśli tak, to jak udało jej się dostać do dachu?

Rozejrzała się dookoła, przyglądając się przedmiotom, które miała do swojej dyspozycji: łańcuch zwinięty na podłodze, beczka, łóżko. Gdy ruszyła w stronę łóżka, koc opadł z jej ramion na podłogę.

To było typowe łóżko polowe. Odwróciła je. Rama i nogi połączone były zawiasami. Złożone łóżko mogło się zmieścić w płóciennym torbie. Z każdej strony rama wzmocniona była prętem aluminiowym długości około sześćdziesięciu centymetrów. Zaparła się stopą o pręt, aby go wyjąć, a następnie wysunęła go z materiału.

Wróciła pod otwór w dachu i zaczęła trącać krawędzie prętem. Metal kruszył się. Udało jej się poszerzyć otwór o kilkanaście centymetrów z każdej strony. Teraz był na tyle duży, że mogłaby się przez niego precyzyjnie. Jednak nie była akrobatką i nie wiedziała, jak podskoczyć na taką wysokość.

Przyciągnęła łóżko pod otwór, nie było jednak dostatecznie wysokie. Włożyła z powrotem pręt do materiału i połączyła go z ramą, po czym położyła łóżko na boku. Zatrzymała się, aby podnieść wełniany koc z podłogi. Przerzuciła go sobie przez ramię. Zostawiła lampę. Nie mogła ryzykować, że ją zobaczy. Z zewnątrz kontener musi wyglądać tak samo jak wcześniej. Ostrożnie postawiła stopy dokładnie nad środkowym prętem podpierającym konstrukcję i wspięła się do góry. Łóżko zachybotało się, gdy jednym płynnym ruchem wyprostowała się, sięgając do otworu w dachu. Musiała się lekko pod nim przygarbić. Chwyciła krawędź otworu i poczekała chwilę, aby odzyskać równowagę. Przecięła dłoń o krawędź otworu i jej dłoń stała się śliska od krwi.

Gdy przestała się chwiać, przełożyła koc przez otwór. Następnie wysunęła przez niego głowę, ramiona i ręce. Oparła dłonie na dachu i podciągnęła się do góry, aż cała wyszła na zewnątrz.

Serce biło jej nierówno, oddychała spazmatycznie. Położyła się na plecach i popatrzyła w niebo. Księżyc przebijał przez cienką warstwę chmur. Łapczywie chwyciła powietrze. Było świeże i rześkie, szybko zrobiło jej się zimno w cienkiej sukience, ale nic na to nie mogła poradzić.

Serce biło jej szybko. Gdyby ją zobaczył...

Przerwała.

Nie była w stanie o tym myśleć, nie popadając w paraliż z przerażenia.

Zamarła w bezruchu. Co teraz?

Czekała, nasłuchując i pozwalając, aby jej wzrok przyzwyczaił się do ciemności. Nie trwało to długo, chociaż wciąż wzrok jej się trochę zamazywał. Po kilku minutach była w stanie dostrzec ślady zabudowań. Mały dom? Altana?

Niezależnie od tego, co to było, w środku panowały ciemności. Czy był tam? Czy

może mieszkał i sypiał gdzie indziej? Okolica sprawiała wrażenie opuszczonej, jednak teraz nie miała czasu, aby się nad tym zastanawiać. Musiała uciec. Odwróciła głowę i zerknęła przez ramię za siebie. W oddali, po drugiej stronie łąki, majaczył las.

Poczołgała się po dachu. Rzuciła koc na ziemię po drugiej stronie niż ta, gdzie znajdował się dom. Zsunęła nogi za krawędź kontenera, zwisając na brzuchu. Gdy mięśnie jej się napięły, oparzenie na pośladku zaczęło palić. Zsunęła się niżej, zawisając na rękach, po czym puściła się i spadła miękko na ziemię.

Kontener zasłaniał światło księżycy. Objęły ją cienie. Ziemia pod jej bosymi stopami była zimna. Chwyliła koc i narzuciła go na ramiona, starając się zasłonić jaskrawożółtą sukienkę.

Aby dotrzeć do lasu, musiała przebyć otwartą przestrzeń. Dużą, szeroką przestrzeń. Wyszła z cienia i ruszyła w stronę drzew. Desperacja i nadzieja dodawały jej sił. Zaczęła truchtać, mimo gałązek i patyków klujących ją w stopy.

Gdzieś za nią zaszczekał pies. Zerknęła przez ramię. W jednym z okien domku zapaliło się światło.

O mój Boże.

On tu był!

Chelsea zaczęła biec szybciej. Znowu zerknęła za siebie i zobaczyła więcej światła. Drzwi otworzyły się i padł z nich snop światła.

Koniec z oglądaniem się za siebie. Adrenalina stłumiła ból. Jej nogi pamiętały, co robić. Biegała każdego dnia. Pamięć mięśniowa niosła ją w stronę drzew. Wyparła wszystkie myśli o tym, co by się stało, gdyby ją złapał.

Proszę.

Bella. William.

Mamusia was kocha.

Trzaśnięcie siatkowych drzwi poniosło się echem w nocnym powietrzu.

Rozdział 21.

— Wystarczy. — Rzucił przywiązaniem na łańcuchu psu kawałek wołowiny. Pies schwytał nagrodę w powietrzu i połknął w całości. Bestia знаła swoją robotę. Nauczył ją.

Rozejrzał się dookoła. Wszystko wyglądało tak samo jak wcześniej.

Kontener stał pod grubym dachem z gałęzi. Był już tu, gdy kupił tę ziemię. Sądząc z ilości rdzy, musiał tu stać od wielu lat. Pomalował przerdzewiałe miejsca, aby powstrzymać rozprzestrzenianie się raka.

Przeszedł przez wilgotne, porośnięte mchem podwórko i sprawdził drzwi kontenera. Sięgnął do kłódki. Zamknięta.

Jednak coś nie dawało mu spokoju.

Obracając głowę, nasłuchiwał. Z ciemności doszło go trzaśnięcie gałązki. Jeleń?

Wyjął klucz z kieszeni, otworzył kłódkę i drzwi. Przyćmione światło lampy oświetliło pusty kontener. Omiótł spojrzeniem łańcuch, przewrócone łóżko, powiększony otwór w dachu. Nie mógł uwierzyć w to, co widział. Mrugnął, ale to nie zmieniło obrazu przed jego oczami.

Uciekła.

Poczuł przyływ gniewu, gorącego i czerwonego, niczym bulgocząca rozpalona lawa. Wciągnął zimne nocne powietrze głęboko w płuca. Emocje nie pozwolą mu jej znaleźć, chłodne myślenie owszem.

Celowo wybrał bystrą kobietę.

Uważaj, czego sobie życzysz.

Odwrócił się i pobiegł w kierunku domu. W kuchni złapał kurtkę z oparcia krzesła i latarkę z blatu, następnie ruszył w kierunku drzwi.

Czekaj.

Wrócił do szuflady, z której wyjął pistolet. Sprawdził magazynek. Następnie wyszedł na zewnątrz i wrócił do kontenera. Świecąc latarką, odnalazł odcisk stopy w miękkiej ziemi. Wysokie podbicie. Niewielkie palce.

Chelsea.

Przesuwając snopem latarki w tę i w tę, znalazł kolejny ślad. Połączył je w myślach — linia prowadziła w kierunku lasu. Przyspieszył, ruszając w tamtą stronę.

— Chelsea! Gdzie jesteś? — zawołał. — Nie uciekniesz przede mną. Jeśli teraz wrócisz, nie zrobię ci krzywdy, ale jeśli będę musiał sam cię złapać, pożałujesz.

Gorzko pożałujesz.

Może jego nauki nie były dość stanowcze. To się da naprawić. Gdy ją odnajdzie,

nie będzie w stanie uciec. Do diabła, nie będzie w stanie chodzić.

Ani się czołgać.

Ruszył po śladzie, wyszukując odciski stóp światłem latarki. Zauważył ciemną plamę. Przykucnął i dotknął jej. Obrócił dłoń i przyjrzał się jasnej smudze.

Krew.

Wciąż mokra i jasna.

Nie uciekła daleko.

Wyprostował się, przechylił głowę i nasłuchiwał.

Biegła boso i miała na sobie sukienkę jasną niczym płomień. Nie miała kurtki, jedynie koc, aby ochronił ją przed jesiennym chłodem. Mimo że nie było na tyle zimno, aby groziły jej odmrożenia, na pewno była narażona na hipotermię.

Nie. Znajdzie ją. Musi.

Należała do niego.

Wymacał pistolet w kieszeni. A jeśli on nie może jej mieć, nikt inny nie będzie jej miał.

Usłyszał szelest po swojej lewej stronie. I jeszcze jakiś dźwięk.

Ciężki oddech?

Zwrócił się w tamtym kierunku i ruszył truchtem. Była blisko. Wyczuwał ją. Jej zapach. Jej obecność.

Byli połączeni więzią, którą mogła przerwać tylko jedna rzecz: śmierć.

Rozdział 22.

W piątek o dziewiątej trzydzieści Lance wszedł za Morgan do jej biura i patrzył, jak się przygotowuje do pracy.

— Dzień dobry.

Odstawiła swoją torbę i kubek ze stali nierdzewnej na biurko, zdjęła płaszcz i odwiesiła go do szafy. Jej spodnie i żakiet były czarne, podobnie jak cienie pod oczami.

Martwił się. Poprzedniego dnia godzinami omawiała z szeryfem szczegóły związane z zaoferowaną przez Randa nagrodą. Jak było do przewidzenia, szeryf był wkurzony, ale zobowiązał się do pomocy. Gorąca linia powinna już być zostać uruchomiona, a na wieczór wyznaczono konferencję prasową. Morgan na pewno przez całą noc przygotowywała treść oświadczeń Tima i Randa.

Bez wątpienia przeglądała też notatki ze sprawy. Podzielili się zadaniem spisania raportów z wczorajszych rozmów. Ponieważ dziadek Morgan nie mógł teraz prowadzić, odwożenie Sophie do przedszkola i Gianni na dializy też spadło na jej barki.

Uniosła do ust kubek z kawą i pociągnęła długi łyk.

— Jak się masz? — spytał Lance.

— Sophie miała lęki nocne.

— Co to takiego?

— Rzuca się i krzyczy przez sen.

— Och, do diabła.

— Tak, piekielna noc. — Morgan odchyliła głowę do tyłu i wypila zawartość kubka do końca. Przeszła przez pomieszczenie do ekspresu Keurig stojącego na kredensie. Podstawiła pod niego kubek i włączyła urządzenie. — Obudziła całą rodzinę. Musiałam ją wziąć do siebie do sypialni na resztę nocy, a dzielenie łóżka z Sophie jest jak dzielenie go z ośmiornicą po Red Bullu.

Sophie była wrażliwym, nietypowym i nieprzewidywalnym dzieckiem, którego czujnik emocjonalny zawsze ustawiony był na najwyższą wartość. Kochała bez zastrzeżeń i bezgranicznie, i podobnie potrafiła czuć do kogoś urazę, tak jak do Lance'a za to, że jej matka poświęcała mu uwagę.

— Biedna mała. Na pewno jest wykończona — powiedział Lance.

— Wcale nie. — Morgan zabębniła palcami po blacie, podczas gdy ekspres bulgotał. — Lęki nocne to nie to samo co koszmary. Przespała to wszystko i obudziła się rano w znakomitym humorze, zaskoczona tym, że jest u mnie w łóżku.

— W takim razie biedna ty. — Uśmiechnął się Lance.

— Lęki nocne tak naprawdę są chyba bardziej przerażające, gdy się na nie patrzy z boku. Nie mogłam spać od trzeciej.

— Dzień dobry — powiedział Sharp, wchodząc do biura. — Wyglądasz okropnie — stwierdził, przyjrzawszy się twarzy Morgan.

— Dzięki. — Roześmiała się. Uniosła do twarzy kubek ze świeżą kawą i wciągnęła w nozdrza zapach, przymykając zmysłowo oczy.

— Mówiłem ci, że to jest szkodliwe — powiedział Sharp, unosząc swój kubek. Duże, czerwone litery na czarnym tle głosiły: *Prywatny dupek*. To był prezent od kolegów z pracy, gdy odszedł z policji i otworzył biuro detektywistyczne. — Jesteś pewna, że nie mogę zastąpić tej trucizny organiczną herbatą i białkowym shakiem?

Morgan chwyciła mocniej swój kubek, chroniąc go niczym wilczyca swoją świeżą zdobycz.

— Ręce precz od mojej kawy.

Sharp cofnął się, potrząsając głową.

— Kofeina przeciąża układ dokrewny. Na dłuższą metę będziesz się czuła jeszcze bardziej zmęczona. Zapytaj Lance'a.

— *Lance'a* proszę w to nie mieszać — odpowiedział Lance, zwracając się w kierunku tablicy.

Sharp podszedł i stanął obok niego.

— Czy wciąż czekamy, aż ciało zostanie zidentyfikowane??

— Właśnie rozmawiałam z szeryfem — powiedziała Morgan. — Twarz i dłonie kobiety zostały mocno uszkodzone przez dzikie zwierzęta, brakuje jej dolnej szczęki. Patolog miał zacząć sekcję dziś rano. Ma akta medyczne i dentystyczne Chelsea. Jeśli to nie jest Chelsea, to powinien być w stanie ją wykluczyć, nawet jeśli nie mógłby zidentyfikować ciała.

Sekcja mogła potrwać od dwóch do czterech godzin. Jeśli zwłoki były uszkodzone, proces ten stawał się bardziej skomplikowany. Wstępny raportu mogli spodziewać się najwcześniej następnego dnia rano, jednak patolog na pewno nie kazałby rodzinie Clarków czekać na wieści dłużej niż to konieczne. Jeśli udałoby mu się wykluczyć Chelsea, poinformowałby ich natychmiast.

— Patolog miał zacząć z samego rana — odezwał się Lance. — Powinien się do nas odezwać w ciągu kilku godzin.

— Czy jesteśmy gotowi na konferencję prasową? — zapytał Sharp.

— Muszę porozmawiać z Timem i Randem dziś po południu, jednak już wszystko ustaliliśmy z biurem szeryfa. — Morgan zajęła swoje miejsce za biurkiem. — Co teraz?

— Zostaliśmy zatrudnieni, aby znaleźć Chelsea — powiedział Sharp. —

Zakładamy, że ciało nie należy do niej, dopóki nie usłyszymy, że jest inaczej.

— Wezmę laptop i omówimy to, czego dowiedzieliśmy się do tej pory. — Lance przeszedł do swojego biura i wziął komputer. Poprzedniej nocy po raz pierwszy zajrzał do plików, które zgrał z komputera Chelsea. Dwie godziny przeglądania dokumentów księgowych i zeznań podatkowych przyprawiło go o zęza i ból głowy, ale nie znalazł niczego podejrzanego. Z drugiej strony zdołał przejrzeć najwyżej dziesięć procent materiałów.

W drodze powrotnej do biura Morgan otworzył plik, który jego matka przysłała mu tego ranka.

— Zaczniemy od Fiony West, najlepszej przyjaciółki Chelsea. W jej przeszłości nie ma zupełnie nic interesującego. W rozmowie Fiona twierdziła, że Tim i Chelsea mieli problemy małżeńskie, a Tim za dużo pracował.

— Tim też to powiedział podczas naszego pierwszego spotkania. — Sharp zdjął zatyczkę z markera i na tablicy zrobił notatkę pod imieniem Fiony. — Kto następnym na liście?

— Kirk Armani. — Morgan otworzyła swój plik. Wszystkie jej papiery były starannie poukładane w odpowiednich miejscach w segregatorze. — Według szefa Tima Kirk podkochiwał się w Chelsea.

— Kirk wydawał się zdenerwowany, gdy zaczęliśmy go o nią pytać. — Lance postawił laptop na krawędzi biurka Chelsea.

Morgan potrząsnęła głową.

— Dla Kirka sama rozmowa z nami była stresująca. Czy twoja matka znalazła na jego temat jakieś niepokojące informacje?

— Nie — przyznał Lance. — Odłóżmy go na razie na bok. Przejdźmy do szefa Tima, Elliota Pagano.

Morgan przerzuciła papiery.

— Co wiemy o śmierci jego żony?

Lance przewinął tekst na ekranie laptopa.

— Jego żona zginęła w wypadku samochodowym w zeszłym roku. Gdy wsiadła za kierownicę, była pod wpływem OxyContinu. Nie wzięła go tyle, aby ją to zabiło, ale dostatecznie dużo, żeby wpłynąć na jej zdolności psychomotoryczne. Jej śmierć została zakwalifikowana jako wypadek, nie jako samobójstwo. Odziedziczyła jakieś pieniądze i zainwestowała część funduszy w startup Speed Net, jednak większość jej majątku stanowił fundusz, którego warunki uniemożliwiały małżonkowi odziedziczenie pieniędzy jej rodziny. Elliot nie dostał z nich nic. Jej polisa na życie również została wypłacona funduszowi rodzinnemu.

— Jak dobre było jego alibi? — zapytał Sharp, a jego marker zawisł tuż nad tablicą.

— Nie do ruszenia — powiedział Lance.

— Cholera. — Sharp przesunął Elliota niżej na liście podejrzanych.

— Elliot stał się multimilionerem, gdy sprzedał swoje udziały w TechKing, spółce, którą założył z Levim Goldem — kontynuował Lance. Przewijał szybko raport, skupiając się na informacjach podkreślonych przez jego matkę. — To interesujące, że największym konkurentem Speed Net jest nowa spółka Golda, Gold Stream.

— Elliot wspomniał też, że Levi chowa do niego urazę. — Morgan postukała piórem w notatnik. — Pokłócili się przy okazji sprzedaży TechKing.

— Czy Gold stracił na sprzedaży? — zapytał z nadzieją Sharp.

— Nie — odparł Lance. — Obydwaj sporo zyskali.

— Cholera. — Sharp zrobił notatkę pomiędzy imionami Elliota oraz Leviego i połączył ją strzałkami z ich imionami. — Co wiemy na temat Leviego Golda?

Lance kliknął zdjęcie w folderze i obrócił laptop tak, aby Morgan i Sharp mogli zobaczyć ekran.

Levi Gold był paraplegikiem.

— A więc Levi Gold na pewno osobiście nie porwał Chelsea — powiedziała Morgan.

Sharp zacisnął usta.

— Nie, ale jest bogaty. Może mógł zatrudnić kogoś do wykonania za niego brudnej roboty. Gdzie mieści się jego firma?

— W New Jersey. — Lance potarł oczy. Pracował do późna i wstał na długo przed wschodem słońca. Zerknął na ekspres do kawy Morgan, lecz zdecydował, że nie jest to warte kłótni z Sharpem. — Moja mama pracuje nad listą pracowników Speed Net, jednak jak na razie nie znalazła niczego niepokojącego.

— Czy zostawiamy Tima na liście? Jedyne osoba, mogąca potwierdzić jego alibi, ma trzy lata.

— O ile nie zostawił małej samej, to nie wyobrażam sobie, jak mógłby to zrobić. — Morgan potrząsnęła głową, po czym nagle zawahała się. — Czy istnieje możliwość, że Chelsea zniknęła wcześniej? Mamy tylko słowo Tima, że wyszła z domu o ósmej.

Lance przerzucił wyciąg rozmów z telefonu Chelsea.

— Fiona rozmawiała z nią o siódmej, mamy potwierdzenie tego tutaj.

— Poczekaj. — Sharp podszedł do biurka Morgan. — Możesz mi podać mój raport z rozmów z sąsiadami Tima?

— Proszę. — Morgan podała mu plik.

Sharp otworzył go na drugiej stronie.

— Bill Hanks mieszka dwa domy dalej od Tima i Chelsea. Bill wracał do domu z kręgli i widział, jak Tim pakuje dzieci do samochodu. Zapamiętał to, bo pomyślał, że to dziwne, iż Tim gdzieś zabiera dzieci prawie o północy. Według Tima Chelsea mówiła, że wróci około dziesiątej. Pomiędzy dziesiątą a jedenastą Tim wielokrotnie

dzwonił i wysyłał SMS-esy do Chelsea, co potwierdzają wyciągi. Tim zostawił też wiadomości na jej skrzynce głosowej. Dzwonił też do Fiony, na co również mamy potwierdzenie. Nie ma żadnej zarejestrowanej aktywności z telefonu Chelsea, ale sprawdziliśmy, że gdy Tim dzwonił, znajdował się w domu. Niektóre usługi lokalizacyjne były wyłączone na obydwu telefonach, więc nie jesteśmy w stanie ustalić, gdzie się znajdowały, gdy z nich nie korzystano.

— Czyli szeryf miał rację, mówiąc, że w piątek wieczorem Tim był tam, gdzie mówił. — Morgan dokończyła kawę i odstawiła kubek na bok.

— Potwierdziliśmy, że Chelsea nie wyszła z domu przed siódmą, że Tim był w domu o ósmej trzydzieści, gdy rozmawiał z teściami przez Skype'a, i że wyszedł z domu przed północą — powiedział Sharp. — Nie wiemy, co działo się w godzinach między ósmą trzydzieści a jedenastą. Czy jesteśmy w stanie wymyślić jakikolwiek powód, dla którego Tim mógłby chcieć, aby jego żona zniknęła?

— Nie chodzi o pieniądze — stwierdził od razu Lance. — Nie mają wiele, a kwota ubezpieczenia na życie jest niewielka.

— A co, jeśli ich problemy małżeńskie były poważniejsze, niż ktokolwiek sądził? — zasugerował Sharp. — Może Chelsea zamierzała opuścić Tima i wrócić z dziećmi do Kolorado?

— Zabranie dzieci do innego stanu wiązałoby się z komplikacjami prawnymi — zauważyła Morgan.

— Ale jej rodzice mają więcej pieniędzy niż Tim i mogliby sobie pozwolić na lepszych prawników. — Pod imieniem Tima na tablicy Sharp napisał czarnym markerem „ROZWÓD?”.

— Raport na temat rodziny Tima jest interesujący. — Lance przejrzał raport, który oznaczyła jego mama. — Zarówno ojciec, jak i brat Tima siedzieli w więzieniu stanowym. Jego matka była oskarżona o handel narkotykami, jednak w wyniku zawarcia ugody odsiedziała tylko rok w placówce dla kobiet. Brat Tima nie stawiał się na ostatnie spotkanie ze swoim kuratorem.

Sharp postawił gwiazdkę przy ich nazwiskach.

— W przeszłości zwracali się do Tima o pieniądze. Może doszli do wniosku, że jest im coś winien, skoro odniósł sukces.

Morgan postukała długopisem.

— Tim nie otrzymał żądania okupu.

— Może czekają, aż sprawa trochę przycichnie — zasugerował Lance.

— Albo my stracimy zainteresowanie — wtrącił Sharp. — Znam jednego prywatnego detektywa w Kolorado. Zadzwońię do niego. Chcę, aby ktoś obserwował rodzinę Tima.

Lance pochylił się nad swoim laptopem i otworzył kolejny plik.

— Następnie mamy szefa Chelsea, Curtisa McDonalda.

— Chelsea chciała z nim porozmawiać o czymś istotnym. Nie mamy pojęcia, co to by mogło być — Morgan zwróciła się do Lance'a. — Co z danymi z komputera Chelsea i jej telefonu?

— Nic niezwykłego — odparł Lance. — Głównie interesowały ją zagadnienia związane z rodzicielstwem. Kolki, rozwój niemowlęcia, relacje między rodzeństwem itp.

— Zakładając, że odnalezione ciało nie należy do Chelsea, czy nadal uważamy, że istnieje jakakolwiek szansa, że zniknęła z własnej woli? — zapytał Sharp.

Morgan potrząsnęła głową przecząco.

— Moim zdaniem nie.

Lance pomyślał o pięknej blondynce. Czy szeryf King miał rację? Czy ukrywała się gdzieś, przygnębiona, z myślami samobójczymi, zła na swojego męża, pragnąc dać mu nauczkę?

— Moja intuicja podpowiada mi, że Morgan ma rację. Wszyscy, z którymi rozmawialiśmy, twierdzili, że Chelsea nie zostawiłaby swoich dzieci.

— Zerwany łańcuszek i jej włosy wyrwane z cebulkami, które na nim znaleźliśmy, również przemawiają za tym, że została uprowadzona siłą — dodała Morgan.

Sharp przytaknął, spoglądając ponuro.

— Wszyscy zatem zgadzamy się w tej kwestii. O ile Chelsea nie przeżyła jakiegoś rodzaju załamania nerwowego, nie porzuciłaby celowo swojej rodziny.

Lance wrócił do swojej listy.

— Najlepsze zostawiłem na koniec. Harold Burns.

Sharp skrzyżował ramiona na piersi.

— Brutalni przestępcy seksualni nie mogą zostać magicznie wyleczeni. Stanowią zagrożenie tak długo, jak długo znajdują się na wolności.

— Badania na ten temat nie są jednoznaczne — sprzeciwiła się Morgan. — Nie możemy zakładać, że jest winny, tylko dlatego, że zachowuje się zaczepnie.

Sharp rozstawił szerzej nogi.

— Jego winą nie było podglądactwo, tylko brutalny gwałt. Użył broni. Groził swojej ofierze i dusił ją.

— Zgadzam się. Widziałam zbyt wielu recydywistów, aby wierzyć, że jakikolwiek brutalny przestępca powinien kiedykolwiek chodzić swobodnie po ulicy. Jednak z drugiej strony każdy, kto znajduje się w rejestrze przestępców seksualnych, zareagowałby obronnie, gdyby śledczy trafił do niego z pytaniami o zaginioną kobietę.

Lance zaczął nerwowo chodzić po pomieszczeniu, przypominając sobie, jak Burns straszył Morgan.

— Nawet jeśli Burns ma prawdopodobnie coś na sumieniu, nie powinniśmy zakładać, że jest winny *tego* konkretnego przestępstwa.

— Jak daleko od miejsca zamieszkania i warsztatu Burnsa znaleziono ciało? — zapytał Sharp. — Przyniosę mapę.

— Mam tutaj mapę. — Lance kliknął i na ekranie pojawiła się mapa okolicy. Umieścił pinezkę w miejscu w pobliżu parku stanowego, gdzie znaleziono ciało. Następnie zaznaczył pozostałe dwa adresy. — Ciało znaleziono mniej niż trzy kilometry od warsztatu. Gdyby przejść przez las, który znajduje się za złomowiskiem, w końcu by się doszło do parku stanowego.

Telefon Morgan zawibrował.

— To szeryf.

Lance urwał. Czyżby patolog zidentyfikował ciało?

Rozdział 23.

Morgan przyłożyła telefon do ucha, niemal wstrzymując oddech.

— Morgan Dane.

— Mówi King — odezwał się głęboki głos szeryfa.

— Czy ma pan wieści od patologa? — zapytała Morgan.

— Nie, nie dlatego dzwonię — fuknął szeryf. — Dostałem telefon od prawnika Harolda Burnsa. Pani i pani *detektywi* macie się trzymać z daleka od niego. Proszę to potraktować jak oficjalne ostrzeżenie.

— Czy pan zdaje sobie sprawę, że to człowiek skazany za przestępstwo seksualne trzeciego stopnia, a zwłoki kobiety zostały znalezione w odległości niespełna trzech kilometrów od warsztatu Burnsa? — Ton Morgan był tak samo lodowaty jak zimny prąd, który przeszył jej trzewia. Burns po ich wizycie w warsztacie postanowił przejść do ofensywy, podczas gdy spodziewali się, że raczej przycichnie.

— Nękanie jest nielegalne, pani Dane — powiedział szeryf poirytowanym tonem. — Proszę się trzymać z daleka od Burnsa i warsztatu samochodowego jego brata.

Połączenie zostało przerwane.

Burns ich przechytrzył.

Po pierwszym szoku Morgan poczuła zdrową dawkę gniewu. Opuściła dłoń z telefonem.

— Słyszeliście to?

Ponury wyraz twarzy Lance'a i Sharpa stanowił wystarczającą odpowiedź.

— Co za sukin... — wymamrotał pod nosem Lance.

Morgan wstała i zaczęła chodzić po niewielkiej przestrzeni za swoim biurkiem.

— Wiedziałam, że jest taka możliwość, gdy poszliśmy do warsztatu. Powinnam była zrobić więcej, aby temu zapobiec.

Lance uderzył pięścią w drugą dłoń.

— Nie mogę uwierzyć, że szeryf stanął po stronie brutalnego przestępcy seksualnego.

— Poczekaj. Jestem pewna, że nie bierze strony Burnsa. King może nie jest dobrym graczem zespołowym, ale jest kompetentnym policjantem. — Sharp uniósł dłoń. — Mam nadzieję, że prowadzi śledztwo w sprawie Burnsa i nie chce, abyśmy mu się wtrącali. Gdybym był na jego miejscu, czułbym podobnie.

— Nadzieja nie wystarcza, a jedynym powodem, dla którego King może prowadzić śledztwo w sprawie Burnsa, jest to, że podsunęliśmy mu go pod nos. — Skrzywił się Lance.

— Może tak, a może nie — odparł Sharp. — Nie mamy pojęcia, czym zajmował się szeryf.

— Burns jest naszym głównym podejrzanym w sprawie zniknięcia Chelsea. Jak możemy to zignorować? — Morgan przełknęła rozczarowanie sobą. Była przyzwyczajona do tego, że współpracowała z organami ścigania i miała wsparcie policji. Musiała zmienić swój sposób myślenia, ale jak na razie ta sytuacja była dla niej frustrująca. — Wiem, że szeryf nie ma obowiązku informować nas o szczegółach śledztwa, ale mogłby przynajmniej zasugerować, że Burns był na jego celowniku w tym śledztwie.

— Słuchajcie, King jest znany z tego, że lubi trzymać karty przy orderach, nawet jeśli chodzi o inne organy ścigania — wtrącił Lance. — Facet nie ufa nawet tym, którzy są po jego stronie. Wątpię, aby istniał sposób, żeby zaufał adwokatowi. Jesteśmy w tej sprawie jego przeciwnikami.

Morgan jednak czuła, że podeszli do Burnsa niewłaściwie.

— Powinniśmy inaczej to rozegrać. Mogliśmy zacząć obserwować Burnsa, nie nawiązując z nim kontaktu. Odkryliśmy karty, a teraz nawet nie możemy go śledzić, nie narażając się na zarzuty molestowania.

Sharp wstał.

— Później spotykam się z chłopakami na lunchu. Może któryś z nich będzie miał jakiś pomysł. To spryciarze, a plotkują jak przekupki. Sprawdzę, co wiedzą, i poproszę, żeby powęszyli w tej sprawie.

Chłopaki byli emerytowanymi policjantami, z którymi Sharp kiedyś służył. Regularnie spotykali się w lokalnej knajpie.

Morgan zerknęła na zegarek.

— Och, już jedenasta? Muszę odebrać Sophie z przedszkola i Giannę z dializy. Przepraszam.

Gdy pracowała jako prokurator, dzieci chodziły do przedszkola. John częściej był na misji niż w domu. Morgan zawsze żyła jak samotna matka, jednak po śmierci męża na dwa lata wycofała się z życia zawodowego. Zapomniała już, jak trudno jest łączyć pracę z opieką nad dziećmi, a przy tym zachować zdrowe zmysły.

— Kiedy Gianna zrobi prawo jazdy? — zapytał Lance.

— W przyszłym miesiącu ma egzamin praktyczny, ale ciężko nam znaleźć czas, aby mogła ćwiczyć. Oczywiście nie pozwalam jej ćwiczyć, gdy w samochodzie jadą dzieci.

Wiadomo było też, że Gianna będzie musiała zdobyć najpierw nieco doświadczenia, zanim Morgan pozwoli jej odwozić dzieci na zajęcia.

— Mogę pomóc — zaproponował Lance.

Sharp zatrzymał się w drzwiach.

— Ja też. A gdybyś potrzebowała pomocy przy dziadku, daj znać.

— Dziękuję. Stella i ja będziemy dzielić się wożeniem dziadka do lekarzy. — Morgan zaczęła zbierać swoje rzeczy. — Wrócę za godzinę.

Włożyła płaszcz i przerzuciła torbę przez ramię, po czym wsiadła do minivana i pojechała do przedszkola. Odebrała Sophie o jedenastej trzydzieści. Miała jeszcze pół godziny, zanim Gianna skończy dializę. Nie chcąc marnować czasu, Morgan pojechała do supermarketu. Zaparkowała przed sklepem, wzięła Sophie za rękę, przeszła przez parking i wzięła wózek. Chciała się schylić, aby posadzić małą w siodełku, jednak Sophie cofnęła się i skrzyżowała ręce na piersi.

— Chcę sama — powiedziała. Po przedszkolu była zmęczona i rozdrażniona.

— Dzisiaj chciałabym, żebyś usiadła w wózku, bo mamy mało czasu. Gianna kończy niedługo — wyjaśniła Morgan i posadziła małą do koszyka.

Sophie nie lubiła ograniczeń, ale wiedziała też, kiedy jej matka mówiła poważnie. Morgan zapięła pas bezpieczeństwa.

— Nie lubię siedzieć w wózku. — Sophie mogła posłuchać, ale i tak nie zamierzała siedzieć cicho.

— Wiem, że nie lubisz. — Morgan weszła do sklepu, pchając przed sobą wózek. — Co robiłaś dzisiaj w przedszkolu?

— Kupisz mi ciastko?

— Nie, już prawie pora lunchu. — Morgan ruszyła w stronę działu z warzywami i włożyła siatkę ziemniaków do wózka.

— Ale jestem głodna! — Sophie była niejadkiem. Jeśli prosiła o jedzenie, to musiała umierać z głodu.

— Jadłaś drugie śniadanie w przedszkolu?

Sophie pokręciła głową, aż jej kucyki zawirowały.

— Chciałam skończyć mój rysunek.

Cała Sophie. Zbyt zajęta, żeby jeść.

Morgan rozejrzała się dookoła, szukając jakiejś rozsądnej opcji. Minie co najmniej pół godziny, zanim odbiorą Giannę i pojedą do domu. Trzydzieści minut to bardzo długi czas z głodnym i zmęczonym dzieckiem.

— Może zjesz banana?

— Czy mogę go zjeść od razu?

— Będiesz mogła go zjeść, jak tylko za niego zapłacę. — Morgan przyspieszyła kroku.

— Dobrze. — Rozpogodziła się Sophie. Zaczęła śpiewać piosenkę z *Toy Story*, wymachując nogami w fioletowych tenisówkach. Jakaś starsza kobieta uśmiechnęła się, mijając ich wózek.

Morgan skręciła w alejkę i wpadła na jakiegoś mężczyznę. Straciła równowagę i

przytrzymała się wózka.

— Przepraszam bardzo — wybąkała. Cofnęła się i uniosła wzrok. W jednej chwili zabrakło jej tchu, a we krwi zaczęła krążyć adrenalina.

Harold Burns patrzył na nią z błyskiem rozpoznania w oczach. W koszyku, który zwisał mu w dłoni, była samotna puszka tuńczyka.

— Lepiej uważaj, gdzie idziesz.

Morgan nadal się cofała, ciągnąc wózek i starając się ustawić między Sophie a Burnsem. Trafiała czubkiem wózka w piramidę z puszek z brzoskwiniami, które przewróciły się i poturlały po płytkach.

Burns nawet nie drgnął. Patrzył na nią z wyrazem mściwej satysfakcji w spojrzeniu.

Czy on ją śledził?

Puszki poturlały się pod wózek. Spojrzenie Burnsa powoli przeniosło się z Morgan na jej córkę. Morgan poczuła, jak w jej głowie zaczyna wyc alarm.

Zabierz stąd Sophie!

— Mamusiu? — zapytała Sophie cichym i przestraszonym głosem. Mała odebrała jej niepokój w związku z pojawieniem się Burnsa.

Morgan rozejrzała się wzdłuż alejki. Na drugim jej końcu jakaś starsza kobieta porównywała ceny parmezanu. Obok niej młody mężczyzna ładował do koszyka zawieszzonego na ramieniu paczkę makaronu.

Byli w sklepie spożywczym, gdzie widziały ich co najmniej dwie inne osoby i było mnóstwo kamer bezpieczeństwa. Burns nie mógł skrzywdzić Sophie.

Jest bezpieczna. Morgan wzięła oddech, usiłując uspokoić swój puls. Jednak jej ciało całym sobą protestowało przeciwko temu, że Burns znalazł się tak blisko Sophie. Gdyby była sama, jej reakcja byłaby zupełnie inna, być może racjonalna, jednak teraz nie była w stanie stłumić swojego instynktu macierzyńskiego, tego samego, który kobietom jaskiniowców kazał bronić dzieci przed drapieżnikami i zapewnił przetrwanie ludzkiej rasie.

Nie była w stanie dyskutować z czystym, zwierzęcym instynktem.

To był seksualny drapieżca i nie powinien znajdować się tak blisko jej córki. Samo to, że na nią spojrzał, odebrała jako jasną i bezpośrednią groźbę.

Morgan złapała Sophie, wyjęła ją z wózka i zaczęła iść tyłem w kierunku wyjścia.

— Mamusiu, moje banany! — zawołała Sophie, wrywając się wstecz, gdy Morgan wybiegła ze sklepu i pobiegła przez parking.

Sophie szlochała cicho, gdy Morgan dobiegła do samochodu i otworzyła boczne drzwi auta. Włożyła Sophie do środka, po czym wsiadła tam za nią. Nawet kliknięcie zamka centralnego nie było w stanie uśmierzyć jej paniki.

— Wsiadaj do fotelika — poleciła, zerkając przez ramię. Rzuciła torbę na podłogę.

Harold Burns stał przed sklepem, wpatrując się w samochód Morgan.

— Mamusi? — pisała ze strachem Sophie, posłusznie siadając w foteliku. Buzię miała zalaną łzami.

— Wszystko w porządku, skarbie. — Kuląc się we wnętrzu samochodu Morgan zapięła pasy bezpieczeństwa i przeszła przez siedzenia do przodu za kierownicę.

Jednak Sophie wiedziała, że nie wszystko jest w porządku. Oparła główkę o zagłówek i płakała cicho.

Morgan uruchomiła silnik i wyjechała z parkingu, kierując się w stronę Sharp Investigations. Nie miała zamiaru doprowadzić Burnsa do swojego domu. Zerkając we wsteczne lusterko, wyjęła z kieszeni telefon i zadzwoniła do Lance'a.

— Jesteś nadal w biurze?

— Tak.

— Czy możesz za kilka minut wyjść mi naprzeciw? Jadę do biura, Sophie jest ze mną.

— Morgan, co się stało?

— Poszłam z Sophie do sklepu. — Morgan zatrzymała się na czerwonym świetle, nerwowo zerkając raz na drogę, a raz we wszystkie lusterka po kolei. Jakiś samochód zatrzymał się za jej minivanem. Odetchnęła z ulgą, gdy dostrzegła, że za jego kierownicą siedział starszy mężczyzna. — Był tam Harold Burns.

Lance zaklął.

— Gdzie jesteś?

— Cztery przecznice od biura. Zaraz zadzwonię do Stelli. — Zakończyła połączenie, po czym wybrała numer siostry i krótko wyjaśniła jej sytuację. — Trzeba odebrać Giannę z dializy.

— Dobrze — odpowiedziała Stella. — Odbiorę ją i spotkam się z tobą w Sharp Investigations.

Morgan pojechała do biura, wciąż nerwowo zerkając w lusterka i rozglądając się za czerwoną półciągarówką Burnsa.

Co on knuł? I gdzie się podział?

Rozdział 24.

Lance nerwowo chodził po chodniku.

Gdzie ona jest?

Sama myśl o tym, że Burns napędził strachu Morgan i jej małej córce, budził w nim olbrzymią wściekłość. Miał ochotę znaleźć Burnsa i odpowiedzieć pięknym za nadobne.

Gdy jeszcze był policjantem, denerwowała go natura systemu, który umożliwiał przestępcom powrót na wolność. Niektórzy ludzie mogli zostać przywróceni na łono społeczeństwa, inni po prostu byli źli. Urodzili się źli lub takimi się stali, nie miało to dla niego znaczenia. Tacy ludzie jak Burns byli niebezpieczni. Od czasu do czasu, tak jak teraz, Lance był przerażony gwałtownością swojej reakcji na nich.

Ale to była sprawa osobista.

Chodziło o Morgan. I Sophie!

Niech to szlag.

Tacy ludzie jak Burns nie powinni móc oddychać tym samym powietrzem co niewinne dziecko.

Wściekłość paliła go w gardle, zanim wreszcie Morgan zaparkowała przy krawężniku przed biurem. Jej twarz była biała jak prześcieradło. Wysiadła z samochodu i otworzyła przesuwne tylne drzwi. Sophie nadal płakała, a w jej wielkich, niebieskich oczach malował się strach.

Na ten widok Lance nabrał jeszcze większej ochoty, aby dopaść Burnsa i sprać go na kwaśne jabłko, jednak przełknął swoją wściekłość.

Sophie potrzebowała teraz spokoju.

Musiała poczuć się bezpiecznie.

Boże, jakim cudem rodzice dawali sobie z tym radę?

Dłonie Morgan drżały do tego stopnia, że nie była w stanie rozpiąć pasów Sophie.

Lance odsunął ją.

— Pozwól, że ja to zrobię. Cześć, Sophie — powiedział, rozpinając pasy i biorąc małą na rękę. — Wszystko w porządku.

W tej chwili wydawała się nie pamiętać, że mu nie ufała. Objęła go ramionami za szyję, ściskając panicznie, a jej cienkie nóżki objęły go w pasie. Przyłgnęła do niego z siłą, która sprawiła, że ścisnęło mu się serce.

Dawał jej poczucie bezpieczeństwa.

Morgan wzięła z auta swoją torbę i Lance zaprowadził ją do biura, trzymając Sophie w ramionach. Gdy już znaleźli się w środku, zamknął drzwi na zamek i

uruchomił alarm.

— Wszystko w porządku?

Morgan skinęła głową, jednak dłonie nadal jej drżały, a twarz z białej stała się szara.

Sharp wyszedł ze swojego biura z ponurą twarzą.

Słyszając stukot psich pazurów, Sophie uniosła głowę z ramienia Lance'a.

— Piesek.

Morgan wygładziła włosy i zdołała się opanować.

— Sophie, to jest pan Sharp i jego pies Rakieta.

Rakieta oparła się o nogę Morgan i pisnęła.

Całkowicie ignorując Sharpa, Sophie wychyliła się, wyciągając ręce do psa. Łzy przestały jej płynąć, jakby ktoś zakręcił kurek.

— Postaw mnie.

Nawet Lance nie mógł konkurować z psem.

Lance ostrożnie postawił ją na podłodze, uważnie obserwując reakcję psa. Rakieta jednak zamachała kikutem ogona, powąchała i polizała rączkę dziewczynki. Sophie zachichotała.

— Siad — powiedziała Morgan.

Suczka posadziła zadek na podłodze i podała Sophie łapę.

Morgan przykucnęła obok Sophie. Suczka nie okazywała swojej zwykłej bojaźliwości.

— Wygląda na to, że Rakieta lubi dzieci. — Skinął głową Sharp.

Sophie zwróciła spojrzenie swoich niebieskich, załzawionych oczu na Sharpa.

— Czy mogę się z nią pobawić?

— Oczywiście. Chodź, pójdziemy po jej piłkę. — Sharp wyciągnął dłoń do dziewczynki.

— Jestem głodna — poskarżyła się Sophie. Zwykle była nieśmiała wobec nieznamych, a przynajmniej zawsze zachowywała rezerwę wobec Lance'a, jednak wzięła Sharpa za rękę bez wahania.

Lance postanowił porozmawiać z nią na temat nieznamych z pieskami.

— Sprawdźmy, czy znajdziemy coś do jedzenia — zaproponował Sharp.

— Zostawiliśmy mojego banana w sklepie — poskarżyła się, pociągając nosem, a Lance'owi znowu ścisnęło się serce.

— Wiesz co? — mówił Sharp, prowadząc ją korytarzem do kuchni. — Rakieta też lubi banany. Mam je w kuchni.

Jak tylko Sharp z Sophie zniknęli w kuchni, Morgan rozkleiła się zupełnie. Łzy zaczęły jej płynąć po policzkach. Zakryła usta i pobiegła do łazienki. Lance czekał na zewnątrz, czując się kompletnie bezużyteczny. Sophie mógł przynajmniej przytulić i

pocieszyć.

Gdy Morgan wyszła z łazienki, miała umytą twarz i pachniała płynem do płukania ust.

— Chcesz wody?

— Jeszcze nie. — Morgan potrząsnęła głową. Nadal cała drżała. — Przepraszam. To taka cecha rodzinna, że zwracamy po stresującym przeżyciu.

Lance zerknął w stronę kuchni, po czym wprowadził Morgan do jej biura. Wreszcie udało mu się poczynić jakieś postępy w relacjach z Sophie i nie chciał, aby widok, jak przytula jej matkę, cofnął go do punktu wyjścia.

Gdy już znaleźli się w biurze, przyciągnął ją do piersi i mocno przytulił. Wtuliła twarz w jego ciało.

— Nie ośmieliliby się na to, gdybyś był przy mnie — stwierdziła rzeczowo Morgan. Nie była typem mimozy, ale nie była też głupia. — Musiał mnie śledzić.

— Cóż, więcej się to nie powtórzy — powiedział Lance, wciąż przywierając do niej mocniej niż farba do ściany.

— Muszę wrócić do domu po mój pistolet. — Morgan miała pozwolenie na broń, jednak ze względu na dzieci rzadko zabierała ją ze sobą. — Biorąc pod uwagę, że tak naprawdę nic się nie stało, było to przerażające. Co, gdyby coś zrobił, a ja nie byłabym w stanie obronić Sophie?

Lance potarł jej ramiona.

— Nic takiego nie zrobił i Sophie jest bezpieczna. Nie ma sensu się zadręczać wszelkimi możliwymi scenariuszami, które nie zaistniały.

Morgan skinęła głową, jednak nie wyglądała na przekonaną.

— Muszę zadzwonić do domu i ostrzec dziadka. Co, jeśli Burns wie, gdzie mieszkam?

— Twój adres nie jest nigdzie podany, prawda? — zapytał Lance.

Morgan pociągnęła nosem.

— Tak. Ale oboje wiemy, jak łatwo jest uzyskać nazwiska i adresy.

Zeznania podatkowe, księgi wieczyste i inne publiczne rejestry nie były trudne do odnalezienia. Popularność związana z ich ostatnią sprawą sprawiła, że Morgan stała się bardziej widoczna.

Ktoś zapukał do drzwi frontowych.

— Ja otworzę — zaoferował Lance. Wszedł na korytarz i otworzył drzwi frontowe, wpuszczając do środka Stellę.

— Gdzie jest Morgan?

— W swoim biurze. — Lance wskazał na otwarte drzwi. — Nic jej nie jest. Sophie też.

Stella i Morgan objęły się mocno na powitanie.

— Gdzie Gianna? — zapytała Morgan, zerkając nad ramieniem siostry. — Czy coś się stało?

— Nie, Brody pojechał ją odebrać. Dzwoniłam i wszystko jest w porządku. — Stella odchyliła się do tyłu i spojrzała na Morgan. — Chciałam tu przyjechać jak najszybciej i upewnić się, że wszystko jest w porządku. Opowiedz mi, co się stało.

— Nic mi nie jest. — Morgan wyzwoliła się z objęć siostry, po czym zamknęła drzwi biura i opowiedziała o incydencie w sklepie spożywczym.

Lance'a dużo kosztowało, aby się opanować.

Stella robiła notatki w niewielkim notesie, który wyjęła z kieszeni.

— Nie powiedział nic więcej?

— Nie. — Morgan wiedziała już, do czego prowadzą pytania jej siostry.

— Niestety niewiele możemy zrobić. — Stella zamknęła notes. — Tak naprawdę nie zrobił ani nie powiedział niczego, co można by było odczytać jako bezpośrednie zagrożenie. W pobliżu są tylko dwa sklepy spożywcze, musi robić zakupy w jednym z nich. Nie zrobił niczego nielegalnego.

— Wiem — przyznała Morgan. — Ale chcę, aby moje zeznanie znalazło się w aktach.

Zbyt wiele kobiet uważało, że tylko wmawiają sobie niebezpieczeństwo, a potem stawały się ofiarami. Jeśli Burns miał zamiar prześladować Morgan lub jej rodzinę, ważne było, aby notować każdy taki incydent.

— Dobrze. — Skinęła głową Stella, wydając swój telefon. — Zadzwoń do sklepu i poproszę o kopię nagrań z kamer bezpieczeństwa. — Wyszła na korytarz, aby zadzwonić.

Telefon w torbie Morgan zawibrował. Wyłowiła go i spojrzała na wyświetlacz.

— To szeryf King — oznajmiła, po czym odebrała, trzymając telefon w taki sposób, aby Lance też mógł słyszeć. — Tak?

— Której części polecenia, aby trzymać się z daleka od Harolda Burnsa, nie usłyszałaś? — wrzasnął King.

Morgan drgnęła.

— Słucham?

Lance poczuł, jak lodowaty dreszcz przechodzi mu wzdłuż karku. Coś było nie tak.

— Właśnie dzwonił do mnie adwokat Harolda Burnsa — wyjaśnił szeryf. — Burns twierdzi, że poszłaś za nim do sklepu spożywczego i nękałaś go.

— Nie zrobiłam niczego takiego — odparła Morgan.

— Ma zdjęcie ze sklepu i kolejne, gdy wyjeżdżasz z parkingu — kontynuował szeryf.

— Wspomniał może, że byłam w towarzystwie mojej trzyletniej córki? — Morgan

podniosła głos. Odetchnęła głęboko, starając się nad sobą zapanować.

— Nie, nie mówił nic takiego — odpowiedział szeryf, a w jego głosie pojawił się ostrożny ton.

— Naprawdę sądzi pan, że śledziłabym brutalnego przestępcę seksualnego, gdy miałam ze sobą moje dziecko? — Morgan weszła w pełni w tryb niedźwiedzicy broniącej swojego potomstwa. Miało to tę zaletę, że ręce przestały jej drżeć, a na policzki powróciły kolory.

Po chwili milczenia szeryf powiedział:

— Przyjrzę się temu.

— Nie ma takiej potrzeby — powiedziała Morgan zimno, tonem sugerującym, że uważa szeryfa za kompletnie bezużytecznego, nawet jeśli była w zbyt dużym stopniu damą, aby to powiedzieć. — Policja już poprosiła o nagrania z monitoringu, a ja złożyłam skargę na zachowanie Burnsa jeszcze przed naszą obecną rozmową.

— Kto prowadzi tę sprawę?

— Stella Dane — odpowiedziała Morgan.

— Oczywiście — wymamrotał szeryf. — Oczywiście, że zadzwoniłaś po swoją siostrę.

Morgan zignorowała ten komentarz.

— Przekażę, żeby wysłała panu kopię mojego zeznania.

Lance miał nadzieję, że monitoring sklepowy rzeczywiście nagrał to spotkanie. Z drugiej strony, co dokładnie mogło pokazać to nagranie? Z tego, jak Morgan opisała to zajście, wynikało, że skręciła w alejkę i wpadła prosto na Burnsa. Jedyne, na co mogli liczyć, to udowodnienie, że przyjechała do sklepu pierwsza, co potwierdzałoby jej twierdzenie, że to *on* śledził *ją*. Gdyby miała szczęście, kamery by nagrały, że to Burns jej szuka lub zachowuje się w jakiś sposób podejrzanie.

Jednak Lance miał przeczucie, że dzisiaj szczęście nie było po ich stronie. Każde włókno jego ciała mówiło mu, że Burns zaplanował to spotkanie i że to był dopiero początek jakiegoś planu, który uknuł.

— Niech pani uważa, pani mecenas — ostrzegł szeryf. — Nie wiem, co zamierza Burns, ale to bardzo niebezpieczny człowiek.

— Tak, jestem tego świadoma. — Morgan zacisnęła usta.

— Proszę zachować czujność. — Szeryf rozłączył się.

Morgan opuściła drżącą dłoń z telefonem.

— Słyszałaś to?

— Wystarczająco dużo. — Skinął głową Lance. — Burns coś knuje.

— Ale co? — Morgan odgarnęła z oczu pasmo ciemnych włosów.

— Chce cię zrobić. — Lance czuł to w kościach.

Morgan zapatrzyła się w niego szeroko otwartymi oczami, w których widniał lęk,

podobnie jak wcześniej w oczach jej córki. Docierały do niej ewentualne konsekwencje, gdyby Lance miał rację.

— Ale w co?

— Nie wiem, ale nie może to być nic dobrego.

— O mój Boże. On widział Sophie. — Zwróciła się w stronę drzwi, jakby pragnąć pobiec do swojej córki.

Lance złapał ją za ramię.

— Jest w kuchni z Sharpem. Bezpieczna.

Morgan skinęła głową.

— Wiem, ale... — Urwała i wzięła głęboki, kontrolowany oddech. — Poradzę sobie, jeśli chodzi o obronę mojej osoby. Ale gdy ktoś zagraża moim dzieciom, to co innego. Nie ma niczego bardziej przerażającego.

— Wiem. — Lance zaczynał rozumieć różnicę.

Im więcej czasu spędzał z dziećmi Morgan, tym bardziej uważał je za część swojego życia. Zawsze lubił dzieci, jednak trzy córeczki Morgan w szczególny sposób zapadły mu w serce. Ich szczerość, ich nieumiejętność udawania czegokolwiek. Jeśli cię lubiły, nie kryły się z tym. Ava i Mia bez skrupowania okazywały mu swoją sympatię. Straciły ojca, a jednak przyjęły go do swojego życia bez zastrzeżeń.

„A jeśli cię nie lubiły — pomyślał, wspominając reakcję Sophie na jego relację z Morgan — to przynajmniej człowiek wiedział, na czym stoi”.

Jednak nawet Sophie, a może nawet szczególnie Sophie, znalazła drogę do jego serca. Dziewczynka wszystkie emocje odczuwała wyjątkowo silnie. Nie była łatwym dzieckiem, lecz była szczerą. Nieprawdą też było, że go nie lubiła — przekonał go o tym sposób, w jaki dzisiaj do niego lgnęła, szukając pociechy i bezpieczeństwa. Miała swoją matkę w domu przez dwa lata. Teraz Morgan nie tylko wróciła do pracy, ale *na dodatek* zaczęła budować związek z mężczyzną. Sophie nie zdążyła się jeszcze przyzwyczaić do tego, że Morgan nie ma w domu przez większą część dnia. Trudno było oczekiwać, że ucieszy się z tego, iż musi z kimś konkurować o uwagę matki. Jednak Lance potrafił być cierpliwy i wierzył, że w końcu Sophie go zaakceptuje.

Prawdopodobnie.

Sama myśl o tym, że Burns mógłby się znaleźć w pobliżu Sophie, wpędzała Lance'a we wściekłość. Jednak to nie o tę małą dziewczynkę martwił się najbardziej.

— Ofiarą Burnsa była dorosła kobieta — zauważył. — Jego kartoteka wskazuje, że jest skłonny do przemocy, ale nic nie wskazuje, aby był pedofilem.

— Nieszczęśliwie mnie to pociesza.

— Nie i dopilnujemy, żeby nie znalazł się w pobliżu dziewczynek — obiecał Lance. — Ale musisz się też troszczyć o siebie. Jest dużo bardziej prawdopodobne, że to ciebie śledzi.

Rozdział 25.

Morgan zawiozła do domu Sophie i przekazała ją pod opiekę Gianny. Następnie poszła do swojego pokoju i wyjęła z sejfu pistolet. Przebrała się w spodnie z paskiem, na którym mogła zawiesić kaburę na biodrze, zakrywając ją zakietem.

Wyszła na zewnątrz. Lance stał obok jeepa, rozmawiając ze Stellą i z Brodym. Dziadek stał obok nich, wspierając się na lasce. Też miał przy sobie broń.

Morgan poczuła lodowaty prąd w żołądku. Wszystko to miało związek z jednym człowiekiem, brutalnym przestępcą seksualnym, z którym to *ona* nawiązała kontakt.

To była jej wina, że Burns się nią zainteresował.

Jako była prokurator niczego nie pragnęła bardziej niż tego, żeby Burns znalazł się pod policyjnym nadzorem do czasu, aż nie zrobi czegoś nielegalnego. Nic w zachowaniu tego mężczyzny nie wskazywało, że był zainteresowany powrotem na łono społeczeństwa. Zdaniem Morgan było jedynie kwestią czasu, zanim Burns ulegnie swoim skłonnościom.

— Dziękuję, że tu przyjechałaś — zwróciła się do siostry. — Jesteś pewna, że twój szef nie ma nic przeciwko temu?

— Nie ma za co, stęskniłam się za dziewczynkami. — Stella machnęła lekceważąco dłonią. — Idź, rozwiąż swoją sprawę. Ja tu posiedzę do twojego powrotu.

— Stella i ja panujemy nad sytuacją. — Dziadek postukał laską w podjazd.

Dziadek zawsze był znakomitym strzelcem. Wraz z ojcem Morgan nauczyli ją i trójkę jej rodzeństwa posługiwania się bronią. To było jak rodzinny rytuał. Niektóre rodziny chodziły w niedziele do kościoła, natomiast rodzina Dane'ów jeździła wtedy na strzelnicę. Teraz jednak Morgan zastanawiała się, czy ręce dziadka były dostatecznie stabilne, aby trafił do celu.

Ta myśl łamała jej serce.

Partner Stelli, funkcjonariusz Brody McNamara, otworzył drzwi swojego nieoznakowanego samochodu.

— Wrócę na posterunek i sprawdzę, co uda mi się znaleźć na temat Harolda Burnsa.

— Szeryf kazał nam go zostawić w spokoju — powiedział Lance.

— Całe szczęście, że komendant i szeryf nie dogadują się ze sobą — rzucił Brody ponad dachem samochodu. — Nie będę miał najmniejszego problemu, aby przekonać szefa, żeby przyjrzał się Burnsovi pomimo ostrzeżenia szeryfa.

Znając Hornera, tym chętniej się zgodzi.

— Oto wykorzystywanie polityki dla swoich korzyści — zauważył Lance.

— Przynajmniej raz, co nie? Dam wam znać, czego się dowiem. — Brody wślizgnął się za kierownicę i odjechał.

— Będę w środku. — Dziadek chwiejnym krokiem ruszył w kierunku domu. Lance wyprzedził go i otworzył przed nim drzwi, zanim staruszek wdrapał się na schodki.

— Naprawdę chwiejnie chodzi — powiedziała Morgan do swojej siostry.

— Wiem — westchnęła Stella. — Ale przynajmniej udało się go przekonać, aby używał laski na zewnątrz. Dzisiaj się wszystkim zajmę, ty zrobiłaś już dostatecznie wiele w kwestii opieki nad nim. Teraz moja kolej.

— Tak naprawdę aż do tej pory to on opiekował się mną. — Morgan zapatrzyła się we front domu. — Ciężko mi zaakceptować tę zmianę.

— Wiem. Zawsze był przy nas. — Stella objęła siostrę ramieniem. — A teraz my będziemy przy nim.

— Tak — potwierdziła Morgan. — Musimy zadzwonić do Iana i Peyton. Powinni wiedzieć, co się z nim dzieje.

— Gdyby chcieli wiedzieć, dzwoniłoby częściej — powiedziała Stella.

— Peyton dzwoni od czasu do czasu, a przynajmniej się stara. — Młodsza siostra Morgan pracowała jako psychiatra sądowy w Kalifornii. — A Ian rozmawia z dziadkiem przynajmniej raz w tygodniu.

Stella jednak nie miała tyle wyrozumiałości dla rodzeństwa.

— Ian mieszka trzy godziny stąd. Powinien go odwiedzać.

— Nigdy tu nie mieszkał. Nowy Jork jest jego domem. — Rodzina Dane'ów przeprowadziła się do Scarlet Falls po tym, jak ich ojciec zginął na służbie. Ian był już wtedy dorosły. Został w Nowym Jorku i idąc w ślady ojca, wstąpił do nowojorskiej policji. Zamiast jednak wydziału zabójstw, wybrał wydział SWAT.

— Potem porozmawiamy o problemach rodzinnych. — Morgan przytuliła siostrę. — Dopilnujesz, aby wszyscy siedzieli w domu?

Stella spojrzała na nią znacząco.

— Żartujesz sobie? Jestem policjantką. Potrafię utrzymać kilkoro dzieciaków w domu. A poza tym twoje dziewczynki to aniołki. Przez większość czasu.

— Wiem. — Morgan otarła łzę. — Ale jeśli chodzi o bezpieczeństwo moich dzieci, nie zawsze myślę racjonalnie.

— Wszystkiego tu dopilnuję, nie martw się. — Stella owinęła się swetrem, odwróciła się i poszła do domu, mijając po drodze Lance'a.

Morgan i Lance wsiedli do jeepa.

— Wszystko w porządku? — zapytał Lance, uruchamiając silnik.

— Nie. Tak. Nie wiem. — Morgan wypuściła powietrze z płuc. — Biorąc pod

uwagę, że stan zdrowia mojego dziadka pogarsza się, Harold Burns zaczął mnie prześladować i wplątałam w to Sophie, zaczynam mieć wyrzuty sumienia, że wróciłam do pracy.

— Stella dopilnuje wszystkiego do czasu twojego powrotu. — Lance pracował ze Stellą, gdy jeszcze był policjantem. — Jest dobrą policjantką.

— Wiem, że tak jest. — Telefon Morgan zawibrował. Spojrzała na ekran. — To szeryf King.

Lance wyjechał z podjazdu.

— Morgan Dane — odebrała telefon.

— Martwa kobieta to nie Chelsea Clark. — Szeryf nie marnował czasu na wymianę uprzejmości.

Morgan poczuła, jak powietrze ucieka jej z płuc pod wpływem szoku. Starła się działać tak, jakby Chelsea jeszcze żyła, jednak w głębi ducha obawiała się najgorszego.

— Czy wiadomo, kto to był?

— Tak. Patolog zidentyfikował ją dzięki karcie dentystycznej, jednak najpierw poinformujemy jej rodzinę.

— Oczywiście. — Morgan starała się przyswoić informacje. — Czy już poinformował pan Tima, że ciało nie należało do jego żony?

— Dzwoniłem do niego, zanim zadzwoniłem do pani. — Szeryf brzmiał tak, jakby był urażony tym pytaniem.

— Dziękuję, chciałam się tylko upewnić. — Morgan i tak zamierzała się skontaktować z Timem. Ta informacja niewątpliwie miała mieć znaczenie podczas wieczornej konferencji prasowej. — W jaki sposób zginęła ta kobieta?

— Została mocno pobita. Ma złamane żebra, złamaną szczękę, pęknięcie oczodołu i ślady wiązania na obydwu nadgarstkach. Była w piątym miesiącu ciąży i bezpośrednią przyczyną śmierci było... — usłyszała szelest papierów po drugiej stronie słuchawki — odklejenie się łożyska — wypowiedział te słowa, jakby w ogóle słyszał o czymś takim po raz pierwszy. — Wie pani, co to znaczy?

— Tak, to przedwczesne oddzielenie się łożyska od ścianki macicy — powiedziała Morgan i dała mu chwilę na przyswojenie tej informacji. — Wykrwawiła się na śmierć.

— Tak — potwierdził szeryf. — Patolog powiedział, że na tak wczesnym etapie ciąży to rzadkie powikłanie i najprawdopodobniej zostało wywołane uderzeniem w brzuch.

— Ktokolwiek ją więził, nie zabrał jej do szpitala, gdy zaczęła krwawić.

— Zgadza się.

— Czy patolog może wykorzystać DNA dziecka do zidentyfikowania ojca? —

zapytała Morgan.

— Możliwe — powiedział szeryf. — Urodziła, szczątków dziecka nie znaleziono przy jej zwłokach. Gdzieś musi być inny grób i będziemy go szukać. Ale... — szeryf urwał.

— Co jeszcze może mi pan powiedzieć?

— Była zbliżona wiekiem i typem urody do Chelsea Clark. Blondynka, niebieskie oczy — powiedział szeryf. — Zaginęła osiem miesięcy temu.

— Porwanie czy ucieczka?

— W zgłoszeniu zaginięcia jej rodzice twierdzili, że nie miała żadnego powodu, żeby uciec. Była studentką college'u, dobrze się uczyła. — Szeryf westchnął. — Tak jak mówiłem, patolog twierdzi, że ślady na jej nadgarstkach wskazują na długotrwałe stosowanie więzów.

— Czyli prawdopodobnie przez cały ten czas była gdzieś przetrzymywana wbrew swojej woli. Od jak dawna nie żyje? — Morgan obracała w myślach uzyskane informacje, starając się nie reagować emocjonalnie, co było trudne przy tak przerażającej sprawie.

— Tydzień do dziesięciu dni. Zwierzęta naruszyły zwłoki, ale pozostałe szczątki były w dobrym stanie, zimne temperatury w nocy pomogły je zakonserwować. Jeszcze nie wiemy, czy ta sprawa ma cokolwiek wspólnego z zaginięciem Chelsea Clark.

— Sprawa Chelsea jest na tyle dziwna, że niczego na tym etapie bym nie wykluczała — powiedziała Morgan. — Czy ma pan dla mnie jeszcze jakieś informacje, szeryfie?

— Harold Burns pracował w warsztacie tego wieczoru, gdy Chelsea zaginęła.

— Niech zgadnę — powiedziała Morgan. — Jego jedynym alibi jest jego brat?

— Tak. Nie mają kamer w warsztacie, tylko w biurze.

— Bardzo wygodnie. — Morgan była niemal zaskoczona, że szeryf podzielił się z nią tymi informacjami.

— Też tak sądzę — zgodził się King. — Dam znać, jeśli będę miał jeszcze jakieś informacje dla pani.

— Bardzo dziękuję, szeryfie.

Wymamrotał coś, co brzmiało jak „nie ma za co” i rozłączył się.

— Szeryf dzisiaj był bardzo rozmowny — zauważył Lance.

— To prawda, dziwnie chętnie dzielił się informacjami. — Zgodziła się Morgan. — Czekam teraz na jakąś kolejną bombę, która spadnie mi prosto na głowę.

— Czy śmierć tej kobiety ma cokolwiek wspólnego ze zniknięciem Chelsea? Były mniej więcej w tym samym wieku i miały podobne cechy fizyczne.

Morgan spojrzała przez okno na mijane drzewa.

— Ta kobieta była przetrzymywana przez kogoś przez osiem miesięcy. Ktoś ją

gwałcił, zapłodnił i pobił, w wyniku czego zmarła.

— Ten, kto ją przetrzymywał, może potrzebować kolejnej ofiary. — Lance wyłapał, do czego zmierza.

— To tylko spekulacje.

— W stu procentach. — Zgodził się.

— Jednak nawet naciągana hipoteza jest lepsza niż brak jakiegokolwiek. — Morgan znowu zapatrzyła się przez okno. Zbliżali się do domu Clarków.

Chelsea wciąż mogła żyć. Gdzie była?

Tim otworzył drzwi, trzymając na jednym ramieniu śpiące niemowlę. Gestem wskazał im, aby poszli za nim do kuchni. W domu panowała cisza, stojący na blacie telewizor miał wyłączony dźwięk. Tim odłożył dziecko do wyplatanej kołyski. William nawet nie kwęknął.

— Dzisiaj jest bardzo spokojny. — Morgan zerknęła na śpiące niemowlę i poczuła przyływ uczuć macierzyńskich. *Nie! Cicho tam!*

— Pediatra mówił, że pomiędzy czwartym a szóstym miesiącem kolki powinny zacząć powoli ustępować. Wygląda na to, że miał rację. — Tim wskazał na ekspres do kawy. — Właśnie zrobiłem świeżą kawę, napijcie się?

Lance i Morgan odmówili.

— Gdzie są twoi teściowie? — zapytał Lance.

— Patricia czyta na górze Belli. Rand poszedł się zdrzemnąć, a przynajmniej tak mówi. Nie wygląda najlepiej — Tim zmarszczył brwi. — Telefon od szeryfa okazał się dla nas trudny emocjonalnie, co dziwne, prawda? Powinniśmy skakać z radości, a wszyscy jesteśmy rozbici.

Morgan dobrze go rozumiała. Śmierć jej męża była dla niej strasznym ciosem, jednak jakby to było, gdyby nigdy się nie dowiedziała, co się stało z jej mężem? Nigdy nie móc zakończyć pewnych spraw, tak jak stało się to z Lance'em po zaginięciu jego ojca?

— Nie sądzę, żeby istniał jakiś dobry lub zły sposób przyjęcia takiej wiadomości. To okropna sytuacja, z którą nikt nie powinien musieć sobie radzić.

Tim nalał sobie kubek kawy i usiadł na krześle tyłem do telewizora. Morgan usiadła naprzeciwko niego. Lance niespokojnie chodził po kuchni.

— Czy jesteś gotowy na konferencję prasową? — zapytała Morgan.

— Nie wiem. Kiepsko się czuję przed kamerą. Może lepiej byłoby pozwolić Randowi mówić.

— Oferta nagrody, którą złożył Rand, i jego ojcowska prośba o pomoc w znalezieniu Chelsea pomogą, ale ludzie będą chcieli też usłyszeć ciebie. Jesteś jej mężem, ojcem waszych dzieci. Muszą usłyszeć, jak bardzo tobie i dzieciom jej brakuje i jak bardzo pragniecie jej powrotu. Ilekroć kobieta lub dziewczyna znika lub zostaje

zabita, jej mąż lub chłopak jest głównym podejrzanym. Jeśli ty i Rand będziecie prezentować wspólny front, pomoże to w kształtowaniu opinii publicznej.

Tim uniósł głowę.

— Nie obchodzi mnie opinia publiczna. Chcę jedynie odzyskać swoją żonę.

— Rand zaferował nagrodę pieniężną w zamian za pomoc ludzi. Pragnie ich pomocy. Jeśli nie będziesz się odzywał, sprawi to dziwne wrażenie. — Morgan nie mogła się powstrzymać od wybiegania myślami w przyszłość. Co, jeśli znajdą kolejne ciało i tym razem okaże się, że to *Chelsea*? Tim będzie głównym podejrzanym, niezależnie od dowodów.

Lance nagle zatrzymał się obok niej. Jego ciało zeszywniało. Morgan podążyła spojrzeniem za jego wzrokiem, utkwionym w niewielkim telewizorze. Widać w nim było nagranie zrobione przez szybę samochodu drżącą dłonią, ukazujące blondwłosą kobietę kuśtykającą poboczem drogi. Miała na sobie brudną żółtą sukienkę i koc. Była bosa, na ramiona opadały jej brudne włosy. Jej twarz była posiniaczona i opuchnięta.

Nagranie pokazywało następnie samochód, który zatrzymał się na poboczu. Pojazd, z którego nagrywano, zatrzymał się za nim.

Morgan wstała.

— Włącz dźwięk.

Lance już to robił.

Tim obrócił się na krześle.

— O mój Boże.

Z telewizora dobiegły odgłosy ruchu ulicznego, następnie męski głos:

— To kobieta. Chyba coś jej się stało.

Jednak narrator nadal filmował, zamiast udzielić pomocy.

Kobieta upadła na asfalt. Z pierwszego auta wysiadł mężczyzna i podbiegł do niej, po czym padł przy niej na kolana. Kilka sekund później zdjął z siebie marynarkę, owinał nią kobietę. Odwrócił się i zaczął gestykulować w stronę nagrywającego:

— Przestań nagrywać i zadzwoń po karetkę!

Nie dodał „ty idioto”, ale można się było tego domyślić.

Morgan przesunęła spojrzenie z ekranu na Tima.

Nie poruszył się. Jego twarz zamarła w wyrazie oszołomienia.

— To *Chelsea*.

Rozdział 26.

Przechadzał się po zrobionej ze sklejki podłodze kontenera. Drzwi były otwarte i światło dzienne wlewało się do środka. Teraz nie było sensu zamykania kontenera.

Zniknęła. Nie. Nie zniknęła. Zostawiła go.

Teraz miał pierwszą szansę, aby przyjrzeć się śladom. Przez całą noc próbował ją złapać, a rano miał coś innego do zrobienia.

Czuł w piersi straszliwy ból zdrady. Jak mógł się tak pomylić co do niej? Dlaczego nie przewidział tego, że go oszuka?

To był jego błąd, nie jej. Wybrał ponadprzeciętną kobietę, a ona stanęła na wysokości zadania. Nie powinien był być tak pewny siebie. To już się nie powtórzy. Gdy schwyta ją znowu, to już raz na zawsze. Będzie wiedziała, że nie ma ucieczki.

Musi też wyeliminować wszystkie powody jej ucieczki, co oznaczało, że musi wyeliminować jej rodzinę.

Najpierw jednak musi ustalić, jak udało się jej go przechytrzyć. Przyjrzał się zgromadzonym dowodom. Przykucnął i uniósł łańcuch. Klamra była otwarta, nie zerwana, co oznaczało, że musiała się jakoś uporać z zamkiem. Może miała we włosach jakąś spinkę, której nie zauważył. Następnym razem uważnie przejrzy jej włosy.

Łóżko leżało na boku pod dziurą w dachu. Gdy ją zostawiał samą poprzedniego wieczora, otwór był zbyt mały, aby człowiek mógł się przez niego przecisnąć. Sprawdzał to. Jednak Chelsea powiększyła go. Rdza osłabiła materiał. Dostrzegła to i wykorzystała. Następnie użyła łóżka, aby się wspiąć. Gdyby się jej nie udało przecisnąć przez otwór, nigdy by nie uciekła.

Może była zbyt bystra.

Zdecydowanie udało jej się go przechytrzyć. Powinien był zakryć otwór. Zostawił go, aby mogła widzieć upływ czasu i miała dostęp do świeżego powietrza. Jak widać, to był błąd. Następnym razem wykorzysta całkowitą ciemność i dezorientację jako dodatkowe narzędzia.

Poniósł porażkę, a jeśli nie uda mu się ponownie schwytać Chelsea, cała jego praca pójdzie na marne.

To nie mogło się stać.

Poczuł, jak w jego wnętrzu narasta furia, i wiedział, że tym razem ćwiczenia oddechowe nie wystarczą, aby ją uciszyć. Szalała w jego piersi niczym wściekłe zwierzę w klatce, szarpiąc za żebra jak za kraty. Musiał uwolnić się od gniewu, bo inaczej nie będzie w stanie jasno myśleć.

Poszedł do szopy i wziął nóż. Podciągnął rękaw i przeciął skórę na przedramieniu. Popłynęła krew, jednak cięcie było równe i gładkie, ból niewystarczający, aby uciszyć jego emocje. Potrzebował czegoś, co będzie niczym terapia szokowa dla jego emocji.

Odpalił palnik i rozpalił żelazo, którym oznaczył Chelsea. Symbol nieskończoności, ponieważ miała być jego na zawsze. To jeszcze podsycało jego gniew. Jeśli zaraz nad nim nie zapanuje, wejdzie w strefę zagrożenia. Huragan wściekłości kategorii piątej narastał w jego głowie. Nie mógł go powstrzymać, musiał znaleźć sposób, żeby go uwolnić.

Ręce drżały mu z wściekłości i niecierpliwości, gdy rozpalił żelazo, aż stało się czerwone. Podciągnął nogawkę od spodni i przycisnął rozżarzony metal do skóry. Poczul zapach palonego ciała. Pot bryzgnął z jego porów. Palący ból, czysty, jasny i piękny, przeszył jego nogę niczym oślepiająca eksplozja.

Uniósł żelazo. Ból osiągnął apogeum, a potem zaczął słabnąć, tak samo jak jego gniew. Rzucił żelazo na ziemię, aby ostygło. Noga pulsowała bólem, pot przesączył się przez koszulę.

Jednak jego umysł stał się chłodny.

Wziął apteczkę i postępował tak samo jak po oznaczeniu Chelsea: nałożył na ranę balsam i opatrunek. Ból pomoże mu skoncentrować się na jego zadaniu.

Zsunął nogawkę na opatrunek, wyprostował się i wyszedł na zewnątrz. Z nowym zapalem przystąpił do badania tego, jak Chelsea uciekła.

Kilka odcisków bosych stóp prowadziło przez łąkę w kierunku lasu. W nocy pobiegł za nią do lasu, jednak zdołała mu umknąć w ciemnościach.

Wszystko można było jeszcze naprawić. Wiedział, gdzie mieszkała. Już raz ją stamtąd porwał, mógł to zrobić znowu. Tym razem będzie ostrożniejsza i policja być może będzie ją obserwowała, więc będzie to trudniejsze, jednak jeśli będzie cierpliwy, wszyscy w końcu stracą czujność.

Nikt nie może czuć przez bardzo długi czas. To nienaturalne. Jeśli nic się nie wydarzy, w końcu poczują się bezpieczni.

Jednak czekanie nie było jego silną stroną. Może powinien znaleźć inną kobietę i udoskonalić swoje metody.

Chelsea i tak miała być jego, jednak nie było powodu, aby miała być jego *jedyną* kobietą. Co jednak, jeśli zapamiętała zbyt wiele szczegółów na temat kontenera? Co, jeśli doprowadzi policję wprost na jego próg? Musiał istnieć jakiś sposób, aby się do niej dostać.

Musiał ją odzyskać.

A jeśli okaże się to niemożliwe, będzie musiała zapłacić najwyższą cenę.

Rozdział 27.

Chelsea oparła głowę o poduszkę. Jej nerwy wibrowały niczym napięte postronki. Jej ciało nie chciało uwierzyć, że już jest bezpieczna. Umieścili ją naprzeciwko pokoju pielęgniarek, żeby móc ją obserwować. Było to najbardziej ruchliwe miejsce na piętrze, nieustannie przewijał się tam tłum ludzi i panował hałas. Każde walnięcie metalową tacą, każde głośniejsze zamknięcie szuflady wywoływało u niej wstrząs. Lekarka, drobna, spokojna Azjatka, oznajmiła, że stan Chelsea jest stabilny, jednak ona sama w ogóle nie czuła się stabilnie.

Według lekarzy jej ciało nadal znajdowało się w trybie walki. Zaproponowali jej środek uspokajający, ale odmówiła. Dlaczego miałaby chcieć znowu stać się oszołomioną i bezbronną?

Zadrżała i podciągnęła koc elektryczny pod brodę. Czy kiedykolwiek jeszcze będzie jej ciepło?

Całe ciało ją bolało, poczynając od poobdzieranych stóp, a na pobitej twarzy kończąc. Bolały ją oczy, jeśli poruszyła nimi zbyt szybko. W jej ciele nie było nawet jednej cząstki, która nie byłaby posiniaczona, poraniona, otarta lub po prostu wycieńczona.

Ale była tutaj.

Żywa.

Wygrała.

Jakiś dźwięk w progu sprawił, że podskoczyła.

Tim.

Serce jej zabiło na jego widok. Nie sądziła, że jeszcze kiedykolwiek go zobaczy.

Przeszedł przez pomieszczenie. Widziała, że stara się ukryć swoją reakcję, jednak był zszokowany jej stanem. Nie widziała swojej twarzy w lustrze, ale wiedziała, że wygląda okropnie. Wargę miała rozciętą, obydwójce oczu podbitych, złamany nos. Była odwodniona i wychłodzona. Jej skóra była tkliwa i napięta, jakby należała do kogoś innego.

W nogach łóżka stała pielęgniarka, wypełniała jej kartę i mówiła monotonnym, uspokajającym głosem:

— Wczorem ma padać.

Tim ruszył w jej stronę i zatrzymał się, jakby bojąc się do niej zbliżyć. Jakby nie chciał jej wystraszyć.

— Hej, Chels. To ja.

Chelsea niemal zadławiła się z nadmiaru emocji, nie wiedząc, która z nich

pierwsza domaga się uwagi. Miłość. Ulga. Wdzięczność.

Chciała przeżyć — zobaczyć znowu swojego męża i dzieci i tak się stało.

I co teraz?

Pielęgniarka odwiesiła kartę na łóżko i przysunęła się do boku Chelsea, aby zmierzyć jej puls.

— Właśnie mówiłam pańskiej żonie, jacy wszyscy jesteśmy szczęśliwi, mogąc ją widzieć.

Jej sztuczna uprzejmość irytowała Chelsea. Przelknęła z trudem ślinę. Zaszło jej w gardle.

— Tim — wychrypiała.

Odetchnął głośno.

Jak się czuł? Musiał sądzić, że nie żyje.

— Zostawię państwa na chwilę samych. — Pielęgniarka wręczyła Timowi plastikowy kubek z wodą. — Będę tuż obok, gdybym była potrzebna. — Skinęła im głową i wyszła z pokoju.

Tim włożył słomkę między wargi Chelsea. Zacisnęła je wokół niej i skrzywiła się, gdy jej pęknięta warga znowu zaczęła krwawić. Jak w ogóle mogła reagować na tak niewielki ból po tym wszystkim, co przeszła? Jej ciało wydawało się teraz nadmiernie wrażliwe. A może człowiek mógł wyczerpać swoje zasoby wytrzymałości?

— Chciałbym cię przytulić, ale nie chcę zadać ci bólu. — Oczy Tima lśniły. Czy płakał?

— W porządku — wymamrotała przez opuchnięte usta.

Pochylił się nad łóżkiem i przyjrzał się jej twarzy.

— Pocałowałbym cię, ale nie wiem gdzie.

Łza spłynęła z jej oka i popłynęła po skroni. Wyjęła rękę spod koca. Tim ujął jej dłoń, czuła promieniujące od niego znajome, pocieszające ciepło. Trzymała mocno jego rękę.

O to się modliła

Tim otarł oczy dłonią.

— Nie mam słów, aby wyrazić, co teraz czuję. Nie sądziłem, że jeszcze cię zobaczę.

Uścisnęła jego palce.

— Ja też nie.

— Kocham cię. — Tim spojrzał jej w oczy. — Jesteś najsilniejszą osobą, jaką znam.

Poczuła, jak jego słowa rozgrzewają ją od środka.

— Ja też cię kocham. Przez cały ten czas, gdy byłam... tam... myślałam tylko o tym, żeby wrócić do ciebie i dzieci.

— Czy mogę zrobić cokolwiek, aby ci pomóc?

— Po prostu bądź przy mnie. — Jej oddech był drżący. Uczucie paniki i dezorientacji mówiło jej, że powrót do równowagi psychicznej będzie trudniejszy i dłuższy niż fizyczne wyzdrowienie.

— Nigdzie się nie wybieram. — Tim ostrożnie usiadł na skraju łóżka.

Niemal nie mogła uwierzyć, że jej się udało.

Pukanie do drzwi zaskoczyło ich oboje. Chelsea skuliła się. Nie była w stanie zapanować nad tym odruchem.

W progu stanął szeryf i odchrząknął.

— Pani Clark, chciałbym z panią porozmawiać przez kilka minut.

— W porządku, kochanie. — Tim spojrział na szeryfa ostrzegawczo. — To jest szeryf King.

Wskazał szeryfowi krzesło pod ścianą.

— Proszę usiąść, szeryfie.

Szeryf obrócił krzesło w stronę Chelsea i usiadł. Następnie wyjął z kieszeni notatnik.

— Czy pamięta pani, co wydarzyło się w ostatni piątek?

Chelsea wciągnęła powietrze, nierówno, co przypomniało jej dźwięki, jakie wydawał William, gdy mijał mu atak płaczu. Potrząsnęła głową.

— Niezupełnie. Mam jakieś przebłyski. — Zaciśnęła na kilka sekund powieki pod napływem przerażających wspomnień. Odepchnęła je na bok. Szeryf będzie chciał znaleźć człowieka, który ją porwał. Musiała zebrać się na odwagę, aby mu w tym pomóc. — Wydaje mi się, że był na tylnym siedzeniu, gdy wsiadłam do samochodu.

Czekał na nią na jej własnym podjeździe.

— Kazał mi jechać do Grey's Hollow. Gdy minęliśmy stację kolejową, polecił zatrzymać samochód i dał mi coś do wypicia. Potem straciłam przytomność i przez kolejne dni odzyskiwałam ją i traciłam.

Lekarz powiedział jej, że narkotyk prawdopodobnie wpłynął na jej pamięć.

Szeryf zmarszczył brwi.

— Jaka jest pierwsza rzecz, którą pani pamięta *po* przebudzeniu?

Chelsea wspomniała, jak zbudziła się w kontenerze. Zaczęła drżeć na całym ciele.

Tim pogładził ją po ramieniu.

— W porządku. Teraz jesteś bezpieczna.

Potrząsnęła głową. Łzy napłynęły jej do oczu i pociekły po policzkach.

— On. On. On... — Chwytała łapczywie powietrze, nie mogąc wykrztusić słowa. Nabrała tchu i zatrzymała powietrze w płucach przez chwilę, po czym wypuściła je. — Przykuł mnie łańcuchem.

Zainfekowana rana na jej kostce pulsowała bólem.

— Czy jest pani w stanie go opisać? — zapytał szeryf.

Chelsea przyłgnęła do dłoni Tima i potrząsnęła głową, czując się słaba, bezbronna i żalosna. Nigdy go nie znajdują, jeśli nie będzie nawet w stanie odpowiedzieć na kilka prostych pytań. Zmusiła wargi do uformowania słów.

— Miał na sobie maskę.

Szeryf zmarszczył brwi.

— Każdy szczegół może nam pomóc.

— Moja żona... — Tim podniósł głos.

— Nie, Tim, proszę. Szeryf stara się nam pomóc. Chcę, aby ten człowiek został złapany. — Chelsea pociągnęła Tima za rękę. — Nie chcę, żeby *on* pozostał na wolności.

Najbardziej zależało jej na tym, żeby to *on* był uwięziony, a *ona* była wolna.

— Dobrze, ale daj znać, gdyby to było dla ciebie zbyt męczące. — Poprosił Tim.

Puściła jego dłoń i wzięła kubek z wodą. Pociągnęła powoli łyk. Chłodna woda spłynęła jej po gardle, łagodząc dyskomfort. Była w stanie to zrobić. Uniosła podbródek i spojrzała szeryfowi w oczy.

— Miałna twarzy maskę narciarską. Jego wzrost to jakieś metr osiemdziesiąt, może był nawet nieco wyższy i silny.

— A jego głos? — zapytał szeryf. — Czy wydawał się pani znajomy?

— Nie sędzę.

— Jakiś charakterystyczny akcent?

— Nie.

— W jakim miejscu była pani przetrzymywana? — zapytał szeryf.

— To był stary kontener, ustawiony gdzieś w lesie. — Chelsea opisała wnętrze kontenera i to, jak wydostała się przez dziurę w przerdzewiałym dachu. — Kilkadziesiąt metrów dalej był niewielki domek.

W miarę jak mówiła, jej głos stawał się słabszy i musiała robić sobie dłuższe przerwy na oddech. Była wyczerpana fizycznie i emocjonalnie, jednak chciała przekazać szeryfowi jak najwięcej informacji.

— Gonił mnie. — Przy tych słowach głos jej wyraźnie zadrżał. — Biegłam przed siebie. Biegłam tak szybko, jak potrafiłam. Gdy w końcu musiałam się zatrzymać, aby złapać oddech, nie słyszałam go za sobą. Wytarzałam się w ziemi, bo sukienka miała tak jaskrawy żółty kolor, że bałam się, iż mnie dostrzeże.

Zapewne właśnie dlatego wybrał tak jasny kolor — uświadomiła sobie, czując, jak żołądek skręca się jej w zimną kulę. Może jednak wzięcie środka uspokajającego nie było tak złym pomysłem.

Łyknęła wody.

— O tej porze roku drzewa nie mają liści, są szare. Gdy trochę się ubrudziłam, ruszyłam dalej. Nie mam pojęcia, ile przeszłam, ale wiedziałam, że jeśli się

zatrzymam, nie będę w stanie ruszyć dalej, bo zeszywnieję.

— Słuszna decyzja — pochwalił szeryf.

— Poza tym robiło się coraz zimniej, a ja miałam tylko ten koc. — Ręce Chelsea i całe jej ciało znowu zadrżały silnie.

— Widziała pani jakiś pojazd? — zapytał szeryf, robiąc notatki.

— Nie. — Chelsea wyobraziła sobie kontener na polanie i dom w pobliżu. — Ale musiał gdzieś być. Musiał mieć jakiś środek transportu.

— O której pani uciekła? — zapytał.

— Nie wiem — odparła Chelsea.

— Czy potrafi pani ocenić, jaką odległość przebyła? — naciskał szeryf.

Potrząsnęła głową. Ta noc zlewała się w jedno pasmo przerażenia, wyczerpania i bólu.

— Nie wiem.

Tim ujął znowu dłoń swojej żony.

— Chelsea biega niemal codziennie. Jest bardzo wysportowana.

Bez wątpienia to uratowało jej życie.

Szeryf sfrustrowany postukał długopisem w notatnik.

— Jak daleko zwykle pani biega?

Chelsea oparła głowę z powrotem na poduszce, wyczerpana.

— Kilka, nawet kilkanaście kilometrów — wtrącił Tim. — Jest też szybka.

— Nie biegła pani wzdłuż żadnej ścieżki czy strumienia? — zapytał szeryf King, wypuszczając powoli powietrze.

— Po prostu biegłam. Było ciemno. W pewnym momencie musiałam zacząć iść. W lesie wszystko wyglądało tak samo. — Wspomnienia i słowa zaczynały się zlewać, jej głos stawał się wyższy, była coraz bardziej wykończona.

— Czy słyszała pani coś, gdy przebywała w kontenerze lub podczas ucieczki? — zapytał szeryf. — Każdy szczegół może nam pomóc go zlokalizować.

— Nie. Sama nie wiem. — Chelsea mrugnęła i łzy popłynęły jej z oczu. W głosie zabrzmiała frustracja. — Nie pamiętam.

— Czy była tam jakaś droga albo czy kontener mógł być widoczny z góry? — pytał szeryf.

Chelsea wyobraziła to sobie.

— Nie widziałam drogi, a nad kontenerem były gałęzie, więc nie jestem pewna. Może? Przepraszam, było ciemno, a ja przede wszystkim chciałam uciec, a nie zapamiętać każdy szczegół.

Do pokoju weszła lekarka i zmarszczyła brwi.

— Wystarczy. Gdy odpocznie, może być w stanie przypomnieć sobie więcej informacji. Ale teraz już dość. — Trzymała w ręku strzykawkę. — Wiem, że nie

chciała pani wcześniej środka uspokajającego, ale nie spała pani, a naprawdę jest to pani potrzebne. Myślę, że to pomoże.

Czując, że nie jest w stanie poradzić sobie z emocjami, które wypełniały jej głowę, Chelsea zgodziła się.

— Dobrze. — Spojrzała na Tima. — Ale ty zostaniesz?

— Będę tu, gdy się obudzisz. — Poglądził jej czoło.

Lekarka wstrzyknęła przejrzysty płyn do jej kroplówki.

Po kilku sekundach Chelsea poczuła, jak napięcie w jej ciele opada. Jej palce w dłoni Tima rozluźniły się, pokój zaczął się zamazywać. Ledwo dostrzegła, gdy szeryf wyszedł z pokoju.

— Jak mówiłam wcześniej, zleciłam też badanie psychologiczne — dobiegł ją jeszcze głos lekarki. — Istnieją sposoby, które mogą pomóc jej przypomnieć sobie więcej szczegółów, ale jak na razie dość już przeszła.

— Zostawię na noc policjanta pod drzwiami pokoju pańskiej żony. — Usłyszała głos szeryfa. — Jutro ocenimy sytuację na nowo.

Chelsea zadrżała. Jej porywacz przetrzymywał ją prawie przez tydzień. Torturował ją.

Istniała możliwość, że tak łatwo z niej nie zrezygnuje.

Rozdział 28.

Lance i Morgan siedzieli w szpitalnej poczekalni. Morgan w milczeniu wpatrywała się w ciemnoszarą wykładzinę. Nie powiedziała ani słowa od czasu, gdy dziesięć minut wcześniej pielęgniarka przysłała po rodziców Chelsea. Jej oczy były ciemne, a spojrzenie odległe i Lance zastanawiał się, jakie wspomnienia ją opanowały.

Minęło kilka godzin od czasu, gdy w kuchni Tima zobaczyli nagranie. Kilka telefonów potwierdziło, że Chelsea została zabrana do szpitala. Sąsiadka przysłała zająć się dziećmi, tak aby Tim, Patricia i Rand mogli pojechać do szpitala.

— Wszystko w porządku? — Lance chwycił dłoń Morgan i splótł palce z jej palcami. Jej dłoń była zimna.

— Gdy kapelan przyszedł do mnie powiedzieć, że John nie żyje, byłam sama. To znaczy dziewczynki były w domu, ale ja byłam jedyną dorosłą osobą. Sophie była jeszcze niemowlęciem. Nawet nie pamiętam kilku kolejnych godzin. Nie wiem, kto zajął się dziećmi. Może kapelan? Może wojskowy, który mu towarzyszył? Może ja. — Urwała i zaczerpnęła powietrza. — Ktoś zadzwonił do dziadka, bo on i Stella po prostu pojawili się u mnie. Nie pamiętam dalszej części tego dnia. Tak naprawdę, pomijając pogrzeb Johna, kilka kolejnych tygodni skrywa mgła.

Lance uściskał jej dłoń. Ból w jej głosie rozrywał mu serce.

— Może tak jest lepiej.

— Może tak.

— Chelsea żyje.

— Wiem — powiedziała cicho Morgan. — Myślałam tylko, jak to dobrze, że Tim miał wsparcie i nie był sam. Chelsea żyje, ale nie mamy pojęcia, co jej się przytrafiło i przez co przeszła.

Lance mógł się założyć, że było to coś okropnego. Nie widział jeszcze Chelsea na żywo, ale widział jej twarz na nagraniu. Była brudna, pobita, opuchnięta, jej skóra miała kolor surowego mięsa. Tim potrzebował kilku sekund, aby ją rozpoznać, i nie mógł się pozbierać.

W progu pojawił się cień.

— Tu jesteście — powiedział szeryf. Podszedł do stolika i zrobił sobie kawę w ekspresie, po czym usiadł naprzeciwko Lance'a i Morgan. Miał zatroskane spojrzenie, ścisnął kubek w obu dłoniach, jednak Lance widział, że końce jego palców lekko drżą.

Niewiele rzeczy robiło wrażenie na szeryfie Kingu. Podczas dziesięcioleci swojej pracy w organach ścigania widział niejedno, jednak z jakiegoś powodu sprawa

Chelsea zrobiła na nim wrażenie. Lance poczuł niepokój. Co takiego Chelsea mu powiedziała?

— Jak ona się miewa? — zapytała Morgan.

— Żyje, chociaż jest w kiepskim stanie. — Szeryf urwał i napił się kawy. — Niestety jej oprawca nosił maskę, więc nie jest w stanie go opisać, poza tym, że miał co najmniej metr osiemdziesiąt wzrostu i był silny. Nie rozpoznała innego akcentu, więc pewnie jest gdzieś z tej okolicy.

— Ten opis pasuje do Harolda Burnsa — zauważył Lance.

Szeryf wzruszył ramionami.

— Ten opis pasuje do wielu mężczyzn w hrabstwie Randolph.

— Czy kazał pan ludziom prowadzić w lesie poszukiwania miejsca, gdzie była przetrzymywana? — zapytała Morgan.

Szeryf skinął głową.

— Tak, ale nie mamy pojęcia, jak daleko i jak długo biegła. Sądząc z obrażeń jej stóp, przebyła dość dużą odległość, kilometry. Mówiła o jakimś domku w lesie, ona sama była przetrzymywana w starym kontenerze. Trudno, będzie trzeba zawęzić poszukiwania, dopóki nie wydobędziemy z niej więcej informacji. Przeglądamy zdjęcia satelitarne regionu w poszukiwaniu kontenera, jednak Chelsea mówiła o gałęziach nad nim, które mogą go zasłaniać. — Jego potężna pierś unosiła się i opadała. Zapatrzył się w kubek swojej kawy. Najwyraźniej rozmowa z Chelsea zmartwiła go. — Szkoda, że nie pamięta więcej szczegółów.

— Przeżyła traumę.

— Tak. — Jego twarz przybrała zwykły kamienny wyraz. — Wysłaliśmy sukienkę i koc, które miała na sobie, do badania. Spróbują znaleźć ślady DNA, jednak biorąc pod uwagę, jaką odległość przebyła w lesie, nie sędzę, aby technicy znaleźli coś wartościowego. Rozmawiając z nią, róbcie, proszę, notatki. Każdy szczegół może nam pomóc złapać tego drania.

— Dziękujemy za informacje — powiedział Lance.

Szeryf wstał i w drodze do drzwi wyrzucił pusty kubek po kawie.

— Co teraz? — Morgan wstała i przeciągnęła się.

— Sam nie wiem. — Lance również wstał. — Sharp i ja zostaliśmy zatrudnieni do znalezienia Chelsea, która nie jest już zaginiona.

— Nie jestem pewna, czy Tim będzie jeszcze potrzebował prawnika. Nie wiem, jak wygląda moja sytuacja. — Morgan zaczęła chodzić po pomieszczeniu. — Dajmy Timowi jeszcze trochę czasu.

Nie musieli czekać długo. Tim wkrótce wszedł do poczekalni. Jego spojrzenie było takie, jakby to *on* przeszedł traumę.

— Mam tylko kilka minut, muszę wracać do Chelsea.

— Oczywiście. — Zgodziła się Morgan. — Nie musisz się czuć zobowiązany do informowania nas na bieżąco, idź do swojej żony.

— Ona... — Obejrzał się za siebie, po czym odwrócił w ich stronę i usiadł na krześle. Oparł łokcie na kolanach i schował twarz w dłoniach, po czym wsunął obie dłonie we włosy.

Morgan przysunęła swoje krzesło do niego. Nic nie mówiąc, położyła mu dłoń na plecach. Ramiona Tima zadrżały, gdy zaczął cicho płakać. Po kilku minutach uniósł głowę, jednak w jego oczach wciąż malował się przeżyty wstrząs.

— Gdy wszedłem, ona cała się trzęsła. Tak mocno. — W jego wypełnionych łzami oczach błysnął gniew. — Ale jest silna. Silniejsza, niż kiedykolwiek sądziłem. — Tim oparł się o krzesło i otarł rękawem twarz. Jego oczy stały się bezbarwne, gdy powiedział: — Oznakował ją.

— Co takiego? — zapytał Lance.

— Wypalił jej znak. Wygląda jak symbol nieskończoności — westchnął Tim. — Lekarka powiedziała, że chirurg plastyczny się temu przyjrzy. Ale co, jeśli nie będą w stanie tego usunąć? Za każdym razem gdy na to spojrzę, będzie sobie przypominała o swoim porwaniu i uwięzieniu. Nigdy nie będzie w stanie o tym zapomnieć. — Tim zerwał się i zaczął chodzić po poczekalni. Jego spojrzenie wędrowało chaotycznie od jednego przedmiotu do drugiego i wydawało się, że w ogóle nie rejestruje tego, co widzi, tak jakby jego umysł wciąż jeszcze nie był w stanie przetworzyć kilku ostatnich godzin. Tim sprawiał wrażenie człowieka na skraju załamania nerwowego. — Muszę wracać do Chelsea. Nie wiem nawet, jak mam z nią rozmawiać.

— Nie możesz powiedzieć niczego, co wymazałoby to, co się stało — odezwała się Morgan. — Po prostu powiedz jej, że ją kochasz. Będzie cię potrzebowała.

— Masz rację. Dziękuję. — Skierował się do drzwi.

— Czy możemy coś zrobić? — Lance też martwił się zagrożeniem życia Chelsea. — Czy szeryf dał jej ochronę?

Tim skinął głową.

— Na noc zostawił funkcjonariusza pod drzwiami jej pokoju.

Mieli nadzieję, że szeryf będzie ją chronił, dopóki człowiek, który ją porwał, nie zostanie złapany.

— Co chcesz zrobić w kwestii konferencji prasowej? — zapytała Morgan. — Jest zaplanowana na siódmą.

Lance sprawdził godzinę na telefonie. Było już po szóstej. W brzuchu mu zaburczało, tak jakby właśnie uświadomił sobie, że czas coś zjeść. Czy jedli lunch? Ten dzień zamazywał mu się w pamięci.

Tim nie był pewien.

— Szeryf powiedział, że zajmie się poinformowaniem prasy, ale sugerował, że

powinien tam być obecny ktoś reprezentujący rodzinę. Nie chciałbym zostawiać Chelsea, a jej rodzice nie są w stanie teraz stanąć przed kamerami. Co stanie się z nagrodą teraz, gdy Chelsea się odnalazła?

— Głównym celem konferencji miałyby być zaapelowanie do społeczeństwa o pomoc w jej znalezieniu. Szczegóły przyznania nagrody nigdy nie zostały opublikowane, więc możemy teraz wycofać ofertę — zapewniła Morgan.

Tim potrząsnął głową.

— Ojciec Chelsea chce, aby nagroda przysłużyła się złapaniu i skazaniu tego, kto porwał jego córkę.

— Zgoda — powiedziała Morgan. — Przeredaguję wcześniejsze oświadczenie.

— A więc zajmiesz się dla nas konferencją prasową? — upewnił się Tim.

— Tak — potwierdziła Morgan.

— Dziękuję. Bardzo. Naprawdę doceniamy twoją pomoc. Nikt z nas nie jest w stanie w tej chwili jasno myśleć — powiedział Tim i wyszedł.

— Muszę jechać na konferencję prasową. — Morgan podniosła swoją torbę.

— Zawiozę cię. — Lance nie był zachwycony, że Morgan znowu znajdzie się w świetle reflektorów. Jednak robiła to, co było najlepsze dla jej klienta. Lance postanowił trzymać się blisko niej.

Wyszli ze szpitala i przeszli przez parking do jeepa.

— Potrzebujesz wstąpić do biura? — zapytał Lance, uruchamiając silnik.

— Nie mamy już na to czasu. — Morgan otworzyła torbę, przeczesała włosy i poprawiła szminkę. — To nie powinno długo potrwać. Wygłoszę krótkie oświadczenie, że rodzina cieszy się z powrotu Chelsea i prosi o uszanowanie prywatności. Szeryf zajmie się odpowiadaniem na pytania dotyczące śledztwa.

Lance podjechał pod budynek municypalny, w którym szeryf zorganizował konferencję prasową. Gdy przybyli, dziennikarze już się zebrali i ustawiali sprzęt. Zauważyli przedstawicieli co najmniej dwunastu stacji. Zniknięcie Chelsea nie przyciągnęło aż takiej uwagi mediów, jednak niewielu ofiarom porwań udaje się uciec. Biorąc pod uwagę, że Chelsea nie było przez tydzień, większość ludzi sądziła, że już nie żyje.

Morgan przeszła do przedniej części pomieszczenia. Lance znalazł miejsce pod ścianą, gdzie nie obejmowały go kamery, ale był dostatecznie blisko, aby zapewnić wsparcie.

Szeryf King wszedł na podwyższenie. Morgan zajęła miejsce obok niego. Sprawdzili działanie mikrofonów, po czym szeryf rozpoczął konferencję. Przedstawił siebie i Morgan, a następnie przeczytał przygotowane wcześniej oświadczenie.

— Dzisiaj rano Chelsea Clark została znaleziona na poboczu Breakneck Road przez przejeżdżającego kierowcę. Wydział szeryfa jest wdzięczny, że odnalazła się

żywa i wróci do rodziny. Nadal prowadzimy śledztwo w sprawie jej zniknięcia i jesteśmy zdeterminowani, aby jej porywacz stanął przed wymiarem sprawiedliwości.

Dziennikarze natychmiast zaczęli zadawać pytania.

— W jakim jest stanie?

— Stabilnym — odpowiedział szeryf.

— Gdzie przebywała przez cały tydzień? — zapytał dziennikarz z pierwszego rzędu, wstając.

— Została porwana i była przetrzymywana przez nieznanego sprawcę — wyjaśnił szeryf.

— Czy porywacz ją wypuścił? Czy też uciekła? — dopytywał się inny reporter.

Szeryf pochylił się w stronę mikrofonu.

— Wydaje się, że uciekła.

— Co to oznacza? — W tonie reportera pobrzmiwała wrogość.

Szeryf zeszywniał.

— To oznacza, że nie mogę udzielić więcej informacji na temat toczącego się śledztwa.

Szczupły mężczyzna przepchał się do przodu.

— Czy ta sprawa jest powiązana ze szczątkami kobiety, znalezionymi w parku stanowym Black Run?

— Nie. — Szeryf wyglądał na zaskoczonego. Najwyraźniej nie często stawał się celem otwartego ataku. — W tym momencie nie mamy żadnych dowodów, pozwalających połączyć te sprawy.

— Czy macie opis porywacza? — Szczupły mężczyzna zadał kolejne pytanie.

Szeryf najwyraźniej był poirytowany nieustępliwością mediów. Nabral powietrza, wyprostował się i wypiął pierś. Najwyraźniej próbował onieśmielić szczupłego dziennikarza, jednak jego wyraz twarzy pozostawał bez zmian.

— Chelsea Clark została porwana w piątek wieczorem i była przetrzymywana przez mężczyznę, który nosił maskę. — Szeryf uważnie dobierał słowa i przemawiał tonem pełnym autorytetu. — Nigdy nie widziała jego twarzy.

Szczupły dziennikarz zmienił cel ataku.

— Pani Dane, czy jako przedstawicielka prawna rodziny może pani podać więcej szczegółów? Opinia publiczna ma prawo wiedzieć, czy istnieje niebezpieczeństwo.

— Rodzina Chelsea cieszy się z powodu jej powrotu do domu i chce się skupić na tym, aby pomóc jej w procesie zdrowienia. Proszą o zrozumienie i modlitwę — powiedziała Morgan. — W sprawie szczegółów śledztwa należy się zwracać do szeryfa.

Szczupły dziennikarz nie zrażał się.

— Czy w hrabstwie Randolph grasuje seryjny morderca?

Szeryf znowu pochylił się nad mikrofonem.

— Nie mamy żadnych śladów sugerujących, że te sprawy są połączone, ani pozwalających na wyciąganie takich przedwczesnych wniosków.

Nie licząc tego, że dwie kobiety, mniej więcej w tym samym wieku i o tym samym typie urody, zostały porwane i pobite.

Rozdział 29.

Krzyk dziecka wyrwał Morgan z głębokiego snu. Serce zatłukło się jej w piersi. W łóżku było zimno. Po tym, jak budziła go przez zbyt wiele kolejnych nocy, Snoozer postanowił wynieść się z łóżka Morgan i spać z jej dziadkiem. Kolejny okrzyk wleciał przez otwarte drzwi.

Sophie.

Morgan nasłuchiwała kolejnego krzyku. Jej spojrzenie powędrowało do zegara na szafce nocnej. Tuż po północy. Spała zaledwie pół godziny po tym, jak wcześniej przez godzinę wpatrywała się w sufit, zamartwiając się sprawą.

Może lęk nocny tym razem minie.

Poprzednie dwa epizody trwały każdy po dziesięć minut, jednak lekarz mówił jej, że mogą być nawet jednodominutowe. Może tym razem jej się poszczęści i Sophie uspokoi się sama z siebie? Po chwili jednak usłyszała tąpnięcie, które świadczyło o tym, że tak się nie stanie.

Półprzytomna, Morgan odrzuciła kołdrę i wygramoliła się z łóżka. Owiął ją chłód. Dziadek przykręcał na noc ogrzewanie, a stary dom wymagał już nowej izolacji.

Stała bosymi stopami na lodowatych deskach podłogi. Gdzie jej kapcie? Nie było ich obok łóżka, gdzie powinny. Nie miała czasu ich szukać. Chwyciła sweter i ruszyła do pokoju córek, wciąż półprzytomna. Miała nadzieję, że uda jej się zabrać Sophie, zanim jej krzyki obudzą Avę i Mię. Obie miały mocny sen, jednak Sophie potrafiłaby zbudzić umarłego.

Wciągnęła sweter przez głowę i ruszyła ciemnym korytarzem. Lampka nocna wpięta do kontaktu oświetlała tylko kawałek podłogi, na tyle, żeby w drodze do łazienki nie potknąć się o jakąś porzuconą zabawkę. Korytarz prowadził do przedpokoju, salonu i kuchni, znajdującej się w przedniej części domu. Przez okno wpadało światło księżyca, przecinając ciemność jaśniejszym strumieniem.

W tym strumieniu widać było dwie ciemne sylwetki. Jedna z nich należała do dziecka, druga do dorosłego. Stali w drugim końcu korytarza. Morgan stanęła w miejscu. Czyżby Gianna lub dziadek zbudzili się, aby zajrzeć do Sophie?

Jej wzrok stopniowo przyzwyczajał się do ciemności.

Sylwetka dorosłego zdecydowanie należała do mężczyzny i była potężniejsza niż Gianna. Widziała, że dziecko się wyrывa.

— Dziadku? — zapytała, jednak już wypowiadając te słowa, zdała sobie sprawę, że postać nie porusza się tak jak stary człowiek.

Mężczyzna obrócił się w jej stronę i Morgan krew ścięła się w żyłach. To

zdecydowanie nie był jej dziadek.

W jej domu znajdował się ktoś obcy.

Intruz.

Kaptur osłaniał mu twarz. Dziecko wrywało mu się, jednak trzymał je mocno za ramię, przyciskając je plecami do swojego ciała i zakrywając jedną dłonią twarz.

Sophie miała otwarte oczy i jej białka błyskały panicznie w ciemnym korytarzu.

Morgan z przerażeniem patrzyła na rozgrywającą się przed nią scenę. Usiłowała dostrzec, czy napastnik ma broń, jednak obydwie jego ręce były widoczne i zajęte. Chłód w jej ciele przekształcił się w zimny, pełen furii spokój.

— Puść moją córkę — powiedziała, nie rozpoznając własnego głosu, tak był pełen groźby. Nigdy wcześniej nie czuła się w ten sposób. Po przyjściu do domu schowała pistolet w sejfie i ustawiła alarm. Tak czy siak zresztą nie zaryzykowałyby strzału, gdy intruz trzymał jej córkę przed sobą niczym tarczę. Wiedziała, że wbrew temu, co pokazuje telewizja, z pistoletu ciężko strzelić na tyle celnie, aby ryzykować strzał nad głową dziecka, zwłaszcza w ciemnym korytarzu i pod wpływem zdenerwowania.

Co mogła zrobić?

Podeszła krok bliżej.

Przesunął dłoń z ramienia Sophie na jej brodę.

— Jeśli podejdziesz bliżej, skręcę jej kark. — Jego głos był nie dającym się zidentyfikować szeptem.

Morgan oceniła, w jaki sposób trzyma jej córkę. Czy trzymając jedną rękę na jej ustach, a drugą pod brodą byłby w stanie naprawdę złapać ją z dostateczną siłą, aby skrócić jej kark?

Sophie była drobna i krucha, Morgan nie mogła podjąć takiego ryzyka.

Lęk i adrenalina krążyły w jej żyłach, jednak umysł Morgan był dziwnie chłodny. Jakiś prymitywny instynkt sprawiał, że skoncentrowała się na wyrwaniu dziecka z rąk napastnika, i nie pozwalał jej ulec przerażeniu.

— Czego chcesz? — zapytała. Nie rozpoznawała własnego głosu. Spokój w jej wnętrzu był lodowato zimny, wyrastał z determinacji i niezmiernej wściekłości, która czekała przyczajona, aż będzie mogła wybuchnąć w kierunku tego człowieka, który ośmielił się zagrozić jej maleństwu.

— Idziesz ze mną.

— Dobrze. — Zrobiłaby wszystko, byle tylko uratować swoje dziecko. Gotowa była poświęcić swoje życie, zabić go gołymi rękami, wydrapać mu oczy. Nie było zbyt wysokiej ceny, nie było czynu, którego by się nie podjęła. — Puść ją.

Zachichotał niskim, kpiącym głosem, który sprawił, że skóra Morgan pod swetrem pokryła się gęsią skórką. Najwyraźniej dobrze się bawił.

— To nie będzie takie łatwe.

— Powiedz, co mam zrobić. — Czekala na jego odpowiedź.

— Ja też zabieram.

Sophie obróciła głowę i ugryzła go. Oderwał rękę od jej twarzy.

— Au! Ty mała...

Uniósł rękę, jakby chciał uderzyć dziewczynkę, ale nie dała mu szansy. Jej drobne ciało odwróciło się w jego stronę, wymachując szaleńczo rękami w sposób, który uniemożliwiał mu solidne złapanie jej.

Morgan rzuciła się naprzód, mając wrażenie, że korytarz staje się coraz dłuższy.

Dzieliło ich jeszcze kilka kroków, gdy Sophie kopnęła napastnika gołą stopą w nogę. Jedna mlócająca szaleńczo piąstka uderzyła w jego krocze. Zgiął się wpół, wtedy Sophie zdołała się wyrwać i ruszyła w stronę swojej matki.

Uczucie ulgi było przemijające.

Mężczyzna wyprostował się. Byli w tym momencie zbyt blisko siebie, dzieliły ich najwyżej trzy kroki. Sophie chwyciła Morgan za udo, krępując jej ruchy.

Intruz obrócił głowę w lewo, w kierunku drzwi do pokoju dziewczynek.

Morgan chciała stanąć pomiędzy nim a pozostałą dwójką dzieci. Nie odrywając od niego wzroku, popchnęła Sophie za siebie.

— Idź do pokoju mamusi i zamknij drzwi.

Plącząc cicho, Sophie wczepiła się mocniej w Morgan.

— Natychmiast! — Morgan nadal wpatrywała się w intruza, obserwując jego głowę, ręce i biodra, starając się jak najwcześniej odczytać jego zamiar poruszenia się.

Sophie puściła ją. Morgan słyszała, jak szlochając i plaskając bosymi stopami po deskach podłogi, biegnie przez korytarz. Serce jej krwawiło, ale przede wszystkim musiała zatroszczyć się o jej bezpieczeństwo, potem będzie ją tulić i pocieszać, gdy już wszyscy będą bezpieczni. Usłyszała trzaśnięcie drzwi i przekręcenie zamka.

Jednak Morgan miała świadomość, że cienkie wewnętrzne drzwi nie stanowią dostatecznej ochrony, a poza tym dwójka jej starszych dzieci również była w niebezpieczeństwie.

— Nie ruszaj się. — Z cienia za intruzem rozległ się głos dziadka. Światło odbijało się na lufie pistoletu w jego dłoni. — Daję słowo, że zastrzelę cię bez wahania.

Morgan odetchnęła.

Dzięki Bogu.

Dziadek krył się w cieniu i był na tyle mądry, aby tam pozostać. Gdyby przysunął się bliżej do intruza, ten natychmiast by zobaczył, jak stary i kruchy jest dziadek, a przy tym miałby szansę, żeby go rozbroić.

Intruz zamarł na kilka długich sekund, po czym odwrócił się i rzucił w kierunku drzwi frontowych. Przekręcił zamek w drzwiach, otworzył je i wypadł na zewnątrz.

Gdy jego kroki zadudniły na zewnątrz, uruchomiły się lampy wyposażone w czujniki ruchu. Trzymając pistolet w dłoni, dziadek ruszył za nim. Zatrzymał się w progu i przyjrzał się jasno oświetlonemu podwórku.

Morgan zawahała się. Jakaś jej część chciała iść za dziadkiem, wiedząc, że ten nie będzie w stanie złapać intruza, a myśl o tym, że im umknie, była dla niej niepokojąca. Nie wiedziała nawet, kim był. Z drugiej strony dziadek upewni się, że intruz zniknie, a ona musiała sprawdzić, czy wszyscy członkowie jej rodziny są bezpieczni.

Zawróciła. Sophie była zamknięta w jej sypialni, sama i bez wątplenia przerażona.

— Co się stało? — Gianna stanęła w drzwiach swojego pokoju naprzeciwko pokoju dziewczynek.

— Mieliśmy włamanie. — Morgan ruszyła w stronę swojej sypialni. — Czy możesz zadzwonić na policję i upewnić się, że z Avą i Mią wszystko w porządku?

Jej starsze córki były cicho i miała nadzieję, że po prostu się nie zbudziły.

Morgan zapukała cicho do drzwi swojego pokoju.

— Sophie? Tu mamusia. Otwórz drzwi, kochanie. Wszystko już w porządku. Ten człowiek już sobie poszedł.

Cisza.

Morgan spróbowała otworzyć drzwi, były jednak zamknięte. Sięgnęła nad framugę i wymacała palcami niewielki klucz, który trzymała tam na wypadek, gdyby jedno z dzieci zamknęło się w pokoju.

Sophie zdarzyło się to wielokrotnie.

Morgan przekręciła klucz w zamku i powoli otworzyła drzwi.

— Sophie? Gdzie jesteś?

Przykucnęła, aby zajrzeć pod łóżko, jednak znalazła tam tylko swoje kapcie. W pokoju było jeszcze tylko jedno miejsce, gdzie można się było schować. Przeszła przez pokój i otworzyła szafę. Początkowo nic nie zobaczyła. Odsunęła wieszaki z ubraniami i omal nie wybuchła płaczem.

Sophie leżała skulona na podłodze szafy.

Morgan przykucnęła przy niej.

— Już dobrze, skarbie. Możesz już wyjść.

Wyciągnęła ramiona i Sophie wskoczyła w nie, szlochając. Jej piżama była mokra i śmierdziała moczem. Morgan wstała, trzymając dziecko na rękach. Ruszyła w stronę korytarza, po drodze biorąc telefon z szafki nocnej. Wykręciła numer do Lance'a.

— Co się stało? — zapytał, brzmiąc tak, jakby był w pełni obudzony i zaniepokojony.

— Mieliśmy włamanie, ktoś wtargnął do domu.

— Będę za dziesięć minut.

Morgan zakończyła połączenie i wsunęła telefon do kieszeni.

Gianna wyszła z sypialni dziewczynek i przyłożyła palec do ust.

— Nie do wiary, ale obydwie nadal śpią — wyszeptała. — Zadzwońłam na policję i do Stelli.

— Dziękuję. — Morgan ruszyła w jej stronę. — Sophie potrzebuje czystej piżamy.

Gianna zanurkowała z powrotem do sypialni. Wyszła z niej minutę później, trzymając czystą koszulkę i majteczki. Podała je Morgan, po czym skierowała się do kuchni

— Nastawię wodę na kawę.

Zapowiadała się długa noc.

Morgan postawiła drżącą dziewczynkę na podłodze i zdjęła z niej mokrą piżamę. Odłożyła ją na bok na wypadek, gdyby policja chciała ją potraktować jako dowód.

— Przepraszam, mamusiu — powiedziała Sophie cieniutkim głosem. — Szłam do łazienki i go zobaczyłam. Złapał mnie. Bałam się stłasznie.

— Oczywiście, kochanie. — Morgan kroilo się serce i nie mogła wyrzucić z myśli obrazu intruza trzymającego jej dziecko. Sophie trzęsa się. Morgan rozszarpałaby napastnika gołymi rękami, gdyby miała taką możliwość.

A potem podpaliła strzępy jego ciała.

Wciągnęła powietrze, aby się uspokoić, i nałożyła Sophie przez głowę bawełnianą koszulkę nocną.

— Byłaś bardzo dzielna. Dziadek go przegonił.

Jej dzieciom nic się nie stało. Jeśli skoncentruje się na tym, poradzi sobie z tą sytuacją.

Sophie, przebrana w czyste rzeczy, wczepiła się w Morgan kurczowo, obejmując ją wszystkimi czterema kończynami. Trzyletnia córka Morgan była zadziwiająco silna — fizycznie i psychicznie.

— Wszystko w porządku — szeptała uspokajająco Morgan, z trudem łapiąc równowagę pod dodatkowym ciężarem.

— Morgan! — dobiegł ją rozpaczliwy okrzyk Gianny od strony drzwi frontowych.

Czując, jak serce ściska się jej z przerażenia, Morgan wyszła z Sophie na próg. Na dole trzech betonowych schodków prowadzących na podjazd leżał dziadek.

— Nie denerwuj się — powiedział zdyszczym szeptem. — Jeszcze żyję.

Jednak mówił z wysiłkiem, jego twarz ściągnięta była bólem, a jedna noga zgięta pod nienaturalnym kątem.

Rozdział 30.

— Nie ruszaj się, dziadku. — Morgan wyjęła z kieszeni komórkę i zadzwoniła po pogotowie. Następnie odgarnęła włosy z czoła córki. — Sophie, musisz iść do środka, do Gianni.

Sophie wtuliła się w nią mocniej. Przez chwilę Morgan obawiała się, że będzie musiała odrywać od siebie przestraszoną córeczkę, jednak wydawało się, że rozumiała powagę sytuacji. Puściła Morgan i pozwoliła Gianni zabrać się od matki i wnieść do domu.

Morgan wbiegła do domu i złapała koc leżący na sofie w salonie. Wybiegła na zewnątrz, uklękła przy dziadku, owinęła jego drżące ciało kocem i wzięła go za rękę.

— Dwadzieścia lat temu dopadłbym tego sukinsyna. Dziesięć lat temu bym go zastrzelił — wyrzeźbił dziadek z twarzą skrzywioną bólem. — Teraz jednak ręce tak mi się trzęsą, że obawiałbym się, że spudłuję i zamiast jego trafię ciebie.

Morgan przełknęła łzy.

— I tak nas dzisiaj uratowałeś.

Jak zawsze.

— Żałuję, że jestem tak cholernie stary. — Oddech dziadka stawał się krótszy. — Nie mogę uwierzyć, że spadłem z tych paru schodków.

Kolejne dziesięć minut wydawało się ciągnąć w nieskończoność, jednak w końcu w odstępie kilku minut przyjechała karetka i samochód z sanitariuszami. Morgan odsunęła się na bok, aby pozwolić im pracować.

Po chwili nadszedł jeep Lance'a i zatrzymał się przy krawężniku. Lance wyskoczył z niego i przebiegł do niej przez trawnik. Zdjął swoją skórzaną kurtkę i otulił Morgan.

Nawet sobie nie uświadamiała, że było jej zimno, dopóki nie poczuła jego ciepła. Kurtka pachniała nim i ten cedrowy zapach napawał ją teraz poczuciem bezpieczeństwa. Nagle poczuła słabość w kolanach i w całym ciele. Oparła się o niego, wdzięczna za jego obecność i wsparcie.

Objął ją ramieniem i przyciągnął bliżej.

— Co się stało?

— Dziadek upadł, ścigając intruza. — Patrzyła, jak sanitariusze zakładają kroplówkę i oceniają obrażenia jej dziadka, a w tym czasie pokrótce opowiedziała Lance'owi o włamaniu.

Przyjechała Stella i przyłączyła się do Morgan i Lance'a stojących na trawniku. Objęła Morgan na powitanie.

— Jak dostał się do środka? — zapytała

— Nie wiem — odpowiedziała Morgan. — Jestem pewna, że nastawiłam alarm, jak tylko wróciłam do domu, i potem znowu po tym, jak wróciłam ze spaceru z psem.

Stella potarła swoje ramię.

— Brody jest w drodze, sprawdzi system bezpieczeństwa i dowie się, co się stało.

Sanitariusze ułożyli dziadka na noszach. Jego twarz była biała jak poduszka, którą miał pod głową, i Morgan czuła, jak ze zmartwienia ściska się jej żołądek.

— Muszę pojechać do szpitala, ale nie chcę zostawiać Gianny i dziewczynek samych po tym, co się stało. — Morgan odgarnęła włosy z twarzy. Czy kiedykolwiek znowu poczuje się bezpiecznie w swoim domu? Nie wiedziała, kto się do nich włamał ani dlaczego.

— Mac jest w drodze do domu — powiedziała Stella. — Ale potrwa to jeszcze kilka godzin.

Morgan spojrzała na Lance'a.

— Co mogę zrobić? — zapytał.

— Czy mógłbyś zabrać dziewczynki i Giannę do siebie do domu? — Była całkowicie przekonana, że je ochroni.

— Jesteś pewna? — zapytał. — Naprawdę nie chciałbym cię teraz zostawiać.

Morgan też nie miała ochoty zrezygnować z jego wsparcia, ale...

— Moje dzieci są najważniejsze. Dziś w nocy znalazły się w niebezpieczeństwie. Nie jestem w stanie funkcjonować, jeśli nie będę pewna, że są bezpieczne. Gianna przygotowuje ich rzeczy. — Spojrzała mu w oczy. — Proszę, muszę być pewna, że nic im nie zagraża. — Jej spojrzenie powędrowało za karetką wyjeżdżającą z podjazdu.

— Oczywiście, że się nimi zajmę. Zrobię wszystko, czego potrzebujesz. — Lance potarł jej ramiona.

— Dziękuję. Muszę wejść do środka i zabrać torebkę. Dam ci kluczyki do minivana. — Ruszyła w kierunku domu, wciąż oszołomiona. — Pojadę do szpitala autem dziadka.

— Nie trzeba, mam jeepa — powiedział Lance.

— Tak, ale wątpię, aby zmieściły się w nim dwa foteliki i podstawka — rzuciła Morgan w biegu.

— Pojadę za karetką. Przyjedziesz sama do szpitala? — zapytała Stella.

— Tak, potrzebuję kilku minut, aby wyszykować dziewczynki.

Morgan już wcześniej miała wrażenie, że zajmowanie się trójką dzieci i niedomagającym dziadkiem było trudne. Teraz, gdy miała na głowie najście intruza oraz dziadka z prawdopodobnie złamaną nogą, zastanawiała się, czy w ogóle będzie w stanie sobie poradzić.

— Ubierz się też lepiej. — Stella wyjęła z kieszeni kluczyki.

Morgan spojrzała na swoje białe stopy. Była tak przejęta sytuacją, że nawet nie

czuła zimna. Zapomniała też, że wciąż ma na sobie pizamę.

— Masz rację.

Karetka odjechała, błyskając w ciemności czerwonym światłem. Stella pojechała za nią swoim samochodem.

Morgan weszła do domu, ubrała się, a następnie pomogła Gianni zapakować zmianę ubrań dla każdej z dziewczynek. Lance zaniósł Mię i Avę do samochodu, tłumacząc im tylko, że dziadek miał mały wypadek. Gianna zabrała karmę dla psa, przypięła smycz do obroży Snoozera i zaniósła go do samochodu.

— Mamusiu, nie zostawiaj mnie. — Sophie złapała Morgan za nogę.

Morgan przykucnęła.

— Muszę jechać z dziadkiem, żeby się upewnić, że nic mu nie jest. Lance zadba o to, żebyście były bezpieczne.

Spojrzenie Sophie powędrowało w stronę otwartych drzwi do pokoju dziadka. Ile rozumiała z tej sytuacji? Tej nocy została zaatakowana i widziała, jak jej ukochany dziadek leży na betonie, zwiijając się z bólu. Nic dziwnego, że miała nie potrafiła sobie z tym poradzić.

— Obiecujesz?

— Obiecuje. — Morgan przytuliła córkę. Żałowała w tej chwili, że nie może się rozdwoić. Jak da sobie radę, musząc zajmować się trójką dzieci i dziadkiem? Prawda była taka, że nie była w stanie zrobić tego sama. Potrzebowała pomocy.

Potrzebowała kogoś, kto byłby dla niej wsparciem, komu mogłaby zaufać, kto niósłby z nią brzemień codzienności, i bez wahania wiedziała, że tym człowiekiem jest Lance. Razem — on i Gianna — będą w stanie zająć się dziewczynkami. Ale i tak serce jej pękało, gdy zapięła Sophie w foteliku, zatrzasnęła drzwi minivana i patrzyła, jak odjeżdża.

Brody i dwa samochody patrolowe nadjechały tuż przed odjazdem Morgan. Przekazała Brody'emu skróconą wersję wydarzeń i zostawiła go, aby mógł przeprowadzić śledztwo. Gdy wreszcie usiadła za kierownicą lincolna dziadka, ręce jej drżały. Nastawiła nawiew na najbardziej gorący, jednak gdy dojechała do szpitala, nadal się trzęsła. Stella czekała na korytarzu wydziału ratunkowego.

— Jak on się miewa? — Morgan rozpięła płaszcz.

— Parametry życiowe ma dobre — zaczęła Stella. — Ale ma skomplikowane złamanie nogi i będzie musiał przejść operację. Czy masz listę leków, które bierze dziadek?

— Tak. — Morgan otworzyła torbę i odpięła zamek bocznej kieszonki, z której wyjęła kartę z notatkami. Miała kilka kopii w torbie i jedną wersję w telefonie. Dziadek zazwyczaj też nosił taką kartę informacyjną w portfelu, jednak obudzony w środku nocy oczywiście nie miał go przy sobie. Stella podeszła do stanowiska

pielęgniarek i przekazała kartę lekarzowi.

— Czy będzie dobrze? — zapytała Morgan, gdy jej siostra wróciła.

— W jego wieku operacja to poważna sprawa, ale jest silny. — Stella nerwowo obgryzała paznokieć. — A poza tym nie mamy wyboru.

Z automatycznych drzwi wyłoniła się pielęgniarka.

— Za parę minut zabierzemy go na górę, chcecie się z nim jeszcze zobaczyć? — zapytała.

Morgan i Stella poszły zobaczyć się z dziadkiem. Morgan nie pozwoliła sobie na okazanie swojej reakcji na widok dziadka w otoczeniu monitorów i kroplówek. Wyglądał tak, jakby się skurczył. Jeszcze kilka miesięcy temu, zanim nagle zaczęło mu dokuczać nadciśnienie, był czerstwym, aktywnym człowiekiem. Morgan była zszokowana, widząc go leżącego zupełnie bez ruchu.

Otworzył oczy i wyciągnął dłoń.

— Moje dziewczynki.

Podeszły do niego. Morgan wzięła go za rękę, pocieszając się tym, że jego uścisk dłoni mimo wszystko był silny.

— Zadzwońłam do Peyton i Iana — powiedziała Stella. — Przyjadą najszybciej, jak będzie to możliwe.

— Nie ma sensu, żeby jechali tu taki kawał drogi — wychrypiał dziadek. — Operacja zakończy się, zanim którekolwiek z nich tu dojedzie.

— Nie w tym rzecz. — Morgan delikatnie uścisnęła jego dłoń. — Wszyscy cię kochamy.

W ostatnich latach Peyton i Ian rzadko przyjeżdżali, ale to nie oznaczało, że kochali dziadka mniej.

— Ja też was kocham. Nie róbcie takiej ponurej miny — polecił. — Jeszcze nie umieram. Mam jeszcze sprawy do załatwienia.

Pielęgniarka zapukała we framugę drzwi.

— Zabierzemy go teraz na górę.

Morgan i Stella ucałowały dziadka w policzek, po czym wróciły na korytarz i zgodnie z oznaczeniami poszły do poczekalni na oddziale chirurgii.

Poczekalnia była mała i pomalowana na bladofioletowy kolor. Stella przygotowała kubek kawy w stojącym w rogu ekspresie.

— Jest twardy. Postaraj się nie zamartwiać.

— Wiem. — Morgan wolałaby porozmawiać o czymkolwiek innym niż operacja, a panująca cisza też działała jej na nerwy. — Kiedy przyjadą Peyton i Ian?

— Nie wiem. Peyton sprawdzała loty, ale wszystkie były już zarezerwowane, czeka na liście rezerwowej. — Stella usiadła na plastikowym krzeselku. — A Ianowi zostawiłam wiadomość.

— Na pewno jest w pracy. Nic dziwnego, że nie może odebrać, gdy jest na misji obciążonej wysokim ryzykiem albo jest zaangażowany w sytuację z udziałem zakładników.

— I tak powinien częściej przyjeżdżać. — Stella uniosła do ust styropianowy kubek. — Chcesz kawy?

Morgan potrząsnęła głową. Bolał ją żołądek po spadku adrenaliny.

— Powinien się ustatkować. Z tego, co wiem, nie ma nawet stałej dziewczyny. Ani roślin doniczkowych.

— Pewnie tak robi, jak tylko skończy ze służbami specjalnymi. — Stella dopiła kawę i skrzywiła się. — Ty miałaś ochotę ustatkować się wcześniej. My potrzebowaliśmy więcej czasu, aby dojrzeć.

— Czy to oznacza, że zamierzasz się ustatkować? — Ta noc wydawała się nierzeczywista. Jej umysł nie był w stanie przyjąć kolejnej porcji szoku. Chciała przez chwilę zakosztować normalności, nawet w postaci rozmowy. — Moim dzieciom przydaliby się jacyś kuzyni.

Stella omal się nie zakrztusiła.

— Aż *tak* ustatkować się nie zamierzam. Proszę cię, Mac i ja mieszkamy razem raptem od kilku miesięcy.

— Ale myślałaś o tym?

— Oczywiście, że myślę o tym, aby w przyszłości mieć dzieci. Jednak kluczowe są tu słowa: w przyszłości. Czy możesz wyobrazić sobie gromadkę małych Maców ganiających dookoła? Każde dziecko, którego ojcem będzie Mac, będzie wyzwaniem.

— Ale jakże uroczym.

— Tak. — Westchnęła Stella z rozczuleniem. — To też.

Rozmawiały o błahostkach przez jakiś czas, zanim przyszedł Brody.

— Jakież wieści? — zapytał od progu.

Stella pokrótce opowiedziała mu, jak wygląda sytuacja.

— Czekamy. Udało ci się coś ustalić na temat włamania?

— Facet wiedział, co robi. — Brody usiadł naprzeciwko Morgan i Stelli. — Starsze systemy zabezpieczeń nie stanowiły dla włamywaczy problemu, po prostu znajdowali drut od alarmu oraz kabel telefoniczny i przecinali je. System nie mógł wezwać policji, a alarm nie uruchamiał się. Nowsze systemy korzystają z technologii bezprzewodowej, aby uniknąć tego problemu.

— Nasz system jest bezprzewodowy — powiedziała Morgan. — Mamy też zapasowy akumulator na wypadek braku prądu.

— Ale systemy bezprzewodowe też nie są idealnie szczelne, za każdym razem gdy pojawia się jakaś nowa technologia zabezpieczeń, pojawia się też sposób na jej obejście. To zaklęty krąg. — Brody podrapał się w podbródek. Sądzymy, że

włamywacz użył urządzenia, które zakłócało częstotliwość, z której korzysta system bezprzewodowy. Przez to alarm nigdy się nie uruchomił ani też system nie zawiadomił centrali. Po unieszkodliwieniu alarmu mógł spokojnie zająć się otwarciem zamka wytrychem.

— Na pewno nie był to amator — zauważyła Stella.

— Na pewno nie — potwierdził Brody, przeciągając dłonią po swoich krótkich włosach. — Skontaktowałem się z jednostką, która obserwuje dom Burnsa.

— Macie ludzi, którzy obserwują Harolda Burnsa? — zdziwiła się Morgan.

— Tak, jednak ze względu na interwencję jego prawnika kazaliśmy im trzymać się na dystans i nie wchodzić na jego teren. — Brody skrzywił się z niesmakiem. — Nie widzieliśmy żadnych świateł ani ruchu w jego domu. Samochód nie wyjechał z garażu. Jednak jego dom otoczony jest lasem, a on mieszka jedynie kilkaset metrów od warsztatu brata. Bez problemu mógłby przejść przez las i pożyczyć sobie czyjś samochód. Krótko mówiąc, nie mamy sposobu, aby być pewnym, że jest w środku.

Rozdział 31.

Było po pierwszej w nocy, gdy Lance wtargał do swojego domu trzy plecaki. Następnie wrócił do minivana i kolejno przeniósł do domu Mię i Awę, po czym ułożył je do snu w pokoju gościnnym. Gianna i Sophie same weszły do domu: najmłodsza córka Morgan wciąż jeszcze nie spała. Snoozer wszedł do domu, wskoczył na sofę i zwinął się w kłębek.

— Dziewczynki będą spać w pokoju gościnnym, a ty możesz wziąć moją sypialnię — powiedział Lance do Gianny. On sam zamierzał przespać się na kanapie.

Po tym, jak zgoni z niej psa...

Gianna potrząsnęła głową.

— Będę spała z dziewczynkami. Jeśli się obudzą i nie będą wiedziały, gdzie są, będę przy nich.

— Zmieścicie się we czwórkę? — Łóżko w pokoju gościnnym było duże, ale i tak...

— Są małe. — Gianna nawet się nie przebrała, wychodząc z domu. Miała na sobie flanelowe spodnie od pizamy oraz za duży podkoszulek i wyglądała w tym stroju na mniej niż swoje osiemnaście lat. Mimo tego że odkąd wprowadziła się do Morgan, przybrała nieco na wadze, Gianna nadal była bardzo szczupła, chociaż nie wyglądała już na tak kruchą i chorą jak wtedy, gdy była zdana sama na siebie.

— Mam też dmuchany materac. Dam go wam na wypadek, gdybyś potrzebowała więcej miejsca. — Lance udał się do garażu i za pomocą kompresora nadmuchał podwójny materac. Następnie wcisnął go między łóżko i ścianę w pokoju gościnnym, który nie był zbyt duży. Ani Mia, ani Ava nawet się nie poruszyły. Co dziwne, nie protestowały wcześniej, gdy zostały obudzone w środku nocy, chociaż Morgan powiedziała im tylko, że dziadek miał wypadek. Nie chciała ich wystraszyć.

Wystarczyło, że Sophie była przerażona za całą trójkę.

— Muszę iść do łazienki — powiedziała Gianna, biorąc w rękę niewielką torbę. — Zostaniesz tu, Sophie?

Dziewczynka skinęła głową i kontynuowała oględziny nielicznych mebli w salonie Lance'a.

— Nie chcę iść do łóżka — powiedziała, przyciskając do buzi swojego pluszowego konika. Lance poczuł, że ściska mu się serce. Mała nigdy nie była typem marudy, raczej żywym srebrem, jednak dzisiejsza noc była dla niej wyjątkowo trudna.

— Może masz ochotę na szklankę mleka? — zaproponował.

Skinęła głową i poszła za nim do kuchni. Gdy przechodziła obok fortepianu, zatrzymała się.

— Mogę dotknąć?

— Tak, ale delikatnie, dobrze? Mia i Ava śpią — powiedział Lance.

Sophie usiadła na taborecie przy fortepianie i uniosła rączki nad klawiaturą. Wcisnęła klawisz delikatnie, z wahaniem, niemal z czcią. W pokoju rozbrzmiało ciche C.

Lance usiadł obok niej.

— Potrafisz zagrać piosenkę? — zapytała, wciskając ostrożnie inny klawisz.

— Jest za późno — powiedział Lance, patrząc w jej duże niebieskie oczy. — Ale obiecuję, że zagram ci innym razem. Mogę cię nawet nauczyć grać piosenkę.

Skinęła energicznie głową i pociągnęła nosem.

— Może położymy cię do łóżka, Sophie? — zapytała Gianna, wchodząc do pokoju i wyciągając rękę do małej. Sophie zsunęła się z taboretu i pozwoliła Giannie zaprowadzić się do pokoju gościnnego.

Lance sam wypił szklankę mleka, po czym powlókł się wyczerpany do swojej sypialni. Rozebrał się, wskoczył pod szybki prysznic. Gdy wcześniej zadzwoniła Morgan, wciąż jeszcze nie spał. Teraz była już druga w nocy.

Zazwyczaj sypiał nago. Tak było mu wygodniej, a poza tym nigdy nie widział sensu w tworzeniu podczas snu dodatkowej liczby rzeczy do prania. Jednak teraz, gdy miał w domu czworo gości płci przeciwnej, nie wydawało mu się to stosowne. Nie miał piżamy, więc założył szorty i koszulkę. Musiały wystarczyć.

Na szafce nocnej zabuczał jego telefon. Odczytał wiadomość od Morgan: ZŁAMANIE JEST POWAŻNE, DZIADEK BĘDZIE MIAŁ OPERACJĘ. TO RYZYKOWNE, ALE NIE MAMY WYBORU. JAK DZIEWCZYNKI?

Odpisał: DZIEWCZYNKI LEŻĄ JUŻ W ŁÓŻKU. WSZYSTKO W PORZĄDKU. PRZYKRO MI Z POWODU ARTA.

Lance zawahał się. Miał ochotę jej napisać, że ją kocha, ale czy to był właściwy moment? Nie. Wyznawanie miłości po raz pierwszy SMS-em nie było dobrym pomysłem.

Napisał: MYŚLĘ O TOBIE. Wydawało mu się to niewystarczające, więc dopisał jeszcze: NIE ŚPIĘ, ZADZWOŃ, JEŚLI BĘDZIESZ MIAŁA OCHOTĘ POROZMAWIAĆ.

Morgan: MUSZĘ TERAZ LECIEĆ. DZIĘKI.

Cóż. Cholera.

Stan Arta wydawał się poważny.

Odłożył telefon. Biedny Art. I biedna Morgan. Art był w takim wieku, że każda operacja była ryzykowna. Nie podobało mu się też, że Morgan jest sama w szpitalu i zamartwia się. Przez wiele lat dziadek był dla niej jak ojciec i matka. Straciła już oboje rodziców i męża. Nie potrzebowała kolejnej tragedii w swoim życiu.

Położył się. Wolalby być z Morgan, ale zaufała mu, że zajmie się jej dziećmi, więc

zrobi, co w jego mocy, żeby jej nie zawieść. Leżał nieruchomo, wpatrując się w sufit i zastanawiając się, kto i dlaczego włamał się do domu Morgan, jednak nic nie przychodziło mu do głowy.

Ledwo przysnął na chwilę, gdy coś go obudziło. Nie dźwięk, tylko uczucie. Włoski na jego karku zjeżyły się.

Ktoś go obserwował.

Wszystkie jego zmysły natychmiast stanęły w stan gotowości. Wpatrywał się w ciemność za otwartymi drzwiami sypialni, nie poruszając się i czekając, aż jego oczy przystosują się do ciemności. Jego pistolet leżał na szafie, poza zasięgiem dzieci, ale też poza jego bezpośrednim zasięgiem.

Rozejrzał się po pokoju i drgnął, ujrzawszy drobną sylwetkę w nogach łóżka.

— Sophie? — Sięgnął do włącznika i zapalił lampkę nocną.

Twarz wpatrującej się w niego dziewczynki była mokra od łez.

— Miałam zły sen. On tu był. — Pociągnęła nosem i wciągnęła trzykrotnie gwałtownie powietrze.

— Już dobrze, jesteś tu bezpieczna. — Lance usiadł.

— Boję się-ę. — Ostatnie słowo wypowiedziała jako dwie sylaby i wdrapała się na jego łóżko. Uklękła na nim, wciąż przyciskając do piersi pluszowego konika. — Mogę spać z tobą?

Jej cichy głosik załamywał się. Jego serce znowu się ścisnęło. Ufała mu, że ją ochroni.

Jak mógłby się nie zgodzić.

— Oczywiście. — Uniósł kóldrę. Mała wsunęła się pod nią, jednak nie zamierzała spać po drugiej stronie wielkiego łóżka. Przycisnęła swoje drobne ciało do niego, tak jakby każdy skrawek jej ciała potrzebował zapewnienia, że on jest obok, aby ją chronić.

Och, co u diabła?

Lance obrócił się na bok i objął ją ramieniem. Mała westchnęła z zadowoleniem i zasnęła.

W pokoju nadal panowały ciemności, gdy Lance znowu się obudził. W domu panowała cisza. Czuł przemożne wyczerpanie. Dlaczego się obudził? Zerknął na zegarek. Spał tylko godzinę, nic więc dziwnego, że nadal był zmęczony.

Nagle usłyszał rozdzierający krzyk wprost w swoje lewe ucho i odruchowo odskoczył od źródła dźwięku.

Niewielka piąstka trafiła go w głowę. Leżąca obok niego Sophie rzuciła się przez sen, po czym zamarła w pozycji na plecach. Wpatrywała się w sufit szeroko otwartymi, niewidzącymi oczami. Znowu krzyknęła i ten paniczny, przerażający dźwięk przeszył Lance'a aż do duszy. Włosy zjeżyły mu się na ciele i cały pokrył się

gęsią skórką.

Czy to były te lęki nocne?

Na pewno.

To było przerażające.

Co powinien zrobić?

Nagle odwróciła się na bok, a jej pięta trafiła go dokładnie w miejsce, gdzie rok temu został postrzelony. Ból przeszył jego udo. Sięgnął tam ręką i rozmasował bliznę.

— Nie! — wrzasnęła Sophie. Zaczęła wymachiwać rękami i nogami. W ciągu kolejnych dziesięciu minut krzyknęła jeszcze kilka razy. Lance patrzył na to bezradnie, mając nadzieję, że mała nie obudzi pozostałych dziewczynek. Morgan nie powiedziała mu, czy w takiej sytuacji budziła Sophie, czy nie. Gdzieś z tyłu głowy kołatało mu się, że nie powinno się budzić lunatyka, ale nie miał pojęcia, czy ta informacja to fakt czy mit. Mimo wszystko rozważał już obudzenie jej, gdy incydent minął i Sophie odprężyła się z głową na poduszce. Jedna drobna stopa dotykała jego nogi.

Jednak Lance wiedział, że już nie zaśnie. Krzyki Sophie wciąż rozbrzmiewały w jego głowie.

Czy przeszkodzi jej, jeśli wstanie? Ostrożnie wysunął się spod kołdry centymetr za centymetrem, aż spadł tyłkiem na podłogę. Opatulił małą kołdrą pod samą brodę, wsunął telefon do kieszeni spodnek i poszedł do kuchni, gdzie nastawił dzbanek herbaty, żałując, że to nie kawa. Nie było szansy, aby tak zachwalana przez Sharpa zielona herbata przewyciężyła mgłę, jaka panowała w jego umyśle po jednej godzinie snu przerwanej krzykami trzylatki. Pies nawet nie ruszył powieką, gdy przechodził koło sofy. Snoozer nie był psem stróżującym.

Co było oczywiste.

Lance sprawdził telefon, jednak nie miał żadnej wiadomości od Morgan. Zastanawiał się, czy do niej nie napisać, ale nie chciał jej budzić na wypadek, gdyby udało się jej zdrzemnąć.

Jego uwagę zwróciło jakieś szuranie. Chwilę później w progu stała Sophie.

— Zostawiłeś mnie — powiedziała z pretensją, tuląc pluszowego konika. Jej oczy były ogromne, pełne łez i podkrążone ciemnymi kółkami.

O rany.

Poczucie winy przeszło go jak włócznia.

Cała ta opieka nad dziećmi będzie wymagała od niego nabrania nieco wprawy. Lance miał wrażenie, że ktoś wrzucił go nagle na środek oceanu, nie dając mu ani kompasu, ani wskazówek, w którą stronę ma płynąć. Musiał się oprzeć na instynkcie. Dzieciaki nie kupowały ściemy, prawda? Prawdopodobnie więc w miarę możliwości najlepiej będzie trzymać się prawdy.

Lance przykucnął, aby znaleźć się na jej poziomie.

— Przepraszam, nie chciałem cię obudzić.

Podeszła prosto do niego i oparła mu główkę na ramieniu. Jej ciało zdrząło pod wpływem silnego westchnienia i serce Lance'a topiło się jak masło na gorącej patelni. Objął ją ramionami i podniósł do góry. Trzymając ją na rękach, wrócił do blatu i nalał sobie jedną ręką herbaty. Następnie zaczął szykować składniki na swój poranny shake białkowy, ale nagle się zorientował, że do świtu brakuje jeszcze paru godzin i że gdyby teraz uruchomił blender, obudziłby cały dom. Włożył zamrożone jagody z powrotem do zamrażarki.

Ciało Sophie nagle zupełnie zwiotczało. Lance zerknął na nią i zobaczył, że zasnęła przytulona do jego piersi, z pupcią na jego przedramieniu i wciąż ściskając w rączkach swojego pluszowego konika.

Lance usiadł na fotelu w salonie. Postawił kubek na stoliczku. Sophie wtuliła się w niego i spała dalej.

I co teraz?

Mała była wykończona, ale nie mogła spać bez niego. Przechylając się niewygodnie, wypił herbatę, sprawdził e-maile i czekał. W pewnym momencie musiał w końcu przysnąć, bo gdy Gianna, Mia i Ava wyszły z sypialni, salon zalany był światłem poranka, a Lance czuł się tak, jakby ktoś obił go kijem. Uniósł głowę z oparcia i poruszył ramionami.

Szczebiotanie Avy i Mii obudziło Sophie, która ześlizgnęła się z kolan Lance'a. Ten wstał i przeciągnął się, czując, że ma zeszywniałe plecy i zdrętwiałe nogi.

— Jesteśmy głodne. — Ava w podskokach ruszyła do kuchni, a Mia i Sophie za nią.

Lance wziął swój kubek i poszedł za nimi. Już wiedział, że będzie potrzebował drugiego, a może trzeciego kubka herbaty. Otworzył lodówkę.

— Co powiecie na jajka? — zapytał.

Trójka dzieci spojrzała na niego tak, jakby właśnie powiedział „trucizna”.

Gianna roześmiała się.

— Masz chleb? Mogę zrobić francuskie grzanki.

— W zamrażarce. — Wskazał Lance.

Gianna wyjęła bochenek.

— Faj, jest brązowy. — Ava zmarszczyła nos.

— To chleb owsiany. — Wyjaśnił Lance. — Jest zdrowy.

Żadne z dzieci nie wyglądało na przekonane.

— Co to są te rzeczy w środku? — Mia szturchnęła zamrożony chleb palcem.

— Ziarna słonecznika — powiedział Lance z uczuciem beznadziei. Co w ogóle jadają dzieci?

— Wyglądają jak robale. — Zmarszczyła się Mia.

— A masz może mąkę albo mieszankę do naleśników? — zapytała Gianna.

— Przykro mi. — Lance przeszedł na dietę organiczną, którą zalecił mu Sharp. W jego kuchni pełno było jajek, warzyw, nasion i orzechów.

Ktoś zapukał do drzwi frontowych. Lance zerknął na zegarek. Kto mógł się dobijać o siódmej trzydzieści rano?

— Poczekajcie tutaj. — Podeszedł do drzwi i wyjrzał przez wąskie boczne okienko.

Chłopak Stelli, Mac Barrett, stał na progu, trzymając torbę pełną zakupów. Lance otworzył drzwi.

— Przepraszam, dopiero parę godzin temu wróciłem. — Mac wszedł do środka. — Przywiozłem odpowiednie dla dzieci jedzenie.

— Dziękuję — powiedział Lance z wdzięcznością.

— Nie ma za co. — Mac podał mu torbę i zdjął swoją skórzaną kurtkę. — Znam to dobrze, mam bratanka i bratanicę.

— Mac! — Ava i Mia przybiegły go uściskać. Nawet Sophie wydawała się zadowolona, że go widzi.

Gianna wzięła torbę i zajrzała do środka.

— O, mieszanka na naleśniki, świetnie — stwierdziła, po czym wróciła do kuchni.

Głodne dziewczynki podążyły za nią jak sępy.

Mac wszedł do salonu i odezwał się cicho.

— Rozmawiałeś rano z Morgan?

— Jeszcze nie, miałem zamiar do niej zadzwonić, ale byłem zajęty. — Lance wskazał głową w kierunku zatłoczonej kuchni.

— Nie dziwię się. Wstąpiłem wcześniej do szpitala. Art jest już po operacji. Było kilka komplikacji związanych z jego wiekiem, więc jest na oddziale intensywnej terapii. — Mac odgarnął z twarzy potargane włosy. — Gdy ostatnio rozmawiałem ze Stellą, jeszcze nie odzyskał przytomności. Dla Stelli i Morgan to była długa noc.

Telefon Lance'a zawibrował. Lance zerknął na wyświetlacz.

— Morgan właśnie dzwoni.

Odszedł kawałek, aby odebrać.

— Cześć.

— Cześć, jak dziewczynki?

— W porządku, Gianna właśnie robi im naleśniki.

Morgan opowiedziała mu o stanie dziadka.

— Stella próbuje skontaktować się z Ianem. Na razie zostanie w szpitalu.

— A ty co planujesz? — zapytał Lance.

— Chcę znaleźć mężczyznę, który włamał się do mojego domu. — W głowie Morgan zabrzmiała determinacja. — To nie było przypadkowe. Ktokolwiek zdołał obejść nasz system bezpieczeństwa, wiedział, co robi.

— Harold Burns? — zapytał Lance.

— Może. Włamywacz powiedział, że chce, żebym z nim poszła. Nie szukał pieniędzy ani narkotyków.

— Powiedz mi, jak mogę pomóc.

— Po śniadaniu Mac zabierze dziewczynki do domu swojego brata. Były tam już wcześniej.

— Co mam zrobić? — zapytał Lance.

— Pomóż mi. Planuję wziąć prysznic, odwiedzić dziewczynki w domu Barrettów, a potem pojechać do biura. Czuję, że to włamanie ma związek ze sprawą Chelsea. Nikt z nas nie jest bezpieczny, dopóki jej nie rozwiążemy.

Rozdział 32.

Chodził niecierpliwie pomiędzy kontenerem a szopą. Poranne powietrze było wilgotne i chłodne, jednak wściekłość nadawała jego krwi temperaturę wrzenia.

Chelsea. Chelsea. Chelsea.

Chwycił się rękami za głowę i ucisnął czaszkę, jednak jego mózg wciąż szeptał jej imię.

Co on zrobił?

Pojechał do szpitala, mając zamiar zobaczyć Chelsea, zastanowić się, jak będzie mógł ją odzyskać. Natknął się jednak na funkcjonariusza biura szeryfa pod jej drzwiami. Obraz tej prawniczki z konferencji prasowej utkwiał mu w głowie i z jakiegoś powodu cała jego wściekłość skierowała się na nią. Jako prawnik rodziny będzie miała dostęp do Chelsea, a gdyby zmusił ją, aby mu pomogła...

Kobiety są słabe, rozumował. Zbyt łatwo można wykorzystać ich dzieci przeciwko nim. Na tym opierał się jego plan. Prawniczka mieszkała z trójką małych dzieci, chorowitą nastolatką i starcem. Dorwanie jej nie powinno być trudne.

A jednak poniósł klęskę. Nie spodziewał się, że starzec będzie uzbrojony. Nie spodziewał się, że dziecko będzie stawiało opór.

Pomijając wyłączenie alarmu, nie zaplanował tego włamania porządnie, zanadto się spieszył. Nie przeprowadził wywiadu i ta lekkomyślność niemal zrujnowała cały jego plan.

Gniew w jego piersi uniósł głowę niczym wąż. Ta prawniczka i jej bachor powinny dostać lekcję na temat tego, że kobiety powinny być uległe i podporządkowane. Jeśli kiedykolwiek dostanie je w ręce... ale one nie były jego sprawą. Chelsea to co innego.

Nigdy nie wymyśli nowego planu, dopóki się nie opanuje. Wściekłość sprawiała, że tracił zdrowy rozsądek i szerszą perspektywę.

Zwrócił się w kierunku szopy i uderzył w nią pięścią, rozcinając skórę. Krew zaczęła się sączyć z jego kostek. Jednak ból, którym zaczęła pulsować dłoń, nie wystarczał, aby uciszyć szepty w jego głowie.

Musiał ją odzyskać, ale jak?

Nie będąc głupim.

Chelseaaaa.

Przestań!

Wbiegł do szopy, omiatając spojrzeniem tablicę z narzędziami i warsztat. Chwycił młotek i uderzył płaską częścią w swoją łydkę w miejscu, gdzie wypalił znamię. Ból, błogosławiony i piękny, buchnął z oparzenia, nie zostawiając miejsca na emocje. Ból

oczyszczał jego umysł, wypalał wściekłość, pozwalał mu myśleć jaśniej.

Kolana się pod nim ugięły. Oparł dłoń na ścianie, żeby się przytrzymać. Słabość przyniosła mu ulgę. Za kilka chwil zrobi mu się lepiej. Zje coś, napije się, zmieni opatrunek na ranie.

Gdy przywróci porządek ciała, jego umysł pójdzie w jego ślady.

Skierował się do domu, już zaczynając formować plan. Odzyska Chelsea, choćby to miała być ostatnia rzecz, którą zrobi w życiu.

Ostatnia rzecz, jaką którekolwiek z nich kiedykolwiek zrobi.

Rozdział 33.

— Wydaje się, że dziewczynki dobrze się czują w domu brata Maca. — Morgan stanęła w progu biura Lance'a i uniosła do ust gigantyczny kubek z kawą. Pociągnęła spory łyk swojej trzeciej kawy w ciągu tego dnia, jednak najwyraźniej nie istniała taka dawka kofeiny, która mogłaby dzisiaj uruchomić jej mózg. Odstawili pod dom Morgan samochód dziadka oraz minivana i przyjechali jeepem Lance'a.

— Tak naprawdę były podekscytowane tym, że pojedą gdzieś, gdzie w ogrodzie płynie strumyk, a w domu mieszka wielki, śliniący się pies. — Uściślił Lance.

— To ulga wiedzieć, że są bezpieczne.

Brat Maca był byłym żołnierzem.

— Wyglądasz na wykończoną — powiedział Lance.

Uśmiechnęła się do niego krzywo.

— Też nie wyglądasz zbyt świeżo.

— Ale spałem dłużej niż ty. — Lance wstał. — I wygląda na to, że Sophie teraz mnie lubi.

Trzeba się cieszyć z małych błogosławieństw.

— Macie. — Sharp przeszedł korytarzem i podał najpierw Morgan, a potem Lance'owi po koktajlu białkowym.

— Dziękuję. — Morgan zaczęła saczyć napój.

— Skoro żadne z was nie zamierza się zdrzemnąć, to jest najlepsze, co mogę dla was zrobić. — Skrzywił się, widząc w jej dłoni kubek z kawą. — Ile ich już wypiałś?

— Powołuję się na piątą poprawkę! — Morgan wyrzuciła pusty kubek do kosza. Czowała się bardziej niż zmęczona. Zamartwiała się o dzieci oraz dziadka i miała wrażenie, że te troski wygryzą w niej za chwilę dziurę.

— Powinniśmy się zebrać i ustalić strategię — powiedział Sharp.

— Zdecydowanie. — Morgan weszła do swojego biura, Lance i Sharp podążyli za nią.

Morgan usiadła na krześle, opierając się o biurko i zapatrzyła się w białą tablicę.

— Wpadłam na Tima rano w szpitalu. Chelsea zostanie wypisana dziś po południu. Szeryf zgodził się wysłać auto pod jej dom.

— Na razie tam będzie — powiedział Sharp.

— Tim nie ma zaufania do biura szeryfa — powiedziała Morgan. — Chce, żebyśmy dalej pracowali nad sprawą. Sugestia dziennikarza, że być może w okolicy grasuje seryjny morderca, naprawdę go wystraszyła, a poza tym sądzi, że Chelsea nie zazna spokoju, dopóki ten drań, który ją porwał, nie zostanie złapany.

— Powinniśmy porozmawiać z Chelsea — zasugerował Lance.

— Tak — zgodziła się Morgan. — Tim ma do mnie zadzwonić, jak tylko dotrą do domu. Sądzi, że Chelsea może przypomnieć sobie więcej szczegółów w znanym otoczeniu.

Sharp zwrócił się w stronę tablicy i zaczął się jej przyglądać ze skrzyżowanymi ramionami.

— Pierwsze pytanie: czy włamanie do Morgan ma coś wspólnego ze sprawą Chelsea Clark?

— Chelsea uciekła i jej porywacz był wściekły. A potem Morgan pojawiła się na konferencji prasowej jako prawnik reprezentujący rodzinę — powiedział Lance. — Dla mnie taki związek jest logiczny. Czy to był Burns?

— Burns śledził Morgan — dodał Sharp. — Ale to nie musi oznaczać, że to on porwał Chelsea.

— To prawda — powiedziała Morgan. — Burns śledził mnie *po tym*, jak Lance i ja skonfrontowaliśmy się z nim w warsztacie.

Wszystko w tej sprawie wydawało się strasznie zagmatwane.

Kosmyk włosów spadł Morgan na nos. Odgarnęła go do tyłu i poprawiła swój kucyk. Gdy opuszczała rękę, kabura pistoletu zakłuła ją w biodro. Zamierzała nosić przy sobie broń do momentu, gdy będzie pewna, że intruz został schwytany.

— Czy mamy jakiegokolwiek dowody, że ciało znalezione w parku stanowym jest jakoś powiązane z porwaniem Chelsea? — zapytał Sharp.

Morgan potrząsnęła głową.

— O ile wiem, jedynym, co łączy te dwie sprawy, jest wygląd fizyczny ofiar. Obydwie to młode blondynki.

— To nie wystarcza. — Sharp potarł szczękę. — Wczoraj trochę powęszyłem w poszukiwaniu informacji. Martwa kobieta została zidentyfikowana jako Sarah Bernard. Zniknęła z uniwersytetu w lutym. Miała dwadzieścia dwa lata i studiowała historię.

— Była przetrzymywana przez osiem miesięcy. — Morgan ścisnął się żołądek na myśl o losie nieszczęsnej dziewczyny. — Była w piątym miesiącu ciąży i zmarła z powodu odklejenia się łożyska. Wykrwawiła się na śmierć. — Odstawiła koktajl na bok. — Ten, kto ją przetrzymywał, zamiast zapewnić jej pomoc medyczną, po prostu pozwolił jej umrzeć.

— Jeśli założymy, że Chelsea miała być jej następczynią — zaczął Lance — to czy możemy przypuszczać, że teraz obrał za cel Morgan?

— Nie jestem blondynką — powiedziała.

— Ale mógł poczuć więź z tobą, ponieważ reprezentowałeś rodzinę podczas konferencji prasowej — zasugerował Lance.

— A poza tym jego profil ofiar może być elastyczny. To, że dwie ofiary są do siebie podobne, nie wystarczy, aby stwierdzić, że wybiera określony typ. Być może to przypadek, że obydwie to blondynki.

Morgan odchyliła się do tyłu na krześle.

— Kto jest naszym głównym podejrzanym?

— Zaczniemy od Burnsa. — Lance odepchnął się od ściany i przyjrzał się uważnie tablicy.

— Policja obserwuje z ulicy jego dom — zaczęła Morgan. — Już raz złożył skargę, że jest nękanym przez policję, więc trzymają się na dystans. Jego samochód był w domu i nie widzieli, aby Burns wychodził, ale i tak nie byliby w stanie zobaczyć, gdyby wyszedł tylnymi drzwiami i przeszedł lasem do warsztatu, gdzie jest mnóstwo samochodów, które mógłby sobie pożyczyć.

— Nie wiemy, czy był w domu przez cały czas — podsumował Lance.

— Nie. — Nabrała powietrza. — Rozmawiałam dzisiaj rano z moją siostrą. Wraz z Brodym pukali do jego drzwi, aby sprawdzić, czy jest w domu, ale nikt nie otworzył. Warsztat jest zamknięty w weekendy. Nie mają żadnych dowodów, aby wystąpić o nakaz przeszukania którejkolwiek z posesji. Burns jak do tej pory wypełnia wszystkie prawne zobowiązania.

— Przekłęci prawnicy. — Sharp zerknął na Morgan. — Nie licząc ciebie. Co z Levim Goldem?

— Rozmawiałem godzinę temu z moją mamą. — Lance potrząsnął głową. — Gold jest teraz w Londynie. Skreślamy go z naszej listy.

— Kirk Armani? — Sharp przesunął wzrok na kolejną pozycję na liście podejrzanych na tablicy.

— Mama skończyła sprawdzać pracowników Speed Net i tak naprawdę nic nie znalazła, nie licząc zakazu zbliżania się wydanego dla Kirka Armaniego kilka lat temu. Studentka oskarżyła go, że ją śledzi. Po nakazie nie było więcej skarg na niego, a nakaz w końcu wygasł.

— Powinniśmy znowu porozmawiać z Kirkiem — zdecydowała Morgan. — Mamy jego domowy adres.

— Zróbmy to. — Lance zerwał się. — Sarah Bernard studiowała na uniwersytecie. Kirk już skończył studia doktoranckie, ale czy nie ma nadal kontaktów z uczelnią?

Morgan odnalazła poszukiwany plik.

— Nie, ale podczas naszej pierwszej rozmowy Tim powiedział, że Speed Net współpracuje z uniwersytetem.

Nie mogąc doczekać się działania, zaczęła wciskać pliki do swojej torby.

— Poczekaj. — Sharp uniósł dłoń, nie przestając przyglądać się tablicy. — A co z tą tajemniczą informacją, że Chelsea chciała porozmawiać ze swoim szefem o czymś,

co było zbyt wrażliwe, aby załatwić to za pośrednictwem telefonu lub e-maila?

— Nie znaleźliśmy żadnych niepokojących danych na temat Curtisa McDonalda lub kogokolwiek w jego biurze księgowym — wtrącił Lance.

— Ale Chelsea może nam to wyjaśnić. — Morgan potarła bolące skronie. — Zadzwoń do Tima. — Wzięła swoją komórkę i znalazła numer. — Nie odbiera, będziemy musieli poczekać. Jednak co, jeśli odpowiedź nie kryje się w danych w jej plikach? Żałuję, że nie mamy listy jej klientów.

Lance i Sharp wymienili spojrzenia.

— Co? — Morgan uniosła głowę.

Lance odwrócił wzrok.

— Być może skopiowałem dane z komputera będącego własnością firmy „Skyver i MacDonald”, gdy byliśmy w domu Tima i kopiowaliśmy pliki z komputerów Clarków.

— Masz na myśli służbowy laptop Chelsea? — Zainteresowała się Morgan, jednocześnie nie kryjąc rozsądnej dawki oburzenia.

— Był w jej sypialni — bąknął Lance.

— Dlaczego nic o tym nie wiedziałam? — zapytała.

— Bo to nielegalne. — Sharp rzucił oskarżycielskie spojrzenie Lance'owi.

Lance wzruszył lekko dostrzegalnie ramieniem.

— A poza tym pliki są zabezpieczone hasłem i musiałem je złamać.

Morgan oparła łokcie na biurku i schowała twarz w dłoniach.

— Wiesz, że dowody zdobyte nielegalnie nie mogą być dopuszczone w sądzie. Moglibyśmy wszyscy stracić nasze licencje.

— Moglibyśmy trafić do więzienia — dodał Sharp.

— To wszystko prawda — przyznał Lance. — Biorę to ryzyko na swoje barki. Żadne z was nie miało z tym nic wspólnego. Nie dotykaliście tego laptopa ani dysku, na który zgrałem dane. To wszystko będzie na mnie. — Mięśnie na twarzy Lance'a napięły się, gdy zazgrzytał zębami. — Wystarczy mi już tego, że mam związane ręce, podczas gdy przestępcy krzywdzą ludzi. Gliny wsadzają ich do pudła, a system ich wypuszcza.

— Wiem. — Morgan zdawała sobie sprawę, że był to jeden z powodów, dla których odszedł z policji. — Jednak musimy przestrzegać prawa.

Sama nie wiedziała, czy bardziej była wkurzona, że zrobił coś nielegalnego, co mogło narazić obydwie ich firmy na ryzyko, czy że jej o tym nie powiedział wcześniej.

Czy też może dlatego, że w tej chwili czuła się dokładnie tak samo. Wszystko wymykało się spod kontroli. Nieważne, ile razy powtarzała sobie, że każdy obywatel ma te same prawa i przestępcy zasługują na obronę w sądzie, to z punktu widzenia ofiary system nie wydawał się sprawiedliwy.

Przez chwilę pożałowała, że nie znajduje się w gabinecie prokuratora, a jej

pracodawcą nie jest państwo, tak aby nie musiała osobiście babrać się w zagmatwanym trwającym śledztwie.

Brakowało jej możliwości oskarżania, przekonania, że oskarżony jest winny. Brakowało jej jasnej drogi postępowania: zbierania dowodów, prezentowania ich w sądzie, usunięcia kolejnego przestępcy z ulicy.

W sektorze prywatnym wszystko miało milion odcieni brudnej szarości. To, że nagle zaczęła wszystko widzieć w ujęciu panoramicznym, a nie wąskim jak do tej pory, zmusiło ją do dostrzeżenia ograniczeń każdej ze stron: oskarżonych, ofiar, wymiaru sprawiedliwości. Kiedyś postrzegała wymiar sprawiedliwości jako tunel. Teraz jawił jej się jako labirynt.

— Przykro mi, jeśli tego nie pochwalasz, ale podjąłem to ryzyko, uważając, że jest tego warte. Gdybym wtedy nie zgrał tych danych, mógłbym nie mieć kolejnej szansy. — Westchnął Lance, aż jego szeroka pierś się zapadła. — Udawaj, że nic o tym nie wiesz. Ja się tym zajmę. Jak do tej pory nie znalazłem tam niczego niezwykłego, aczkolwiek przejrzałem tylko niewielką część plików. Jeśli będziemy mieli szczęście, Chelsea powie nam, co chcemy wiedzieć, i będziemy mogli udawać, że nigdy ich nie widzieliśmy.

— Dopóki Tim nie zadzwoni, twoja mama i ja możemy jeszcze trochę zająć się tym tematem. — Sharp ruszył w kierunku drzwi. — Daj mi ten napęd. Pojadę do twojej mamy i pomogę jej w miarę moich możliwości. — Wziął z dłoni Lance'a dysk twardy i wyszedł z pokoju, mamrocząc pod nosem: — Jeśli to się wyda, mamy przechłapane.

— Sharp? — zawołał za nim Lance.

— Co? — zapytał Sharp, wtykając głowę do pokoju.

— Biuro szeryfa próbuje wykorzystać zdjęcia satelitarne do znalezienia miejsca, w którym przetrzymywana była Chelsea — powiedział Lance. — Jakaś polana, przy której stoi dom i kontener, co może być widoczne z góry lub nie. Może moglibyście spróbować wysledzić kupowanie kontenerów?

— Spróbuję też poszukać zdjęć satelitarnych. Jeśli ten kontener stał tam od jakiegoś czasu, może będzie widoczny na starszych zdjęciach — rzucił Sharp na odchodne.

Morgan całe życie broniła prawa, jednak w tym momencie czuła, że coś w niej pęka i że gotowa jest przekroczyć jakąś granicę lub raczej ją przebiec. Zagrożone zostało bezpieczeństwo jej dzieci. W jej oczach to było ważniejsze niż wszelkie zobowiązania prawne. Nie było niczego, czego by nie zrobiła, aby je chronić.

Było to o tyle interesujące, że gdy pracowała jako asystentka prokuratora, zdarzało jej się oskarżać samowolnych stróżów prawa z pełną surowością w myśl zasady „prawo nie robi wyjątków”, co teraz wydawało jej się naiwne. Żołądek ją bolał i

sięgnęła do torebki po pastylki zobojętniające kwas żołądkowy.

— Dobrze się czujesz? — zaniepokoił się Lance.

— Tak. — Morgan wyjęła butelkę wody z szafki i łyknęła dwie tabletki ibuprofenu wyjęte z szuflady biurka. — Znajdźmy tego drania, zanim skrzywdzi kogoś innego.

Sharp pojawił się w drzwiach.

— Za późno.

Żołądek Morgan się ścisnął.

— Dziś rano zgłoszono zaginięcie młodej kobiety, Karen Mitchell. Wyszła rano z domu rodziców, aby pobiegać w parku, i nie wróciła do domu. Jest blondynką, wiek również pasuje.

Rozdział 34.

— Co ostatnio porabiasz, Kirk? — zapytał Lance.

Znajdowali się pośrodku przypominającej akwarium sali konferencyjnej w Speed Net. Morgan siedziała po lewej stronie Lance'a, a Kirk Armani i Elliot Pagano, który chciał być obecny przy rozmowie, zajęli miejsca naprzeciwko nich.

Lance odchylił się na krześle i próbował zachowywać się swobodnie.

Najwyraźniej jednak nie był zbyt dobrym aktorem.

Kirk Armani trzymał na kolanach odwróconą do góry nogami deskorolkę i nerwowo kręcił kółkami, trącając je drżącymi palcami. Dzieciak wyglądał fatalnie. Jego ciuchy były pogniecione i w ogóle nie nawiązywał kontaktu wzrokowego.

Lance i Morgan zapukali do mieszkania Kirka, jednak gdy nikt im nie otworzył, pojechali do Speed Net, aby z nim porozmawiać.

Lance przyglądał się głównemu pomieszczeniu przez szklane przepierzenie. Mimo że było sobotnie popołudnie, w Speed Net panowała gorączkowa aktywność.

Elliot skrzyżował ramiona na piersi.

— O co chodzi? Wydawało mi się, że Chelsea się znalazła?

— Nie jesteśmy z policji, Kirk nie musi z nami rozmawiać — wyjaśnił Lance. — Jednak zaginęła kolejna kobieta.

— To okropne, ale nie rozumiem, dlaczego tu dziś przyszliście. — Elliot wyprostował się. — Czy nadal pracujecie dla Tima?

— Tak. Tim i Chelsea chcą wiedzieć, kto ją porwał — powiedziała Morgan. — Wczoraj w nocy ktoś włamał się do mojego domu i zagroził mnie i mojej rodzinie. Sądzymy, że mogła to być ta sama osoba, która porwała Chelsea.

— Przykro mi — powiedział Elliot. — To musiało być przerażające.

— Było — przyznała Morgan, splatając palce na blacie. — Kirk, wiemy, że kiedyś wydano ci zakaz zbliżania się.

Kirk poblądł.

— Nie chciałem jej nękać. Nie śledziłem jej, przysięgam.

Jego czoło pokryło się potem. Przestał kręcić kółkiem od deskorolki i chwycił jej krawędź obiema dłońmi.

— W porządku, Kirk — łagodził Elliot. — To stare dzieje, Kirk nie miał niczego złego na myśli.

Kirk gwałtownie potrząsnął głową.

— Nigdy nie powiedziała, że nie chce, żebym z nią rozmawiał. Nie wiedziałem.

— Czy Kirk pracował tu wtedy? — zapytał Lance.

— Tak. Naprawdę był wstrząśnięty tą sytuacją. Pomogłem mu wtedy to wyprostować. — Elliot zacisnął usta. — Ta dziewczyna dawała Kirkowi sygnały, że nie jest nim zainteresowana, jednak Kirk nie potrafił ich odczytać. Gdy zaprosił ją na randkę, a ona odmówiła, tłumacząc, że musi obciąć pazury swojemu kotu, potraktował to dosłownie.

— Nie wiedziałem. — Kirk oddychał coraz szybciej i płycej.

— Spokojnie, Kirk, wszystko w porządku. — Elliot obrzucił Morgan i Lance'a niezyczliwym spojrzeniem. — Kirk kiepsko odczytuje sygnały niewerbalne. Gdyby ta dziewczyna powiedziała mu po prostu, że go nie lubi, odpuściłby. Ale nie zrobiła tego, była natomiast sarkastyczna i uszczypliwa, a to są rzeczy, których Kirk nie potrafi prawidłowo zinterpretować. Wciąż ją zapraszał na randki, sądząc, że wreszcie trafi na moment, gdy będzie miała dla niego czas.

Lance poczuł przyływ rozczarowania. Nie chodziło o to, że liczył na to, iż dzieciak okaże się winny — szkoda mu było Kirka. Ale chciał znaleźć człowieka, który był odpowiedzialny.

— Przykro mi, że to wywlekliśmy, Kirk — przeprosiła Morgan. — Obawiam się o bezpieczeństwo moich dzieci, chciałabym, aby były bezpieczne.

— Nigdy nie skrzywdziłbym dziecka. Lubię dzieci. — Kirk pociągnął nosem i otarł go wierzchem dłoni. — Dzieci są dla mnie miłe...

W odróżnieniu od dorosłych...

Lance poczuł się tak, jakby właśnie skopał kociaka.

Potarł mostek, gdzie frustracja paliła go niczym zgaga. Kolejny ślepy zaułek.

— A poza tym przez całą noc byłem tutaj. — Kirk wreszcie uniósł głowę i skrzyżował spojrzenie z Lance'em na ułamek sekundy, nie dłuższy niż odbicie się ćmy od rozpalonej żarówki. — Ja i mój zespół pracowaliśmy do późna. Zamówiliśmy pizzę i przez większą część nocy graliśmy w *Overlook*. Zasnąłem na kanapie.

— Byłeś tu przez całą noc? — uściślił Lance. — Z członkami zespołu?

Kirk skinął głową.

— Bardzo przepraszam, że zawracaliśmy głowę. — Morgan wstała. — Dziękujemy za wyjaśnienia.

Elliot odprowadził ich do lobby.

— Następnym razem, gdy będziecie chcieli porozmawiać ze mną lub z którymś z moich pracowników na terenie firmy, będziecie musieli zwrócić się do mojego adwokata.

Patrzył za nimi, gdy wychodzili. Drzwi zamknęły się z głośnym i ostatecznym łupnięciem. Lance i Morgan wyszli na parking. Temperatura obniżyła się od tego czasu, gdy weszli do budynku.

— Czuję się winny, jakbym prześladował tego chłopaka — powiedział Lance,

otwierając jeepa.

— Ja też. — Morgan usiadła na siedzeniu pasażera. Gdy Lance usadowił się za kierownicą, dodała: — Ta sprawa w ogóle sprawia, że czuję się okropnie. Od kiedy to nękam przestrzegających prawa obywateli lub sama łamię przepisy?

— Odkąd zagrożenie stało się sprawą osobistą. — Lance uruchomił silnik i wyjechał z parkingu. — Dzieciakowi nic nie będzie. Zrobiłaś, co trzeba było. Jako prokurator też przecież byłaś twarda dla świadków i oskarżonych, prawda?

— Tak, gdy było to konieczne. — Odgarnęła włosy z twarzy. — Ale wiedziałam już, że byli zaangażowani w sprawę, i na ogół z grubsza domyślałam się, co mi powiedzą.

— Policja przeprowadzała dla ciebie wstępną selekcję świadków, a teraz wiesz już, jak to jest, gdy trzeba osobiście sprawdzać każdy trop.

— Tak, masz rację. Jako asystent prokuratora okręgowego nie angażowałam się w sprawę, dopóki nie doszło do aresztowania. — Przycisnęła palce do skroni. — To frustrujące.

— Nie spałaś, nie zrobiłaś sobie przerwy, nie dopiłaś nawet tego koktajlu białkowego, który przygotował ci Sharp, a jest już pora lunchu. — Lance zerknął na nią zatroskany. Cienie pod oczami Morgan były równie ciemne jak sińce na jej szyi. Dokonano włamania do jej domu, jej rodzina znalazła się w niebezpieczeństwie, a potem przyszło jej spędzić noc w szpitalnej poczekalni.

Skoro przez brak snu *on* był poirytowany, to *ona* musiała się czuć dziesięć razy gorzej.

— Sprawdziałaś, co z dziadkiem? — zapytał.

Wyjęła telefon ze swojej ogromnej torby.

— Stella nie odzywała się od jakiegoś czasu. Zadzwońię do niej.

Przycisnęła telefon do ucha i przez kilka minut prowadziła rozmowę tonem pełnym niepokoju, a potem odłożyła telefon na kolana.

— Nic się nie zmieniło. Nadal się nie obudził.

— Chcesz wstąpić do szpitala i zobaczyć go?

Morgan skinęła głową.

— Tak. W tej chwili i tak mamy impas w śledztwie. Policja obserwuje Harolda Burnsa. Tim się nie odzywa, ale pracownik szeryfa ma chronić Chelsea. Nie wiem, co możemy zrobić w tej sytuacji. — Jej głos się załamał. — A poza tym chcę go zobaczyć tak na wszelki wypadek.

Nie powiedziała tego, co pomyśleli: „Na wypadek, gdyby to była moja ostatnia szansa”.

Lance ruszył w kierunku szpitala. Wysadził Morgan przed wejściem, a potem poszukał miejsca do parkowania. Gdy odnalazł Morgan w poczekalni, rozmawiała ze

swoją wymęczoną siostrą.

Oczy i nos Stelli były zaczerwienione, tak jakby płakała. Podala Morgan książkę, jakiś popularny kryminał w miękkiej okładce.

— Nie wiem, czy mnie słyszy, ale czytałam mu.

Morgan wzięła książkę i uśmiechnęła się smutno.

— Uwielbia krytykować błędy proceduralne.

— Miałam nadzieję, że obudzi się i zacznie je wszystkie wyliczać. — Stella objęła siostrę. — Idę wziąć prysznic i zdrzemnąć się trochę, potem wrócę.

— Żadnych wieści od Iana? — zapytała Morgan.

— Nie. — Stella wyjęła kluczyki z kieszeni. — Ale kilka godzin temu Peyton udało się złapać lot, powinna tu być wczesnym wieczorem. Może przejmie nocną zmianę.

Stella wyszła. Morgan i Lance przeszli przez przesuwne podwójne drzwi na oddział intensywnej terapii. Weszli do pokoju Arta za szklanym przepierzeniem. Dziadek wyglądał na mniejszego niż zwykle, a otaczający go sprzęt medyczny sprawiał onieśmielające wrażenie.

Morgan podeszła do niego i cmoknęła go w policzek, po czym odnalazła pod kocem jego dłoń i uściśnęła ją lekko. Po policzku spłynęła jej łza. Pociągnęła nosem i otarła ją.

Do pokoju weszła pielęgniarka i sprawdziła wskazania na monitorach.

— Proszę starać się nie panikować.

— Ale jeszcze się nie obudził — powiedziała Morgan z tak bladą twarzą, że Lance'owi ścisnęło się serce.

— Jego ciało potrzebuje odpoczynku. — Pielęgniarka zapisała coś na karcie. — Nie mieliśmy kolejnego problemu z ciśnieniem krwi ani arytmii, która pojawiła się podczas operacji. Jego stan przez cały dzień jest stabilny. Potrzebuje czasu. W jego wieku ciało po znieczuleniu i urazie nie wraca od razu do pełnej formy.

— Dziękuję — powiedziała Morgan.

— Będę tuż za drzwiami, gdybym była potrzebna. — Pielęgniarka wyszła. Pokój pielęgniarek znajdował się naprzeciwko sali, w której leżał dziadek.

Morgan usiadła na krześle obok łóżka. Lance przysunął sobie krzesło obok. Morgan otworzyła swoją olbrzymią torbę i wyciągnęła z niej akta.

— Chyba nie zamierzasz mu tego czytać?

— Przeczytam mu nasze notatki. To zainteresuje go bardziej niż cokolwiek innego. — Podsunęła Lance'owi stos raportów. — Może obudzi się i wskaże nam trop, który przeoczyliśmy.

Sam ogrom informacji był przytłaczający. Cztery godziny później udało im się przejrzeć większość notatek ze sprawy. Wciąż jednak nie natrafili na nic nowego.

Telefon Morgan zawibrował.

— To Stella.

Odebrała. Rozmowa była krótka i Morgan zakończyła ją gniewnym puknięciem w ekran smartfona.

— Policja dostała nakaz, aby trzymać się z daleka od Harolda Burnsa. Jego prawnik złożył skargę przeciwko miastu o nękanie.

— Więc teraz może robić, co zechce, i nikt się o tym nie dowie.

— Tak. — Morgan odłożyła telefon i zaczęła nerwowo chodzić po pokoju. — Biuro prokuratora nie miało innego wyjścia, jak nieco przykrócić Hornerowi cugle, zwłaszcza po ubiegłomiesięcznym fiasku.

Sąsiad Morgan omal nie zginął w więzieniu, do którego trafił na podstawie błędnego oskarżenia.

— Prasa nie dawała żyć Hornerowi i biuru prokuratora okręgowego — zauważył Lance.

— Nie mieli innej możliwości. — Morgan przestała chodzić i przycisnęła dłonie do oczu. — Nie ma żadnych dowodów przeciwko Burnсовi. Żadnych.

— Morgan? — zapytał cichy głos od progu.

Mimo że Lance nigdy wcześniej nie spotkał Peyton, nie miał wątpliwości, że młoda kobieta, która właśnie weszła do pokoju, była młodszą siostrą Morgan. Peyton miała takie same czarne włosy i niebieskie oczy jak Morgan i Stella, chociaż była o głowę od nich niższa. Pod względem wieku trzydziestodwuletnia Peyton znajdowała się pośrodku między dwiema siostrami. Miała na sobie ciemne dżinsy, buty do kolan i czarny sweter.

Siostry uściskały się ze łzami w oczach.

Morgan przedstawiła ich sobie i Lance poczuł, że Peyton uważnie mu się przygląda. Trzecia z sióstr Dane wprawdzie nie była policjantką, jednak jako psychiatra sądowy potrafiła ocenić człowieka nie gorzej niż one.

Peyton podeszła do łóżka dziadka, ucałowała go w policzek, po czym wyprostowała się i przyjrzała ekranom monitorów. Następnie wzięła do ręki kartę i przejrzała ją.

— Cieszę się, że przyjechałaś — powiedziała Morgan, stając obok swojej siostry. — Wkrótce powinien przyjść lekarz, a ty lepiej niż ja zrozumiesz wszelkie medyczne terminy.

— Pytałam w recepcji, powinien tu być za jakieś dwadzieścia minut — uściśliła Peyton.

Morgan zerknęła jej przez ramię.

— I jak to wygląda twoim zdaniem?

— Fakt, że jest stabilny, to dobry znak. — Peyton ujęła rękę dziadka. — Tęsknię za nim.

— On to rozumie. — Morgan potarła ramię siostry.

— Wiem, ale nie zmienia to faktu, że od wieków go nie widziałam. — Peyton pokręciła głową i zwróciła się do Morgan. — Wyglądasz okropnie. Idź do domu. Zjedz coś, prześpij się. Zostanę z nim na noc. Obiecuję, że napiszę do ciebie natychmiast, jeśli jego stan w jakikolwiek sposób się zmieni.

— Dobrze. — Morgan cofnęła się, zebrała wszystkie swoje papiery i wrzuciła je do torby.

Pożegnali się i Lance wyprowadził ją długim korytarzem przez drzwi do głównego holu. Nie odzywali się, dopóki nie usiedli w jeepie.

Zapadła ciemność. O siódmej wieczorem parking skąpany był w białym blasku latarni.

— Musisz coś zjeść. — Lance zjadł kilka batoników proteinowych w szpitalu, jednak Morgan odmówiła.

Telefon Morgan zawibrował.

— To Tim — powiedziała i odebrała. — Jak się miewa Chelsea?

Lance dosłyszał odpowiedź Tima.

— Właśnie się obudziła. Przepraszam, nie odsłuchałem twojej wcześniejszej wiadomości. Musiałem dać Chelsea środek uspokajający. Wpadła w panikę, jak tylko wjechaliśmy na nasz podjazd.

Z którego została porwana...

— Jak się miewa teraz? — zapytała Morgan. — Chcielibyśmy wpaść i zadać jej kilka pytań.

— Poczekaj chwilę. — Moment ciszy w słuchawce sugerował, że Tim pyta żonę o zdanie. Chwilę później odezwał się znowu: — Zgadza się.

— Będziemy u was za jakiś kwadrans. — Morgan zakończyła połączenie. — Sprawdźmy, co Chelsea pamięta.

Rozdział 35.

— Chcielibyśmy zadać ci kilka pytań. — Morgan przyjrzała się Clarkom siedzącym po drugiej stronie stolika kawowego w swoim salonie. Chelsea miała na sobie wygodny sweter i dresowe spodnie. Tuliła do siebie niemowlę, a Tim i Bella siedzieli po obu jej stronach na sofie. Dziewczynka wtulała się w matkę całym ciałem, a Tim dotykał jej ramieniem.

Morgan widziała, że ich więź nie jest jedynie fizyczna. Nawet z tej odległości, która dzieliła ją i Lance'a od tej rodziny, wyczuwała, że stanowią wspólny front.

— Bella, czas na twoją kąpiel — odezwała się z progu matka Chelsea i wyciągnęła do dziewczynki rękę. Ojciec Chelsea stał za nią, wyglądając, jakby nie wiedział, co ma ze sobą zrobić.

Bella zawahała się i spojrzała na matkę. Morgan serce podskoczyło w piersi. Biedna mała była zagubiona i podatna na zranienia.

Chelsea przytuliła ją jednym ramieniem.

— Idź z babcią. Poczytam ci książeczkę, gdy już będziesz wykąpana.

Dziewczynka posłuchała niechętnie, odwracając się jeszcze w progu za mamą.

— Tato, weźmiesz, proszę, Williama? — poprosiła Chelsea.

— Oczywiście. Zaczyna mnie lubić. — Ojciec Chelsea wydawał się wdzięczny, że dostał jakieś zadanie. Wziął wnuka na ręce. — Chodź, zobaczymy, co robią babcia i Bella.

— Staramy się żyć dzień za dniem, czasem nawet chwila za chwilą — powiedziała Chelsea, gdy jej ojciec wyszedł z małym z pokoju. — Jestem szczęśliwa, że wróciłam do domu.

Obrażenia fizyczne u Chelsea łatwo było ocenić. Każdy centymetr jej odsłoniętej skóry był opuchnięty, podrapany lub pokryty sińcami w różnych odcieniach zieleni i fioletu. Jednak na jej pobitej twarzy spod gniewu i lęku przeświecała determinacja.

Mógł pobić jej ciało, ale nie złamał w niej ducha.

— Gdy przyjechaliliśmy do domu, czekali na nas dziennikarze. — Tim ujął dłoń żony. — Szeryf zmusił ich do odejścia.

Przynajmniej raz Morgan doceniła onieśmielającą i nieugiętą naturę szeryfa.

— Chcę, żeby został złapany. Nie chcę przez resztę życia oglądać się przez ramię — powiedziała Chelsea. — Nie wiem, czy byłabym w stanie to znieść.

— Powinniście zainwestować w dobry alarm — zasugerował Lance. — Możemy wam coś polecić.

— Bylibyśmy wdzięczni — zgodził się Tim.

— Może będziemy się musieli przeprowadzić. — Spojrzenie Chelsea powędrowało do okna. — Nie wiem, czy mogę tu zostać po tym...

Po tym, jak została porwana z własnego podjazdu.

— Ale co chcecie wiedzieć? — Chelsea potrząsnęła głową. — Postaram się odpowiedzieć najlepiej, jak potrafię.

— Co pamiętasz na temat tego człowieka lub miejsca, w którym byłaś przetrzymywana? — zapytał Lance.

— To był kontener towarowy. — Chelsea opisała, jak znalazła gwóźdź, otworzyła swoje kajdany i uciekła przez dziurę w przerdzewiałym dachu. — Kontener stał na polanie, ale nad nim były gałęzie. Niedaleko był jakiś dom, być może domek letniskowy. — Przymknęła na chwilę oczy. — Przepraszam. Było ciemno. Gdy wyszłam i usłyszałam, że zaczyna mnie gonić, zaczęłam po prostu biec.

— A dźwięki?

— Słyszałam szczekanie psa.

— Żadnych odgłosów ruchu ulicznego? — dopytywał Lance.

— Nie. — Chelsea przyciągnęła kolana pod brodę. Zwinęła się w kulkę. — Żałuję, że nie potrafię powiedzieć więcej. Czuję się bezużyteczna.

— Nie powinnaś. Zrobiłaś dokładnie to, co trzeba. Uciekłaś — powiedziała Morgan. — Czy potrafisz nam powiedzieć cokolwiek o tym, kto cię porwał?

Chelsea wpatrzyła się w swoje kolana.

— Chciał mnie wyszkolić. Nauczyć posłuszeństwa. Gdy byłam posłuszna, przynosił mi jedzenie. Gdy się sprzeciwiałam, karał mnie.

— Jak wyglądał? — zapytała Morgan.

— Miał na sobie maskę, więc nie widziałam jego twarzy. — Chelsea ściągnęła brwi. Opisała pokrótce białego mężczyznę przeciętnego wzrostu bez charakterystycznego akcentu. — Był silny.

— Więc raczej nie był zbyt stary — zauważył Lance. — Czy miał jakieś widoczne blizny lub tatuaże?

Chelsea pokręciła głową przecząco.

— Używał wody kolońskiej? — zapytał Lance.

— Byłam tak przerażona, że nie zwracałam na to uwagi. — Nagle Chelsea zamarła. — Chociaż... był jakiś zapach. Taki... ostry, niemal oleisty.

— Czy to był olej silnikowy? — naciskał Lance.

— Nie, nie był aż tak mocny. — Zadrżała. — Przepraszam, nie mogę... — Przycisnęła pięść do ust, starając się opanować.

Morgan zmieniła temat.

— Twój szef powiedział, że chciałaś z nim o czymś porozmawiać. Co to takiego?

— Dokumenty jednego z moich klientów nie zgadzały się. — Chelsea przechyliła

głowę. — Nie mogę wam podać jego nazwiska, ale jestem pewna, że nie jest z tym powiązany. To była kwestia podatkowa i klient nie mógłby wiedzieć, że jestem świadoma tego problemu.

Zdecydowanie nie była to sprawka kogoś, kto chciał uniknąć płacenia podatków.

— Ale było to na tyle ważne, że nie chciałaś omawiać tego przez telefon ani w mailu? — upewnił się Lance.

— Nie mam w domu bezpiecznego serwera, a poza tym dziecko nieustannie płakało. Ostatnim razem, gdy próbowałam porozmawiać z Curtisem przez telefon, ledwie go słyszałam — wyjaśniła Chelsea. — Łatwiej by nam było porozmawiać o tym w biurze.

Morgan wstała.

— Jeśli przypomnisz sobie jeszcze coś, proszę zadzwoń do nas natychmiast, nawet jeśli by ci się to wydawało drobiazgiem. Nigdy nie wiadomo, do czego to może zaprowadzić.

— Dobrze. — Chelsea oparła brodę na kolanach. — Dziękuję wam za wszystko.

Tim odprowadził ich do drzwi.

— Mam nadzieję, że dziś w nocy będzie spać. Wczoraj w szpitalu nie spała całą noc. Każdy hałas...

— To będzie wymagało czasu — powiedziała Morgan.

Tim skinął głową i otworzył im drzwi.

— Jak wygląda ten znak, który jej wypalił? — zapytał cicho Lance.

— To symbol nieskończoności — odparł Tim, blednąc.

Na zawsze.

Morgan i Lance wsiedli do jeepa.

— Cóż, to było rozczarowanie — stwierdził Lance. — Tyle tylko, że potwierdziliśmy, iż jest mało prawdopodobne, aby porwanie było związane z plikami jej klientów.

— Odurzył ją, co prawdopodobnie wpłynęło na jej pamięć. — Morgan nie była w stanie sobie tego nawet wyobrazić. Chelsea będzie musiała nie tylko poradzić sobie ze strasznymi wydarzeniami, które pamiętała, ale też bez wątpienia zastanawiać się nad tym, co zapomniała. Czy inne wspomnienia zaczną jej wracać? Ile to potrwa?

Lance uruchomił silnik.

— To się wydaje coś osobistego. Nikt nie torturuje i nie szkoli kobiety z użyciem presji fizycznej i psychicznej, aby uniknąć przyłapania na oszustwie podatkowym.

— Właśnie. — Zgodziła się Morgan. — To było osobiste, chore i pokręcone. Co teraz zrobimy?

Wyjechał z podjazdu.

— Czy możesz zadzwonić do Sharpa i dać mu znać, co odkryliśmy? On i moja

mama mogą przestać zajmować się sprawozdaniami finansowymi i skoncentrować się na zbieraniu informacji dotyczących życia prywatnego jej klientów. Niewykluczone, że jeden z nich zafiksował się na niej.

— *Ktoś* bez wątpienia to zrobił. — Morgan wykonała telefon. Sharp z ulgą przyjął fakt, że już nie musi grzebać w plikach finansowych.

— Gdzie chcesz teraz jechać? Niezależnie od wszystkiego musimy cię nakarmić — oznajmił Lance, gdy Morgan odłożyła telefon.

— Pomyślisz, że oszalałam

I na pewno mu się to nie spodoba.

— Co? — W jego głosie pojawił się cień podejrzliwości. Oddalali się od domu Clarków.

— Chcę powęszyć wokół domu Harolda Burnsa.

— To nie tylko szalone, ale i ryzykowne. — Lance zmarszczył brwi.

— Wszystkie inne poszlaki prowadziły donikąd. Został nam tylko Burns. Chelsea wspomniała o oleistym zapachu, chociaż mówiła, że to nie olej silnikowy.

— Mechanicy używają różnych olejów i smarów. — Wzruszył ramionami Lance.

Morgan zapatrzyła się za okno. Po tym, jak zobaczyła, co musiała znieść Chelsea, mimo odczuwanego wyczerpania była teraz jeszcze bardziej zdeterminowana, aby złapać winowajcę

— A co, jeśli on ma tę drugą dziewczynę i nikt jej nie uratuje? Co, jeśli potrzebuje więcej czasu, aby ją zabić i pozbyć się ciała?

— To wszystko spekulacje.

— To prawda — przyznała Morgan. — Ale wysłuchaj mnie. Policja sądzi, że kobieta znaleziona w parku stanowym była przetrzymywana przez osiem miesięcy. Musiała być trzymana gdzieś, gdzie nikt by nie słyszał jej krzyków. Dom Burnsa znajduje się na odludziu.

— Podobnie jak warsztat.

— Tak, ale w warsztacie przewija się zbyt dużo ludzi, aby móc tam więzić kobietę.

— Nieruchomość jest duża, są tam też jakieś dalsze zabudowania. To świetne miejsce, gdzie można by ukryć kontener — powiedział Lance. — Lasy za warsztatem przylegają do parku stanowego.

— No właśnie — kontynuowała Morgan. — Policja sprawdzała dom Burnsa trzy miesiące temu. Gdyby przetrzymywał tam kobietę, usłyszeliby coś lub zobaczyli.

— Prawdopodobnie. Jego dom jest nieduży — zauważył Lance. — Nie wiemy też, czy przez całe osiem miesięcy była przetrzymywana w tym samym miejscu.

Morgan wyobraziła sobie nieruchomość Harolda Burnsa.

— Pamiętasz ten olbrzymi garaż za domem Burnsa?

— Tak. — Lance podkreślił ogrzewanie. — Jest dostatecznie wielki, aby pomieścić

wszelkie możliwe rodzaje nielegalnej aktywności.

Morgan przysunęła dłonie do nawiewu.

— Jeśli znajdziemy cokolwiek podejrzanego, wykonamy anonimowy telefon na policję i powiemy, że usłyszeliśmy krzyki kobiety.

— Ale musimy z tym poczekać. Potrzebujemy, żeby Burns spał. — Lance skręcił na główną drogę. — Musimy się też przygotować. Powinniśmy zadzwonić do Stelli lub Brody'ego i powiedzieć im, co planujemy.

— Nie. — Morgan nie zamierzała zrujnować swojej siostrze kariery. — To nie byłoby fair w stosunku do nich. To, co zamierzamy zrobić, jest całkowicie nielegalne. To jedynie moje przeczucia.

Nie wspominając już o tym, że niebezpieczne.

Rozdział 36.

Kilka minut przed północą Lance przejechał obok parterowego domu Harolda Burnsa. Kilkaset metrów dalej zjechał na pobocze i zaparkował za choinkami. Jeśli Burns wymknął się z domu przez las, gdy znajdował się pod obserwacją policji, to zrobił to, idąc lasem do warsztatu. To, co było dobre dla gęsi, w tym przypadku mogłoby być dobre również dla myśliwych.

— Jesteś gotowa?

Siedząca na siedzeniu pasażera Morgan sprawdziła broń w kaburze i schowała ją pod kurtkę.

— Tak.

Lance wsunął dodatkowe naboje do dużej kieszeni swoich ciemnych bojówek. Mimo że nie było mu zimno, naciągnął czarną wełnianą czapkę na swoje krótko obcięte blond włosy. Morgan też miała czapkę, chociaż w jej przypadku miała ona służyć raczej ochronie przed zimnem. Wsunęła do kieszeni latarkę. Lance zrobił to samo, następnie do niewielkiego plecaka spakował resztę sprzętu, włączając w to noktowizor.

Wysiedli z auta i ruszyli skrajem lasu, tak aby na widok nadjeżdżającego samochodu móc się schować za drzewami. Po niebie płynęły grube chmury, pojedyncze płatki śniegu wirowały w zimnym powietrzu. Oddech zmieniał się w parę. Było ciemno, jednak nie zapalali latarek, chcąc, aby wzrok przyzwyczał się do ciemności, i nie chcąc ryzykować, że na tym pustkowiu Burns z łatwością zauważy światło.

Morgan potknęła się.

Lance przytrzymał ją za łokieć.

— W porządku?

— Tak, to tylko kamień. — Morgan wyprostowała się. — Nie mam pojęcia, jak Chelsea zdołała biec całymi kilometrami przez ciemny las.

— Cóż, była to dosłownie sprawa życia i śmierci. Wątpię, aby była wtedy w stanie myśleć, musiała się posługiwać czystym instynktem. Fakt, że wcześniej lubiła piesze wycieczki i że regularnie biegała, prawdopodobnie ocalił jej życie.

— Przypomnij mi, że powinnam zacząć ćwiczyć — powiedziała Morgan. — Wątpię, abym była w stanie przebiec choćby trzy kilometry i nie paść.

Wcześniej zatrzymali się, aby coś zjeść. Ku zadowoleniu Lance'a podniecona myślą o działaniu Morgan zjadła wszystko do ostatniej frytki.

Tłusty burger z frytkami mógł nie być zdrowym jedzeniem, jednak jego ciało

również doceniło kalorie. Nie przypominał sobie, kiedy ostatni raz pił colę, jednak słodki, gazowany napój też mu pomógł. Czuł niemal, jak cukier sprawia, że jego ciało wibruje od energii.

Tuż przed domem Burnsa las się kończył. Poszli dalej skrajem lasu, okrążając posiadłość. Dom i duży garaż pogrążone były w ciemności.

Lance wyjął noktowizor z plecaka i przyjrzał się zabudowaniom.

— W garażu nie ma okien i nie widzę jego samochodu. — Nie dostrzegł też żadnych kamer bezpieczeństwa.

— Może nie ma go w domu.

— Może auto stoi w garażu.

Istniał tylko jeden sposób, żeby się tego dowiedzieć. Musieli się włamać do garażu.

Przebiegli przez otwartą przestrzeń, starając się trzymać w taki sposób, aby garaż znajdował się na linii wzroku pomiędzy nimi a domem. Mimo wszystko Lance był zadowolony z tego, że noc jest bezksiężycowa i wyjątkowo ciemna. Niestety wejście do garażu znajdowało się od strony domu. Przekradli się wokół narożnika budynku. Mimo panującego chłodu Lance czuł, że pot spływa mu między łopatkami. Zbliżanie się do budynku, w którym nie wiadomo kto się znajdował, wydawało mu się jeszcze bardziej ryzykowne, odkąd w zeszłym roku został postrzelony i omal nie zginął w podobnej sytuacji. Lęk o bezpieczeństwo Morgan sprawiał, że jego ogólny poziom niepokoju wzrastał niebotycznie.

Wskazał Morgan gestem, aby poczekała w cieniu, i wyjął z kieszeni swój zestaw wytrychów. Zamek był zadziwiająco prosty i Lance poczuł cień wątpliwości. Gdyby to on miał trzymać tu uwięzioną kobietę, wykorzystałby skomplikowany system zabezpieczeń.

Lance wyszedł na otwartą przestrzeń i wsunął dwa cienkie ostrza w zamek. Po mniej niż dwudziestu sekundach usłyszał delikatne kliknięcie zapadek wsuwających się na swoje miejsce. Przekręcił klamkę i otworzył drzwi, po czym wślizgnął się do środka. Przez kilka sekund nasłuchiwał ćwierkania, które zdradzałyby obecność systemu alarmowego, jednak nic nie usłyszał. Morgan weszła do środka za nim i wpadła na niego. Zamknęła drzwi i ogarnęła ich idealna ciemność.

Mimo że jego wzrok przyzwyczał się do ciemności na zewnątrz, w garażu było o wiele ciemniej. W budynku nie było okien. Jego noktowizor wymagał przynajmniej odrobiny światła do funkcjonowania, w zupełnych ciemnościach był bezużyteczny. Lance zaryzykował zapalenie latarki i skierował wąski snop światła w podłogę. Garaż stanowił jedno duże pomieszczenie wypełnione różnymi gratami. Lance poczuł rozczarowanie, gdy przesuwiał snopem latarki po kolejnych wyrzuconych meblach i pudłach. Nawet zanim dokończył oglądanie całego wnętrza, wiedział, że zaginionej

kobiety tu nie ma. Nawet nie było tam miejsca, aby kogoś przetrzymać.

Morgan wyszła na zewnątrz jako pierwsza. Lance ostrożnie zamknął za nimi drzwi i wrócili do lasu. W nocnym powietrzu dobiegł ich dźwięk pracującego silnika.

— Słyszę samochód. — Lance wciągnął Morgan pod osłonę drzew. Przykucnęli i odczekali, aż światła przejeżdżającego samochodu znikną w oddali, po czym ruszyli dalej. Warsztat i dom Burnsa oddalone były o niespełna pół kilometra. Minęli miejsce, w którym ukryli samochód, i poszli skrajem lasu tam, gdzie zaczynało się złomowisko wokół warsztatu.

Stanęli na brzegu lasu i przyjrzeni się otwartej przestrzeni. W ciemności widzieli jedynie szmat ziemi i cienie, jedynym źródłem światła było przyćmione światelko nad drzwiami warsztatu, jedno z okien biura też rozświetlone było jasnożółtym blaskiem.

— Zostawił włączone światło, czy ktoś jest w środku? — zapytała Morgan.

— Nie da się tego stwierdzić, nie podchodząc bliżej. — A to mogłoby ich zdradzić.

— Widzisz gdzieś czerwoną ciężarówkę Burnsa?

— Nie. — Lance za pomocą noktowizora omiół wzrokiem przestrzeń wokół warsztatu. — Ale może być w środku.

Warsztat miał kilka stanowisk, na które wjeżdżało się przez podnoszone drzwi. Nie mieli jednak powodu, żeby tam zaglądać. Nikt nie trzymałby więźnia w miejscu, do którego przychodzili klienci. Przetrzymywanie kobiety przez osiem miesięcy wymagało czegoś bardziej odosobnionego.

— Musimy działać szybko i cicho. — Morgan odwróciła się od biura w stronę złomowiska. Skrajem lasu przemknęli się na tyły nieruchomości.

— Nie widzę tu żadnych kamer.

— Pewnie zaraz się przekonamy.

Weszli na teren złomowiska, stanowiący głównie otwartą przestrzeń. Przerdzewiałe wraki porzucone były najwyraźniej w chaotyczny sposób, a cała przestrzeń poprzecinana polnymi drogami na tyle szerokimi, żeby dało się tam przejechać samochodem. Niewielki fragment złomowiska ogrodzony był wysoką siatką. W środku znajdowały się starsze modele samochodów, niektóre mocno zniszczone w wypadkach, jednak najwyraźniej wciąż nadające się do odzyskania cennych części.

Nie było księżyca, który oświetlałby drogę, jednak Lance nie mógł zaryzykować zapalenia latarki na otwartej przestrzeni.

— Powoli, uważaj, gdzie idziesz. — Poprowadził Morgan wokół zardzewiałego zderzaka.

Wymijając pogniecione i przerdzewiałe szczątki volkswagena garbusa, Morgan poklepała swoją pociętą bliznami rękę.

— Dobrze, że niedawno dostałam zastrzyk przeciwtężcowy.

Zatrzymali się przy siatce. Większość samochodów w środku była ustawiona w równe rzędy i w stosunkowo dobrym stanie, tak że wyglądało to bardziej jak parking niż złomowisko. Pośrodku stała duża metalowa szopa.

— Poczekaj tu. Wejdę do środka i sprawdzę tę szopę — wyszeptał Lance. — Brama jest z przodu, od strony warsztatu, nie chcę wchodzić tamtędy.

— Nie chcę się rozdzielać — powiedziała Morgan. — Ale wiem, że tylko bym cię spowolniła.

Lance wyjął z plecaka wytrychy i wsunął je do kieszeni, po czym oddał plecak Morgan.

— Ani się obejrzysz, jak będę z powrotem.

Wspiął się na siatkę i zeskoczył po drugiej stronie. W jego żyłach buzowała adrenalina. Zerknął na Morgan, czekającą samotnie w ciemnościach. Jej ciemne ubranie dobrze ją maskowało w lesie, jednak tutaj na otwartej przestrzeni widać było jej sylwetkę. Nie podobało mu się, że ma zostawić ją samą.

— Uważaj na siebie — powiedział.

— Ty też. — Odwróciła się, stając plecami do płotu.

Lance zaczął się przekradać między rzędami pojazdów. Było wśród nich mnóstwo kryjówek. Nasłuchiwał uważnie, jednak nic niepokojącego nie zwróciło jego uwagi.

Podszedł do szopy. Była dłuższa, niż wyglądała z daleka. Na ziemię opadło kilka płatków śniegu, jednak grunt nie był jeszcze zmarznięty, i od razu stopniały. Jedyne wejście do szopy prowadziło przez przesuwne metalowe drzwi, zamknięte na łańcuch z kłódką. Lance zapewne bez trudu mógłby ją otworzyć, miał też przy sobie nożyce do cięcia metalu, jednak wolał nie zostawiać po sobie śladów ani nie niszczyć żadnego mienia.

Wzdłuż jednej ściany szopy ciągnął się rząd powybijanych okien. Znajdowały się jednak ponad pół metra nad głową Lance'a. Rozejrzał się za czymś, na co mógłby się wspiąć. Dostrzegł jakieś beczki w pobliżu tyłu budynku, wlaź na jedną i zajrzał do środka przez brudną, popękaną szybę.

Widział tylko ciemność.

Wziął noktowizor, zawieszony na pasku na piersi i zajrzał do środka. W szopie znajdowało się mnóstwo samochodów i silników. Na długich ławach roboczych leżało jeszcze więcej części samochodowych. Nie było żadnych wydzielonych pomieszczeń, gdzie Burns mógłby przetrzymywać kogokolwiek.

Lance zeskoczył z beczki i wrócił do płotu. Morgan kucała tam, gdzie ją zostawił. Przeszedł przez płot w kilku szybkich ruchach i wylądował cicho obok niej.

— Znalazłeś coś? — zapytała cicho.

Potrząsnął głową.

Wznowili poszukiwania. Puls Lance'a bił równo i szybko, gdy skradali się wśród

wraków samochodów. W pobliżu tylnej granicy posiadłości natrafili na starą przyczepę ustawioną na pustakach. Prostokątna konstrukcja była przerdzewiała i powyginana. W pobliżu wąskich drzwi, zamkniętych na mocną kłódkę, zamiast schodków leżał pojedynczy pustak. Obok nich świeciła przyćmionym światłem słaba żarówka.

Lance poczuł, jak włosy jeżą mu się na karku.

— Ciekawe, co też tam trzymają.

— To naprawdę solidna kłódka — zauważyła Morgan. — I czy widzę nad drzwiami kamerę?

Lance skinął głową.

— Widzę też czujnik ruchu.

— Jak więc zajrzemy do środka?

Lance przyjrzał się konstrukcji.

— Okna są zasłonięte.

Obeszli przyczepę, aby spojrzeć na nią z drugiej strony. Tu okna również zabite były grubymi płytami.

— Nie przypomina kontenera, który opisywała Chelsea — stwierdziła Morgan. — Widzisz dziurę w dachu?

— Stąd nie — odparł Lance. Mimo wszystko przyczepa budziła jego niepokój. Była lepiej zabezpieczona niż biuro i warsztat. — Chcę podejść bliżej, poczekaj tutaj.

— Nie chcę tu czekać.

— Ktoś musi zadzwonić po policję, gdybym został złapany — sprzeciwił się Lance. — Harold Burns nie jest miłym facetem. Jeśli znaleźliśmy jego kolejną ofiarę, to nie wezwie policji, tylko zakopie mnie w płytkim grobie w parku stanowym.

Morgan wypuściła powietrze przez nos.

— Dobrze.

— Ubezpieczaj mnie. — Lance podał jej noktowizor.

— Zawsze.

Podbiegł do przyczepy i sprawdził kłódkę. Mógłby ją otworzyć wytrychem, jednak zajęłoby to dużo czasu, a wolał nie przebywać na otwartej przestrzeni. Spróbuje najpierw znaleźć łatwiejszy sposób dostania się do środka. Obszedł przyczepę, przyglądając się oknom, jednak wszystkie płyty były przybite lub przykręcone od wewnątrz. Opadł na ziemię i wczołgał się pod przyczepę, ale tam też nie znalazł łatwego wejścia.

Wyglądało na to, że został mu najtrudniejszy sposób.

Mógł albo otworzyć kłódkę wytrychem albo przeciąć ją nożycami do metalu. Czy chciał zostawiać ślady wejścia do środka? Nie. Przesunął się po ziemi, aby wczołgać się spod przyczepy. Żwir zachrząścił pod jego plecami, robiąc niezamierzony hałas.

Ze środka przyczepy dobiegł go jakiś dźwięk. Zamarł w bezruchu, nasłuchując.
I znowu. Jakieś szuranie, drapanie. Płacz?

Jasna cholera. Czy to szloch?

— Czy ktoś tam jest? — zawołał.

— Tak! — usłyszał kobiecy głos. — Proszę mi pomóc!

Ktoś był w przyczepie i nie był z tego powodu zadowolony.

Lance wysunął się spod przyczepy. Weźmie od Morgan nożyce i wróci za kilka sekund. Wstał. W tym momencie padł na niego długi cień. Gdy odwrócił się, aby skonfrontować się z ciemną postacią, otrzymał cios w głowę.

Rozdział 37.

Ze środka przyczepy rozległ się krzyk. Morgan wykręciła 911 i podała adres złomowiska. Wsunęła telefon do kieszeni i rozejrzała się za Lance'em.

Zobaczyła, jak jakiś mężczyzna uderza go deską w głowę. Lance okręcił się i zrobił unik. Cios spadł na jego ramiona. Upadł na ziemię, ogłuszony i leżał bez ruchu. Jego napastnik odrzucił deskę i rzucił się na Lance'a.

Nie!

Morgan wyjęła pistolet z kabury i rzuciła się naprzód.

Napastnik siedział na piersi Lance'a i wymierzał ciosy w jego głowę. Lance zasłonił się ramieniem, starając się zablokować ciosy.

Morgan zatrzymała się kilka metrów od nich i wymierzyła w nich pistolet.

— Nie ruszaj się!

Napastnik zignorował ją i uderzył Lance'a w żebra. Lance zwinął się z bólu.

Mężczyzna sięgnął po pistolet w kaburze Lance'a, ten jednak chwycił go za rękę. Zaczęli walczyć, przetaczając się na ziemi.

Morgan nie była w stanie wycelować.

Zmieniła swoje ustawienie, jednak nadal nie miała czystego strzału.

Cholera!

Musiała coś zrobić. Nie mogła pozwolić na to, aby Lance'owi coś się stało. Z bijącym sercem rozejrzała się wokół w poszukiwaniu jakiejś broni.

Deska!

Schowała pistolet do kabury, ruszyła do przodu i chwyciła deskę z ziemi. Walczący znieruchomieli, napastnik znajdował się na górze. Morgan rzuciła się naprzód. Rozpacz dodała jej sił. Chwyciła deskę obiema dłońmi i zamachnęła się jak kijem bejsbolowym, uderzając napastnika w plecy.

Stracił równowagę. Lance wykorzystał ten moment, aby mocno wierzgnąć i przetaczając się przez jedno ramię, odwrócić ich pozycje.

Morgan upuściła deskę, czując przyływ ulgi. Adrenalina sprawiła, że zakręciło się jej w głowie.

Lance odwrócił mężczyznę na brzuch i wykręcił mu ręce za plecami.

— Przynieś paski zaciskowe.

Morgan pobiegła po plecak i po chwili podała Lance'owi plastikową opaskę, którą Lance związał ręce mężczyzny.

Następnie obrócił go na plecy i Morgan zaświeciła mu latarką w twarz.

Harold Burns.

— Wkroczyliście na teren prywatny! — syknął Harold.

— W takim razie powinienesz być zadzwonić po policję, Harold. — Lance wstał. — Ale założę się, że tego nie zrobiłeś.

— A *ja* tak — wtrąciła Morgan.

Ze środka przyczepy rozległ się kobiecy krzyk.

— Kto tam jest? Proszę, pomóżcie mi!

Kobieta!

Morgan chwyciła nożyce do metalu z plecaka. Lance związał Haroldowi nogi w kostkach, Morgan tymczasem przecięła kłódkę, otworzyła drzwi przyczepy i zaświeciła do środka latarką.

Przyczepa w środku była niemal pusta. Za jedyne umeblowanie służył brudny materac pośrodku podłogi. Duża, ciemna plama pośrodku sprawiła, że Morgan zrobiło się niedobrze. Na skraju materaca kuliła się kobieta, przykuta łańcuchem do kółka w podłodze.

W środku było cieplej niż na zewnątrz, więc przyczepa musiała być ogrzewana. Morgan zaczęła macać po ścianie, szukając włącznika światła. Znalazła go i nacisnęła.

Żarówka wisząca pośrodku sufitu rozjarzyła się słabym światłem, oświetlając kobietę, która skuliła się w kącie, naprężając łańcuch. Nadgarstki miała skute kajdankami. Uniosła ręce, osłaniając oczy przed światłem.

Morgan jednym spojrzeniem ogarnęła drżące nagie ciało, zakrwawione i posiniaczone. Otrząsając się z szoku, uniosła nogę, aby wejść do środka.

— Nie tak szybko — usłyszała za sobą męski głos.

Morgan odwróciła się.

Jerry Burns stał pięć metrów dalej, mierząc do niej z pistoletu.

Żołądek fiknął jej fikołka.

— Kładź się tu — Jerry wskazał głową w kierunku Lance'a, który klęczał nad wyprostowanym ciałem Harolda. — Ty rozwiąż mojego brata albo przestrzelę śliczną buźkę tej źdźziry.

To nie mogło się dziać naprawdę. Lance i Morgan musieli uratować tę kobietę i siebie.

Morgan zerknęła na Lance'a. Harold wciąż był związany i bezradny. Nie było mowy, aby Lance go uwolnił. On i Morgan nie mieliby szans w starciu z obydwoma braćmi, podobnie jak kobieta przykuta w przyczepie. Jeśli mieli wyjść z tego z życiem, musieli działać natychmiast. Pozwolenie, aby bracia Burns wzięli ich do niewoli, oznaczałoby śmierć dla nich wszystkich. Zważyła w dłoni nożyce do metalu. Była zbyt daleko, aby użyć ich jako broni. Jerry mierzył do niej z pistoletu. Nie była w stanie zbliżyć się do niego, tak aby nie zareagował szybciej. Nie miała też czasu, aby upuścić nożyce i sięgnąć pod kurtkę po pistolet.

Istniała tylko jedna szansa.

Morgan musiała zejść z linii strzału i modlić się, aby Lance był w stanie obezwładnić Jerry'ego, zanim ten zdąży do niego wymierzyć z broni.

Była jakieś pięć metrów od niego. Wbrew temu, co można było zobaczyć w telewizji, pistolety nie pozwalały na dokładny strzał z odległości większej niż dwa lub trzy metry.

Nie miała innego wyjścia.

Jej spojrzenie skrzyżowało się ze spojrzeniem Lance'a w milczącym porozumieniu. Klęcząc na plecach Harolda, Lance wyciągnął trzy palce na swoim udzie.

Dwa.

Jeden.

Morgan rzuciła się przez drzwi, zakrywając głowę dłońmi. Jej latarka potoczyła się po podłodze, nożyce do metalu upadły z głuchym dźwiękiem. Rozległ się wystrzał. Kula trafiła w podłogę, rozsiewając wokół drzazgi. Cienkie ścianki przyczepy nie mogły powstrzymać kuli. Zabrział drugi strzał. Morgan sięgnęła po broń i zaczęła pełznąć na brzuchu w kierunku drzwi.

Serce waliło jej w piersi. Czy Lance strzelił do Jerry'ego, czy odwrotnie?

Nie.

Lance'owi nie mogło się nic stać. Niemal nie zginął od strzału w ubiegłym roku. Nie mógł... Odgoniła od siebie tę myśl. Jej mózg nie byłby w stanie funkcjonować w przeciwnym razie.

Musieli uratować tę kobietę.

Powoli, z bijącym sercem, pełzła do przodu. Wyjrzała przez dolną część drzwi i chłonęła widok z uczuciem przemożnego zdumienia i przerażenia.

Jerry leżał na ziemi. Na jego ramieniu wykwitowała plama krwi. Za nim stał szeryf King i dwóch funkcjonariuszy. Pistolet w dłoni szeryfa wciąż wymierzony był w Jerry'ego.

Odnalazła spojrzeniem Lance'a, który wciąż klęczał, trzymając dłoń na kaburze, jakby był gotowy do wyciągnięcia broni. Najwyraźniej szeryf go w tym ubiegł.

— Zakuj to ścierwo — rzucił szeryf, przestępując nad Jerry'm i idąc w stronę Morgan.

Poczuła, jak zalewa ją fala ulgi i zaskoczenia. Nie było możliwości, aby szeryf tak szybko odpowiedział na jej wezwanie. Nie miała jednak teraz czasu dopytywać się, skąd się wziął w tym miejscu. Przerażona kobieta szlochała w ciemności za nią. Morgan jeszcze raz rzuciła okiem na Lance'a, upewniła się, że jest cały i zdrowy, po czym wstała i skierowała się ku ofierze.

Uniosła nożyce do metalu.

— Zaraz cię uwolnię — powiedziała i zaczęła się powoli zbliżać, nie chcąc jej wystraszyć.

Kobieta nadal płakała, chrypliwym głosem wypowiadając jakieś niezrozumiałe słowa.

Przyczepa zaskrzypiała, gdy szeryf wszedł do środka.

— O mój Boże.

Morgan przecięła nożycami łańcuch. Kobieta zatoczyła się w jej ramiona. Morgan zdjęła z siebie kurtkę i narzuciła ją na nią.

— Karetka jest już w drodze — powiedział szeryf, rozglądając się po wnętrzu przyczepy.

— Muszę wyjść. — Kobieta wstała, w jej głosie brzmiała rozpacz. — Zabierzcie mnie stąd. Proszę. Muszę stąd wyjść.

Jak każdy na jej miejscu.

Morgan otoczyła ją ramieniem, pomagając jej utrzymać równowagę.

Lance zajrzał do środka.

— Przyniosę koc.

Morgan pomogła kobiecie dokuśtykać do drzwi. Szeryf odsunął się na bok, pozwalając im przejść.

— Jak się nazywasz? — zapytała Morgan.

— Karen. Karen Mitchell — powiedziała. Jej głos stawał się silniejszy z każdym krokiem ku wolności.

Zaginiona kobieta.

Wyszły na zewnątrz. Wnętrze przyczepy, chociaż daleko mu było do przytulności, było jednak cieplejsze niż powietrze na zewnątrz. Karen zadrżała. Jej ciało trzęsło się od stóp do głów na zimnym wietrze. Morgan starała się w miarę możliwości osłonić ją swoim ciałem.

Lance podszedł do nich z rozpostartym kocem i opatulił nim Karen. Nogi się pod nią ugięły. Lance chwycił ją na rękę, a Morgan otuliła kocem jej gołe stopy.

Samochody funkcjonariuszy szeryfa nadjechały od strony złomowiska, oświetlając światłami przyczepę. Zaparkowali i wysiedli.

— To jest Karen Mitchell — powiedział Lance.

— Zajmiemy się nią. — Jeden z funkcjonariuszy wyjął z bagażnika apteczkę i jeszcze jeden koc. — Włóż ją do samochodu, tam jest ciepło. Karetka już jest w drodze.

Lance ułożył ją na tylnym siedzeniu.

— Już jesteś bezpieczna.

Przemawiając spokojnie, funkcjonariusz biura szeryfa przykucnął w drzwiach i okrył Karen drugim kocem, po czym otworzył apteczkę.

Morgan czuła, że twarz pali ją w zimnym powietrzu. Było jej jednocześnie zimno i pociła się. Serce wróciło do normalnego rytmu, mdłości podchodziły jej do gardła. Pochyliła się, opierając ręce na kolanach, i zaczerpnęła łapczywie powietrza.

Lance spojrział na nią.

— Jeśli chcesz wymiotować, odsuń się od miejsca zbrodni.

— Nic mi nie jest. To taka irytująca reakcja na przyływ adrenaliny.

Podszedł do niej i podał jej butelkę wody.

— Najpierw zrobiłaś co trzeba, to najważniejsze.

— Chyba tak. — Morgan ostrożnie pociągnęła łyk. Zimna woda uspokoiła jej żołądek.

Lance oparł dłoń między jej łopatkami.

— Uratowaliśmy życie tej kobiety. To jest warte lekkich mdłości.

— Mówi facet, któremu nie robi się niedobrze.

— To przyjdzie później — skwitował.

— Kruger i Dane. Tutaj. Teraz. — Szeryf King wskazał na Lance'a i Morgan i pokazał kciukiem miejsce oddalone nieco od narastającego tłumu funkcjonariuszy. Morgan miała wrażenie, że nogi ma jak z waty, gdy razem z Lance'em poszli za szeryfem.

— Wyjaśnijmy coś sobie. — Szeryf King oparł dłonie na biodrach. — Jestem cholernie wkurzony na was oboje. Weszliście na prywatny teren. — Szeryf dźgnął Lance'a palcem. — Nie dziwię się, że narażasz własne życie, ale narażać na niebezpieczeństwo kobietę? — Wskazał na Morgan.

— To był jej pomysł. — Lance skrzyżował ramiona na piersi. — Jest twardsza, niż na to wygląda.

Szeryf wyrzucił obie ręce w górę.

— Obydwoje mogliście zginąć! Powinienem był przewidzieć, że wywiniecie taki numer.

— Ale nie zginęliśmy — zauważył Lance. — A Karen Mitchell żyje dzięki temu, że wywinęliśmy taki numer.

Szeryf spojrział z wściekłością na Lance'a, po czym skierował swój gniew na Morgan.

— *A pani*, pani mecenas, naprawdę powinna być mądrzejsza. Pierwszym, co robi obrońca Burnsa, będzie zakwestionowanie wszelkich dowodów z przyczepy pod zarzutem, że zostały podłożone, i w związku z tym nie mogą zostać dopuszczone w sądzie.

Morgan przerwała mu. Miała dość. Ona i Lance przejęli kontrolę nad sytuacją i uratowali Karen Mitchell. Gniew szeryfa to nie był jej problem.

— Oboje wiemy, że tak się nie stanie, bo Karen Mitchell będzie mogła złożyć

zeznania. Będą dowody na jej ciele, a ponieważ Harold Burns już wcześniej był skazany za przestępstwo seksualne, żadna ława przysięgłych nie spojrzy przychylnie ani na niego, ani na jego brata. Nie znam też żadnego sędziego, który potraktowałby ich pobłażliwie. Jeśli moje podejrzania są słuszne, bardzo duża plama krwi na materacu pochodzi od ofiary numer jeden, Sary Bernard. Bracia Burns zostaną oskarżeni o dwukrotne porwanie i zabójstwo oraz mnóstwo pomniejszych zarzutów.

— Powinienem was oboje oskarżyć o wtargnięcie na prywatny teren bez zezwolenia — prychnął szeryf.

Morgan miała gdzieś ten absurdalny zarzut. Wyczerpanie i osłabienie po wyrzucie adrenaliny pędziły ku niej z prędkością pociągu ekspresowego.

— Ma pan zamiar nas aresztować?

— Nie tym razem. — Szeryf zmarszczył brwi. — Potrzebuję zeznań was obojga. Teraz.

— Gdy wcześniej rozmawialiśmy z Chelsea, wspomniała o zapachu oleju.

— I nie zadzwoniliście do mnie? — Szeryf zazgrzytał zębami.

— Powiedziała, że nie był to zapach oleju silnikowego, ale i tak podsunęło nam to myśl o Burnsie. — Morgan zerknęła na Lance'a i przekazała w wielkim skrócie raport o tym, jak przeszukiwali teren. Nie wspomniała o tym, że zajrzeli do garażu Burnsa. Gdyby ktoś ją o to zapytał, nie zamierzała kłamać, jednak nie było sensu dobrowolnie udzielać tej informacji. Gdy skończyła, zapytała: — Jakim cudem dotarliście tu tak szybko?

— Obserwowaliśmy Harolda i Jerry'ego przez cały wieczór — powiedział szeryf. — Komisarz Horner zadzwonił do mnie, aby powiedzieć, że biuro prokuratora kazało mu przerwać nadzór. Biorąc pod uwagę, że prowadziliśmy poszukiwania Karen Mitchell, postanowiłem skoncentrować się na tym obszarze. Ale nie mieliśmy powodu, aby przeszukiwać posiadłość, dopóki nie zgłosiliście tego krzyku kobiety.

— Nie ma za co — powiedział cierpko Lance.

Szeryf rzucił mu wściekle spojrzenie.

Lance dokończył opis wydarzeń tego wieczoru. Szeryf puścił ich, rzucając na odchodnym, że jeśli nie zgłoszą się rano do jego biura, aby zdać szczegółowy raport, wyda nakaz aresztowania ich. Wrócili do jeepa. Chociaż był niedaleko, droga dłużyla im się w nieskończoność.

— Nie podoba mi się to — wymamrotała Morgan, siadając na siedzeniu pasażera.

— Co?

— Nie potrafię tego wyjaśnić. Mam wrażenie, że coś jest niedokończone.

— Jutro musimy znowu spotkać się z szeryfem. — Lance uruchomił silnik. — Jestem już zmęczony jego próbą kontrolowania wszystkiego.

— Przynajmniej nas nie aresztował.

— Ale miał na to ochotę. Jest zły, że to nie on odnalazł Karen Mitchell — powiedział Lance, wjeżdżając na drogę. — Czaił się tu cały wieczór, mając ochotę przeszukać teren, ale nie mając dość dowodów, aby wystąpić o nakaz.

— To prawo istnieje nie bez powodu. — Morgan oparła głowę o zagłówek.

— Ocaliliśmy dzisiaj życie tej kobiety — powiedział Lance. — Kto wie, czy rano nadal by żyła? Burnsowie mogli ją zabić i pogrzebać w lesie, zanim szeryf zgromadziłby dość dowodów, żeby przekonać sędziego do wydania nakazu. Czy wolałabyś, żeby Karen Mitchell spędziła kolejną noc w tej przyczepie? Bo ja raczej wolałbym sam iść do więzienia.

— Ja też — przyznała mu rację. — Dlatego zrobiliśmy dzisiaj to, co zrobiliśmy.

— A poza tym założę się, że technicy wykażą, że zarówno Chelsea, jak i pierwsza ofiara były przetrzymywane w tej przyczepie. Chelsea będzie mogła żyć spokojnie, wiedząc, że ludzie, którzy ją porwali, są za kratkami. Twoja rodzina też będzie mogła odetchnąć.

— Wiem. — Jednak Morgan wciąż miała poczucie, że to jeszcze nie koniec.

— Sądzisz, że pójdą na ugodę?

— Wątpię. Po tym, co stało się w zeszłym miesiącu, biuro prokuratora okręgowego będzie chciało zachować twarz, zwłaszcza, że w przyszłym miesiącu wybory. Sprawa przeciwko wcześniej skazanemu przestępcy seksualnemu i jego bratu przyciągnie uwagę mediów. Poza tym w Nowym Jorku nie ma kary śmierci, więc niby cóż prokurator mógłby zaoferować braciom za przyznanie się do winy? To paskudna zbrodnia. Porwali i przetrzymywali kobietę przez osiem miesięcy, któryś z nich ją zapłodnił, a następnie pobił na śmierć. Bicie zabiło też nienarodzone dziecko. Pójdą do więzienia, prawdopodobnie na dożywocie.

— Więc czym się martwisz?

— Nie wiem. Coś jest nie tak.

— Będziemy wiedzieli więcej po jutrzejszej rozmowie z szeryfem. Technicy będą badali przyczepę przez całą noc. Zobaczymy, co znajdą, i wtedy wrócimy do rozmowy. — Lance skierował samochód w stronę miasta. — Teraz oboje jesteśmy zbyt zmęczeni, aby jasno myśleć. Potrzebujemy snu i jedzenia. Oboje przez cały wieczór napędzaliśmy się adrenaliną. Najmądrzejsze, co możemy zrobić, to odpocząć i przyjrzeć się sprawie świeżym okiem rano.

— Masz rację. — Morgan była pobudzona, krew w niej buzowała, mimo że miała wrażenie, iż pod powiekami ma piasek.

Wyczerpany umysł coś próbował jej podpowiedzieć, jednak była zbyt zmęczona, aby dokonać tego skojarzenia.

Czy to jej podświadomość wysyłała ostrzeżenie? A może adrenalina i stres karmiły jej paranoję?

Rozdział 38.

Morgan chodziła niespokojnie po pokoju gościnnym Lance'a z telefonem przyciśniętym do ucha. Rozmawiała z siostrą. Jej nerwy wciąż były w strzępach po zajściach z braćmi Burns — i po tym, jak zobaczyła Karen Mitchell przykutą łańcuchem w przyczepie. Jednak uratowanie jej było warte każdej kropli przelanego potu i mdłości wywołanych adrenaliną.

Gdyby jeszcze tylko dziadek się obudził.

— A więc jego stan się nie zmienił? — zapytała siostrę.

— Nie — odparła cicho Peyton. W tle słychać było równe pikanie monitora. — Jest stabilny. Proszę, spróbuj się przespać.

— Jak sądzisz, kiedy się obudzi?

— Jestem lekarzem, nie wróżką Jim — powiedziała Peyton, naśladując głos McCoya z serialu *Star Trek*.

Morgan doceniała to, że jej siostra usiłuje nieco rozluźnić atmosferę, jednak nie miała siły, aby się śmiać.

— Dasz mi znać, jeśli cokolwiek się zmieni?

— Obiecuję — powiedziała Peyton poważnie. — Będę przy nim czuwać przez całą noc, nie musisz się o nic martwić. Idź spać.

— Dobrze.

— Morgan?

— Tak?

— Dziadek jest twardy — powiedziała Peyton. — Nie spisuj go jeszcze na straty. Nie podda się bez walki.

— Dzięki, Peyton. Dobranoc. — Morgan zakończyła połączenie, przeszła do łazienki i odkręciła prysznic. Rozebrała się w czasie, gdy woda się nagrzewała. Jak tylko weszła pod strumień gorącej wody, jej tłumione emocje wybuchły z całą siłą. Oparła się o płytki i pozwoliła sobie się wyplakać. Była zbyt zmęczona, aby się dłużej powstrzymywać.

Jej siostra miała dobre intencje, a jako lekarz, Peyton potrafiła znacznie lepiej osądzić stan dziadka, jednak Morgan bała się pozwolić sobie na nadzieję. Dopiero udało jej się wygrzebać z bezdennej otchłani żałoby i czuła, że musi się przygotować, zebrać energię na możliwość kolejnej ciężkiej straty.

Nadzieja sprawiłaby, że jej upadek w rozpacz byłby dłuższy.

Miała dzieci, którymi musiała się zająć.

Gdy zginął jej mąż, dzieci były zbyt małe, aby to zrozumieć, a poza tym John

częściej przebywał na misjach niż w domu. Jednak teraz były dostatecznie duże, aby przeżyć żałobę po swoim pradziadku, który dobrowolnie zgodził się pełnić dla nich rolę ojca.

Tak samo jak wcześniej zrobił to dla Morgan i jej rodzeństwa.

Dziadek był dla niej niczym skała. Bez niego nie udałooby się jej uporać ze śmiercią rodziców, a potem Johna. Nie potrafiła nawet sobie wyobrazić, że mogłaby go stracić.

Do kogo miałyby się zwrócić, gdyby odszedł ten, który jest dla niej oparciem?

Jednak pewnego dnia to miało się stać, nawet jeśli jeszcze nie dziś. Nikt nie żyje wiecznie. A gdy ten dzień nadejdzie, dziewczynki będą potrzebowały, aby Morgan była silna. To *ona* będzie musiała być *ich* skałą. Nie mogła sobie pozwolić na ponowne pogrążenie się w bezdennej rozpacz.

Ustawiła wodę na zimną i wetknęła pod nią głowę, aby rozproszyć nadchodzący ból głowy. Drżąc, zakręciła wodę i wytarła się.

Morgan wyszła z łazienki. Wilgotne włosy spływały jej na plecy, mocząc pożyczoną koszulkę. Oczy miała podrażnione, a skóra na twarzy wydawała się napięta po płaczu. Nieważne, jak bardzo się starała, rozpacz w jej wnętrzu nie chciała ustąpić.

Nigdy nie czuła się tak samotna.

W sypialni założyła dresowe spodnie, które pożyczył jej Lance. Związała mocno sznurek w pasie, aby jej nie spadały. Wyszła na korytarz i zajrzała do jego pokoju. Wystrój odzwierciedlał jego charakter: prosty, męski, bez żadnych ozdóbek.

Meble były nowoczesne, o szlachetnych liniach. Stała tam komoda z ciemnego drewna i ogromne łóżko ze skórzanym zagłówkiem, nakryte gładką, granatową narzutą. Na pojedynczej szafce nocnej stał zegar, lampa i leżała książka. Całe pomieszczenie pachniało lekko jego cedrowym żelem pod prysznic. Powąchała swoją skórę i odnalazła na niej ten sam zapach.

Raz już spała w jego pokoju gościnnym, lecz dzisiaj nie chciała tu być. I nie tego potrzebowała.

Z pokoju nadleciały ciche dźwięki pianina. Słowa *Tears in Heaven* przyciągnęły ją w kierunku dźwięków. Lance siedział przy fortepianie, ubrany w szare dresowe spodnie i obcisły czarny podkoszulek. Jego krótkie włosy były jeszcze wilgotne po prysznicu. Na lśniącym czarnym fortepianie stała na podkładce szklaneczka whisky.

Wiedziała, że Lance za pomocą muzyki wyraża emocje, których nie jest w stanie ująć w słowach. Wyczuwała jego smutek. Czy myślał o cierpieniu kobiety, którą uratowali? O jej dziadku? O swoim dawno zaginionym ojcu, a może o tym, jak to zniknięcie wpłynęło na jego rodzinę?

Jeśli ktokolwiek potrafiłby zrozumieć jej smutek, to tylko Lance.

Przeszła przez pokój i usiadła obok niego na stolku.

Jego dłonie zawisły bez ruchu nad klawiaturą. Spojrzał na nią z troską.

— Wszystko w porządku?

— Nie przerywaj, proszę — oparła głowę na jego ramieniu.

Grał dalej. Jego głos był cichy i łagodny, idealnie wyrażając czysty, prosty smutek i żal piosenki.

Gdy skończył, pocałował ją lekko w głowę.

— Dzwoniłaś do Peyton?

Skinęła głową.

— Mówi, że jego stan się nie zmienia i że zadzwoni do mnie, jeśli cokolwiek się wydarzy. Rozmawiałeś z Sharpem?

— Tak. Wciąż jest w domu mojej mamy. Mówi, że jest zbyt zmęczony, aby jechać do domu, i przenocuje tam.

Lance wykręcił szyję, aby spojrzeć na jej twarz.

— To było kilka długich dni. Powinnaś się przespać. Chyba, że mógłbym zrobić ci coś do jedzenia? Jajecznice? Tosta?

— Nie jestem głodna. — Nie była też gotowa położyć się. Gnębił ją niepokój. — Wierzysz w niebo? — Morgan straciła swojego ojca, matkę i męża. Teraz, gdy życie jej dziadka było zagrożone, chciała wierzyć, że oni gdzieś tam są i czekają na niego.

Że nie będzie sam.

Uniósł whisky i napił się.

— Nie wiem. Mam taką nadzieję. Naprawdę nie chciałbym, aby to już było wszystko.

Sięgnęła po jego szklanekę.

Przytrzymał ją mocniej.

— Pamiętasz, co stało się ostatnim razem?

— Nie upiję się. — Miała bardzo niską tolerancję na alkohol, co pokazała mu ostatnio. — W każdej chwili mogą po mnie zadzwonić. Ale potrzebuję się rozgrzać.

— Mogę ci zrobić herbaty — powiedział, puszczając szklanekę.

— To wystarczy. — Upiła łyceczek i oddała mu szklanekę. Whisky paliła ją w przelyku. — Czy sądzisz, że twój ojciec żyje?

Nacisnął delikatnie jeden z klawiszy.

— Cokolwiek się stało, nie wierzę, że po prostu nas zostawił.

— Jak sobie radzisz z tym, że nie wiesz, co się stało? — zapytała.

Jego twarz ściągnęła się w grymasie bólu.

— Nie mam wyboru.

— To prawda. — Westchnęła ciężko, czując, jak to powietrze przetacza się w niej boleśnie, jakby trącało odłamki szkła. Czuła ból w piersi, jakby jej serce miało pęknąć, i kolejny oddech wibrował tym cierpieniem.

Ujęła jego twarz obiema dłońmi, obejmując jego szczękę i przyciągając go do siebie na tyle blisko, aby jej wargi dotknęły jego ust. Delikatny pocałunek szybko zmienił się w bardziej namiętny.

Potrzebowała go.

Jej dłonie ześlizgnęły się na jego ramiona.

— Morgan — powiedział ledwo dosłyszalnie przy jej ustach.

Pogłębiła pocałunek.

Chwytał jej nadgarstki i przerwał kontakt ich ust.

— Nie wiesz, co robisz.

Poczuła przez chwilę gniew.

— Dokładnie wiem, czego chcę.

— Teraz nie jesteś w stanie emocjonalnym...

— A jaka jest alternatywa? Nie troszczyć się o nikogo? To nie jest życie.

— Nie o to mi chodzi. — Potrząsnął głową. — Cierpisz teraz. Chcę być przy tobie, ale nie chcę cię wykorzystać, bo potrzebujesz uwolnić się od emocji.

— Nie chcę uwolnić się od emocji. — Morgan wyrwała rękę, sfrustrowana. — Boję się. — Jej głos złagodniał. — I nie chodzi o to, że potrzebuję *seksu*. Potrzebuję *ciebie*.

Gdy dwa lata wcześniej straciła męża, sądziła, że jej serce jest zbyt potrzaskane, aby mogło jeszcze kiedykolwiek kogoś pokochać. Myliła się. Nie była pewna, czy kocha Lance'a, czy nie, jednak między nimi była więź i pragnienie, które były zarazem wyjątkowe i znajome.

To, co czuła do niego, było czymś innym. To uczucie nie było większe ani mniejsze, było czymś wyjątkowym, odrębnym i należącym tylko do nich. Nie była w stanie tego porównywać, tak samo jak nie było potrzeby oddzielać jednej miłości od drugiej.

Lance zamarł w bezruchu. Honor i determinacja w jego oczach rozpały się w coś innego.

Pragnienie — uświadomiła sobie z zaskoczeniem.

Potrzebował jej tak samo jak ona jego.

— Byłeś dla mnie wspaniałym przyjacielem, Lance. — Znowu ujęła jego twarz w dłonie. — Pragnę czegoś więcej, ale jeśli nie możesz mi tego dać, zrozumieć.

Przykrył jej dłoń swoją, obrócił głowę i ucałował ją.

— Nie masz pojęcia, jak długo czekałem na te słowa. Chcę być przy tobie. — Opuścił głowę. — Tak długo, jak będziesz tego pragnąć.

Ich usta spotkały się.

Ten pocałunek był inny niż wcześniejsze. Była w nim wiedza, oczekiwanie, przyjaźń i nowe odkrycie.

Jej ciało wcisnęło się w niego, jakby mówiąc rozumowi, że ma się zamknąć.

Spojrzała mu w oczy. Były ciemne, pełne pasji i całkowicie skoncentrowane na niej. Poczwała, jak jej skóra rozpała się, a pożądanie wybucha płomieniem w jej brzuchu.

Jego dłoń ześlizgnęła się w dół jej ramienia i wylądowała na biodrze, przyciągając ją jeszcze bliżej. Jego kciuk musnął osłoniętą skórę między koszulką a opadającymi spodenkami. Pochyliła się do przodu, jej całe ciało domagało się uwagi.

Odwróciła się, chcąc mu usiąść na kolanach, jednak uderzyła kolanem w fortepian. Pokrywa klawiszy opadła z trzaskiem.

Lance odsunął stółek od pianina, odwrócił się i podniósł ją. Jednym płynnym ruchem posadził ją sobie na kolanach, tak że mogła objąć go nogami. Nie była chucherkiem i łatwość, z jaką był w stanie ją podnieść, była dla niej bardzo podniecająca.

Te wszystkie jego mięśnie nie były tylko na pokaz.

Objęła nogami jego talię, przyciskając się do niego.

Tak.

Zdecydowanie *tak*.

Bez tchu oderwał od niej usta.

— Wprawdzie myśl o tym, aby kochać się z tobą na fortepianie, jest podniecająca, to jednak obawiam się trochę kakofonii, jaką by to wywołało.

Roześmiała się.

— Moglibyśmy połamać klawisze.

— Co tam, mogę kupić nowy fortepian. Jednak biorąc pod uwagę, że to nasz pierwszy raz, wolalbym mieć trochę miejsca, żeby się wykazać. W końcu tylko raz mogę zrobić pierwsze wrażenie.

— Łał, żadnej presji, co? — Nagle poczuła zdenerwowanie. Minęło tak dużo czasu. Położyła dłoń na jego piersi, czując uspokajające, równe bicie jego serca. — Nie uprawiałam seksu od lat. Mam nadzieję, że z tym jest jak z jazdą na rowerze.

— Mam nadzieję, że to *w ogóle* nie przypomina jazdy na rowerze. — Uniósł brwi w udawanym oburzeniu. — Chcę wstrząsnąć twoim światem.

— No dobrze. — Ześlizgnęła się z jego kolan. Widywała się z Lance'em niemal codziennie od miesiący. Jej nagła nieśmiałość zaskoczyła ją samą.

Wstał i z uśmiechem wziął ją za rękę.

— Zaufaj mi.

— Ufam. — Przyjęła jego dłoń i pozwoliła się zaprowadzić do sypialni. Zatrzymali się przy łóżku. Obrócił ją twarzą do siebie i włączył lampkę nocną, świecącą łagodnym światłem, które wydobyło głębię pożądania w jego oczach.

Poczwała, jak rumieniec rozpała jej skórę.

Zrobiła krok do przodu, przyciskając się do niego całym ciałem, chłonąc jego gorąco wszędzie tam, gdzie było jej zimno. Jego usta przesunęły się od jej warg przez

szyję aż do ramienia, nie odrywając się ani na chwilę, tak jakby nie mógł nasycić się jej smakiem.

Odchyliła się do tyłu, ujęła brzeg jego koszulki, ściągnęła mu ją przez głowę i rzuciła na bok. Jego ciało było silne, potężne, z dobrze zaznaczonymi mięśniami. Jego spodnie zsuwały się nisko, ukazując pięknie ukształtowane V mięśni dolnej części brzucha.

Chciała dotykać każdego skrawka jego skóry.

— Czy mogę cię dotknąć?

Zakrztusił się lekko, po czym odchrząknął.

— Możesz robić, co tylko zechcesz.

Chociaż raz pozwoliła, aby impulsywność wzięła u niej górę niczym u nastolatki po balu maturalnym.

Wyciągnęła dłoń i położyła ją na jego biodrze, przeciągając palcami po mięśniach brzucha. Jego skóra była gładka i ciepła, jędrna pod jej palcami. Ciało Lance'a zadrżało, gdy zaczęła gładzić jego szeroką pierś, podziwiając jego męskość.

Poruszył się.

Jego dłonie wylądowały na jej ramionach, przesunęły się w górę i ujęły jej twarz. Pogładził jej kości policzkowe kciukami, po czym jego usta wylądowały na jej wargach, tym razem bez wahania. Pocałunek był wybuchem tłumionego od miesięcy pożądania, czystym pragnieniem i potrzebą.

Przerwał go i zdjął jej koszulkę, po czym zaczepił kciuki o krawędź jej spodni i zsunął je w dół. Odchylił się do tyłu i przyjrzał się jej, oblizując wargi.

— Jesteś doskonała.

Przesunął ją w stronę łóżka i położył na nim, po czym wyciągnął się obok niej. Jego usta pieściły jej szyję, obojczyki, aż wreszcie dotarły do piersi. Każdy dotyk jego ust i dłoni sprawiał, że jej pożądanie rosło.

Uniósł głowę, spoglądając na nią z onieśmielającą koncentracją, po czym wsunął dłoń między jej nogi. Jej ciało wygięło się w łuk. Uśmiechnął się, zadowolony z jej reakcji.

— O to chodzi — powiedziała.

Gdy sięgnęła w jego stronę, uchylił biodra.

— Najpierw panie.

Napięcie narastało w niej coraz bardziej, wiła się pod jego dotykiem.

— Teraz — jęknęła. Wydawało się jej, że na tę chwilę czekała całą wieczność.

— Jesteś teraz taka piękna — wymruczał nad jej twarzą. — Mógłbym na ciebie patrzeć przez całą noc.

Jednak Morgan nie chciał czekać ani sekundy dłużej. Jej ciało i jej dusza pragnęły stać się częścią jego, stopić się z człowiekiem, który odmienił jej życie i pokazał jej, że

znowu może być szczęśliwa.

Że znowu może żyć, a nie jedynie egzystować.

Znowu sięgnęła w jego stronę dłonią drżącą od pożądania. Tym razem nie opierał się. Jej palce zamknęły się wokół jego męskości, a jego oczy niemal wywróciły się do góry.

— Teraz — powiedziała stanowczo.

Jego pierś zadrżała od cichego śmiechu.

— Tak, proszę pani.

Jego pewność siebie ją uspokoiła, przyłgnęła do niego.

Sięgnął w kierunku szafki nocnej i wyjął z szuflady kondom. Nałożył go i ułożył się między jej udami. Ujął jej twarz w dłonie i przyjrzał się jej uważnie, jakby starał się zapamiętać tę chwilę.

Wślizgnął się w nią, wypełniając jej ciało i potrzebę jej duszy. Gdy wszedł do końca, spojrział na nią. Więzy między nimi przed kilka chwil wydawała się ponadczasowa.

— Chciałbym tak trwać wiecznie. — Jego czoło pokryło się potem. — Ale nie mogę.

— Nic nie trwa wiecznie. — Morgan objęła go nogami i wciągnęła w siebie głębiej. — Najlepiej jest czerpać jak najwięcej z każdej chwili.

Wiedziała jednak, że zapamięta na zawsze każdą z tych bezcennych sekund.

Poruszali się razem, instynktownie znajdując wspólny rytm. Napięcie narastało, opadało, znowu narastało, aż Morgan wreszcie straciła kontrolę. Jej orgazm był jak swobodne spadanie, po którym zakręciło się jej w głowie. Lance zadrżał i opadł na nią.

Spocona, zdyszana, szturchnęła go w żebra.

— Zagnieciesz mnie.

Czuła jednak, jak jej serce czuje się znowu całe, jakby wypełnił pęknięcia w nim.

— Przepraszam. — Stoczył się z niej i położył na plecach, dysząc ciężko.

Przekręciła się na bok, przerzuciła przez niego nogę i położyła dłoń na jego potężnej, nagiej piersi.

— Możesz uznać, że wstrząsnąłeś moim światem.

Położył swoją dłoń na jej ręce i lekko ją uściśnął.

— Chyba zaraz pęknie mi serce.

Jej spojrzenie powędrowało niżej, ku czerwonej, grubej bliźnie, która znaczyła miejsce jego ubiegłorocznego postrzału. Prawie wykrwawił się na śmierć. Przez chwilę nie mogła znieść myśli o świecie, w którym by go nie było.

— Prawie zginąłeś — powiedziała zdławionym głosem, a po policzku spłynęła jej łza.

— Ale jednak żyję.

Przesunęła się niżej i przycisnęła usta do blizny.

Przyciągnął ją z powrotem wyżej i objął.

— Nie ma życia bez ryzyka.

— Przepraszam. — Otarła policzek. — Jestem emocjonalnie rozbita.

— Potrzebujesz snu. To cud, że jeszcze jesteś przytomna. Zamknij oczy. Cokolwiek przyniesie nam poranek, zmierzmy się z tym razem.

Oparła głowę na jego ramieniu. Objął ją i przyciągnął do siebie. Mimo niepewności, czającej się tuż za drzwiami, teraz w jego ramionach czuła się bezpieczna i kompletna po raz pierwszy od lat.

Lance był w jej oczach silny, prosty i czysty jak promień światła przebijający się przez burzowe chmury.

Czy to miłość? Być może.

Była pewna jednego. Cokolwiek miało się jej przydarzyć, będzie łatwiejsze do zniesienia w jego obecności. Z nim była silniejsza niż sama.

Uniosła głowę. Miał zamknięte oczy, a jego pierś unosiła się i opadała w spokojnym rytmie. Zamknęła oczy. Jej myśli pomknęły ku Timowi i Chelsea. Szeryf obiecał, że zawiadomi ich o aresztowaniu braci Burns. Morgan zastanawiała się, jak Chelsea przyjmie tę wiadomość. Czy czuje ulgę? Czy wierzy, że to już koniec? Czy mąż był przy niej, aby ją pocieszać?

Nawet we śnie Morgan nie mogła zapomnieć o pewnych niespójnościach w sprawie, które dostrzegła na złomowisku.

Obudziła się kilka godzin później. Był już ranek i blade słońce przesączało się przez zasłony, rzucając paski światła i cienia na łóżko.

Coś w jej umyśle nie chciało się jednak ułożyć.

Wyślizgnęła się z łóżka, naciągnęła pożyczone spodnie oraz koszulkę i na paluszkach poszła do kuchni. Rozejrzała się po blatach. Nie widziała ekspresu do kawy. Dlaczego nie zwróciła na to uwagi podczas poprzednich wizyt w domu Lance'a? Nie pijał zazwyczaj kawy, ale musiał mieć gdzieś ekspres w razie nagłej potrzeby.

Takiej jak teraz.

Jej obolała głowa domagała się kofeiny. Tak, była od niej uzależniona.

Sprawdziła zawartość szafek, ale nie znalazła kawy. Będzie musiała poczekać, aż Lance wstanie. Westchnęła z rezygnacją i udała się z papierami do salonu. Rozłożyła dokumenty na stoliku.

Odpowiedź musiała kryć się gdzieś tutaj.

Rozdział 39.

Gdy Lance się obudził, w sypialni było już całkiem widno. Przekręcił się na bok i zobaczył, że łóżko obok niego jest zimne i puste. Przez kilka sekund zastanawiał się, czy aby to, że kochał się z Morgan, nie było jedynie snem, jednak jej zapach na poduszce utwierdził go, że to była prawda. Wspomnienie przywołało falę pożądania, szybko wypartą przez troskę.

Gdzie ona jest? Dlaczego nie ma jej w łóżku?

Naciągnął spodnie i na bosy poczłapał do salonu. Morgan siedziała na kanapie nad porozkładanymi na stoliku kawowym dokumentami. Zerknął na zegar. Ósma rano. Spał najwyżej cztery godziny.

— Czy ty w ogóle spałaś? — zapytał. On sam był półprzytomny, a w ciągu ostatnich dni Morgan spała jeszcze mniej niż on.

— Tak. Wstałam z godzinę temu. — Jej oczy lśniły zainteresowaniem pomimo ciemnych kręgów pod nimi. Miała na sobie jego spodnie i koszulkę, włosy opadały jej na twarz w potarganych falach, co sprawiało, że miał ochotę porwać ją na ręce i zanieść z powrotem do łóżka, choćby po to, aby jeszcze trochę pospała.

Jednak rozpoznał na jej twarzy wyraz psa, który złapał trop. Nie było mowy, żeby wróciła do łóżka. Coś znalazła.

Usiadł obok niej na sofie.

— Co odkryłaś?

— Co najmniej jedna rzecz już się nie zgadza. — Przerzuciła kilka stron. — Chelsea uciekła ze swojego więzienia przez dziurę w dachu, a nie pamiętam, abym widziała wczoraj taką dziurę. Chelsea nie wspominała też nic o zakrwawionym materacu w kontenerze.

— Zobaczymy, może policja na terenie ich posiadłości znajdzie gdzieś kontener. Naprawdę mi się to nie podoba, ale możliwe, że bracia Burns dysponowali więcej niż jednym miejscem, gdzie przetrzymywali kobiety. — Lance wstał. — Muszę coś zjeść, bo nie mogę jasno myśleć. Zrobię jajka. Nie mogę cię zmusić, żebyś się wyspała, ale przynajmniej coś zjedz. Musimy dzisiaj stawić się w biurze szeryfa.

— Och, cóż za radość.

— Mam nadzieję, że będzie miał dla nas jakieś informacje na temat tego, co znaleźli w przyczepie.

— Ale czy się nimi z nami podzieli? — zapytała Morgan.

— Bywały już dziwniejsze rzeczy — zauważył Lance. — Mam nadzieję, że jego zachowanie wczoraj było częściowo na pokaz. Tak naprawdę musiał przynajmniej

czuć ulgę, że znaleźliśmy Karen Mitchell. Miejmy nadzieję, że to bracia Burns są odpowiedzialni również za zabicie Sary Bernard i porwanie Chelsea Clark, jak również za włamanie do twojego domu.

— Poczuliabym się lepiej, gdyby się okazało, że DNA Chelsea znajduje się w przyczepie lub gdzie indziej na terenie Burnsów.

— Ja też. — Lance udał się do kuchni. Wymieszał kilka jajek z oliwą z oliwek, bazylią i szpinakiem, a następnie podpiekł cztery kromki organicznego, bezglutenowego chleba, którego dzieci Morgan nie chciały nawet tknąć. Zaparzył dzbanek mocnej zielonej herbaty i nałożył jedzenie na dwa talerze.

— Proszę. — Postawił talerz przed Morgan.

— Dziękuję — odparła, odsuwając go na bok.

Postawił go z powrotem przed nią.

— Przestań pracować i zjedz coś, zanim się rozchorujesz.

— Masz rację. — Odchyliła się do tyłu i wzięła widelec z talerza. — Co to jest to zielone?

— Szpinak. Potrzebujesz witamin. — Czy nie brzmiał zupełnie jak Sharp? Owszem.

To właśnie się działo, gdy nam na kimś zależało. A jemu zdecydowanie zależało na Morgan.

Kochała ją. Czy była gotowa to usłyszeć?

Prawdopodobnie nie.

Zjadła do końca. Lance odstawił talerze do zlewu i nalał jej kubek herbaty.

— Dzięki. — Pociągnęła łyk, nie podnosząc wzroku znad strony, którą czytała, po czym spojrzała na niego z przerażeniem. — Naprawdę nie masz kawy? Szukałam jej wcześniej, ale zakładałam, że masz gdzieś zapas na czarną godzinę.

— Przykro mi. Sharp latem wyczyścił moją kuchnię ze wszystkiego, co uznał za „toksyczne”. Zappełnił prawie cały kosz. Dobrze, że udało mi się ocalić whiskey.

— Ja nigdy bym się nie rozstała z moim ekspresem do kawy.

— Nie mogę dyskutować z jego stylem życia. To mnie uzdrowiło. — Lance usiadł obok niej na kanapie i napił się herbaty. Miała rację. Gdy nie miało się szansy porządnie wyspać, zielona herbata stanowiła jedynie marny substytut. — Kupimy kawę w drodze do biura szeryfa.

— Słusznie.

— Daj mi kilka dokumentów. Zobaczmy, czy jeszcze coś przegapiliśmy.

Przeglądali je wspólnie przez kilka godzin, zanim Morgan powiedziała:

— To się nie zgadza.

Przycisnął się do niej ramieniem.

— Co takiego?

Otworzyła jedną z teczek ze stosu i jej palec prześlizgnął się po starannie zapisanej przez nią kartce, zanim się zatrzymał. Zaczęła zbierać dokumenty.

— Musimy to wyjaśnić z szeryfem.

— Co znalazłaś?

— Nie chodzi o to, co znalazłam, ale o to, czego nie znalazłam. — Otworzyła teczkę. — To jest lista pracowników Speed Net, którą dał nam Elliot Pagano.

— Sprawdzaliśmy ich wszystkich. Poza Kirkiem Armanim byli czyści. Znalazłaś na jego temat coś jeszcze?

— Nie, ale Elliot nie umieścił na tej liście swojego brata Dereka.

— Może zapomniał wspomnieć o członkach rodziny?

— Nie. — Morgan potrząsnęła głową. Jego matka i ojciec tu są, tak samo jak wszyscy członkowie zespołu Tima. Nawet woźny jest wymieniony, ale Derek nie. Chcę zapytać szeryfa, czy Derek jest na liście, którą on dostał. To prawdopodobnie przeoczenie. — Sięgnęła po telefon, zmarszczyła brwi, słysząc pocztę głosową, i nagrała wiadomość.

— Biorąc pod uwagę charakter tej zbrodni, szeryf wciąż może być na złomowisku. Albo przesłuchuje Harolda Burnsa — powiedział Lance. — Tak czy siak oddzwoni. Powinniśmy pojechać do mojej mamy, sprawdzi szybko przeszłość Dereka Pagano.

— Dobrze. Muszę wstąpić do biura po mojego laptopa. Mam też tam rzeczy na zmianę — powiedziała Morgan, przeciągając się.

— Wezmę szybki prysznic i możemy jechać do biura. — Lance ruszył w stronę sypialni. Obejrzał się na Morgan, która wciąż była potargana i wyglądała jego zdaniem wspaniale. — Może chcesz się przyłączyć?

Uśmiech rozjaśnił jej oczy.

— Chcę.

Prysznic nie był tak szybki, jak zamierzał, ale dobrze spędzili ten czas.

Bardzo dobrze.

Godzinę później Morgan wciąż wyglądała na zmęczoną, ale jej postawa była znacznie bardziej rozluźniona, gdy ruszyli do Sharp Investigations. Przebrała się i wzięła swój komputer. Lance przygotował koktajle białkowe, ale Morgan i tak nalegała, żeby wstąpili po drodze po kawę. Lance zajechał pod okienko kawiarni i czując aromatyczny zapach, nie oparł się i zamówił kawę również dla siebie. Gdy podał Morgan olbrzymi kubek kawy, niemal zamruczała z zadowolenia i zaczęła ją pić.

Pojechali do domu mamy Lance'a. Słońce świeciło wysoko nad drzewami. Morgan zarzuciła na ramię swoją gigantyczną torbę i nie rozstając się z kawą, ruszyła wzdłuż podjazdu. Gdy weszli do środka, powitało ich szczekanie. Rakietka przybiegła korytarzem i trąciła nogę Morgan głową. Morgan pochyliła się i pogłaskała psa.

— Tak sobie myślałem — powiedział Sharp, wylaniając się z kuchni — że powinnaś ją ze sobą zabrać. Uwielbia dzieci, a ten twój buldożek zupełnie nie sprawdza się w roli psa stróżującego.

— Ale ona jest twoim psem. — Morgan wyprostowała się.

— Nie wygląda mi na to. — Parsknął Sharp. — Rakieta szczeka, gdy ktoś podchodzi do drzwi, a w zeszłym miesiącu udowodniła, że potrafi cię bronić.

— Porozmawiam o tym z dziadkiem. — Jej uśmiech przybladł.

— Jak on się miewa?

— Rozmawiałam rano z moją siostrą, na razie bez zmian.

— Brak zmian może być dobrą wiadomością. — Sharp pokręcił głową na widok ich kubków z kawą. — Chodźcie porozmawiać do biura.

Lance odruchowo przyjrzał się salonowi. Żadnych nowych paczek. Nie pamiętał już tygodnia, w którym nie musiałby odsyłać lub oddawać rzeczy w ilości pozwalającej na wypełnienie jego jeepa, aby okiełznać zbieracze skłonności swojej matki. Kiedy ostatnio wpadła w szal zakupów? Czyżby naprawdę w końcu nauczyła się kontrolować swoje impulsy po ponad dwóch dekadach ulegania im? Lance obawiał się żywić taką nadzieję. Jej przeszłość mówiła mu, że szanse na zmianę nie są zbyt duże.

Zostawili wierzchnie okrycia w salonie i wrócili do biura. Lance obszedł biurko i cmoknął mamę w policzek.

— Wyglądasz na zmęczoną.

Jego mama wyszła z za biurka, aby powitać Morgan uściskiem.

Uściskiem!

Od dziesięcioleci jego matka nie przytuliła nikogo, nie licząc Lance'a lub Sharpa. Co się działo, u licha?

Rakieta poszła za nimi do biura. Dwa koty matki siedziały na półce, spoglądając z góry na psa z pogardą.

Naprzeciwko krzesła jego matki, po drugiej stronie biurka stało krzesło kuchenne. Na biurku leżał laptop Sharpa.

Lance wyjaśnił, że nazwisko Dereka Pagano nie znalazło się na liście pracowników Speed Net.

— Możliwe, że to zwyczajne przeoczenie, ale chciałbym jak najszybciej dowiedzieć się wszystkiego, co się tylko da, o Dereku.

Jego matka zastukała w klawiaturę.

— Dobrze, już się do tego zabieram.

Odkąd zajęła się zdobywaniem dla nich informacji o różnych ludziach, zainstalowała oprogramowanie, które w dużej mierze upraszczało śledzenie takich informacji jak zmiany adresów, historia kredytowa, mandaty i wykształcenie.

Sharp usiadł na swoim krześle i otworzył laptopa.

— Możemy to przyspieszyć. Zajmę się szukaniem informacji w rejestrze karnym. W którym jest hrabstwo?

— Zaraz ci powiem — odpowiedziała matka Lance'a.

Jako prywatna firma nie mieli możliwości sprawdzenia krajowych rejestrów kryminalnych. Tylko policja miała dostęp do Krajowej Bazy Centrum Informacji Kryminalnej, prowadzonej przez FBI bazy danych. Inną możliwością było przeszukiwanie po kolei baz w każdym z hrabstw, w których dana osoba mieszkała. Mieli szczęście, że hrabstwo Randolph utrzymywało większość aktualnych danych online. Sharp zamierzał zacząć od hrabstwa, w którym Derek mieszkał obecnie, i ewentualnie rozszerzyć poszukiwania, gdyby znaleźli jakieś poprzednie adresy zamieszkania w innych hrabstwach.

— Przepraszam na chwilę. Zadzwonię do moich dzieci — powiedziała Morgan i wyszła z pokoju.

Lance poczekał, aż jego matka i Sharp znaleźli adres i numer ubezpieczenia społecznego Dereka Pagano. Następnie poszedł poszukać Morgan. Znalazł ją na sofie w salonie, z telefonem na kolanach. Oparła głowę o oparcie sofy, miała zamknięte oczy, a jej oddech był głęboki i równy. Lance wziął z krzesła złożony koc i przykrył ją nim.

Będąc pewnym, że Sharp go obudzi, jeśli znajdą coś ważnego, Lance wyciągnął się na krześle, położył stopy na kanapie i zamknął oczy. W pokoju było ciemno, gdy nagle ktoś potrząsnął nim za ramię. Spojrzał na kanapę. Morgan leżała na boku, z dłonią pod policzkiem.

Obok jego krzesła stał Sharp.

— Znaleźliśmy.

— Co znaleźliście? — Morgan otworzyła oczy i usiadła, podwijając pod siebie nogi.

— Derek Pagano jest zarejestrowany w bazie przestępców seksualnych w hrabstwie Meeker — powiedział Sharp.

— Ale mój dziadek sprawdzał okoliczne hrabstwa — powiedziała Morgan zaspianym głosem. — Nie przeoczyłby nazwiska Pagano, nie jest typowe.

— Derek ma poziom pierwszy — uściślił Sharp. — Tych danych nie było na stronie internetowej. Musiałem wykonać telefon, aby sprawdzić, że jest na liście.

W przypadku przestępstw o niskiej randze uznawało się, że ryzyko popełnienia przestępstwa w przyszłości jest niewielkie, dzięki czemu tacy sprawcy mogli liczyć na ochronę prywatności w większym zakresie niż sprawcy poważniejszych przestępstw. Ich nazwiska nie znajdowały się w publicznym rejestrze, jednak dzwoniąc na specjalną infolinię, można było uzyskać o nich informacje, jeśli posiadało się ich

nazwisko i adres lub numer ubezpieczenia społecznego.

— Co zrobił? — Morgan potarła szyję. Jedna strona jej twarzy miała na sobie odcisk szwu z poduszki z kanapy.

— Oficjalnym zarzutem było podglądactwo. — Sharp przysiadł na skraju fotela. — Postaram się zdobyć więcej informacji. Zostawiłem wiadomość policjantowi, który prowadził tę sprawę, ale jest niedziela, więc nie spodziewam się, że oddzwoni dzisiaj.

Morgan zamrugnęła, jakby chcąc przepędzić resztki senności.

— Czy znamy statystyki, jaki procent podglądaczy przechodzi do poważniejszych przestępstw?

— Można na to spojrzeć dwojako — odpowiedział Sharp. — Z jednej strony tylko niewielki procent podglądaczy popełnia poważniejsze przestępstwa, z drugiej wielu gwałcicieli i seryjnych morderców ma tego typu skłonności.

Morgan uderzyła pięścią w kolano.

— Nie mogę uwierzyć, że nie zwróciliśmy uwagi na brak jego nazwiska na liście.

— Lista liczy sobie czterdzieści dziewięć nazwisk i sprawdziliśmy je wszystkie — zauważył Sharp. — Gdybyście nie spotkali Dereka w Speed Net, nigdy byśmy się nie dowiedzieli, że tam pracuje.

Lance dostrzegł, że Morgan zaczyna się nakręcać.

— Nie powinniśmy wyciągać przedwczesnych wniosków.

— Derek jest właścicielem jednej nieruchomości w hrabstwie Meeker i podaje ją jako swój adres zamieszkania. — powiedział Sharp. — Nie znaleźliśmy żadnych danych na temat innych nieruchomości będących własnością rodziny Pagano poza tymi, które podają jako swoje adresy. Nieruchomość Dereka znajduje się na wsi, więc jest najbardziej obiecująca.

— Czy Derek ma jakieś inne zarzuty na koncie?

— Nic takiego nie znaleźliśmy — powiedział Sharp. — Próbowaliśmy się skontaktować z dziewczyną, która z nim niedawno zerwała. Wyprowadziła się do Londynu.

— Może chciała przed nim uciec. — Oczy Morgan rozjaśniły się nadzieją. — A jeśli Derek nie jest niczemu winien, to dlaczego Elliot pominął go na tej liście?

Rozdział 40.

— Czy sprawdził pan, co u Chelsea? — zapytała Morgan. Ona i Lance siedzieli właśnie naprzeciwko szeryfa w jego biurze.

— Rozmawiałem z Timem tuż po pani telefonie. — Szeryf rozparł się na krześle. — Miewa się tak dobrze, jak można się było tego spodziewać.

Zarówno on sam, jak i jego pracownicy mieli na sobie pogniecione mundury i śmierdzieli tak, jakby byli w pracy przez trzydzieści sześć godzin bez przerwy.

Morgan wyjaśniła, czego dowiedzieli się o Dereku Pagano.

— Czy on figuruje na pańskiej liście pracowników Speed Net?

Szeryf westchnął przeciągle i pochylił się do przodu. Obracając się na krześle, wyciągnął teczkę z pojemnika na regale. Odwrócił się z powrotem do biurka, otworzył teczkę, przerzucił kilka stron i przejrzał listę.

— Nie widzę tu jego nazwiska — stwierdził w końcu, marszcząc brwi.

— Nie wiedział pan, że jest przestępcą na tle seksualnym?

— Nie. Ale znaleźliśmy dowody, że Harold i Jerry Burnsowie byli bardzo zajęci. Znaleźliśmy zdjęcia innych kobiet, pobitych, skutych łańcuchami. — Urwał. — Martwych. Znaleźliśmy zdjęcia Sary Bernard.

— A więc to na pewno oni ją zabili? — spytała Morgan.

Szeryf skinął głową.

— W tej chwili psy poszukujące zwłok przeczesują okoliczne lasy wokół złomowiska oraz park stanowy w okolicy miejsca odnalezienia zwłok Sary Bernard. Spodziewamy się, że znajdziemy więcej ciał.

— Ale nie znaleźliście tam zdjęcia Chelsea? — zapytał Lance.

— Nie. — Szeryf potrząsnął głową. — Jednak nie znaleźliśmy też zdjęć Karen Mitchell. Być może robienie zdjęć pojawiało się dopiero w dalszych fantazjach braci Burns.

— Czy Karen Mitchell lub Sarah Bernard zostały oznakowane? — zapytała Morgan.

— Nie. — Szeryf potrząsnął głową.

Morgan przez chwilę zastanawiała się.

— Czy znaleźliście metal, którym została naznaczona Chelsea?

— Jeszcze nie. — Kąciki ust szeryfa opadły w dół.

— Elliot pominął nazwisko brata na liście pracowników. Nie potrafię tego postrzegać jako nic innego, jak celowe pominięcie. Czy to pana nie zastanawia? — zapytał Lance.

— Tak, ale już mamy naszego człowieka — powiedział szeryf. — A w tym przypadku nawet dwóch.

— Prokurator będzie chciał uzyskać informacje o Dereku — zauważyła Morgan. — Obrońca na pewno wykorzysta wszelkie nieścisłości w pańskim raporcie.

Szeryf oparł łokcie na biurku i przez chwilę masował skronie. Uniósł głowę i spojrzał na Morgan przekrwionymi oczami.

— Czy jeśli obiecuję, że wyślę funkcjonariusza, aby porozmawiał z Derekiem Pagano, wyjdziecie z mojego biura i przestaniecie do mnie wydzwaniać?

— Tak — odparła Morgan, chociaż nie była zachwycona jego pozbawionym entuzjazmu nastawieniem. — Kiedy pan to zrobi?

— Jak tylko będę w stanie. — Szeryf położył obie dłonie płasko na biurku i wstał. — Mam jeszcze kilka niedokończonych spraw do załatwienia, zanim będę mógł iść do domu, wziąć prysznic, zjeść coś i położyć się spać. Oboje powinniście zrobić to samo, wyglądacie jak półtora nieszczęścia.

— Wielkie dzięki — powiedziała Morgan, wstając i wyciągając nad biurkiem dłoń do szeryfa.

Szeryf uścisnął ją niechętnie.

— Jest pani w porządku, pani mecenas. Ale proszę nie wchodzić mi więcej w drogę.

— Dobranoc. — Morgan uśmiechnęła się uprzejmie, nie składając żadnych obietnic.

Razem z Lance'em wyszli z posterunku. Światła latarni rzucały żółte plamy światła na asfalt. Wiał zimny wiatr. Mimo że była dopiero połowa października, pogoda bardziej przypominała zimową niż jesienną.

Morgan chwyciła poły płaszcza i opatulila się nim szczelniej.

— Sama nie wiem, co myśleć o szeryfie. Chwilami wydaje się kompetentny, ale jego wydział kilka razy popełnił poważne błędy w tym śledztwie.

Lance przysunął się bliżej, osłaniając ją ciałem przed wiatrem.

— Sądzę, że powinien był poprosić o pomoc policję stanową, bo ta sprawa zdecydowanie przekracza możliwości jego wydziału, ale to sprzeczne z jego naturą. Może zrobi to, gdy następnym razem natrafi na śledztwo o takim zakresie.

Morgan szczerze w to wątpiła. Stare psy potrafiły nauczyć się nowych sztuczek, ale nie miała podobnego zaufania co do umiejętności ludzi.

Jej telefon zawibrował. Wyłowiła go z torby i zobaczyła, że dzwoni jej siostra.

— To Stella — powiedziała i odebrała, czując jak jej nerwy momentalnie napinają się jak postronki. — Halo?

— Obudził się — powiedziała Stella.

Morgan położyła rękę na piersi. Serce zaczęło jej walić, a nogi niemal nie ugięły

się pod nią z ulgi.

— Strasznie się cieszę.

— Sądziłam, że zechcesz wiedzieć od razu.

— O Boże, oczywiście. — Morgan ledwo była w stanie złapać dech. — Gdzie Peyton?

— Rozmawia z lekarzem. Dziadek już jest niesforny. Domaga się jajek z boczkiem na śniadanie. Ian właśnie przyjechał, jednak dziadek wygania nas stąd wszystkich na noc. Mówi, że nie potrzebuje żadnej cholernej niańki i że wszyscy wyglądamy gorzej niż on.

— Nie mogę w to uwierzyć.

— Wpadnij go zobaczyć — powiedziała Stella. — Poczujesz się lepiej.

— Tak zrobię. — Morgan zakończyła połączenie i wślizgnęła się na siedzenie pasażera w jeepie.

Lance ujął jej dłoń i uściśnął. Jego ręka ogrzała jej dłoń.

— Z dziadkiem wszystko w porządku?

— Tak. Obudził się i jest głodny. — Zabębniła palcami po podłokietniku. — Zadzwoń po drodze do Tima i Chelsea i sprawdź, co u nich.

Morgan wybrała numer komórki Tima. Nie odebrał i nagrała mu wiadomość.

— Przejedźmy obok ich domu.

— Dlaczego?

— Tim nie odebrał telefonu.

— Może jest zajęty? — Mimo sprzeciwu Lance skręcił w kierunku domu Clarków.

— Naprawdę nic nie uszczęśliwiłoby mnie bardziej, niż gdyby technicy znaleźli DNA na złomowisku. Naprawdę chciałabym, żeby już się to skończyło dla Tima i Chelsea.

— Ale?

— Ale na razie nie ma żadnych fizycznych dowodów, które łączyłyby braci Burns z porwaniem Chelsea.

— Szeryf powiedział, że wyśle kogoś, żeby porozmawiał z Derekiem Pagano.

— Tak, ale nie powiedział, kiedy — zauważyła Morgan. — A poza tym co może zrobić szeryf King bez żadnych dowodów?

— My też nie wiemy, czy Derek zrobił coś złego. Niestety policja nie może dostać nakazu przeszukania na podstawie instynktu.

— Elliot skłamał. — Po sześciu latach przepracowanych w zawodzie prokuratora Morgan doskonale potrafiła wykryć kłamstwo, ale nie wyłapała wcześniej tego, że Elliot pominął nazwisko brata. Albo był świetnym kłamcą, albo rzeczywiście popełnił błąd.

— Pominął informacje. — Uściślił Lance. — Może po prostu starał się chronić

brata.

Morgan zapięła pasy.

— Przejedźmy obok domu Dereka.

— Szeryf powiedział, że to zrobi.

— Nie powiedział kiedy, a my nie obiecywaliśmy, że nie złożymy Derekowi wizyty.

— To prawda.

Hrabstwo Meeker znajdowało się dwadzieścia minut jazdy od posterunku szeryfa. Lance jechał według wskazówek GPS, aż trafili na wąską polną drogę przez las. Nigdzie nie było żadnych latarni.

— Jaki jest numer domu? — zapytał Lance, zwalniając i wpatrując się w ciemność za szybą. Domy wzdłuż wiejskiej drogi znajdowały się w dużych odległościach od siebie. Ostatnią skrzynkę pocztową widzieli jakieś półtora kilometra wcześniej.

Morgan poszukała adresu w telefonie.

— Dwieście trzydzieści osiem.

Lance zatrzymał jeepa.

— Tutaj jest dwieście pięćdziesiąt, a poprzedni dom miał numer dwieście dwadzieścia siedem.

— Nie ma domu?

— Adres jest błędny. — Lance zawrócił. — Być może to zwykła pomyłka.

— Albo nie. — Morgan położyła rękę na brzuchu, czując, jak niepokój zaczyna ją palić żywym ogniem. — Wcale mi się to nie podoba. Elliot pominął nazwisko brata na liście, nie wspomniał też nic o tym, że był skazany za przestępstwo na tle seksualnym. Adres Dereka podany jest nieprawidłowo.

— Tak, coś tu nie gra.

— Zdecydowanie.

— Czy możesz zadzwonić do Sharpa i przełączyć go na głośnik? — poprosił Lance.

Morgan wybrała numer i ułożyła telefon między nimi.

— Co tam? — odebrał Sharp.

Lance wyjaśnił błąd dotyczący adresu Dereka.

— Czy mógłbyś proszę jeszcze raz sprawdzić adres, jak również znaleźć zdjęcie lotnicze tego obszaru?

— Jasne. Zadzwonię, jak się czegoś dowiem. — Sharp rozłączył się.

— Musimy porozmawiać z Timem i Chelsea — powiedziała Morgan. Sprawdziła swój telefon, jednak Tim nie próbował jeszcze do niej oddzwonić.

— Naprawdę chcesz ją niepokoić, mimo że nie mamy zbyt wielu informacji? — zapytał Lance. — Nie mamy też wsparcia. Szeryf jest przekonany, że to bracia Burns

porwali Chelsea. Nie mamy dowodów, że tak naprawdę zrobił to Derek.

— Nie, nie mamy. Nie mamy też dowodów, że znowu spróbuje ją porwać.

— Ale sądzisz, że tak zrobi?

— Tak — odparła. — Jeśli mamy rację, a szeryf się myli, to porywacz Chelsea wciąż znajduje się na wolności. Co jeśli ten, kto włamał się do mnie do domu, chciał w ten sposób dostać się do Chelsea? Chelsea i Tim zasługują na ostrzeżenie.

Zbyt wiele dziwnych zbiegów okoliczności wiązało się z Derekiem Pagano. Morgan pamiętała mężczyznę, który włamał się do niej do domu. Chciał zabrać Sophie, aby zmusić Morgan do współpracy. Czy to był Derek? Jeśli tak, to był naprawdę zdesperowany i gotowy zrobić wszystko — włącznie ze skrzywdzeniem dzieci — aby dostać to, czego chciał.

Chelsea.

Jak mogą ją chronić? Mieli tylko przeczucie, że jej porywacz spróbuje znowu.

Morgan wyprostowała się.

— Zawróć.

— Co wymyśliłaś? — zapytał Lance podejrzliwie, jednak zawrócił.

— Jedź do Tima i do Chelsea. Musimy z nimi porozmawiać. — Morgan chwyciła podłokietnik, gdy auto skoczyło do przodu.

— Dobrze. — Lance wdusił gaz i samochód pomknął naprzód.

— Naznaczył ją symbolem nieskończoności. — Oznakowanie odróżniało Chelsea od pozostałych kobiet. Było niezwykle. Osobiste. Intymne. — Porywacz Chelsea chciał ją zatrzymać *na zawsze*. Nie zrezygnuje z niej łatwo. Wie też o aresztowaniu braci Burnsów i o tym, że szeryf uważa sprawę za zamkniętą.

— I że szeryf odwoła funkcjonariuszy, którzy pilnowali jej domu — dokończył Lance.

Morgan postukała palcem w swój telefon. Martwiło ją, że Tim nie oddzwonił.

— Musimy się zatrzymać w jednym miejscu. Mam pewien pomysł — powiedziała Morgan. — Nie spodoba ci się.

— Wspaniale.

Za oknem samochodu chmury przesłaniały księżyc. Krajobraz pochłonęła ciemność.

Czy on krył się gdzieś w ciemnościach? Czekał, aż Chelsea poczuje się bezpieczna i stanie się mniej ostrożna?

Rozdział 41.

Chelsea obudziła się gwałtownie. Ciemność ją dusiła. Chwyliła łapczywie powietrze, czując jak serce zaczyna panicznie tłuc się w jej piersi.

— Hej, skarbie. Wszystko w porządku. — Zapaliło się światło. Tim siedział w fotelu pod oknem, trzymając na kolanach tablet. Wstał i podszedł do łóżka. Położył jej dłoń na czole. Wzdrygnęła się.

— Przepraszam. — Nie była w stanie tego opanować.

— Nie przejmuj się. — Uśmiechnął się, jednak widziała w jego oczach, że go zraniła. — Nie da się przejść przez to, przez co przeszłaś, bez uszczerbku. Poradzimy sobie z tym.

Położył na łóżku dłoń zwróconą wnętrzem do góry i czekał, aż ona przejmie inicjatywę. Jednak nie chciała tego zrobić. Nie chciała być dotykana. Jej ciało było obolałe. Od twarzy do stóp nie było nawet skrawka ciała, który by jej nie bolał.

Zmieniła ułożenie nóg pod kocem. Oparzenie na pośladku zapiekło boleśnie, promieniując w stronę uda i biodra.

— Nie czuję się tu bezpiecznie. — Została porwana z własnego podjazdu. Czy kiedykolwiek jeszcze poczuje się bezpiecznie we własnym domu?

— Lekarz powiedział, że powinniśmy spróbować poczekać kilka miesięcy, zanim się wyprowadzimy.

— Wiem. — Lecz Chelsea chciała uciec z tego domu — tego miasta, tego stanu — jak najszybciej. Gdy wrócili do domu, czekali na nich dziennikarze.

Gdy była w kontenerze, pragnęła tylko wrócić do domu. Teraz, gdy jej się to udało, nie chciała tu zostać.

— Może na kilka dni zamieszkamy w hotelu? — Chciała znaleźć się gdzieś, gdzie nikt jej nie znał.

Chciała się ukryć.

— Czy chcesz porozmawiać z psychiatrą? — zapytał Tim. — Dał mi numer swojej komórki.

Ten sam psychiatra, który zalecał jak najszybszy powrót do normalnych zwyczajów.

— Nie. — Chelsea zdawała sobie sprawę z tego, że bała się własnego cienia i wkrótce będzie musiała zmierzyć się z rzeczywistością.

— Chcesz tabletkę przeciwbólową? — zapytał Tim.

Po drugiej stronie korytarza William zaczął płakać.

Skinęła głową. Przynajmniej William zaczął pić z butelki, dzięki czemu mogła

brać leki. Leki, bicie, odwodnienie i wyczerpanie sprawiły, że straciła mleko w czasie swojej nieobecności.

Nie była w stanie nawet w myślach wypowiedzieć słów: porwanie, uwięzienie, bicie, naznaczenie. Psychiatra uprzedzał, że może spodziewać się koszmarów i ataków paniki. Stanowiły naturalną reakcją na traumę, jaką przeszła. Jedyłą pociechą było to, że jej nie zgwałcił.

Jednak ukrywanie się przed bólem nie miało jej pomóc. Musiała się z nim zmierzyć i była zbyt wyczerpana, aby zrobić to sama.

Położyła dłoń na dłoni Tima. Przymknął palce. Jego dotyk był znajomy i pocieszający.

William zaczął płakać głośniej i Chelsea odruchowo chciała się podnieść.

Tim uściśnął jej rękę.

— W porządku, twoja mama do niego wstanie.

— Nie, chcę go nakarmić. Lekarz powiedział, że takie zwyczajne czynności pomogą mi dojść do siebie. — Musiała szukać chwil — choćby sekund — normalności. Żyć każdego dnia minuta po minucie. Gdy była w kontenerze, trzymała się myśli o tym, żeby wrócić do dzieci, i to pozwoliło jej ocalić zdrowe zmysły.

— Przyniosę ci go. — Tim puścił jej rękę i wstał. — Twój tata zabrał Bellę na lody. Roznosiła ją energia. Możesz zostać na chwilę sama? Podgrzeję butelkę.

Nie była pewna, lecz skinęła głową. Tim wyszedł z pokoju. Chelsea wstała. Podeszwy jej stóp były zabandażowane i obolałe po tym, jak przebiegła bosą wiele kilometrów.

Pokuśtykała do łazienki. Mimo że już wcześniej widziała swoje odbicie, widok posiniaczonej twarzy znowu ją zaskoczył. Zadrżała. Nie mogła się rozgrzać. Straciła cztery kilo w dziewięć dni, ale nie miała apetytu. Ostrożnie umyła zęby. Sińce w końcu zejdą, tak samo jak opuchlizna. Za kilka tygodni będzie wyglądała normalnie.

Nie licząc wypalonego znamienia.

Lekarze zalecali, aby najpierw zupełnie doszła do siebie, zanim podejmą się operacji plastycznej, aby je usunąć. Ostrzegali ją jednak, że znamię jest głębokie i niezależnie od tego, co zrobią, będzie miała bliznę. Wieczne wspomnienie porwania i uwięzienia.

Poradzi sobie z tym. Żyje. Może tulić swoje dzieci, czytać Belli książeczki. Na szczęście matka Chelsea powiedziała małej, że mamusia upadła i posiniaczyła buzię tak samo jak Bella, gdy kilka tygodni temu spadła ze zjeżdżalni i rozbiła sobie kolano. Tak więc przyjrząwszy się matce uważnie, Bella w końcu wskazała na swoje kolano i uznała, że mamie też się wkrótce poprawi.

Szeryf zadzwonił z informacją, że schwytano jej porywacza i uratowano blondwłosą kobietę, którą porwał dzień wcześniej. To już naprawdę był koniec.

Wszystko będzie dobrze. Jej mama, tata i mąż się nią zajmą.

Dlaczego więc ręce nadal jej drżały?

William płakał coraz głośniejszym głosem. Chelsea bała się go podnieść, wciąż była słaba. Ale nie mogła stać bezczynnie, słysząc, jak płacze. Skończyła myć zęby i umyła ręce.

Gdzie podział się Tim?

Głośnie stuknięcie z dołu sprawiło, że krew ścięła się jej w żyłach. Kolana się jej trzęsły, gdy ruszyła w stronę korytarza.

Rozdział 42.

Księżyc oświetlał mu drogę. Przejechał obok domu Clarków. Nigdzie nie widać było samochodu policji. Wydział szeryfa sądził, że złapali porywacza Chelsea, więc odwołali swoich funkcjonariuszy z obowiązku jej pilnowania. Na podjeździe stała toyota Tima, ale nie widział dodge'a z wypożyczalni. Rodzice Chelsea musieli już wyjechać.

Dokładnie na to liczył.

Moment był idealny.

Zaparkował przy krawężniku przed domem znajdującym się nieco po skosie po drugiej stronie ulicy niż dom Clarków. W sąsiedztwie mnóstwo było nastolatków, przez cały dzień przyjeżdżały i odjeżdżały jakieś samochody, nikt nie zauważył jednego więcej.

Poprzednim razem, tej nocy, gdy zabrał ją ze sobą, przyjechał tu rowerem i ukrył go w krzakach. Dzisiaj zabierze ją swoim samochodem.

Poczuł narastający gniew.

Zostawiła go, żeby wrócić do Tima. Tym razem dopilnuje, aby Chelsea nie miała do kogo wrócić. Nigdy więcej nie przedłoży innego mężczyzny ponad niego.

Tim musiał odejść.

Dzieci również. Chelsea nigdy nie zapomni o swojej rodzinie, dopóki będą żyli. Wprawdzie nie podobało mu się, że musi skrzywdzić dwójkę dzieci, jednak nie miał wyboru. Będzie litościwy. Ich śmierć będzie szybka i bezbolesna.

Ale nie śmierć Tima. Musiał zapłacić, a Chelsea będzie musiała na to patrzeć. Musiała się dowiedzieć, że jego cierpienie jest jej winą, że odpowiada za wszystko, co się miało wydarzyć tej nocy.

Po tej nocy już nigdy mu się nie sprzeciwi. Będzie robiła, co jej każe. Zrozumie, że jest jego własnością.

Ślad na jej ciele miał jej o tym przypominać na zawsze.

Zanim wysiadł z samochodu, sprawdził kieszenie: nóż, taśma klejąca, nylonowy sznur.

Rozejrzał się w obie strony, po czym przebiegł przez ulicę na podjazd Chelsea. Największe ryzyko wiązało się z wejściem do domu i wyjściem z niego. Był pewny, że gdy już dostanie się do środka, z łatwością zdoła obezwładnić Tima. Gdy go zwiąże, reszta pójdzie gładko.

Chelsea nie będzie w stanie stawiać oporu. Tego był pewien.

Gdy dotarł w cień domu, odetchnął swobodniej. Drzewa i krzewy zasłaniały go

przed wzrokiem sąsiadów. Z tyłu domu wdrapał się na klimatyzator, aby zajrzeć przez okno do kuchni.

W domu panowała ciemność. Widział fragment pokoju dziennego, przylegającego do kuchni. Nie było tam nikogo. Telewizor był wyłączony.

Prawdopodobnie spali.

Podkradł się do szklanych przesuwnych drzwi. Chelsea i Tim nie mieli alarmu. Uniósł drzwi za klamkę i potrzasał nimi, aż zapadka się otworzyła. Większość ludzi nie miała pojęcia, że zamknięcie w typowych drzwiach przesuwnych było bezużyteczne.

Przesunął drzwi i wszedł do środka. Nasłuchiwał przez kilka sekund. W domu panowała cisza. Nigdy wcześniej nie był w środku, lecz dom był niewielki i łatwo mógł się domyślić układu pomieszczeń. Niewielka lampka włożona do kontaktu na wysokości jego kolan oświetlała drogę. Miał też latarkę, ale wolał jej nie używać bez potrzeby.

W miękkich sportowych butach bezgłośnie przeszedł po płytkach w kuchni, a potem przez pokój dzienny do korytarza z przodu domu. Jadalnia i salon były ciemne i puste.

Gdzie mógł być Tim?

Na górze skrzypnęła podłoga. Wyostrzył zmysły. Ktoś nie spał.

Klatka schodowa pogrążona była w ciemnościach. Zatrzymał się tuż przed spocznikiem i przyjrzał się układowi pomieszczeń. Dwoje drzwi na lewo. Łazienka dokładnie na wprost. Jeszcze jedno drzwi po prawej. Tylko jedno drzwi były otwarte.

Znowu skrzypnęła podłoga, a z otwartych drzwi nadleciał płacz dziecka. Kto do niego wstał?

Chelsea czy Tim?

Wyjął nóż z kieszeni i mocno zacisnął go w dłoni.

Powoli pokonał kilka ostatnich stopni. Zatrzymał się na spoczniku i zawahał. Czy najpierw powinien wejść do pokoju dziecięcego i uporać się z osobą, która tam była? Czy lepiej najpierw odnaleźć główną sypialnię?

Łatwiej mu będzie obezwładnić śpiącego dorosłego, ale z drugiej strony to z nich, które wstało, mogło go usłyszeć.

Postanowił, że najpierw załatwi obudzonego dorosłego, mając nadzieję, że nie obudzi tym drugiej dorosłej osoby.

Przylgął plecami do ściany i przemknął się pod drzwi. Zerknął do środka.

Serce mu mocniej zabiło. Oto i ona.

Chelsea.

Była ubrana w gruby szlafrok i odwrócona do niego tyłem.

Światło księżycy wpadające przez okno barwiło jej blond włosy na kolor srebra.

Opadały jej na plecy. Pochylała się nad kołyską, mówiąc coś cicho do dziecka. Nie był w stanie rozróżnić słów.

Była idealna.

Wiedział to od pierwszej chwili, gdy ją zobaczył. Była dla niego tą jedyną. Jasne, wcześniej też tak myślał, ale *wtedy* się mylił. Teraz było inaczej, teraz wiedział na pewno.

Chelsea była słodka i zdrowa. Większość kobiet go ignorowała, ale ona zawsze się do niego uśmiechała. Rozmawiała z nim, jakby był normalny.

Zacisnął palce mocniej na nożu i zbliżył się. Znowu będą razem. Teraz już nigdy go nie zostawi. Dostała nauczkę.

Wszedł do pokoju, planując atak. Nie chciał, aby go usłyszała i obudziła męża. Musiał ją obezwładnić i uciszyć. Uniósł lewą rękę z zamiarem położenia jej na jej ustach. Gdy już ją zwiąże, zajmie się Timem.

Z dziećmi upora się w wolnej chwili.

I wtedy zostaną tylko on i Chelsea. Będzie jego na zawsze.

Jeszcze kilka kroków.

Podłoga zaskrzypiała pod jego butem. Odwróciła się. Uniósł nóż.

Szok sprawił, że zamarł w bezruchu.

Rozdział 43.

— Ręce na głowę. — Lance wyszedł ze schowka w pokoju dziecięcym, trzymając w rękach pistolet i latarkę, wymierzone w Dereka Pagano. Plan Morgan wcale mu się nie podobał, jednak okazało się, że przecucie jej nie zawiodło.

Morgan, stojąca nad kołyską w blond peruce i szlafroku Chelsea, wymierzyła swój pistolet w intruza.

Derek zatrzymał się zdumiony.

— Ty!

Morgan zerwała perukę i rzuciła ją do kołyski, gdzie wylądowała obok telefonu komórkowego, z którego leciał nagrany płacz dziecka. Lance'owi nie podobał się pomysł, aby schwytać Dereka, podszywając się pod Chelsea, ale musiał przyznać, że jej plan zadziałał znakomicie. Chelsea była na górze, gdy Morgan i Lance przyjechali do domu Clarków. Pukanie do drzwi bardzo ją wystraszyło, więc łatwo było ją przekonać, że najlepiej będzie, gdy razem z rodziną wyjdą z domu, pozwalając Morgan zająć miejsce Chelsea, co dawało szansę na schwytanie jej porywacza.

Derek zerknął na drzwi, potem na broń w ręku Lance'a, potem znowu na Morgan.

— Rzuć nóż, Derek — ostrzegł Lance.

Derek zwrócił się w stronę Morgan, jednak ten ruch zaalarmował Lance'a, który zrobił krok do przodu. Nie chciał strzelać do tego wariata — no, może trochę jednak chciał — ale był gotowy pociągnąć za spust, gdyby okazało się to absolutnie konieczne.

Derek jednak odwrócił się nagle i rzucił w kierunku drzwi.

Cholera jasna!

Lance nie mógł strzelić mu w plecy. Włożył pistolet do kabury i rzucił się za Derekiem. Słyszał, jak Morgan wzywa policję.

Na dole schodów Derek chwycił się poręczy, wykonał zwrot o sto osiemdziesiąt stopni i ruszył w kierunku tyłu domu. Lance pobiegł za nim przez korytarz, pokój dzienny i kuchnię.

Derek na chwilę zatrzymał się przed przesuwными drzwiami, otworzył je i wypadł do ogródka na tyłach. Lance pobiegł za nim. Chwila, której Derek potrzebował, aby otworzyć drzwi, pozwoliła mu go niemal dogonić, był tylko kilka kroków za nim.

Czegóż by nie dał w tej chwili, aby nadal być w policji! Mógłby w mgnieniu oka usmażyć tego typa paralizatorem. Jednak zwykły obywatel w stanie Nowy Jork nie mógł posiadać paralizatora, gdyż było to nielegalne.

Lance rzucił wszystko na jedną szalę. Odepchnął się jedną stopą i rzucił na

uciekający cel. Zdołał ramionami chwycić nogi Dereka i razem runęli na ziemię. Derek kopał, usiłując się uwolnić, i trafił Lance'a piętą w głowę. Gwiazdy zaświeciły mu przed oczami i na chwilę poluzował uchwyt.

To mu wystarczyło.

Wyrwał się, kopiąc Lance'a w twarz. Ból przeszył jego czoło, a do oka zaczęła napływać mu krew. Usiłował znowu złapać Dereka, lecz tym razem chybił.

Derek stanął na nogi i zaczął chwiejnie biec przez podwórze. Lance również zerwał się na nogi. Stara rana przypominała mu bólem o tym, dlaczego musiał odejść ze służby.

Zignorował ból, mając nadzieję, że noga nie odmówi mu nagle posłuszeństwa, i pobiegł za Derekiem.

Derek biegł w stronę narożnika domu. Lance usiłował biec tak szybko, jak tylko potrafił, jednak przy każdym kroku udo paliło go żywym ogniem i Derek zaczął zwiększać dystans między nimi.

Zaraz mu się wymknie.

Cholera jasna!

Czując, jak płuca mu płoną, a noga pali żywym ogniem, Lance ostatkiem energii kontynuował pościg. Teraz albo nigdy.

Bez wątplenia Derek miał gdzieś w pobliżu samochód i jeśli uda mu się do niego dotrzeć...

Derek zerknął przez ramię, nie przerywając biegu w cieniu ściany domu. W momencie, gdy ominął dom i rzucił się w kierunku podjazdu, nie wiadomo skąd pojawiła się tam gałąź.

Derek wleciał w nią głową. Impet wciąż pchał go naprzód, głowa odskoczyła mu do tyłu i upadł na plecy.

Ciężko dysząc, Lance zatrzymał się przy leżącym. Chwycił Dereka za ramię i przekręcił go na brzuch. Szybko przeszukał mu kieszenie i znalazł sznur oraz taśmę klejącą. Lance ukląkł na jego plecach, wyjął z kieszeni paski zaciskowe i skrępował ręce Dereka.

Gdy skończył, uniósł głowę.

Morgan stała nad nimi w świetle księżyca. Jej czarne włosy lśniły, twarz przybrała maskę determinacji.

— Dzięki — powiedział.

— Miałam nadzieję, że pobiegnie w stronę ulicy. — Morgan skrzyżowała ramiona i roztarła biceps. — Policja jest już w drodze. Nic ci nie jest? — Wskazała na jego rozciętą brew.

Lance dotknął czoła. Jego dłoń stała się lepka i mokra.

— Kopnął mnie w głowę. To nic poważnego.

— Puśćcie mnie! Nie jesteście z policji! — Derek miotał się na ziemi. — Nie możecie mnie tu trzymać!

— Dokonuję zatrzymania obywatelskiego. — Lance przeniósł nieco większy ciężar na swoje kolano. Udo pulsowało mu bólem. — Włamałeś się do domu, uzbrojony w niebezpieczne narzędzie. Założę się, że gdy policja przeszuka twój dom, znajdzie w nim wiele ciekawych rzeczy. Masz poważne kłopoty, Derek.

— Nie mogą przeszukać mojego domu. Elliot zadzwoni do swojego prawnika. Elliot wszystko naprawi. — Derek splunął na ziemię. — Jeszcze pożałujecie.

— Tym razem twój brat ci nie pomoże. — Lance zastanawiał się, ile innych przestępstw popełnił Derek.

— Dlaczego to zrobiłeś, Derek? — zapytała Morgan.

— Kocham ją. — Z kącika ust Dereka zaczęła sączyć się strużka krwi. — Jest moja.

— Jest żoną Tima — zauważyła Morgan.

— Chelsea była nieszczęśliwa. — W głosie Dereka zabrzmiał gniew. — Tim nie wie, jak zatrzymać kobietę. Ja wiem. Kobiety trzeba zdominować. Nie mogą podejmować decyzji. Nie wiedzą, czego chcą.

— Czy dlatego twoja dziewczyna z tobą zerwała? — zapytała Morgan.

— To głupia suka — warknął Derek. — Próbowałem być dla niej miły, ale to jej nie uszczęśliwiło. Kobiety nie pragną miłych mężczyzn. Chcą kogoś, kto przejmie kontrolę. Chcą, aby podejmować za nie decyzje.

— Próbowałeś tego ze swoją dziewczyną. — Morgan przechyliła głowę.

— Gdybym mógł ją zatrzymać na kilka tygodni, zmieniłbym jej nastawienie. Ale ta suka uciekła do Londynu. — Gorycz zabarwiła słowa Dereka.

— Uciekła od ciebie. — Uściśliła Morgan.

— Kobiety nie potrafią się w nic zaangażować. Pozwalają, aby ich emocje rządziły nimi zamiast logiki. Popatrzcie, co się przydarzyło Elliotowi. Kochał Candace. Próbował jej pomóc i co zrobiła? Zagroziła, że go zostawi, zamiast zrobić to, co byłoby dla niej najlepsze.

Prawda spadła na Lance'a niczym kowadło w kreskówkach.

Derek zabił żonę swojego brata.

Morgan najwyraźniej wysnuła identyczne wnioski. Zesztywniała.

— Candace nie wiedziała, co dla niej dobre. Kolejny przykład tego, że kobiety potrzebują kogoś, kto się nimi zajmie. — Derek odwrócił głowę, aby spojrzeć na Morgan przez ramię. — Candace zabijała się przez swoje uzależnienie. Elliot kochał ją i próbował to przerwać, jednak walka z nałogiem była ciężka, a ona nie chciała wykonywać związanej z tym pracy. Elliot powinien był być bardziej stanowczy, ale nie był. Był słaby.

— Co zrobiłeś? — zapytała Morgan.

Derek podwinął wargi, odsłaniając zęby.

— Próbowałem ją zmusić, ale Elliot zbyt długo pozwalał, aby złe zachowanie uchodziło jej na sucho. Było w niej zbyt zakorzenione. Gdybym mógł ją odizolować na miesiąc czy dwa, udałoby się ją zmienić.

Na kilka sekund zapadła cisza.

Derek potrząsnął głową.

— Jej nałogi wymknęły się spod kontroli. Chciałem ją uratować. Chciałem uratować Elliota. Był nieszczęśliwy. — Nabrał powietrza i zmrużył gniewnie oczy. — Ale nie pozwoliła mi się naprawić. Próbowałem. Próbowałem z całych sił.

— Zabiłeś ją — dokończył Lance.

— Upadła i uderzyła się w głowę. — Derek wypluł z siebie te słowa. — To był wypadek.

— To dlaczego zacierałeś ślady? — naciskał Lance.

Derek zacisnął usta w bezkrwistą kreskę.

— Czy już nie żyła, gdy zepchnąłeś jej samochód z klifu? — zapytał Lance.

Derek nie odpowiedział. Jego puste spojrzenie sprawiło, że Lance pokrył się gęsią skórką.

Dla Dereka śmierć Candace nie miała znaczenia. Była bezwartościowa i jej życie po prostu się nie liczyło. Lance nie wierzył nawet przez sekundę, że jej śmierć była wynikiem wypadku. Derek mógł zadzwonić po pogotowie, lecz zamiast tego postanowił upozorować wypadek.

— Z Chelsea też się nie udało. — Rzucił Lance.

— *Ją* mógłbym wychować. — Derek uniósł głos. — Jest słodsza. Ma czystsza duszę i serce. Nie jest skażona i zniszczona narkotykami.

— Ma dzieci — powiedziała Morgan.

— Mogłaby mieć więcej dzieci. *Moich* dzieci. — Twarz Dereka poczerwieniała. — Mógłbym sprawić, aby mnie pokochała. To wymaga jedynie czasu.

— Torturowałeś ją. — Lance miał ochotę znaleźć to żelazo i wypalić nim znamię na skórze Dereka. Ten człowiek zasługiwał, aby poczuć ból, który zadał Chelsea.

— *Szkoliłem* ją. — Przerwał Derek. — To różnica. Mieszanka pozytywnego i negatywnego wzmocnienia, aby pokazać jej, że podporządkowanie się mężczyźnie dałoby jej szczęście.

Lance nie miał nic więcej do powiedzenia. Nie było sensu. Człowieka, który tak daleko zabrnął w szaleństwo, nie można już zmienić.

W zimnym powietrzu rozniósł się głos syren.

Teraz wreszcie nadszedł koniec.

Rozdział 44.

Trzydzieści minut później Morgan stała przed domem Chelsea i Tima. Objęła się ramionami. Jej mdłości po konfrontacji z Derekiem już ustąpiły, ale po spadku adrenaliny czuła, że jej kończyny są słabe i drżące.

Wyznania Dereka nie były całkowitym zaskoczeniem, jednak teraz czuła się zbyt zmęczona, aby w pełni do niej dotarło to, co im powiedział. Lance uważał, że kłamie, lecz Morgan nie była pewna, w co wierzyć.

— Morgan! — poprzez otaczający ją zgiełk dobiegł ją głos Stelli.

Morgan przygotowała się na wybuch wściekłości siostry.

Stella przedarła się pomiędzy funkcjonariuszami policji i biura szeryfa. Obydwa wydziały odpowiedziały na wezwanie pod 911.

Stella zatrzymała się przed Morgan i oparła dłonie na biodrach.

— Coś ty u diabła zrobiła?

Morgan usiłowała się trochę rozgrzać. Wieczór był chłodny, a ona zostawiła szlafrok Chelsea w domu, aby móc poruszać się szybciej.

— A co niby miałam zrobić? Zadzwoić do ciebie i powiedzieć, że mam przeczucie, iż to Derek Pagano porwał Chelsea i że planujemy koczować w jej domu, aż po nią wróci?

— Tak!

— Nie wiedzieliśmy, kiedy się zjawi. To mogło trwać całe dni.

Przekonanie Tima i Chelsea, że znajdują się w niebezpieczeństwie, nie było trudne. Chelsea była uradowana z pretekstu, który pozwalał jej uciec z domu. Rodzina spakowała kilka toreb i Sharp zawiózł ich do hotelu, gdzie mieszkali rodzice Chelsea, po czym został tam, aby nad nimi czuwać.

— Powinnaś mi była powiedzieć. — Prychnęła Stella. — Przynajmniej miałabym w okolicy samochód patrolowy.

— A co, gdyby nie przyjechał dzisiaj w nocy? Ani jutro? Czy nadal policja by nas niańczyła? — Ale tak naprawdę Morgan spodziewała się, że Derek zjawi się szybko, zanim pojawią się dowody, mogące sprawić, iż szeryf King zwątpi w to, że to bracia Burnsowie porwali Chelsea.

— Mogłabym to robić po godzinach pracy! — Wściekała się Stella.

— Krótco mówiąc, nie. Policja nie niańczyłaby nas na podstawie mojego przeczucia. — Chociaż tak naprawdę Morgan wiedziała, że *powinna* była zadzwonić do siostry.

Morgan i Lance ustalili, że wypróbują jej plan przez trzy kolejne noce. Jak się

okazało, jedna wystarczyła.

Lance wyszedł z domu, gdzie przedstawiał policji rozwój wypadków tego wieczoru. Trzymał gazę nad okiem.

Morgan wyciągnęła rękę i uniosła brzeg gazy.

— Wygląda na to, że będziesz potrzebował paru szwów.

— Prawdopodobnie. — Wzruszył ramionami.

Morgan wzięła go za ramię.

— Zawiozę cię.

Otworzył usta, aby zaprotestować, ale Morgan potrząsnęła głową i spojrzała na niego w *taki* sposób, że przestał się opierać. Morgan chciała dać siostrze czas na ochłonięcie. Skierowała Lance'a w stronę jeepa i wyciągnęła rękę po kluczyki.

— Mogę prowadzić. — Protestował.

— Serio? Zakrwawiłbyś cały samochód.

Wręczył jej kluczyki, po czym zaklął pod nosem, zerkając przez ramię.

— To szeryf. Szybko, wsiadaj, możemy udawać, że go nie zauważyliśmy.

— Kruger! Dane! — zagrział głos szeryfa, przebijając się przez panujący gwar i aktywność.

Morgan odwróciła się twarzą w jego stronę.

— Czym mogę służyć, szeryfie?

Twarz szeryfa była na tyle czerwona, że lada moment to *on* mógł wymagać pomocy medycznej. Odciągnął Lance'a i Morgan z dala od zasięgu słuchu innych funkcjonariuszy.

King skrzyżował ramiona na piersi.

— Wysłałem samochód pod adres Dereka Pagano, ale nie było tam ani skrzynki pocztowej, ani podjazdu. Znaleźliśmy dojazd do posesji od tyłu. Derek ma stary domek w lesie. Jeden z funkcjonariuszy obszedł posiadłość, szukając Dereka. Za domem znalazł przerdzewiały kontener, w którym ktoś wybił dziurę w dachu.

— To tam przetrzymywano Chelsea — powiedziała Morgan.

— Technicy będą musieli to potwierdzić, ale założenie, że to Derek porwał Chelsea, wydaje się sensowne. Pojadę tam, jak tylko skończymy tutaj. Dam wam znać, co odkrywamy. — Szeryf kaszlnął w zwiniętą pięść i odwrócił wzrok. — Dziękuję za waszą pomoc. Gdybyście nie byli tak uparci, ta noc mogłaby skończyć się zupełnie inaczej dla Chelsea i jej rodziny.

— Nie ma za co — powiedziała Morgan. — Bezpieczeństwo rodziny Clarków było naszym głównym celem. Zgarniecie też Elliota, prawda? Dał swojemu bratu alibi na noc, w którą zaginęła Chelsea. Pomiął też jego nazwisko na liście pracowników Speed Net.

— Już wysłałem po niego radiowóz — potwierdził szeryf.

— Gdy teraz myślę o naszej pierwszej wizycie tam, to spotkaliśmy Dereka zupełnie przypadkowo — powiedziała Morgan. — To ich matka, Barbara, wskazała go nam. Gdyby nie to, nie wiedzielibyśmy nawet, że Derek tam pracował.

Morgan zadrżała. Lance objął ją ramieniem.

— Oboje stawicie się jutro w moim biurze, aby podpisać formalne zeznania. — Szeryf skinął im głową na pożegnanie.

Morgan zawiozła Lance'a na pogotowie i zaprowadziła go do poczekalni.

— Czy miałbyś coś przeciwko temu, abym wyskoczyła na górę zobaczyć się z dziadkiem? — zapytała.

— Oczywiście, że nie, ale jest pierwsza w nocy. Sądzisz, że uda ci się wejść?

— Tak, w przypadku sytuacji krytycznych pacjentów można wchodzić na oddział dwadzieścia cztery godziny na dobę. — Wspięła się na palce i pocałowała go w usta. — Później omówimy to, co wydarzyło się dziś w nocy. Teraz jestem bardzo, bardzo szczęśliwa, że oboje wyszliśmy z tego cało i że Chelsea, Tim i ich dzieci są bezpieczni.

— Idź sprawdzić, co z dziadkiem. — Lance wskazał na cztery osoby w poczekalni. — Ja tu trochę posiedzę.

Morgan poszła na oddział intensywnej terapii. Zatrzymała się w korytarzu i zerknęła do środka. Monitor pikał równo i cicho. Obok łóżka stała pielęgniarka. Sprawdziała odczyty maszyn i wpisywała wyniki do karty. Zauważyła Morgan i wyszła do niej na korytarz.

— Wraca do zdrowia — powiedziała. — Jutro przeniesiemy go na zwykły oddział. Nie śpi, może pani do niego wejść.

— Dziękuję. — Morgan weszła do pokoju.

Dziadek otworzył oczy i uśmiechnął się do niej. Jego dłoń wysmyknęła się spod białego koca. Ruchem palców poprosił ją, aby się zbliżyła.

— Cześć. — Morgan wzięła go za rękę, czując, jak jej pierś zaciska się z ulgi i wdzięczności.

— Mówiłem ci, że jeszcze nie umieram. — Skóra dziadka była blada i sprawiał wrażenie, jakby nie był w stanie w pełni się skoncentrować. — Musisz mieć wiarę.

— Masz rację. — Uścisnęła jego dłoń. — Czy coś cię boli?

— Trochę, ale nie martw się tym. Pielęgniarki dobrze się mną zajmują. Rozwiązaliście tę sprawę?

— Tak. — Morgan streściła mu wydarzenia ostatnich dwóch dni.

— Super dziewczyna. — Lekko potrząsnął jej dłonią. — Wiedziałem, że to rozgryziesz. Masz to w genach. — Powieki mu opadły.

— Muszę iść odebrać Lance'a z wydziału ratunkowego. — Pochyliła się i pocałowała dziadka w policzek. — Do zobaczenia jutro.

— Ian i Peyton przyjechali — powiedział niewyraźnie. Wprawdzie wcześniej

upierał się, żeby ich nie zawiadamiać, jednak jego senny uśmiech mówił, że jest zadowolony z ich przyjazdu.

— Kocham cię.

— Ja ciebie bardziej. — Dziadek zamknął oczy.

Mimo wyczerpania Morgan wyszła z pokoju sprężystym krokiem. Dziadek wprawdzie nie stawał się młodszy, ale nadal był przy niej. Miała zamiar cieszyć się każdym wspólnym dniem, jaki im pozostał, i nie zamartwiać się przyszłością.

Wróciła na oddział ratunkowy. Pielęgniarka pokierowała ją do łóżka, gdzie leżał Lance. Młody lekarz właśnie kończył zakładać mu szwy. Po opatrzeniu rany Lance wypisał się ze szpitala.

— Jest zbyt późno, aby jechać po dzieci — powiedziała.

— Zostań ze mną na resztę nocy.

— Czemu nie? — Chciała spędzić z nim spokojną noc bez żadnych dramatycznych wydarzeń.

Mimo jego protestów, że nic mu nie jest, to *ona* prowadziła w drodze do domu. Niedługo później rozebrała się i położyła w jego wielkim łóżku.

Lance położył się obok i rozpostarł ramiona.

— Chodź tutaj.

Była zbyt wyczerpana na seks, jednak z zadowoleniem wtuliła się w jego ciepłe ciało.

— Wiem, że nie byłem zachwycony twoim planem — powiedział. — Ale dobrze się spisaliśmy.

— Jesteśmy świetnym zespołem. — Położyła głowę na jego ramieniu.

— To prawda.

Niezależnie od tego, co miało nadejść, przy jego boku miało to być łatwiejsze.

Rozdział 45.

Poniedziałkowy poranek był jasny — zbyt jasny dla kogoś, kto spał tylko kilka godzin. Morgan mrużyła oczy skryte za ciemnymi okularami i ścisnęła swój olbrzymi kubek z kawą niczym kocyk bezpieczeństwa, gdy Lance prowadził ją pod rękę przez parking pod biurem szeryfa.

— Jestem winna bratu Maca przysługę... lub dziesięć — powiedziała Morgan. Grant Barrett sam zaoferował, że odwiezie dziewczynki do szkoły i Giannę na dializę. — Nie wiem, jak kiedykolwiek się im odwdzięczę.

— Nie sądzę, aby czegokolwiek się spodziewali. Mac powiedział, że po prostu chciał, żeby twoje dzieci były bezpieczne.

— Cóż, i tak jestem mu dozgonnie wdzięczna.

Wszyscy w biurze szeryfa wyglądali na sponiewieranych. Głębokie cienie pod oczami szeryfa Kinga świadczyły o tym, że nie spał całą noc, jednak zdołał się ogolić i przebrać.

Morgan zapewne nie wyglądała lepiej.

— Wejdźcie tu. — Szeryf zaprosił ich do sali konferencyjnej. — Elliot Pagano siedział tu przez większość nocy i przyznał się do wszystkiego. Chcecie obejrzeć film z przesłuchania?

— Tak. — Morgan ukryła zaskoczenie tą ofertą.

Na stole ustawiono monitor. Szeryf usiadł przed nim i postukał w klawiaturę. Wskazał krzesła naprzeciwko siebie i Morgan oraz Lance usiedli.

Szeryf odwrócił monitor w ich stronę. Obraz ukazywał to samo pomieszczenie, w którym się znajdowali. Elliot Pagano siedział przy stole, wyglądając tak, jakby w ciągu kilku godzin postarzał się o dziesięć lat. Zrezygnował z prawa do adwokata. Jego oczy zdradzały poczucie klęski.

Były niemal martwe.

Na nagraniu szeryf siedział naprzeciwko niego, po lewej stronie Elliota siedział inny funkcjonariusz, a po prawej stronie człowiek, który, sądząc po krawacie od Hermesa i spinkach do mankietów od Davida Yurmana, musiał być prawnikiem.

— Wiemy, że twój brat porwał Chelsea Clark i zabił twoją żonę — powiedział szeryf.

— Zrobił to dla mnie — powiedział Elliot, składając dłonie na stole.

— Dlaczego? — zapytał szeryf.

Elliot wzruszył ramieniem jak człowiek, który nie ma nic do stracenia.

— Chciała ode mnie odejść. Chciałem, aby zaczęła się leczyć z nałogu

narkotykowego. Klóciliśmy się, ona chciała rozwodu. Popełniłem błąd i powiedziałem o tym Derekowi. Moja żona miała wkład w kapitał początkowy Speed Netu. Gdyby się ze mną rozwiodła, mogłaby mieć prawo do połowy udziałów.

— Derek nie mógł na to pozwolić — stwierdził szeryf.

— Nie miał zamiaru jej zabić. — Elliot potrząsnął głową, unikając wzroku szeryfa.
— To był wypadek.

— Czyżby?

— Tak! — Przez moment Elliot nawiązał kontakt wzrokowy. — Upadła i uderzyła się w głowę.

— Więc Derek wsadził ją do samochodu i zepchnął go z klifu. Czy pomagałeś mu w tym?

— I tak już nie żyła, to nie miało znaczenia. Po co miał iść do więzienia z powodu nieszczęśliwego wypadku?

— Skoro to był wypadek, to dlaczego zacierał ślady?

Elliot w milczeniu wpatrywał się w swoje dłonie.

Szeryf pochylił się bliżej.

— Czy jesteś pewny, że nie żyła, gdy wsadził ją do tego samochodu?

— Derek by mnie nie okłamał — powiedział Elliot bezbarwnym głosem. — Jesteśmy rodziną.

— Zabił twoją żonę.

— Nie! — Jednak głos Elliota się załamał, tak jakby jego zaufanie do brata zachwiało się i nie był w stanie tego znieść. — Derek chciał pomóc Candace. Ona była na drodze do samozniszczenia. Sądził, że może pomóc jej przełamać nałóg, ale nie chciała współpracować. Wywiązała się bójka. Upadła i uderzyła się w głowę. Tak było. — Uciekł spojrzeniem. Nie mówił już do szeryfa, lecz do siebie. Jakby chciał przekonać samego siebie, że opowieść jego brata była prawdą.

Szeryf zmienił taktykę.

— Czy wiedziałeś, że porwał Chelsea?

— Początkowo nie. Przyznał mi się następnego ranka. — Elliot odwrócił wzrok.
— Namawiałem go, aby ją wypuścił, ale nie potrafił. Kochał ją.

Mięsień w szczęcie szeryfa drgnął.

— Porwał ją i pobił.

Elliot wypuścił powietrze.

— Pragnął kobiety, która nigdy by go nie zostawiła. Nie miał szczęścia, aby taką znaleźć, więc postanowił ją sobie stworzyć.

— Czy pomagałeś mu? — zapytał szeryf. — Musiał zostawić swój samochód niedaleko stacji kolejowej. Jak się dostał do domu Chelsea?

Elliot potrząsnął głową.

— Pojechał rowerem. Ukrył go w krzakach i zabrał później. Trzydzieści kilometrów to dla niego nic. Niektóre z wyścigów, w których brał udział, miały sto pięćdziesiąt kilometrów.

— Skąd wiedział, że tego wieczoru Chelsea wychodzi?

— Rano w piątek zapytałem Tima, czy zostanie po godzinach. Powiedział, że nie może, bo jego żona ma plany. Derek to słyszał. — Brak emocji w głosie Elliota sprawił, że Morgan pokryła się gęsią skórką.

— Jest taki... bezbarwny — powiedziała.

Szeryf pochylił się i wyłączył monitor.

— Ani śladu wyrzutów sumienia.

— Ani śladu człowieczeństwa — dodał Lance.

Morgan potarła ramiona.

— Zależy mu tylko na tym, aby utrzymać wiarę w to, co powiedział mu brat.

— Może *potrzebuje* wierzyć, że Derek nie zamordował Candace — dodał Lance.

— Mam nadzieję, że nie będą próbowali powoływać się na niepoczytalność. Ciało Dereka pokryte jest bliznami, włączając w to nacięcia na rękach i nogach oraz wypalenie takiego samego symbolu, jak zrobił to Chelsea. Wygląda na to, że zrobił to sobie sam. — Szeryf roztarł kark. — Ich rodzice wydają się zupełnie normalni. Nie chcą nawet dopuścić do siebie myśli, że ich synowie popełnili jakiegokolwiek przestępstwo, ale potwierdzają, że bracia zawsze byli sobie bardzo bliscy. Derek był kiepskim uczniem, Elliot pomógł mu skończyć szkołę. Z drugiej strony jako dzieciak Elliot był słabeuszem i często obrywał, a Derek zawsze go bronił. Pan Pagano opowiedział nam, że Derek pobił chuligana z sąsiedztwa, który nękał Elliota. Pan Pagano próbował zbagatelizować ten incydent, ale dowiedzieliśmy się, że Derek zepchnął z wiaduktu tego chłopaka i on złamał obie nogi. Oficjalnie nie zostało to zgłoszone, ale sądzę, że jeśli pogadamy z nauczycielami, dowiemy się o jeszcze innych niepokojących incydentach z udziałem braci Pagano.

— Prawdopodobnie obydwaj są w jakimś stopniu psychopatami — powiedziała Morgan. — Żeby jednak zostali uznani za niepoczytalnych, musieliby nie być w stanie odróżniać dobra od zła. A Elliot i Derek potrafią kalkulować na zimno. Podjęli kroki, aby uniemożliwić schwytanie Dereka. Wiedzieli, że to, co zrobił, było złe. Po prostu nie obchodził ich nikt poza nimi samymi.

— Miejmy nadzieję, że sędzia i przysięgli zgodzą się z panią — powiedział szeryf, opierając się na krześle.

— Jakie są zarzuty wobec Elliota? — zapytała Morgan.

— Wszystko, co prokurator był w stanie wymyślić. — W oczach szeryfa błysnął gniew. — Ten drań wiedział już w sobotę, gdzie jest Chelsea. Mógł ją uratować. Zamiast tego pozwolił bratu torturować ją niemal przez tydzień...

Szeryf urwał i wyraźnie starał się zapanować nad sobą.

— Patolog odnalazł raport z sekcji Candace Pagano. Klif, z którego się stoczyła, jest stromy, samochód spadł aż na sam dół. Nie była przypięta pasami i jej ciało poobijało się na tyle, że wypadek zatarł ślady wcześniejszego uderzenia w głowę. Derek miał szczęście, bo samochód się zapalił. Torebka Candace, zawierająca nielegalnie zdobytą fiolkę OxyContinu, wyleciała z auta, sekcja wykazała też obecność leku w jej krwi. Brała OxyContin codziennie. Nie wiem, czy będzie w stanie znaleźć dowody, czy w momencie, gdy auto stoczyło się z klifu, jeszcze żyła, czy nie, ale mamy zeznanie. Technicy badają teraz posiadłość Dereka. W warsztacie, gdzie naprawia swój rower, znaleźli metalowy pręt z symbolem nieskończoności, pasujący do oparzenia Chelsea. Kontener wygląda dokładnie tak, jak go opisała. W środku pełno jest odcisków palców jej i Dereka. W warsztacie znaleziono też smar do roweru, którego używał Derek. Chelsea rozpoznała jego zapach natychmiast.

Szeryf zrobił przerwę dla nabrania powietrza.

— Derek Pagano nie wyjdzie z więzienia przez długi czas. Jeśli będziemy mieli szczęście, już nigdy. Mam nadzieję, że Elliot też trafi za kratki na długi czas.

— Mam nadzieję. — Morgan wyprostowała się. Charakter sprawy zaczynał ją przygnębiać. Największą ochotę miała, aby w końcu przytulić swoje dzieci.

— Dziś rano rozmawiałem przez telefon z byłą dziewczyną Dereka. Zerwała z nim, bo zaczął ją przerażać. Zaczął sprawdzać jej telefon, próbował kontrolować to, z kim się spotykała, i tak dalej. Na tyle ją nastraszył, że gdy pojawiła się szansa na pracę w Londynie, postanowiła z niej skorzystać i bała się powrotu.

Szeryf po kolei uścisnął im dłonie.

— Dziękuję za pomoc przy sprawie.

Słowa te brzmiały tak, jakby wydobywał je z siebie z trudem.

Morgan nie mogła uwierzyć, że Elliot rozmawiał z nimi, wiedząc, gdzie jest Chelsea, i tak gładko ich okłamywał. Chelsea została pobita i naznaczona. Elliot mógł zapobiec jej cierpieniu, jednak zdecydował, aby tego nie zrobić. Czy ten człowiek w ogóle miał duszę?

— A co z braćmi Burns? — zapytał Lance w drodze do drzwi.

Szeryf sięgnął do klamki.

— Jerry był operowany, ale jeszcze nie pozwolono nam go przesłuchać. Ale to nie ma znaczenia, ponieważ zarzuty porwania Karen Mitchell są pewne, podobnie jak morderstwa Sary Bernard. Psy do poszukiwania zwłok znalazły w parku stanowym kolejne dwa ciała, a poszukiwania jeszcze nie zostały zakończone. To wielki obszar. Nie jesteśmy pewni, ile kobiet mogli zabić.

Tak jakby trzy nie wystarczyły.

Gdy wyszli z budynku, słońce świeciło jasno, promieniując ciepłem.

Morgan zwróciła twarz ku niemu.

— To miłe.

Lance zmrużył oczy.

— Mam nadzieję, że bracia Burns i bracia Pagano siedzą w zimnych, ciemnych celach.

Rozdział 46.

— Kupiłem lody — powiedział Sharp, wchodząc do domu Lance’a.

— Dzieci na pewno będą zachwycone — powiedział Lance.

Sharp zamarł w bezruchu.

— Łał, pozmieniało się tu.

Mieszkanie Lance’a zazwyczaj było surowe i minimalistyczne. Teraz na podłodze leżały zabawki, dziewczęce plecaki piętrzyły się na sobie, a stolik kawowy pokrywały dziecięce książeczki do kolorowania i kredki. Mia i Ava klęczały na dywanie, grając w Candy Land.

Rakieta weszła za Sharpem do środka.

— Mój dom jest trochę za ciasny dla sześciu osób, ale jakoś sobie radzimy. — Lance zamknął drzwi. — Tak czy siak to tylko na kilka dni. Firma ochroniarska unowocześnia cały system ochrony.

Morgan i dziewczynki miały mieszkać z Lance’em dopóty, dopóki zabezpieczenia w ich domu nie będą tak dobre jak te w Białym Domu.

Gianna, Mia i Ava spały w pokoju Lance’a. Morgan i Sophie zajmowały pokój gościnny. Dopóki Sophie nie wyrośnie ze swoich nocnych lęków, nie będzie mogła dzielić pokoju z siostrami. Lance sypiał na sofie. Nawet bez lęków nocnych Sophie Lance wiedział, że wspólne spanie z Morgan nie wchodzi w grę, dopóki w domu są dzieci.

— To czysty chaos. — Roześmiał się Sharp.

— Ale to dobry rodzaj chaosu. — Tak naprawdę mimo tłoku i gwaru Lance nigdy wcześniej nie czuł się tak bardzo w domu jak teraz. Nie przeszkadzało mu nawet to, że wszędzie leżą pluszowe zabawki, lalki i małe skarpetki. I brokat. Zdołał już znaleźć srebrne płatki w jajecznicy.

Sharp wręczył mu brązową papierową torebkę. Organiczne lody.

— Nie wiem, co jedzą dzieci — powiedział, pochylając się, aby ściągnąć Rakięcie obrozę. Pies potruchtał do pokoju dziennego. Snoozer zeskoczył z kanapy. Psy obwąchały się, machając ogonami.

— Lubią się. — Ucieszyła się Sophie i przyłączyła się do psich powitań.

— Poczekaj, chcę ci coś powiedzieć. — Sharp zwrócił się do Lance’a. — Wiem już, dlaczego twoja mama zachowywała się ostatnio inaczej.

Lance wstrzymał oddech.

— Ma chłopaka. — Sharp wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— Co? — Ze wszystkich możliwości ta była ostatnią, którą Lance spodziewał się

usłyszeć.

— Tak. — Potwierdził Sharp. — Poznali się na terapii grupowej. On też cierpi na zaburzenia lękowe. Przez ostatni tydzień czy jakoś tak zamiast robić zakupy, spędzała wieczory, rozmawiając z nim online.

Lance nie wiedział, co ma myśleć na temat internetowego związku matki.

— Okej.

— Nie rób takiej smętnej miny. — Sharp klepnął go w ramię. — To dla niej dobre.

— Dopóki nie zerwą. — I Lance nie będzie musiał sprzątać bałaganu.

— Nie dodawaj sobie zmartwień. — Sharp potrząsnął głową. — Dostyc ma dzień swej biedy. Ciesz się jej szczęściem. Jest w lepszym stanie, niż kiedykolwiek zapamiętałem. I najwyższy czas, aby w jej życiu zdarzyło się coś dobrego.

— Masz rację. — Lance postanowił cieszyć się szczęściem matki, ale też uważnie ją obserwować. — Chcesz herbaty?

— Nie, muszę lecieć. A poza tym i tak masz tu tłum. — Sharp wycofał się w stronę drzwi. — Wpadłem tylko podrzucić lody i psa.

— Zostawiasz psa *teraz*? — Zdumiał się Lance.

— Tak. — Zachichotał Sharp. — Rakietę się u mnie nudzi. Powinna być z Morgan i dziećmi.

Lance zerknął do pokoju dziennego. Rakietę usadowiła się między Avą i Mią.

W sumie co znaczy jedno więcej ciepłe ciało?

— Dzięki — powiedział Lance.

Nie nabrał się na gadanie Sharpa. Wiedział, że ten się o nich martwi.

— Dobrej nocy wam wszystkim — powiedział Sharp na odchodne.

Lance zamknął za nim drzwi i zaniósł lody do kuchni. Gianna pakowała naczynia do zmywarki. Morgan wycierała blaszkę do pieczenia, którą specjalnie kupiła, bo Lance nie miał żadnej.

Aż do teraz.

— Lance. — Sophie pociągnęła go za rękę. — Obiecałeś, że nauczysz mnie głać piosenkę.

— Tak. — Lance przykucnął. — I wiesz co? Nauczyłem się piosenki specjalnie dla ciebie.

— Hula! — Ucieszyła się.

Pozwolił jej zaciągnąć się do stołka przy fortepianie. Usiedli razem. Sophie patrzyła z fascynacją, jak uniósł dłonie nad klawiaturę i zagrał pierwsze nuty. Machała nogami idealnie do rytmu. Gdy zaczął śpiewać *You've Got a Friend in Me*, przyłączyła się po pierwszych linijkach. Śpiewała cicho i zadziwiająco melodyjnie.

Zanim skończyli razem śpiewać, Mia i Ava przyłączyły się do nich, zaglądając im przez ramię.

— Jeszcze laz! — zawołała Sophie.

— Może zamiast tego zacznę cię uczyć, jak to zagrać? — Lance zagrał pierwsze kilka nut.

Sophie szybko załapała i po kwadransie mógł ją zostawić, aby ćwiczyła sama. Grała nuty raz po raz z takim zacięciem i cierpliwością, o które Lance by nie podejrzewał trzylatki.

— Dziewczynki, pora na kąpiel! — zawołała Gianna.

Pokój opustoszał. Lance i Morgan spędzili kolejny kwadrans, sprzątając bałagan, jednak w tak ograniczonej przestrzeni niewiele mogli zdziałać.

Lance wykorzystał to, że w pokoju nie było nikogo. Przyciągnął Morgan do siebie i pocałował ją w usta.

Objęła go ramionami za szyję.

— Nigdy wcześniej nie słyszałam, żebyś grał coś wesołego.

— Chyba mam tendencję do smętnych kawałków. — Przyznał Lance, po czym rozejrzał się po różowym bałaganie wokół. — Ale teraz czuję się szczęśliwy.

Był jedynym dzieckiem swoich rodziców, a po zniknięciu ojca jego życie stało się ponure. Nie pamiętał, aby kiedykolwiek miał poczucie bycia członkiem rodziny, które teraz dawała mu Morgan i jej dzieci. Dzieci wprowadziły w jego życie radość i zadziwienie. Uwielbiał każdą chwilę, którą spędzały w jego domu, razem z towarzyszącym im rozgardiaszem i wszechobecnym brokatem. Z jednej strony myśl o tym, aby stać się dla nich zastępczym ojcem, była przerażająca, z drugiej wiedział, że są warte starań. Jego dom miał znowu stać się pusty, gdy wrócą do siebie.

Nie potrafił też ująć w słowa tego, co czuł do Morgan, nie czując ściskania w gardle.

Jutro zamierzał pójść do jej domu i sprawdzić postępy w pracach nad zabezpieczeniami. Morgan chciała być w domu, gdy za kilka dni wypuszczą dziadka ze szpitala. Nie było szans, aby jeszcze jedna osoba zmieściła się w trzypokojowym mieszkaniu Lance'a.

— Naprawdę nie masz nic przeciwko naszej inwazji na twój dom?

— Zupełnie nie. — Nie cieszył się, że za chwilę się wyprowadzą. Gdyby zadała mu to pytanie rok temu, odpowiedź byłaby zupełnie inna, ale tylko dlatego, że nie wiedział, co traci.

— Tak czy siak nie wiem, jak ci dziękować. Mieszkanie Stelli i Maca jest dużo mniejsze od twojego.

— Sprawia mi to przyjemność. Kawalerskie życie jest nudne. — Zamknął jej usta pocałunkiem.

— Ta sprawa była koszmarna. — Morgan ujęła go za rękę. — Nie wiem, jak poradziłabym sobie bez ciebie.

Lance zacisnął palce wokół jej dłoni. Chciał powiedzieć coś romantycznego, ale nie był w stanie wydobyć głosu. Nie potrafił wyrażać uczuć, zwłaszcza w stosunku do niej. Ale musiał się tego nauczyć.

— Niezależnie od tego, jak skomplikowane jest nasze życie, od tej pory nasz związek powinien mieć priorytet — powiedziała. — To znaczy, jeśli tego chcesz.

Lance uśmiechnął się do niej i wreszcie się odezwał:

— Niczego bardziej nie pragnę.

Czekała na te słowa.

— W takim razie dobrze. — Wspięła się na palce. — Od tej pory oficjalnie jesteśmy parą.

O autorce



Fot. © 2016 Jared Gruenwald Photography

Melinda Leigh jest autorką bestsellerów „Wall Street Journal”. Kiedyś pracowała w bankowości, jednak zupełnie się z tego wyleczyła. Od zawsze kochała książki i zaczęła pisać, aby ocalić zdrowe zmysły, gdy jej najmłodsze dziecko poszło do pierwszej klasy. W ciągu kolejnych lat nauczyła się tego i owego o pisaniu powieści i doszła do wniosku, że jest to znacznie ciekawsze zajęcie niż analiza sprawozdań finansowych. Została również członkiem stowarzyszenia Romance Writers of America. Debiutancka powieść Melindy *She Can Run* została nominowana do nagrody w kategorii „Najlepszy debiut” przez Międzynarodowe Stowarzyszenie Autorów Powieści Sensacyjnych. Melinda zdobyła też nagrody Golden Leaf oraz Silver Falchion, jak również nominacje do nagród RITA i (trzykrotnie) do nagrody Daphne du Maurier. Jej inne powieści to: *She Can Tell*, *She Can Scream*, *She Can Hide*, *She Can Kill*, *Midnight Exposure*, *Midnight Sacrifice*, *Midnight Betrayal*, *Midnight Obsession*, *Hour of Need*, *Minutes to Kill* i *Seconds to Live*. W Polsce ukazała się dotychczas pierwsza część serii poświęconej Morgan Dane, *Proś o wybaczenie* (Editio, 2019).

Melinda ma czarny pas w karate Kenpo, prowadzi zajęcia z samoobrony dla kobiet i mieszka w wiecznie zabałaganionym domu z mężem, dwójką nastoletnich

dzieci, kilkoma psami i dwoma przygarniętymi kotami.